



**MARCUS  
SAKEY**

na krańcach  
**miasta**

# SAKEY MARCUS

## NA KRAŃCACH MIASTA

**Jason wrócił właśnie do domu z Iraku i marzy jedynie o tym, żeby spędzić lato na picu i uganianiu się za spódniczkami. Ale ktoś zamordował mu brata, Michaela, a teraz poluje na jego ośmioletniego bratanka. To, co zaczyna się jako pogoń za sprawiedliwością bardzo szybko wymyka się spod kontroli, kiedy ogień podłożony pod knajpę Michaela okazuje się zbrodniczym podpaleniem, a walki gangów szalejące na gorących ulicach Chicago zaczynają bić na głowę wszystko, czego Jason był świadkiem w Bagdadzie.**

# 1

## Ponury żart

Kiedy mężczyzna wycelował w niego pistolet, Jason Palmer dochodził do siebie po swojej zwyczajowej pięciokilometrowej rundce i marzył o pierwszym piwie tego dnia, zroszonym kufla Corony z limetą, które jak zdecydował, wypije pod prysznicem. Ostatnio jego prywatny bar otwierał się coraz wcześniej, ale postanowił się tym nie martwić. Udawać, że to letnie wakacje. Spędzić je, biegając nad jeziorem i taksując wzrokiem dziewczyny w bikini, które wylegały na plażę North Avenue każdego popołudnia, jakby czynsz był pojęciem kompletnie im obcym. Odgarnął z oczu mokrą od potu grzywkę, złożył dłonie nad głową i skręcił w przejście podziemne pod autostradą Lake Shore Drive. Przejście z palącego słońca w beto-nowochłodny cień sprawiło, że zamrugął, ale kiedy wzrok się już przyzwyczaił, zobaczył tego gościa, który wyglądał, jakby czekał tu już od jakiegoś czasu.

Miał może dwadzieścia lat, ciemną skórę i oczy drapieżcy. Kozia bródkę w szpic, przyciętą krótko jak włosy. Chromowaną beretę z odciągniętym kurkiem. Źle ją trzymał, łokieć był odwiedziony, nadgarstek skrecony, ale sama ręka ani drgnęła.

- Joł, mamy do pogadania. - Na szyi połyskiwał łańcuch z logo Cadillaca wysadzany diamentami.

Jason poczuł w tyle nóg mrowienie od adrenaliny. Serce, nadal jeszcze gwałtownie bijące po biegu, teraz zaczęło walić jak młotem, kiedy patrzył na czarny otwór wycelowany w swoją pierś. Usiłował przypomnieć sobie wszystko, co słyszał o zachowaniu podczas napadu, o tym, że nie powinno się patrzeć na napastnika, bo to może go sprowokować.

- Spokojnie. - Powoli rozluźnił ręce nad głową. - Nie ma sprawy. Bierz forszę.

Kozia Bródka przechylił lekko głowę, uśmiechnął się szerzej.

- Mówiłem coś o forsie?

Jason zamarł. Nigdy wcześniej nie widział tego mężczyzny, nie podejrzewał, by mieli wiele wspólnych tematów. Stał u wlotu przejścia, słońce paliło go w plecy, słyszał dochodzące z tyłu krzyki mew walczących o resztki jedzenia. Na plaży zawsze roiło się od ludzi.

Wtedy Kozia Bródka zmrużył oczy.

- Dalej niż ci się zdaje. - Położył palec na spuście. - Nie chcesz się wygłupiać.

Niechętnie Jason zrobił krok do przodu. Kozia Bródka skinieniem głowy pokazał, by szedł dalej. Nakrył pistolet bluzą od dresu. Na przedramieniu błysnął tatuaż, sześcioramienna gwiazda z jakimiś literami w środku, G, może D.

Piasek chrzęścił pod butami, kiedy Jason szedł z Kozią Bródką za plecami. Ich kroki rozbrzmiewały w zamkniętej przestrzeni, odgłos szurania mieszał się z odległym dudnieniem samochodów na górze. Koszulka zrobiła się zimna i lepka. „Zachowaj spokój”, myślał. „Zbij go z tropu”.

- A wiesz - rzucił lekko - też lubię cadillaki.

- Że co?

- Widziałem twój naszyjnik.

Nagle usłyszał jakieś głosy. Na jakąś minutę kamień spadł mu z serca. Potem z podjazdu weszło do przejścia dwoje dziewcząt o młodych głosach, pierwszy rok koledżu góra,

śmiejąc się, jakby cały świat był zakrapianą piwem imprezą. Kozia Bródka zeszywniał na ich widok.

Jason poczuł mrowienie w palcach. Nie chciał takiej odpowiedzialności, co innego kiedy sam był na linii strzału. Musi dopilnować, żeby sprawy nie wymknęły się spod kontroli.

- Taa. Piękne wozy. - Suchy język z trudem formował słowa. - Mam eldorado z siedemdziesiątego drugiego. Z opuszczanym dachem.

- Kurde, taką starą landarę? Mnie to nie jara.

- To co cię jara? Escalde?

- Niby że jestem czarny, to muszę się wozić escalde'em?

- Nie wiem - powiedział Jason. Od dziewcząt dzieliły ich jakieś trzy metry. - Tylko strzelam.

- Człowieku, kupiłem se XLR. Jason zerknął przez ramię.

- Zalewasz?

- Wypas. Skóra w środku i DVD w desce rozdzielczej. Jason pokiwał głową, starając się nie zwracać uwagi na napięte mięśnie.

- Nieźle. - Dziewczęta właśnie ich mijaly i Jason spiał się, gotów do skoku, gdyby Kozia Bródka choć spojrział w ich kierunku. Ale blondynka i brunetka przeszły obok ze spokojnymi minami, niczego nieświadome. Odetchnął z ulgą, przeszedł jeszcze kilka metrów, aż znalazł się poza zasięgiem ich uszu i stanął. Dość.

- Słuchaj, mam przy sobie tylko dwadzieścia dolców. -No i?

- No i weź je - Zaczął sięgać do kieszeni, ale znieruchomiał, kiedy Kozia Bródka wolno pokręcił głową.

- Synek, gdybym chciał twoich pieniędzy, myślisz, że jeszcze byś je miał?

- To czego chcesz?

- Pogadać. - Przekrzywił głowę. - O tym, co knuje twój brat.

Michael.

Jason poczuł, jak palce zaciskają mu się w pięść. W pierwszym odruchu chciał z miejsca rzucić się na kutasa. Ale skurwiel celował prosto w niego i uśmiechał się perfidnie.

- Co masz na myśli? - rzucił Jason głosem cieńszym, niż zamierzał.

Kozia Bródka odchrząknął z lepkiem bulgotem i posłał kawał flegmy na ścianę.

- Ruszaj.

Posłuchał, zagryzając wargę, kończyny miał lodowato zimne od adrenaliny. Po dziesięciu krokach wyszedł z przejścia i słońce gwałtownie padło mu ramiona, parząc w kark. Pokonał betonowy podjazd na dwupoziomowy parking, gdzie roiło się odbeemek, hummerów i mercedesów należących do ludzi, dla których poniedziałek był po prostu spokojniejszym dniem, w sam raz na przejażdżkę jachtem. Idący z tyłu Kozia Bródka wskazał schody.

Jason pokonywał stopnie, z głową pękającą od domysłów. Co może łączyć jego brata i tego człowieka o oczach zabójcy? Z każdym krokiem rozważał i odrzucał dziesiątki możliwości, ale nijak nie mógł poskładać tego w sensowną całość. To musi być jakaś pomyłka. Weszli na drugi poziom i ruszyli wzdłuż rzędu samochodów. Krył się w tym jakiś ponury żart. Za każdym razem kiedy jego drużyna wychodziła na miasto, ktoś mógł ich obserwować ze spoconym palcem na detonatorze radiowym, tylko czekając, aż Jason zbliży się ciut za bardzo do śmierci. Nawykł do tego uczucia bliskości niebytu, do świadomości, że może ot tak, po prostu w każdej chwili zniknąć w huraganie ognia. A kiedy wreszcie wrócił cały i zdrowy do domu, napada go koleś, który nawet nie potrafi odróżnić jednego białego od drugiego. Można by boki zrywać, gdyby tylko to nie działa się naprawdę.

„No więc, co z tym zrobisz, żołnierzu?”

Niecałe czterdzieści metrów przed nimi stał samochód dostawczy, którego kanciasty tył wystawał zza sąsiedniego auta. Jason ruszył w jego kierunku, stąpając na palcach, żeby pokonać odrętwienie od adrenaliny. Od celu dzieliło go jeszcze sześć wozów: kilka japońców, wielka terenowa, nowy beetle, a potem jego ciężarówka. Jeden wypad i znalazłby się za nią. Kozia Bródka może by i strzelił, ale na oślep. A później wystarczy już tylko kluczyć z nosem przy ziemi, nie wychylając się. Żaden człowiek, choćby i zabójca, który trzyma broń bokiem, nie zdoła trafić do ruszającego się celu bez względu na odległość. Jeszcze tylko kilka kroków i będzie po sprawie.

Trzy samochody przed dostawczym, zza terenówki wychynał mężczyzna i wpakował Jasonowi pięść prosto w brzuch.

Z płuc uszło mu powietrze. Zgiął się wpół i wyrzucając ręce w bok w poszukiwaniu podparcia, przytrzymał się terenówki. W dole brzucha rozszedł się mu ból niczym ciepłe i żywe stworzenie. Kiedy ciało walczyło o oddech, umysł szalał, nakazując wytrzymać. Wyprostował się z wysiłkiem z jedną ręką na tylnych drzwiach samochodu, drugą uniesioną w niezdarnym geście obrony.

Mężczyzna, który go uderzył, miał niecały metr siedemdziesiąt. Łysą głowę spoczywającą bezpośrednio na umięśnionych ramionach. Nieskazitelnie czysty biały T-shirt, który sięgał prawie do kolan, i bogato zdobione złote pierścienie na każdym z palców uderzającej dłoni. Kozia Bródka stanął obok, chichocząc, z pistoletem wymierzonym prosto w serce Jasona.

Każdy oddech miał wnętrzości jak brzytwa. Jason z wysiłkiem ściągnął ramiona i zabrał rękę z terenówki. Popatrzył na nią, odwracając się zdziwiony, potem przeniósł wzrok na Kozia Bródkę.

- Zdawało mi się - powiedział - że nie gustujesz w escalde'ach.

Mężczyzna uśmiechnął się, błyskając zębami.

- Tylko się zgrywałem.

- Bez DVD? - Starał się zachować spokój, pokazać, że nie panikuje, że nie muszą się na niego rzucać.

- O, jest DVD. Zobaczysz z tyłu.

Dreszcz przebiegł mu po brzuchu. To nie może się dziać naprawdę.

- Słuchaj, człowieku, macie niewłaściwego gościa.

- Czaję. Wskakuj, pogadamy. - Wskazał na samochód, a bysio zrobił krok, otworzył tylne drzwi i niczym szofer limuzyny stanął obok.

Jason czuł, jak krew pulsuje mu w dłoniach, tętni w karku. W środku znajdzie się w potrzasku. Te wszystkie sceny z filmów, na których ludzie wyskakowali z jadących samochodów i zaraz otrzepywali się jak gdyby nigdy nic, to było sranie w banie. Człowiek, który wyskakuje z samochodu jadącego szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, nigdzie już nie ucieknie. Nadto tu, na publicznym parkingu, miał jeszcze jakąś szansę. Pojedynczy strzał mógłby pozostać niezauważony, ale strzelanina przyciągnęłaby uwagę. Zawahał się.

- Powiedziałem, pakuj się. - W słońcu oczy Koziej Bródki błyskały żółto.

- Dobra - Jason uniósł ręce. - Spokojnie. Wsiadam. - W całym ciele czuł prąd, gdy odwrócił się w kierunku samochodu.

I wtedy, po raz pierwszy, Kozia Bródka popełnił błąd. Nie ruszył się z miejsca.

To była jedyna szansa Jasona. Idąc do przodu, napał na Kozią Bródkę, jakby tańczyli, prawą dłoń zacisnął mu na nadgarstku, żeby unieruchomić broń. Ale zamiast ją wyrwać, okręcił się, przyciskając plecy do klatki piersiowej napastnika, tak że pistolet wymierzony był teraz w cel gdzieś przed nimi. Bysio parsknął, uświadamiając sobie, co się dzie-



je. Kozia Bródka wydał pełen zdumienia okrzyk i usiłował oswobodzić rękę. Jason kontynuował obrót, przypominając sobie, że kutas mówił o jego bracie, że groził Michaelowi. Szarpnął mocniej i kiedy poczuł, że mężczyzna traci równowagę, obracał się dalej, zamieniając upadek w pchnięcie, które rzuciło napastnika na uchylone drzwi samochodu. Te otworzyły się gwałtownie i walnęły bysiami, trafiając go prosto w twarz z solidnym łupnięciem. Podwójne uderzenie zaparło Koziej Bródce dech w piersiach i pistolet z brzękiem wypadł mu z ręki.

W tej samej chwili Jason rzucił się w bok. Po dwóch niezgrabnych krokach odzyskał równowagę. Serce nakazywało mu biec, ale głowa zachowała spokój. Byli wrogami. Nie chciał zostawiać ich z bronią. Pistolet był ciepły i trochę wilgotny od potu, kiedy porwał go z betonu.

Potem puścił się biegiem, świadom, że nie obezwładnił żadnego z napastników. Jego nogi pracowały jak dobrze naoliwiona maszyna. Pokonał otwartą przestrzeń do następnego rzędu samochodów, odbił się z lewej nogi i dał nura za wóz. Jakaś szyba rozbiła się z ostrym trzaskiem. Wróciła do niego cała dawna energia. Szarpnął znowu w bok, oderwał się od aut i pognął na skraj parkingu. Skoczył na betonową przyporę, odbił się jedną nogą i poleciał w dół.

W nieskończenie długiej chwili, kiedy szybował w powietrzu, uświadomił sobie, że się uśmiecha.

Wreszcie opadł na miękką ziemię parku. Zamortyzował upadek, podkuliwszy jedno ramię, a potem kręcąc nim młynka, tak jak robili kandydaci do szkoły dla komandosów. W ułamku sekundy był już z powrotem na nogach, w biegu, wiedząc, że jest już bezpieczny, ale i tak biegnąc dalej, upajając się pędem i ciężarem broni w rękę. Skreślił ku odległemu o jakieś dwadzieścia metrów zagajnikowi. Wiatr chłodził pot na twarzy i kiedy uchylał się przed gałęziami, czuł cuchnącą wilgoć ziemi, przyjemną i wyrazistą niczym zapach sek-

su. Po kolejnych trzydziestu metrach zaryzykował rzut oka za siebie.

Kozia Bródka sterczał na skraju parkingu z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem. Bysio stał, opierając się za nim. Pierś ciężko mu falowała, w jednej dłoni ścisnął pistolet, drugą trzymał się za nos. Spomiędzy palców sączyła się krew.

Jason nie mógł się oprzeć. Uśmiechając się, stanął na baczność i im zasalutował. Wyraz czystej nienawiści malujący się na twarzy Koziej Bródki był jednym z najpiękniejszych widoków, jakie widział od lat.

Roześmiawszy się w głos, wsadził pistolet za pasek spodni, wyciągnął koszulkę, żeby go zasłonić i ruszył dalej delikatnym truchtem. Ot, zwykły gość trenujący w piękny dzień. Kiedy dotarł do końca murawy, przeszedł przez ulicę i wkroczył na osiedle.

Znał knajpę leżącą dwie przecznice dalej, zastanawiał się, czyby tam nie pójść i nie wezwać glin, ale uznał, że to bez sensu. Co innego gdyby miał przy sobie komórkę - w Lincoln Park, dzielnicy białych, ci dwaj rzucali się w oczy. Ale do czasu kiedy dotrze do telefonu, będą już jechać Lake Shore Drive.

Zresztą musiał zatroszczyć się o Michaela. Skręcił w prawo, szukając w kieszeniach kluczyków do cadillaca. Mniejsza o policję. Musi się dowiedzieć, czy u brata wszystko w porządku, upewnić się o to tak, na wszelki wypadek. Niemożliwe, żeby to miało coś wspólnego z Michaeliem, ale co to szkodzi sprawdzić. Pewnie pośmieją się z absurdalności całej sytuacji, z tego, że jakiś kark usiłował go porwać. Choć Jason osobiście wątpił, by kiedykolwiek się dowiedział, o co naprawdę chodziło.

Mylił się.

## 2

### Zaczyna docierać

Śmieszne, jak martwa rzecz może zdominować cały cholerny dzień.

Michael Palmer gapił się na aparat telefoniczny wiszący na tyłach pubu. Zwyczajny knajpiany telefon, jakich wiele w lokalach. Porysowany czarny plastik, splątany sznur, słuchawka wyszczerbiona w miejscu, gdzie uderzyła o podłogę dwa lata temu. „Dziwne, sam nie wiem, czy chcę, żeby zadzwonił, czy nie”.

- Tato? -No?

- Co to jest... - Billy zawahał się, potem rzucił wszystko na jedną szalę: - Owersza?

- Owersza.

- Co to jest owersza?

- Podpowiem ci. Siedzisz w jednej. Billy zerknął w dół.

- Stołek?

- Nie „na” tylko „w”.

Syn popatrzył na niego, potem dokoła i rozpromienił się jak dzień od słońca. -Pub?

- Bingo.

Billy skinął nieznacznie głową, że niby wiedział przez cały czas, a pytał tylko, żeby sprawdzić ojca. Potem wrócił do rozłożonej na barze gazety. Ośmioletnie palce ścisnęły ołówek aż do nasady, gryzmołąc litery. Kiedy pochylił się i czytał następne hasło, bezgłośnie poruszał ustami. Tak samo jak jego matka. Michael często widywał Lisę w łóżku z tą czy inną powieścią, poruszając ustami, jakby recytowała zaklęcie. Ile wieczorów stał w drzwiach i na nią patrzył, tylko patrzył, urzeczony falowaniem jej piersi, krągłością ramienia, uśmiechami i marszczeniem brwi, które wywoływał na jej twarzy ten sekretny świat?

Potrząsnął głową, żeby przegnać wspomnienie i zastanowił się, ile czasu minęło od chwili, kiedy o niej ostatnio myślał. Całkiem nieźle - pierwszy raz od wczorajszego lunchu, na który jedli masło orzechowe i banany przyrządzone jak zapiekany żółty ser: chrupiące na zewnątrz, brejowate w środku. Lisa zawsze nazywała to danie „De Elvis Especial”, wymawiając frazę z fatalnym hiszpańskim akcentem i teraz Billy też tak to wymawiał, choć Michael wątpił, by jego wspomnienie o matce wykraczało poza kasztanowe włosy i miłość.

On sam, Michael, pamiętał wszystko.

Zerknął na telefon, potem podszedł do zlewu i zaczął myć brudne kufle po piwie: woda z detergentem, czysta woda, sterta do schnięcia. Miły, łatwy rytm, stały i miarowy.

- Tato? -Mhm?

- Jakie jest inne słowo na mający szczęście? Michael zdrapywał kciukiem brud przyklejony do szkła.

- A co ci przychodzi do głowy?

- Eeee... - Billy patrzył na niego rozbieganymi oczyma. - Szczęśliwy?

- No, ktoś kto ma szczęście, zapewne jest szczęśliwy. Ale czy te słowa znaczą to samo?

Syn gryzł dolną wargę.

- Chyba nie. - Obracał ołówek między palcami i z powrotem zapatrzył się w przestrzeń.

Westchnął po chwili. - Możesz mi podpowiedzieć?

- Na ile liter?

Billy się zawahał, potem przebiegł palcem po krzyżówce.

- Sześć, siedem, osiem.

- Masz którąś?

- Zaczyna się na F.

- Osiem liter, pierwsza F. - Michael się wyprostował. Stopy bolały go, jakby w pięty powchodziły mu gwoździe. Choroba zawodowa. Chwycił ścierkę i wytarł ręce.

- Dobrze, jeśli wygrywam w totka, to co mam?

- Mnóstwo pieniędzy?

- Tak, ale co muszę mieć, żeby wygrać?

- Eeee... kupon?

- Kupon ma każdy, kto gra, ale żeby wygrać, trzeba jeszcze mieć...

-Fart? Skinął głową.

- A jakie podobne słowo oznacza... Dryń.

Dzwonek nie był głośny. W każdym razie nie głośniejszy niż zwykle. Tylko tak się zdawało. Dryń.

Ciarki przeszły mu po karku. Jakaś ciężarówka przetoczyła się z łoskotem ulicą, od jej ciężaru zadrżały szyby frontowych okien. Ścierka była stara, zdarta do miękkości na barze i szkłe, i Michael czuł to każdym nerwem swoich palców.

Dryń.

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Przez chwilę stał jak sparaliżowany, podczas gdy mózg analizował obraz. Billy. Wstający, żeby odebrać telefon, w czym się lubował.

To podziałało.

W dwóch szybkich krokach Michael znalazł się w rogu pubu. Wyciągnął dłoń i chwycił słuchawkę tuż przed nosem syna.

- U Mike'a.

- Pan Palmer. - Głos był cichy i wyraźny.

Billy gapił się z otwartymi ustami, jakby ktoś sprzątnął mu sprzed nosa lody. Michael odwrócił się, sznur od telefonu owinał się mu dokoła boku, kiedy stanął twarzą do szklanej ściany butelek: burbona, szkockiej i whisky skąpanych w odbitym blasku popołudnia.

-Tak.

- Wie pan, kto mówi? -Tak.

- Wszystko w porządku? Pogładził dłonią nogawkę spodni.

- Jestem tylko trochę zdenerwowany.

- Czy coś się stało?

- Nie, tylko... - Michael ścisnął kciukiem i palcem środkowym grzbiet nosa. - Zaczyna do mnie docierać, rozumie pan? Co robimy. Konsekwencje.

- Jeśli będzie pan ostrożny, nie będzie żadnych konsekwencji.

- No tak, panu łatwo mówić. Nie jest pan na widelcu. Długa chwila ciszy.

- Ma pan wątpliwości?

Alkohole stały w trzech schodkowych rzędach. Od lustra odbijało się słońce. Na kosztownych butelkach zalegał kurz. Po kiego licha kupił tę Balvenie? Kto w Crenwood może zażyczyć sobie siedemnastoletniej whisky single malt? Jego klienci pijali Jima Beama z budweiserem, i to tylko w dzień wypłaty, koneserzy tu nie zachodzili.

- Panie Palmer?

Ale z drugiej strony, do czegoś trzeba chyba aspirować?

- Jestem.

- Proszę posłuchać, wiem, że to trudne. Rozumiem pańskie zdenerwowanie. Ale jeśli tylko będzie pan postępował zgodnie z naszymi ustaleniami, nic panu nie grozi. Chyba nie zdradził się pan przed nikim, co?

- Nie - skłamał.

- Ani słowem?

- Powiedziałem, że nie.

- Proszę zrozumieć, nie chcę panu niczego narzucać. Tyle że ludzie, z którymi mamy do czynienia... jeśli pan kogoś wtajemniczy, narazi go pan na straszliwe ryzyko.

- Rozumiem.

- Dobrze. - Zapadła cisza, potem w słuchawce rozległ się szelest papierów. - Tam gdzie zwykle?

Michael popatrzył na Billy'ego, który przechylony przez bar sięgał do kurka z colą. - Jest ze mną syn.

- Tylko pół godziny.

- Koniecznie teraz?

- Michael... - Pełne godności westchnienie. - Już czas się opowiedzieć: wchodzi pan w to czy nie?

Zamknął oczy.

- Przyjadę. - Rozległo się krótkie dzyń, kiedy odłożył słuchawkę.

Billy oparł kolano o bar i wychylił się niebezpiecznie do przodu.

-Ej.

Znieruchomiał i przekrzywił głowę, żeby spojrzeć na ojca.

- Ile już tego dziś wypijeś?

- Jedną?

Michael uniósł brew.

- Trzy. - Billy opadł z powrotem na stołek i opuścił podbródek na dłoń, potem westchnął teatralnie.

Michael się roześmiał.

- Chyba jeszcze jedna cię nie zabije. Tylko nie cola, a napój imbirowy, i na rym koniec, okay? No i jeszcze wyszorujesz zęby po powrocie do domu.

Postawił napój na barze, potem otworzył narożną szafkę. Portfel wykonany z brązowej skóry, teraz poplamionej, zaczynał się już rozłazić w szwach. Dostał go od Lisy na ostatnią Gwiazdkę, którą spędzili razem. Prawie trzy lata temu. Wsunął go do tylnej kieszeni, chwycił komórkę i kluczyki. Wyprostował się.

Poczuł w żołądku dygot, który zaraz rozszedł się na całe ciało. Znowu usłyszał te słowa: ludzie, z którymi mamy do czynienia... Jeśli pan kogoś wtajemniczy, narazi go pan na straszliwe ryzyko...

Billy pochylał się nad krzyżówką ze skupieniem naukowca studiującego starożytny manuskrypt. Wypił łyk napoju imbirowego i poruszając ustami, odcyfrowywał hasło. Michael zwalczył odruch, by porwać go z krzesła i przytulić mocno do piersi: ciepłego, całego i zdrowego.

„To jakieś szaleństwo”.

Jeszcze nie wszystko stracone. Nie zrobił nic, czego nie dałoby się cofnąć. Cholera, nawet nie trzeba było niczego cofać - sprawy nie zaszły tak daleko. Wystarczy, że powstrzyma się od następnego kroku. Zlekceważy to spotkanie, a kiedy telefon znowu zadzwoni, powie, że się rozmyślił.

- Tato?

- Hmm?

- Inaczej obowiązek, dziewięć liter?

Michael się roześmiał. Czasami tylko tyle można zrobić.



*13 listopada 1995 roku*

*Aparatura nie pika tak jak w tych serialach medycznych wyświetlanych w telewizji. Przeważnie szumią tylko ciche wentylatory. Z jednej z maszyn, pomagającej matce oddychać, dochodzi słaby odgłos ssania.*

*Jason siedzi na drabinkach, obserwuje słońce kąpiące miasto w pożodze i myśli o dźwięku ssania. Niebo jest szkar-latno-złote, metal zimny przez dżinsy.*

*Od tygodni leży w Cook County i codziennie z Michae-lemją odwiedzają. Siadają po przeciwnych stronach łóżka -jej ciała - rozwaleni na niewygodnych krzesłach. Czasami rozmawiają, ale niedługo. Jest zmęczona i zasypia w połowie nonsensownych zdań. To przez leki. Ale bez nich linie szczęki się jej napinają, a oczy zachodzą łzami.*

*Jason siedzi na drabinkach i wyobraża sobie jakjedzie samochodem nocą po autostradzie Kennedy'ego, z pedałem gazu wciśniętym do dechy, jak stary Chevrolet grzechocze, jakby chciał się rozpaść, jak nagle pragnie, żeby tak się stało. Myśli o Terry O'Loughiin, Słodkiej T, ojej długich brązowych włosach i szczupłych udach, o zapachu jej szyi i jękach, jakie wydaje, kiedy Jason całuje ją między piersiami. Myśli o wyjących gitarach i pizzy Pequod z ostrą papryką, i o upojeniu, od którego drżą mu uda po godzinie biegu. My-*

*śli o tym, jak wypływa daleko w jezioro, a woda robi się coraz zimniejsza z każdym wymachem rąk, aż jest pewien, że jego pierś roztrzaska się o lodowatą czarną kipieli.*

*Żadna myśl nie zagłusza odgłosu ssania. Nic nie pomaga zapomnieć, że powinni z Michaeliem wyjść pół godziny temu, żeby nie przegapić pory odwiedzin.*

*Kiedy starszy brat go znajduje, słońce zdążyło opaść już nisko, choć niebo nadal płonie wieczorną zorzą. Jason patrzy, jak Michael zbliża się nieodwołalnie, podchodzi coraz bliżej. Zastanawia się, co powie brat. Zastanawia się, czy to dziś właśnie umrze matka i czy już zawsze będzie żałował, że do niej nie poszedł. Zastanawia się, czy jeszcze kiedyś będzie miał wrażenie, że znowu panuje nad własnym życiem.*

*Michael zatrzymuje się przed dyndającymi stopami Jasona. Wzdycha.*

*Potem sięga do szczebelka drabinki, podciąga się na wysokość brzucha, odwraca i opada obok Jasona, przyprawiając zimny metal o drżenie.*

*Razem patrzą, jak gaśnie dzień.*

### 3

#### Kurewsko zamierzchłe dzieje

Drzwi do lokalu brata były otwarte, a na podłodze leżał stołek barowy, jakby ktoś go przewrócił.

Jason pędził, żeby się tam dostać ze słońcem wlewającym się przez okna i starym Gordonem Downiem śpiewającym, że nie ma żadnych widokówek, żadnych pamiątek, że jego ukochana go nie знаła, kiedy wraca myślą do tych lat. Zawrócił gwałtownie na poboczu, gdy Lake Shore Drive się zakorkowała, i wyskoczył na autostradę Dan Ryan, uderzając dłonią w kierownicę. Jechał na południe pasami szybkiego ruchu, widząc w lusterku wstecznym linię horyzontu i ohydę korporacyjnej architektury, która zastąpiła stadion Comiskeya po prawej.

Nawet kiedy zjechał już z autostrady w duszną ruinę Crenwood, niemal nie dotykał pedału hamulca. Z piskiem opon skręcał na rogach uliczek, gdzie przed odrapanymi fasadami sklepów wystawiali patrzący spode łba chłopcy w długich białych T-shirtach. Tagi gangów, sklepy monopolowe i zardzewiałe płoty migały za szybą, zlewając się w jedno w skwarze i atmosferze degrengolady. I przez cały czas Jason wmawiał sobie, że cała ta wyprawa to zawracanie głowy. Niemożliwe, żeby Michael rzeczywiście znalazł się w tarapatach.

Ale drzwi pubu stały otworem, a taboret leżał na podłodze, jakby ktoś go przewrócił.

Jason wślizgnął się w chłód wnętrza. Panująca w środku cisza nie dodawała otuchy. Podciągnąwszy T-shirt, wyjął beretę z za pasa i odbezpieczył. Zostawił drzwi otwarte i trzymając broń nisko, wszedł dalej. Zwierzęcy instynkt nakazywał mu biec. Ale nie znał sytuacji, a żołnierz nie rzuca się na oślep. Ostrożnie stawiał stopy, zadowolony, że ma na sobie buty do biegania. Na barze leżała rozłożona gazeta, przewrócony taboret spoczywał w jednej linii z nią, jakby ktoś został z niego ściągnięty podczas lektury. Rozbite szkło połyskiwało w kałuży ciemnego płynu na podłodze.

- Stój!

Serce podeszło mu do gardła. Głos dochodził z tyłu, Jason obrócił się na pięcie z sercem w gardle, uniesionym pistoletem i palcem na spuście, patrząc wzdłuż lufy...

...na swojego bratanka.

Billy stał za barem z napiętymi, wyciągniętymi do przodu rękoma w pozie Starskiego i palcami złożonymi na kształt broni.

- Chryste! - Jason opuścił beretę, potem odetchnął głęboko. Serce ciągle dziko tłukło mu się w piersiach, a pot spływał pod pachami.

Billy gapił się na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Wujek Jason.

- Na śmierć mnie wystraszyłeś, dzieciaku. - Przyłożył dłoń do piersi, wolno wciągając i wypuszczając powietrze. Ciągle miał przed oczyma wspomnienie bratanka stojącego dokładnie na linii celownika.

- Gdzie twój tato?

- Nie ma go. Po co ci pistolet?

- Mówił, gdzie idzie?

- Eee-ee. - Billy wpatrywał się w niego. - Nie jesteś już w wojsku, prawda?

Jason stłumił grymas, świadom, że chłopiec nie miał nic złego na myśli, mimo to czując, jak Przywra ściska mu żołą-

dek. To uczucie paniki, od której wilgotniały mu ręce, i oślizgłego wstydu narastało w nim już od miesięcy. Dał mu imię tylko po to, by skonkretyzować obiekt swojej nienawiści. -Nie.

-To po co ci...?

- Tata zostawił cię samego?

- Pani Lauretta była tu przez jakiś czas. Ale miała coś do załatwienia. Poza tym - Billy się wyprostował - mam już osiem lat. Nie jestem małym dzieckiem. Mogę potrzytać twój pistolet?

- Nie - warknął Jason ostrzej, niż zamierzał i zobaczył, że chłopiec się wzdrygnął. - Zrozum, to nie jest zabawka. A twój tata skopałby mi tyłek, gdybym pozwolił ci go dotknąć. - Przekrzywił głowę. - Tak naprawdę skopałby mi tyłek, gdyby wiedział, że ci go tylko pokazałem.

Billy przygryzł wargę. Wyglądało na to, że coś rozważa. Po chwili poważnie pokiwał głową.

- W porządku.

- W porządku?

- Nie powiem.

- Dzięki, stary. Doceniam. - Jason uśmiechnął się z trudem, potem schował broń. Zamknął drzwi wejściowe i schylił się, żeby podnieść stółek. Rozbite szkło leżało w kałuży czegoś, co wyglądało na colę. - Co tu się stało?

- O, przewróciłem ją, kiedy sięgałem po... eee... - Billy przestępował z nogi na nogę i gapił się na podłogę. - Przewróciła się.

Jason się roześmiał. Obszedł bar i zmierzwił chłopcu włosy, potem wyciągnął dwie półlitrowe szklanki. Do pierwszej nalał coli, do drugiej budweisera. Piwo chlusnęło czyste i chłodne jak wspomnienie jeziora, w którym pływał.

- Wiesz co - powiedział i podał Billy'emu napój - nie sypnę cię, jeśli ty nie sypniesz mnie. Stoi?

- Stoi.

Przypieczętowali znowę stuknięciem szklanek i Jason upił długi, ogromny łyk. Pierwszy łyk pierwszego piwa był zawsze najlepszy, przynosił głęboki i satysfakcjonujący dreszcz odprężenia. Budweiser nie należał do jego ulubionych, ale zimny browar to zimny browar.

Pomógł Billy'emu posprzątać, ręką zbierając duże odłamki szklanki, potem resztę zamiatając na metalową śmietniczkę. Jego bratanek skakał dokoła jak kot z palącym się ogonem i Jason zaczął się nawet zastanawiać, czy kolejna cola była naprawdę dobrym pomysłem.

Ale myślał głównie o Koziej Bródce, jego dłoni trzymającej pewnie broń, wyrazie oczu, kiedy powiedział, że chce pogadać o Michaelu.

Szybko wychylił dwa budweisery i nalał sobie trzeciego. Zostawił na barze, żeby się ustał, i sam poszedł do magazynu. Ciemne wnętrze śmierdziało zwiędzłym piwem i wilgotnym kartonem. Właśnie odwiesił szufelkę i szczotkę na stojak, kiedy usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi.

Wyszedł z zaplecza z rękoma w gotowości, czujny.

Michael zamarł jak więzień w świetle reflektora. Nerwowo krążył oczyma.

- Jason. Jezu. - Miał na sobie spodnie khaki i koszulę z grubej bawełny, a w rękę aktówkę z miękkiej skóry. Z roztargnieniem bębnił palcami o jej rączkę. - Napędziłeś mi stracha.

- To dzisiaj danie dnia. - Jason minął brata, zamknął drzwi na klamkę, potem przekręcił klucz. - Muszę z tobą pogadać.

- Jasne. Jasne. Niech no tylko... - Michael uniósł aktówkę, potem szybko ją opuścił. - Cześć, szkrabie. Wszystko dobrze?

- Cześć, tato. - Chłopiec pomachał, potem wrócił do rozwiązywania krzyżówki.

- Gdzie jest Laretta?

- Miała coś do załatwienia.

- Aa, taa, racja. - Michael skrzywił się i zerknął na zegarek. - Mówiła. Chyba mi trochę zeszło. - Wszedł za bar, otworzył szafkę i włożył do środka portfel i kluczyki. Uniósł aktówkę, zaczął też ją tam wsuwać, ale się rozmyślił. Rozejrzał się, postawił walizeczkę u swoich stóp, obok chłodziarki. - Piwko?

Jason pokazał na to, które pił, potem wysunął stołek i usiadł naprzeciwko kufla.

- Gdzie byłeś?

- Miałem kilka spraw do załatwienia. Nic ciekawego. - Podsunął półlitrowy kufel pod kurek. Kiedy naczynie się nappełniło, postawił je na barze, podniósł aktówkę, zmarszczył brwi, obrócił się i oparł ją o tył baru. - Zdrowie.

Stuknęli się kuflami.

- No więc, czemu zawdzięczam tę przyjemność? Jason zerknął na Billy'ego, potem przeniósł wzrok na

Michaela. Kiwnął nieznacznie głową. Michael zrozumiał.

- Ej, krasnalu, wujek i ja mamy kilka spraw do omówienia. Mógłbyś dokończyć krzyżówkę tam?

Billy westchnął.

- Mam osiem lat.

- Zgoda, ale wiesz co? Kiedy będziesz miał dziewięć, ja nadal będę chciał czasami pogadać w cztery oczy, bez towarzystwa. - Michael się uśmiechnął, potem wskazał kciukiem na stoliki. - Jazda.

Burcząc pod nosem, chłopiec zabrał gazetę, ześlizgnął się ze stołka i usiadł przed oknem. Snop popołudniowego światła sprawił, że płachta pisma stanęła w słonecznej łunie.

- No to, brat, co jest grane?

- Właśnie miałem ciebie o to zapytać.

- Że co?

- Masz kłopoty?

- Kłopoty? - Michael pociągnął łyk piwa. - No, nie zgarnąłem jeszcze szóstki w totka, ale poza tym wszystko gra.

- Na pewno?

- Jasne. Czemu pytasz?

- Jakiś gość usiłował mnie porwać dziś rano - powiedział Jason i niespiesznie upił piwa. - Biegałem, a facet z kozią bródką i naszyjnikiem z logo cadillaca napadł na mnie w przejściu dla pieszych. Mówił, że to ma coś wspólnego z tobą.

- Naszyjnik z logo cadillaca? Na ramieniu tatuaż, z literami?

Jason poczuł, jak sztywnieją mu plecy.

- Żartujesz sobie.

- Co?

- To nie była pomyłka. Nie wziął mnie za kogoś innego. Ty go znasz.

- Znam. -Co za jeden?

Michael wzruszył ramionami. Jason gapił się na niego z niedowierzaniem.

- W co się wpakowałeś?

- Zgrywasz Jimmy Cagneya? W co „się wpakowałeś”? Do jasnej anielki, braciszku.

- Wal się.

Michael się roześmiał. Zerknął na aktówkę, podniósł ją, potem postawił z powrotem przed nogami. Podniszczoną ścierką zaczął pucować bar.

- Słuchaj, nie ma się czym przejmować.

- Jasne, to nie w ciebie mierzono z pistoletu. Ścierka znieruchomiła.

- Wyciągnął broń? Jason skinął głową.

- Mówił, że chce pogadać o tym, co robisz.

Na chwilę w oczach brata błysnęło coś, co można by wziąć za strach. Zniknęło tak szybko, jak się pojawiło i Mi-



chael wrócił do wycierania baru. Ale wycierał w kółko to samo miejsce.

- Co jeszcze mówił?

- Niewiele. - Jason opadł na oparcie. - Razem ze swoim kumplem, kurdupłowatym mięśniakiem, usiłowali mnie wepchnąć do swojego samochodu. - Opowiedział Michaelowi dokładnie, co zaszło, z przyjemnością, jaką kiedyś dawało mu snucie opowieści wojennych. - Żałuj, bracie, że tego nie widziałeś. Jak tam stali wściekli, jakby chcieli zamordować mnie wzrokiem. Kurdupel ma złamany nos, a Kozia Bródka wyglądał, jakby głowa miała mu zaraz eksplodować.

- Wezwałeś gliny?

- Ee-ee. Po bohaterskiej ucieczce uznałem, że rozsądniej będzie sprawdzić, czy mój brat nie potrzebuje ochrony.

Michael się uśmiechnął.

- Następnym razem, jak usłyszę tę historię, napastników będzie już czterech, co?

- Tylko jeśli publiczność będzie ładniejsza od ciebie. Może mi wreszcie powiesz, co jest grane?

Michael wzruszył ramionami.

- Znasz dzielnicę.

- Niezupełnie. Już nie. - Kiedy tata stracił pracę, przeprowadzili się z Bridgeport do Canaryville, kiedy zaczął pić od rana, z Canaryville do Crenwood. Kiedy zwiął z kelnerką z kasyna, mama wzięła trzeci etat, ale nigdy nie zarabiała tyle, by odzyskali utracony status. Dla białego chłopaka było to ciekawe doświadczenie: dorastanie w dzielnicy czarnych i Latynosów, gdzie odsetek uczniów porzucających szkołę sięgał pięćdziesięciu.

- Sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli - powiedział Michael. - Pamiętasz, kiedyś sięto jakoś układało: gangi wyznaczały granice i z reguły ich nie przekraczały. Więcej w tym wszystkim było pozy niż zabijania. - Pokręcił głową. - Teraz jednak, jeśli ktoś zginie w poniedziałek, we wtorek jego kumple jeżdżą po okolicy, dopóki nie ubiją kogoś z drugiej strony. W środę jest na odwrót.

-No i?

- No i ja tu mieszkam, człowieku. Usiłuję tu wychowywać syna. Teraz nie mogę mu nawet pozwolić pobawić się na podwórku przed domem.

Jason jęknął.

- Kapuję. -Co?

- Znowu to robisz, prawda?

- Niby co?

- Prowadzisz jakąś krucjatę.

- Zaangażowałem się. - Michael wzruszył ramionami. - Po śmierci Lisy.

Jason złagodził ton.

- To był wypadek. To co innego.

- Na pewno? Moją żonę zabił trzynastolatek w skradzionym samochodzie. Uciekał przed policją. Wygląda ci to na bezpieczną dzielnicę? A z dnia na dzień robi się coraz gorzej. Dlaczego zwykli ludzie mają patrzeć na to bez słowa i siedzieć z założonymi rękoma?

- Ponieważ... - Jason rozłożył ręce, waząc między nimi wszystkie oczywiste powody. - Ci goście są niebezpieczni, na litość boską. - Usłyszał za plecami niewyraźne rytmiczne dudnienie. Odwrócił się i popatrzył nad ramieniem Billy'ego na ulicę, po której przejechał błyszczący kabriolet z czwórką pasażerów w środku i muzyką ciągnącą się za nim jak smuga smrodu. - Co dokładnie robisz?

Michael wzruszył ramionami.

- Wszystko, co mogę. Współpracuję z Washingtonem Matthewsem przy jego projekcie centrum wsparcia młodzieży wychodzącej z gangów. Rozmawiam z miejscowymi przedsiębiorcami. Organizuję straż obywatelską. Spotkałem się nawet z policją, choć to akurat nic nie dało.

- Rozmawiałeś z glinami?

- Jasne.

- Chcesz powiedzieć, że doniosłeś na któryś z gangów?

- Nie bądź taki melodramatyczny. Po prostu gadałem z policją.

Jason patrzył na brata z otwartymi ustami. Dorastając tutaj, człowiek czegoś się uczył. Policja była w porządku. Broniła prawdziwych ludzi, tych, którzy pracowali, wychowywali dzieci, dbali o domy. Kiedy jakiś Bogu ducha winny dzieciak ginął za parę butów, zwała się ławą. Ale prędzej czy później się zabierała.

Gangi tu żyły. Były wieczne.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie wiem. - Michael sączył piwo, wyglądając przez okno. - Nie chciałem cię martwić. Wiem przecież, że masz swój własny zgryz. Przeżyłeś swoje... tam.

- Możesz to powiedzieć: w Iraku.

- Dobra, twardzielu, w Iraku. Dostałeś nieźle w kość. Poza tym - Michael wzruszył ramionami - jasno dałeś do zrozumienia, jaki masz stosunek do odpowiedzialności. - Rzucił to tonem starszego brata, zarezerwowanym dla Jasona, jakby ten był psiakiem, który mógł się zsikać na dywan.

- To znaczy?

- Nieważne.

- Nie - Jason postawił kufel. - Co chcesz powiedzieć? Michael westchnął.

- Bracie, z nas dwóch to ty zawsze miałeś głowę na karku. Mogłeś coś osiągnąć. Zapuścić korzenie. Walczyć o coś.

- Jak ty? - Czuł, jak w piersiach wzbiera mu gniew. - Zgrywać Charlesa Bronsona?

- Ciszej - Michael wskazał głową na Billy'ego. Jason ściszył głos.

- O, właśnie, jeszcze jedno. Nie chodzi tylko o ciebie. Jego także narażasz. Wiesz, co robisz?

Głos Michaela stwardniał.

- Staram się zapewnić mu lepsze dzieciństwo.

- Gówno prawda. - Jason potrząsnął głową. - Ja już raz usiłowałem zbawić świat, i co? To nie działa. - Przywra zamotała kolejny węzeł na żebrach. Popatrzył na swoje ręce, bruzdy żłobiące skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Niemal widział pulsującą tam krew.

- Bracie - powiedział Michael cicho. - Wiem, że coś się stało, i wiem, że winisz za to siebie, cokolwiek to było. Ale teraz jest inaczej.

- Gówno wiesz, bracie.

Michael przebiegł językiem po wnętrzu ust, wydymając policzek. Patrzył na Jasona.

- Wiem, że mogłeś jako pierwszy w rodzinie skończyć studia, dopóki nie zaprzepaściłeś stypendium. Wiem, że twój najdłuższy związek przetrwał trzy miesiące i że zapuszkowa-li cię za kradzież telewizorów, kiedy miałeś dwadzieścia lat. - Michael prychnął. - Wiem, że gdyby nie Washington, kiblowałbyś jak amen w pacierzu.

- Szцениackie wygłupy. W dodatku kurewsko zamierzchłe dzieje.

- Szцениackie wygłupy? Nie zmieniłeś się.

- Siedem lat byłem w wojsku - syknął Jason. Michael wzruszył ramionami.

- Jasne.

- Co masz na myśli?

- Mniejsza.

- Nie - rzucił Jason, czując pot na dłoniach. - Co to znaczy?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? To znaczy, że masz dwadzieścia siedem lat i kwalifikacje tylko do przerzucania burgerów albo noszenia karabinu szturmowego. To znaczy, że chcesz o coś walczyć, tyle że nie dość mocno, żeby postanowić, o co albo trzymać się tego. Myślę, że zaciągnąłeś się właśnie po to, żeby cię w tym wyręczyli. A kiedy to też diabli wzięli, wróciłeś do jedynej rzeczy, w której

jesteś dobry. Do picia w południe i rozglądania się, co by tu przelecieć.

Jason podniósł się, stółek zaszurał po podłodze.

- Pierdol się, człowieku.

- Sam się pierdol.

Podnieśli głos i Jason zobaczył, że Billy z otwartymi ustami patrzy na nich znad frontowego stolika. Miał wyrzuty, że bratanek widzi ich w takiej sytuacji, ale to nie była jego wina. Stara współzależność: Michael przyciska ten sam guzik co zwykle, a Jason w konsekwencji wybucha Kręcąc głową, odsunął stółek biodrem i ruszył do frontowych drzwi Słyszał, jak Michael wzdycha za jego plecami, i wiedział, że jeśli powstałby tu trzy sekundy dłużej, brat by przeprosił, ale nie potrafił.

Zabrzęczał dzwoneczek na drzwiach i słońce uderzyło go w twarz, jakby ktoś wymierzył mu policzek. Kopnął kawałek potłuczonego szkła, aż poleciało i rozbiło się o ogrodzenie spalonego magazynu. Auto stało zaparkowane dwoma kołami na krawężniku, tak bardzo się spieszył, żeby sprawdzić czy Michaelowi nic nie grozi.

Bracia. Cholera.

Odpalił silnik i uruchomił radio, potem wcisnął ostro gaz. Musiał wziąć prysznic. A później strzelić sobie drinka Kilka drinków.

Michael ma go za świra? Dobrze.

Jason się dostosuje.

## Boska single malt

Podczas prohibicji knajpa pełniła rolę mety. Agentka nieruchomości, która sprzedała Michaelowi pub, znała całą historię i opowiedziała mu o ukrytych zakamarkach, sejfie schowanym za grzejnikiem. Wąskie schody do piwnicy określiła mianem „marynarskich” i nazwa pasowała: strome metalowe stopnie były jak żywcem wyjęte z ciasnego okrętu wojennego. Stojąc i patrząc do góry przez wiekowy właz, Michael niemal czuł, jak piwnica kołysze się na falach.

- No, zbieraj się - zawołał. - Pora iść.

- Sekundkę - Billy zatonął w stercie kartonowych pudeł. W powietrzu unosił się zapach kurzu i czasu, woń rupieci ustawionych pod kruszejącymi ścianami: pianino z klawiszami poślizniętymi jak palce palacza, kanapa z przetartymi poduszkami, jego własne rzeczy przemieszane z pozostałościami gratów dziesiątków poprzednich właścicieli. Zamierzał któregoś dnia wszystko to przejrzeć, ustalić, co warto komuś oddać, co trzeba wyrzucić. Na razie piwnica była ulubionym pomieszczeniem Billy'ego. Co takiego mają w sobie ciemne miejsca pełne rdzewiejącego szmelcu, że tak fascynują chłopców?

- Chodź, szkrabie. - Za niecałą godzinę będzie musiał otworzyć pub. Zważywszy na zawartość aktówki, wydawało się niedorzeczne, że resztę dnia spędzi, nalewając piwo z whi-

sky pracownikom komunalnym i robotnikom budowlanym, ale przynajmniej zadba o interes. Musi tylko jakoś dotrzeć do końca dnia, a jutro będzie mógł uporać się z prawdziwą robotą. - No już.

Pojawił się rozpromieniony Billy. Trzymał coś w ręku.

- Tylko spójrz, tato! Należał do ciebie? - Uniósł pistolet laserowy.

Michael zmrużył oczy i rozpoznał transformera, zabawkowego robota, złożonego w fioletowy pistolet.

- Popatrz, popatrz. - Sięgnął po zabawkę. Plastik wydawał się dziwnie znajomy w dotyku, krzepiący, jakby podświadomie Michael od dawna pragnął znowu go poczuć. - Kiedyś go uwielbiałem. - Odwrócił zabawkę. - Zobacz, nawet wyciąłem na nim swoje imię.

- Jest przekreślone.

- Wiem. Wujek Jason wygrał go ode mnie w zakładzie.

- O co się założyliście?

Michael pamiętał doskonale, ale nie zamierzał podsuwać synowi pomysłu biegania po torach kolejki szybkiej, więc tylko pokręcił głową i oddał mu zabawkę. Billy przyglądał się jej, jakby znajdowała się na niej wiadomość napisana atramentem sympatycznym.

- Tato? -Tak?

- Co jest wujkowi Jasonowi? Pytanie osadziło Michaela w miejscu.

- Co masz na myśli?

- Zachowuje się inaczej, niż gdy wcześniej nas odwiedzał. Jest smutny i częściej się kłóćcie.

Michael otworzył usta, potem je zamknął. Prawda wyglądała tak, że nie miał pojęcia, co jest jego bratu. Pierwszy tydzień po powrocie mieszkał z nimi, śpiąc na kanapie, wypijając skrzynkę piwa niemal co dzień i niemal co wieczór sprowadzając inną dziewczynę. Kiedy Michael coś o tym na-

pomknął, Jason zapewnił, że nic się nie dzieje. W następnym tygodniu się wyprowadził.

Michael popatrzył na czekającego na odpowiedź Butyego o oczach tak samo brązowych jak oczy jego matki. Najlepszym wyjściem była prawda. Nie potrafiłby skłamać tym oczom.

- Wiesz, że wujek był żołnierzem.

- Mhm.

- Cóż, zdarza się, że na wojnie żołnierze odnoszą rany. Mają obrażenia. Czasami na zewnątrz, widoczne, gdy na przykład...

- Ktoś ich postrzeli?

- Właśnie. Ale czasem to nie jest takie proste. Czasem rana jest w środku, niewidoczna. - Urwał. - Tak jakby się rozchorowali.

- I to się stało wujkowi Jasonowi?

- Tak. Rozchorował się, więc odesłano go do domu. - Wyjaśnienie może nie idealne, ale niezłe.

- Wyzdrowieje?

- Oczywiście. - Michael uśmiechnął się czule i położył dłonie na ramionach chłopca. - Oczywiście, że tak. Ale to może chwilę potrwać, a my musimy go wspierać.

Billy skinął głową w zamyśleniu.

- Okay.

- Okay. A teraz - Michael wskazał na schody - może wreszcie byśmy stąd wyszli?

- Mogę to sobie wziąć? - Billy uniósł transformera.

- Mój drogi, możesz to zatrzymać.

Wyszli z powrotem na świat. Billy natychmiast usiadł przy porysowanym biurku w „swoim” kąciku zaplecza i zaczął bawić się transformerem, sprawdzając, czy zabawka się zgina i które części się obracają, żeby przekształcić ją z powrotem w robota. Michael przyglądał się chłopcu z dobrze znanym uczuciem naporu w piersi, z sercem wezbranym krwią i dumą. „Mój syn”, przeszło mu przez głowę i ta myśl zdawała się, jak



zwykle, nowa i stara zarazem, przemożna świadomość, która spływała na człowieka, w chwili gdy zaobserwował wilgotno-uste przejście ośmioletniego chłopca.

Dziwne. Zabawka należała najpierw do Michaela, potem do Jasona, a teraz do Billy'ego. Ot, trochę plastiku i metalu, a wszystkich ich łączyła, wiązała terażniejszość z przeszłością. Złapał się na tym, że wspomina inną wyprawę do piwnicy, lata temu, gdy razem z Jasonem porządkowali pomieszczenie, ta-chając po wąskich schodkach całą masę śliskich od potu gratów. Kiedy skończyli, opadli na składane krzeselka. Michael otworzył sejf i wyciągnął butelkę Black Label, którą tam za-chomikował. Nadal pamiętał uśmiech na twarzy brata.

Sam też się teraz uśmiechnął, zmierzwił synowi włosy i zostawił go zajętego rozpracowywaniem zabawki. Wrócił za bar, dokończył zmywanie i sprawdził zapas Beama i Jacka. Potem jego wzrok znowu spoczął na rzędach alkoholi, w tym zakurzonej butelce Balvenie, którą zauważył już wcześniej.

Tam, do diabła... Korek odskoczył z trzaskiem. Kiedy trzymał butelkę pod nosem, miał wrażenie, że rozpływa się w rzece ciepłego karmelu. Nalał na dwa palce, wziął kolejny głęboki wdech i wypił z zamkniętymi oczyma.

Cholera. Też mi cel aspiracji.

Tej myśli towarzyszyło ukłucie winy. Znowu powiedział wszystko nie tak. Psiakrew, o mały włos nazwałby brata tchórzem. Westchnął, sięgnął po telefon. Jeśli udałoby mu się sprowadzić tu Jasona z powrotem, mógłby przeprosić przy szklaneczce boskiej single malt, spróbować jeszcze raz. Wystukał kilka pierwszych cyfr, kiedy rozbrzęczał się dzwonek na frontowych drzwiach. Światło popołudnia ob-ramowywało sylwetkę dużego łysiejącego mężczyzny, za nim stał drugi.

- Przepraszam - rzeki Michael, odkładając słuchawkę. - Jeszcze nie otwieramy.

Mężczyźni weszli do środka i zamknęli drzwi.

- Powiedziałem, że jeszcze... - Ale kiedy drzwi zasłoniły padający z zewnątrz blask, Michael Palmer zobaczył, kto wszedł do jego pubu. Szklaneczka whisky wyslizgnęła mu się z dłoni, wirując z błyskiem, zniknęła w cieniu i się roztrzaskała.

## 5

### Najostrzejsze porno na świecie

Dziewczyna już była na nogach, krzątając się wkuchni. Jason czuł jeszcze zapach jej perfum na poduszce, owocowy i mocny. Ale ładny. Głowa bolała go trochę od resztek wczorajszego burbona i rozważał chwilę, czyby nie przekręcić się na drugi bok i nie zafundować sobie jeszcze godzinki snu.

Ale pościel była ciepła i zapocona, po pokoju latała tłusta mucha, bzyząc i uskakując między łopatomy wentylatora na suficie. Mógł zapomnieć o spaniu. Dźwignął się do pozycji siedzącej, oparł o gołą ścianę i patrzył, jak dziewczyna robi kawę w aneksie kuchennym.

W porannym świetle nadal wyglądała dobrze. Miała smukłe, jędrne ciało, chłopięcą fryzurę. Falisty quasi-plemienny tatuaż, który zniknął pod doskonale opiętymi bladoniebieskimi figami. Otworzyła jedną szafkę, potem drugą, szukając ze spokojną efektywnością.

Miała na imię... Jackie. Tak.

- Filtry są w szufladzie. - Potarł podbródek, skórę miał lepka i obrzmiała.

- Obudziłeś się. - Odwróciła się z uśmiechem.

- Tak. - Odrzucił kołdrę i przesunął się na brzeg łóżka. Twarde drewno było przyjemnie chłodne w dotyku. Kiedy zaczął się podnosić, poczuł ból w brzuchu. Na skórze widniał

fioletowo-żółty siniak, pamiątka po pierścieniach zapaśnika. Skrzywił się, ale zaraz uśmiechnął na wspomnienie pędu powietrza, który czuł, gdy skakał z parkingu. Trzymając się jedną ręką za brzuch, drugą opierając o łóżko, wstał i wyjrzał przez okno. „Dzień dobry, świecie”.

Clark and Division. Cholernie cudaczne miejsce do mieszkania. Na północy Lincoln Park z tym całym swoim dobrobytem: tonącymi w zieleni drzew chodnikami, małymi pieskami poszczekującymi w obramowanych piaskowcem oknach, ulicami bezpiecznymi o trzeciej nad ranem. A na południe the Loop\*, najeżone drapaczami chmur, w których mieszkańcy Lincoln Park zarabiali na swoją niebotyczną stopę życiową. I nagle, dokładnie między nimi, jego zakątek. Jeden kwartał getta, wykrojony na tym nieskazitelnym Żółtym Wybrzeżu\*\* dzięki linii autobusowej 70 łączącej Red Line z Cabrini Green. Nigdy nie zasypiał. Dwadzieścia cztery godziny na dobę przy kantorze i barze kanapkowym wystawali jacyś kolesie, klóciły się dziwki. Czasami słyszał w samym środku nocy, jak się darły tak, jak potrafią się drzeć tylko wkurzone czarne kobiety. Ale kawalerka była tania, czynsz płatny co miesiąc, bez zadatku i tylko to miało znaczenie.

Woń kawy wyrwała go z zamyślenia. Dziewczyna znalazła dwa kubki i ostrożnie nalewała napój. Jason nigdy nie wiedział, jak się zachować rano po nocy spędzonej z przypadkową panną, teraz też nie miał pojęcia, czy powinien ją przytulić i pocałować, jakby byli prawdziwą parą. Patrzyła pewnie niebieskimi oczyma, ale nie wykonała żadnego ruchu. Zdecydował się po prostu na uściśnięcie jej ramienia, kiedy brał kubek. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, wysunęła krzesło z za stołu i usiadła.

\* The Loop albo Chicago Loop — nazwa śródmieścia Chicago, centrum biznesowego.

\*\* Gold Coast — najzamożniejsza dzielnica Chicago.

- Wypiję jedną przed wyjściem.
- Nie spiesz się. - Kawa, mocna i gorzka, smakowała wspaniale.

Dziewczyna uśmiechnęła się ponownie i rozejrzała po kuchni, jakby szukając tematu do rozmowy. Nie było tego wiele - spiżarnia z harmonijkowymi drzwiami, kilka naczyń w zlewie, butelka Jim Beama na blacie, zegar analogowy na ścianie. Wreszcie oględziny dobiegły końca: jej wzrok zatoczył pełne koło i ponownie spoczął na jego twarzy. Zawahała się, potem powiedziała:

- Naprawdę byłeś w Iraku?
- Pierwsza Brygada, dwudziesta piąta Dywizja Piechoty.
- Mogę o coś spytać?
- Jasne - powiedział, ale westchnął w duchu.

- Jak... - urwała i popatrzyła na kubek. - Jak tam jest? - Kiedy podniosła na niego oczy, dostrzegł w nich coś na kształt żądy. Poznał to spojrzenie, widywał je na okrągło. Gdy tylko ludzie się dowiadywali, jakby spadała zasłona. Górę brała ich ciemna strona, zmieniali się, zlaknieni wiedzy, jak to jest, gdy ktoś odważa kite, łąsi na łatwą podniecie. Na straszne, smakowite historie. Najostrzejsze porno na świecie.

- Gorąco - powiedział, potem wstał i otworzył lodówkę. Jakieś niedojedzone tajskie żarcie. Kiedy je kupił? Otworzył pudełko i powąchał. Wydawało się w porządku, choć nie miał pojęcia, czym różni się zapach zepsutego curry od zdatnego do spożycia. Znalazł torbę z serwetką, pałeczkami i sosem sojowym. Oddzielił pałeczki, potarł nimi o siebie nawzajem i nabrał kęs makaronu. Smakował jadalnie.

- Tylko tyle? - spytała, odwracając się, żeby na niego spojrzeć. - Gorąco?

Wzruszył ramionami.

- Głośno.
- Nie masz ochoty o tym rozmawiać?

- Chcesz trochę? - Wyciągnął w jej stronę pudełko. Patrzyła na niego bez słowa i westchnął. - Posłuchaj, gorąco i głośno. Byłem tam, teraz jestem tutaj.

- W porządku - rzuciła.

Rozmawiali o niczym, dopijając kawę. Po jakichś dwudziestu minutach spojrzała ostentacyjnie na zegar. Uśmiechnął się, żeby zasygnalizować, że nie ma sprawy, nie spieszy mu się. Pozmywał kubki, potem oparł się o blat, żeby na nią popatrzeć. Obserwowanie ubierającej się kobiety było na ogół niemal równie podniecające, co przyglądanie się jej w odwrotnej sytuacji. Skrzywiła się, widząc oczko w pończochach, zdecydowała się obejść bez nich. Przykryła niebieskie majtki czarną spódnicą i wciągnęła dopasowaną koszulkę, która ściśle otuliła jej tułów.

- Słuchaj - powiedziała, podchodząc do niego. - Co do tego pytania...

- Nie przejmuj się.

- Byłam po prostu ciekawa. Nie chciałam dotknąć czulej struny ani w ogóle.

Pokręcił głową.

- Nic się nie stało.

- Okay. - Ujęła jeden z jego palców, bawiła się nim w roztargnieniu, ze spuszczonego wzrokiem. Przez chwilę wyglądała jak mała dziewczynka. Potem się wyprostowała i rzuciła: - No to cześć.

- Nie zostawisz swojego numeru? Uśmiechnęła się.

-A jest po co?

Roześmiał się i przez chwilę chciał powiedzieć: „A niech to, jest”. Była seksowna, bystra i opanowana, i powinien uważać się za szczęściarza, że trafia mu się taka szansa.

Potem pomyślał, jak to się skończy. Jak to się zawsze kończyło.

Zauważyła jego wahanie, potrząsnęła głową.

- Nie ma sprawy. Miło było cię poznać. - Otworzyła drzwi i wyszła, pomachawszy mu nieznacznie palcami na do widzenia. Przez cienkie ściany słyszał stukot jej obcasów, gdy odchodziła korytarzem.

- Cholera. - Zgarnął pudełko z kluskami ze stołu i wrzucił je do kosza.

Posłał łóżko, naciągając mocno prześcieradło i podwijając rogi pościeli. Gotowe na inspekcję. Potem się przeciągnął i opadł na podłogę na codzienną porcję pompek. Zwykle robił sto z dłońmi pod tułowiem, a potem pięćdziesiąt z szeroko rozstawionymi ramionami. Ale pomyślał o Jackie, o tym jak zrejterował, i zmusił się do wykonania po pięćdziesiąt dodatkowych z każdego rodzaju, pod rząd. Kończył z urywanym oddechem, obolałymi ramionami i piersią. Gęsta grzywka, którą zapuścił od powrotu, lepiła mu się do czoła.

Wstał i jego wzrok padł na telefon komórkowy. Rozważał, czyby nie zadzwonić do brata, przeprosić, że się uniósł. Michael bywał czasami prawdziwym dupkiem, ale rodzina to rodzina.

Jednak tylko poszedł do łazienki, by zmyć pod prysznicem swój pot i zapach perfum dziewczyny.

Chromowana obudowa beretty błyszczała, ale mechanizm był brudny. Skoro Kozia Bródka nie wiedział, jak trzymać broń, tym bardziej nie mógł mieć pojęcia, jak utrzymać ją w dobrym stanie. Jason wyjął magazynek i położył go na stole, potem sprawdził komorę w poszukiwaniu naboju. Kiedy się upewnił, że jest pusta, zwolnił zacisk i usunął zamek, potem sprężynę powrotną i lufę. Każdą część położył na kuchennym stole, z przyjemnością poddając się dawnej rutynie. Konserwacja broni była prostym, metodycznym procesem. Czymś, co można robić, nie angażując w to myśli, w ten sam bezwiedny sposób, w jaki niektórzy malują modele albo robią swetry na drutach. Doskonałym sposobem na zrelaksowanie umysłu.

I dobrze było znowu trzymać w rękach broń. Całe lata non stop miał jakąś na wyciągnięcie ramienia, a potem, nagle jej pozbawiony, czuł się nagi. Co było głupie, bo tak naprawdę przestał potrzebować pistoletu z chwilą, gdy wyszedł z Wojskowej Komisji ds. Zwolnień. Na tę myśl zacisnął żęby.

Dość, pomyślał i zdmuchnął drobinę kurzu. Dobra, ten rozdział jego życia jest już zamknięty. Źle się skończył. I co z tego? Ludzie żyją dalej. Wybaczają sobie, zaczynają od nowa. Jakoś potrafią znowu być szczęśliwi. Co rusz takie rzeczy się zdarzają. Czyż nie?

Przetarł jeszcze raz ściereczką lufę, potem umieścił ją z powrotem na miejscu, docisnął sprężynę. Wsunął zamek, wsadził magazynek.

Nic dziwnego, że wyobrażał sobie swoją winę pod postacią przywry, która ostrymi jak brzytwa zębami wolno go pożerała, kawałek po kawałku. Czy kiedyś zdechnie?

A może będzie się pasła, aż nic nie zostanie?

Podniósł berettę i odwrócił. Przystawił prosto do twarzy, w miejsce między oczami. Poczował dreszcz w udach. Tak mało by trzeba. Tylko nieznaczny ruch kciuka. Krótki taniec mięśni, wybuch ognia w mózgu i po wszystkim. Żadnej Przywry, żadnych wspomnień. Tylko ciemność chłodna jak wnętrze lufy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Dźwięk wyrwał go z transu. Nie przypominał sobie, żeby przez dwa miesiące, odkąd tu mieszkał, ktoś się do niego dobijał. W połowie drogi do drzwi uświadomił sobie, że nadal trzyma berettę w dłoni.

Co się z nim porobiło? Zamienia się w sfiksowanego Unabombera? Snującego się samotnie z kąta w kąt i czyszczącego broń?

Ktoś znowu zastukał.

- Chwileczkę. - Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby schować pistolet, ale nie cierpiał na nadmiar



mebli. Skrzywił się, zasunął bezpiecznik i wsadził berettę za spodnie niczym jakiś gangster z filmów Tarantina. Podeszedł i wyjrzał przez judasz. Nic, tylko sąsiednie drzwi.

I wtedy usłyszał coś, od czego zamarło mu serce.

- Wujku Jasonie?

## Dzień jak co dzień

Martwy chłopak nie chciał się zamknąć.

Póki co funkcjonariuszka Elena Cruz miała wszawy dzień i zero nadziei na jakąś poprawę. Spora część nocy upłynęła jej na próbach ignorowania dudnienia muzyki z klubu na dole. Zanim radio się włączyło, budząc ją najświeższą listą ofiar z Iraku, doniesieniem o zamachu bombowym w jakimś meczecie i monotonną prezydencką obietnicą wytrwania, złapała zaledwie trzy godzinki snu. Miętowa nicorette smakowała lepiej niż zwykle, ale nie mogła się równać z pierwszym szta-chem pierwszej fajki rano.

A teraz jeszcze ten martwy chłopak.

Gadatliwi doprowadzali Cruz do szaleństwa. Na filmach ofiary wymawiały zduszonym głosem kluczową wskazówkę, wykrztuszały z trudem jakieś nazwisko. Potem jeszcze wykasły-wały dwie kropelki krwi i grzecznie wywracały oczy do góry.

Lata, które Cruz spędziła na ulicy, nie potwierdzały tego obrazu. Zwłaszcza gadatliwi palili się do tego, żeby dać wyraz swojej miłości do matki, bez końca gędzili o tym, jak to ją kochają. Jeszcze dwadzieścia minut temu nie usłyszałyby słowa o matce tego chłopaka. Uraczyłyby ją zimnym spojrzeniem i pozą chojraka. Wzrokiem utkwionym w jej kroczu, może oblizaniem ust.

Żeby zrobił się z niego porządny obywatel i dobry syn, wystarczyło tylko go zabić.

Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, że jest martwy. Ale Cruz wiedziała swoje. Po pięciu latach spędzonych na patrolowaniu South Side, kolejnych trzech na wyważaniu drzwi w brygadzie antyterrorystycznej i osiemnastu miesiącach w Biurze Wywiadu Kryminalnego ds. Gangów nabrała wprawy w odczytywaniu wyrazu twarzy pracowników pogotowia. Tu wezwano ich do postrzału, ale Cruz szła o zakład, że za dziesięć minut przypadek awansuje do miana właściwego zabójstwa.

- Słyszysz mnie? - Pochyliła się nad chłopcem. Sądząc po krostach, którymi była usiana jego twarz, miał góra siedemnaście lat. Powtórzyła pytanie po hiszpańsku i w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- *Como te llama?*

- Teo. - Głos był słaby.

Nie żaden Six-Pack, Choco ani T-Dog czy jak tam brzmiała jego uliczna ksywka. Teraz, kiedy było już po ptakach, miał na imię Teo. Zrywałaby boki, gdyby tylko było z czego.

- Teo, jestem tu, żeby pomóc. - Zabarwiła swój hiszpański silniejszym akcentem, sygnalizując, że płynie w nich ta sama krew. - Kto to zrobił?

Popatrzył na nią.

- Gdzie jest moja matka?

- Przyjedzie do ciebie do szpitala. Teraz musisz mi powiedzieć, co się stało.

Pokręcił głową i zakaszłał. Krew, o wiele więcej niż dwie krople, zbrzygała mu wargi, pozostawiając silny zapach miedzi.

- Proszę pani... - Ratownik był młody, szybko przebierał rękoma przy pasach wózka z noszami. - Musimy jechać.

Skinęła głową i odeszła na bok, przyglądając się miejscu zdarzenia.

Typowe osiedle w Crenwood. Rzędy zapadających się dwumieszkańczych domów poprzątkanych ceglanymi pawilonami, z metalowymi prętami na drzwiach wejściowych, w charakterze zabezpieczeń przeciwwłamaniowych. Szydł podstawówki na rogu głośił „Wierz i osiągnij”. Ludzie zebrali się na werandach i gankach, ciesząc się widowiskiem. Dzień jak co dzień w Wood.

- Wiesz co myślę? Samobójstwo, jak w mordę strzelił.

- Sierżant Tom Galway przeczesał palcami gładkie szpakowate włosy. - Zgaduję, że naszego chłopca dręczyły nierówności spowodowane rozgrywkami geopolitycznymi, i tak go to przygnębiło, że wziął i się postrzelił. W plecy. Cztery razy.

Popatrzyła na partnera, przewracając oczyma.

- Rozgrywki geopolityczne?

- Usłyszałem to rano w radio. - Popatrzył przez ramię.

- Upss.

- Co? - Spojrzała, zobaczyła zbliżającego się do nich detektywa odpowiedzialnego za miejsce zbrodni. - Cholera.

- Spokojnie, partnerze. - Galway położył jej dłoń na ramieniu. - Nie zaczynaj.

- Że niby ja?

Galway posłał jej spojrzenie, mówiące „tak, ty”. Potem się wyprostował i uśmiechnął.

Śledczy był starym wygą z wielkim bebechem, nadmiarem sadła i wody po goleniu. Obszedł kałużę wodnistych wymiocin Tea, skrzyżował ramiona i popatrzył na nią zimno.

- Nie miałaś przypadkiem zajmować się jakąś bazą danych?

Postanowiła przyjąć to z humorem, udawać, że tylko żartował.

- Chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Co tu się stało?

Wzruszył ramionami.

- Ofiara szła ze swoją dziewczyną, zza rogu wychodzi dzieciak, otwiera ogień. Z dziewięćmilimetrówki. Dziewiętnaście łusek, mały rozrzut, cztery trafienia.

- Cztery na dziewiętnaście? - Galway pokręcił głową.

- Dupa nie strzelec.

Cruz puściła to mimo uszu.

- Dziewiętnaście łusek z jednej broni? Ktoś tu wozi się z uzi.

- Albo MP-5 lub MAC-ii lub Bóg wie czym jeszcze. - Detektyw przeszukał palcem ucho. - Pamiętacie jeszcze te stare dobre czasy, kiedy dzieciaki zabijały się za pomocą noży i kijów bejsbolowych?

- Dziewczyna coś powiedziała? -Nie.

- Sąsiedzi?

- Psy chodzą od drzwi do drzwi. Ale wiecie - pokazał środkowy palec - nikt...

- ...nic nie widział - Cruz dokończyła mantrę. Stara śpiewka. Gdyby Tea kropnięto w Lincoln Park, ze dwadzieścia pięć osób ustawiłoby się do nich w kolejce, żeby podzielić się każdym szczegółem. Ale tutaj wszystkich nękały problemy ze wzrokiem. - Mogę się rozejrzeć?

- A możesz mi obciągnąć?

Oczy jej się rozszerzyły, krew zawrzała.

- Co proszę?

- Powiedziałem - detektyw wykrzywił pogardliwie usta

- żebyś wróciła do zabawy z komputerem i zostawiła dochodzeniową robotę ludziom, którzy zdobyli pracę bez rozkładania nóg.

Ogień oblał jej szyję, wbiła palce w dłoń. Nie myśląc, ruszyła do przodu, zamachnęła się ręką, gotowa przydzwonić temu opasłemu szowiniście.

Galway rzucił się szybko między nich i chwycił ją za ramiona.

- Spokojnie, Elena. Luz! - Detektyw puścił do niej oko nad ramieniem Galwaya. Usiłowała się wyrwać z rąk partnera, świadoma, że ten ma rację, ale mając to gdzieś. Jednak uścisk Galwaya był żelazny. - Już i tak po uszy siedzisz w gównie. - Odsunął ją do tyłu, spojrzał prosto w oczy. - Przywalenie mu nie jest warte utraty pracy.

Miał rację i wiedziała o tym, ale ta świadomość nie pomagała zaakceptować sytuacji. Wyswobodziła ramiona i obróciła się na pięcie. Słyszała, jak detektyw śmieje się za jej plecami, ale tylko wbiła palce w dłoń tak mocno, że drżały jej ramiona. Galway ruszył za nią.

- Sranie w banie zgrai cholernych chłopaczków - powiedziała, idąc do samochodu. - Jeden błąd, tylko jeden i całe dziesięć lat nie ma znaczenia. Jakbym była jakąś awansowaną szparką sekretarką.

Galway westchnął.

- Sama dajesz sobie popalić.

- Mniejsza. - Poklepała kieszeń w poszukiwaniu papierosów, przypomniała sobie, że rzuciła. Przeklęła, rozdarła opakowanie gumy, upuściła papierek na chodnik. - Co za kutas.

- To porównanie - rzucił Galway sucho - jest zniewagą dla kutasa.

Prychnęła i zaczęła szukać kluczyków.

- Słuchaj - powiedział - Nie przejmuj się tak. Przejdzie im.

- Łatwo ci mówić. - Popatrzyła na ulicę, gdzie jakiś odpicowany rzęch pluł basem. - To już prawie rok.

Galway wzruszył ramionami, uśmiechnął się do niej.

- Przejdzie, kiedy ktoś inny zostanie przyłapany na jakiejś głupocie.

Miał rację, jak zawsze. Wzięła głęboki oddech, pokręciła głową i zaśmiała się zdawkowo.

- Tylko zrób coś, żeby ten ktoś szybko dal ciała, dobrze?

- Masz to jak w banku, mała. Jeśli będzie trzeba, sam dam cią. - Galway wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki i wytarł pot z czoła. Złożył ją i popatrzył spod zmrużonych powiek na słońce. - Widziałas dziary Tea?

Skinęła głową.

- Latin Saints. - Gang już od dawna był w stanie wojny z Gangster Disciples, trup siał się gęsto po obu stronach.

- A wiesz, kto nie widział?

Trwało to chwilkę, ale kiedy załapała, uśmiechnęła się.

- Pewien detektyw z nadwagą.

- Mhm. Trudno i darmo. Sprzątnij mu rozwiązanie tej sprawy sprzed nosa. Bardziej go to zaboli niż twój prawy sierpowy.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Mam ochotę pogadać z Disciples. Idziesz ze mną?

- Nie, to twoja sprawa. Ja mam randkę. - Galway poklepał się po brzuchu. - Pizza Pompeii, farfalle z czosnkiem. - Ułożył prawą dłoń na kształt pistoletu i ją zastrzelił.

Służbowy ford śmierdział papierosami. Otworzyła okna i włączyła klimatyzację, gorący powiew smagnał jej twarz. Tak naprawdę powinna wrócić na posterunek i poświęcić kilka kolejnych godzin na wklepywanie danych. To była tylko zwykła strzelanina, porachunki między gangami i ewentualne rozwiązanie sprawy nie przyniesie jej wyzwolenia od gównianego przydziału. Ale zemsta jest słodka.

Ruszyła i nastawiła głośniej policyjne radio. Było coś uspokajającego w jego stałych tonach. Miała wrażenie, że to głos samego Chicago, że miasto do niej mówi. Czasami nawet zabierała je do domu i pozwalała mu grać w tle, kiedy czytała czy przygotowywała kolację.

Teraz wszystko, co Chicago miało do powiedzenia, trącało dobrze znaną śpiewką: wezwanie do domu, gdzie kobieta groziła mężowi rozbitą butelką, skarga na hałas z Oak View Terrace, wypadek u zbiegu Halsted i Sześćdziesiątej Czwartej.

Już miała je z powrotem ściszyć, kiedy pojawił się nowy meldunek. Został podany takim samym spokojnym głosem jak wszystkie pozostałe.

Ale zanim wybrzmiał, z piskiem opon zawróciła vica i wcisnęła gaz.



22 stycznia 1993

*Eddie Murphy przyprawia go o spazmy.*

*Opowiada na ekranie o babciach, o tym, jak to zawsze im zimno, jak zawsze dopytują się, która godzina. To może najzabawniejsza rzecz, jaką Jason słyszał. Swoją własną babkę widział tylko raz od chwili, kiedy był na tyle duży, by zachować wspomnienie: podczas wycieczki do Spokane: dwutygodniowej niekończącej się kłótni rodziców w samochodzie. Ale wyobrażają sobie ponurą, owiniętą pledem, widzi, jak mówi mu, że jest niegrzeczny, a potem pyta, która godzina.*

*W brzuchu czuje mdlący ogień.*

*Michael go szturcha, podaje prawie pustą butelkę z czerwoną nalepką, na której widać czarne kopuły budynków gdzieś w Rosji. Jason się zastanawia, czy wódka rzeczywiście stamtąd pochodzi. Zastanawia się, czy naprawdę istnieje takie miejsce jak Rosja, czy w ogóle istnieje coś poza pierdolonym Crenwood. Crenwood i Spokane. To też wydaje mu się zabawne.*

*Odkręca czerwoną plastikową zakrętkę i pije. Ciecz jest ciepła i gęsta i pali go w gardło. Kwas mu się ścina w żołądku. Jason tłumi skrzywienie, wydaje odgłosy udawanego zachwyty. Odwraca się, żeby oddać butelkę bratu, czując dziwną lekkość w środku.*

*I eksploduje.*

*Wylewa się z niego ogień, do gardła podchodzi żółć, tryska przez nos, opluwa hluzgiem mokrego ciepła piersi i kolana Michaela. Pryska, wsiąka i ścieka. Wymiociny są krwistoczerwone od owocowego napoju, którym popijali Popowa, a kiedy Jason na nie patrzy, przypomina mu się zwrot „rzygać jak kot” i zaraz potem zapada się w ciemność.*

*Budzi się w łóżku w promieniach upalnego słońca.*

*Z początku czuje tylko wszechogarniający ból i rwanie w głowie, ale zaraz powraca wspomnienie i fala wstydu zalewa go niczym ognista woda. Brudne ubrania zniknęły, usta ma czyste. Nie śmierdzi rzygowinami.*

*Michael.*

*Jason jęczy. Nie może znieść upokorzenia, jakie go na pewno czeka, nie może znieść samego siebie za to, że oblał egzamin męskości. Nie może znieść, że jego brat był przy tym, i zajmował się nim jak dzieckiem. Wie, że nie będzie końca gadaniu, że każdy kumpel będzie się śmiał w kułak, każda dziewczyna będzie chichotać.*

*Ale się myli.*

*Michael nie mówi nikomu ani słowa.*

## Ostre jak rozbite szkło

Ruch na autostradzie Kennedy'ego był stały, więc Jason wyciągnął komórkę i jeszcze raz wystukał po kolei wszystkie numery Michaela. Z tym samym rezultatem: poczta głosowa, poczta głosowa, trudności techniczne. Zaklął pod nosem i zamknął aparat. Siedzący obok Billy wyglądał przez okno.

- Szkrabie? - Jason usiłował przybrać delikatny, ojcowski ton kogoś, kto nie obudził się z kacem i kobietą o nazwisku spowitym mgłą tajemnicy. - Czujesz się lepiej?

W odpowiedzi Billy tylko zacisnęła palce na poręczy fotela.

Dwadzieścia minut wcześniej, kiedy Jason otworzył drzwi mieszkania, jego bratanek stał na wycieracze, trzęsąc się w brudnym i rozdartym ubraniu. Pomarańczowy listek sterczał mu z rozczochranych włosów i upodabniał go do topielca, trupa wyrzuconego na brzeg posepnej rzeki. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem, ani gdy Jason patrzył na ogromne źrenice i rozdygotane dłonie, wskazujące, że chłopiec jest w szoku, ani gdy przesuwał rękoma po chudych kończynach w poszukiwaniu obrażeń, ani nawet gdy go objął i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

To nic, wmawiał sobie po raz setny Jason. Jakaś dziecinada, nieporozumienie albo wypadek. Może Billy bawił się z ko-

legą i wywiązała się bójka. Albo po prostu się zgubił. Chicago musiało być ogromnym i przerażającym miejscem w oczach ośmiolatka. Cholera, w jego oczach czasami też takie było. „Rozmawiałem z glinami”.

„Chcesz powiedzieć, że donosiłeś na któryś z gangów?”

Przypomniał sobie słowa brata, ostre jak rozbite szkło, ale wypchnął je z myśli. Z Michaeliem wszystko jest okay. Na pewno. Wszystko musi być okay.

Kiedy skręcił w Damen, doznał *déjà vu*. Niecałą dobę wcześniej jechał tą samą trasą, obok tych samych pozamykanych sklepów i wąskich pochyłonych domów, tych samych nastolatków wystających na rogu i mierzających go wyzywająco wzrokiem. Popękane chodniki i opary spalin, kawałki szkła połyskujące promieniami zbyt jasnego słońca: aleja Damena, kropka w kropkę taka jak wczoraj.

Potem dojechał do przecznicy brata i zrozumiał, że w ogóle nie jest taka jak wczoraj, że nic nie jest dobrze.

Wszystko było cholernie daleko od okay.

Zobaczył zakład przedłużania włosów z afrykańską królową na lekko pociemniałym szyldzie: U Lauretty. Tej samej, która od czasu do czasu opiekowała się Billym, która lubiła Ja-sona, bo obaj jej synowie także służyli w wojsku. Trochę dalej była mała jadłodajnia, z pajęczyną pęknięć na szybie jednego z frontowych okien, tak że z trudem można było przeczytać specjalność zakładu, jakieś dwa jajka i szynka z kością. Pub Michaela powinien znajdować się między nimi.

Ale w jakiś tajemniczy sposób został zmieniony w kopcące się zgliszcza.

Belki stropowe, powykręcane i spalone miejscami na popiół, leżały wśród cegieł osmalonych na czarno przez jęzory ognia. Pożoga strawiła wszystko, zostawiła po sobie tylko zwęglony szkielet. Wynaturzoną gotycką katedrę ozdobioną iglicami żaru i gruzu. Wśród tych szczątków uwijali się strażacy niczym akolici ognia.

Podświadomie Jason oczekiwał, że zaraz usłyszy obcy język, cudzoziemskie zawroźenie kobiet. Dawno stracił rachubę, jak wiele spalonych budynków już widział, w ilu akcjach ratunkowo-zabezpieczających brał udział, jak często dokonywał selekcji małych ciał i wzywał lekarzy. Przez chwilę miał wrażenie, że z powrotem znalazł się w tej rzeczywistości, w kamaszach i nieźnośnym skwarze pustyni. Z wonią siarki w nozdrzach i potem w oczach. Widok takich zniszczeń pasował do świata leżącego szmat drogi stąd wśród ludzi mówiącym innym językiem, czczących innego boga. To tam płonęły budynki, to tam ocalali z pożogi gapili się z rozdziawionymi oczyma na to, co jeszcze przed chwilą istniało.

Nie tutaj. Nie jego brat.

I zaraz po tej myśli pojawiła się następna. Billy! Idiota!

Wjechał na krawężnik i z piskiem opon zahamował przed zakładem Lauretty. Po omacku zwolnił zapięcie pasa, potem odpiął swojego bratanka.

- Nie patrz. - Wyciągnął chłopca z fotela i niezdarnie przytulił. - Nie musisz. - Billy był lekki niczym gałganek, ciepły i trzęsący się gałganek. Oddech miał ciężki i mokry, ślina, smarki i łzy moczyły rękaw koszulki Jasona. Siedzieli w szumie klimatyzacji, Jason obejmował bratanka, gładził go po włosach. Mówił chłopcu, żeby nie patrzył, choć sam nie mógł oderwać wzroku.

Ta gruzowata góra czarnego, zbitego węgla rozciągająca się w środku to był pub, w którym nie dalej jak wczoraj pił z bratem piwo. Żar skrzył się i dopiero po chwili Jason zdał sobie sprawę, że to potrzaskane szkło. A tam, z tyłu, poznawał ścianę z cegieł, teraz na wpół zburzoną, za którą znajdowało się zaplecze i kłapa prowadząca do piwnicy, pamiętającej jeszcze czasy prohibicji, kiedy to miejsce było nielegalną metą. Przypomniał sobie, jak siedzieli tam po całym dniu tachania gratów, jak Mike wyciągnął butelkę Black Label i wznosił toast...

Puknięcie w okno przełączyło go z miejsca w tryb bojowy. Odwrócił się z jedną ręką uniesioną, drugą tuląc opiekuńczo bratanka.

Wielka kobieta w letniej turkusowo-pomarańczowej sukience na ramiączkach. Laretta, właścicielka salonu i dorywcza opiekunka Billy'ego. Patrzyła spod przymrużonych powiek, z twarzą ściągniętą troską. Potrząsnął głową, odganiając wspomnienia, swoje własne objawy wstrząsu. Na zrozumienie będzie jeszcze czas. Zrozumienie może poczekać. Teraz musiał działać. Otworzył okno.

- Dobrze się czujesz, skarbie?

Miał zawroty i wrażenie, że głowa zaraz mu odleci.

- Co się stało?

Wskazała na Billy'ego i pokręciła głową.

- Może wejdziecie do środka. - Uśmiechnęła się smutno. - William napije się coli.

Skiął głową. Słońce oblało go niczym roztopione żelazo, kiedy wysiadł z samochodu, z Billym w ramionach, uważając, by twarz bratanka pozostawała wtulona w jego pierś. W środku, pod wyłożoną lustrem ścianą stały fotele fryzjerskie. Po drugiej stronie znajdowały się miski, które aż się prosiły, by zanurzyć nich stopy. Klientka się relaksowała, podczas gdy stylistka przedłużała jej włosy.

Laretta poprowadziła go do małego pokoiku za zasłoną, gdzie naprzeciwko odbiornika telewizyjnego z wyciszonym dźwiękiem stała kanapa. Jason opuścił chłopca, który początkowo kurczowo uchwycił się jego szyi, ale rozluźnił objęcie, gdy Laretta stanęła obok. Usiadł wyprostowany, z napiętymi mięśniami, strzelając oczyma na wszystkie strony. Kiedy spoczęły na Lauretcie, jakby się uspokoił.

- Proszę, kochanie. - Zmieniła kanał na Cartoon Network, otworzyła minilodówkę i wyjęła puszkę napoju. - Pooglądaj sobie kreskówki, dobrze? - Po twarzy małego prze-

mknął nagły cień trwogi, więc natychmiast dodała delikatnie: - Nie bój się. Będziemy tuż obok.

Jason ruszył za Laurettą do zasłony, nie mogąc wyjść z podziwu nad jej opanowaniem. Był wujkiem Billy'ego, rzekomo człowiekiem, który powinien się nim zająć, ale to ona wiedziała, czego chłopcu trzeba. Jason chciał jej podziękować, jednak tylko spytał:

- Co się stało?

- Nie wiem - odpowiedziała cicho. - Policja niewiele mi powiedziała.

- Czy... - Zawahał się, bojąc się zadać jedyne stosowne pytanie, fala przerażenia chlustała mu o wnętrzności jak woda o nadwątloną tamę. - Michaelowi nic się nie stało?

Patrzyła się tylko bez słowa łagodnymi smutnymi oczyma i już wiedział. Tama puściła. Usłyszał skowyt i uświadomił sobie, że to on go wydal.

Jego brat nie żyje.

Potrzebował pomocy, Jasona przy nim nie było, a teraz nie żyje.

Świat zawirował. Zakręciło mu się w głowie, oparł się dłonią o framugę. W środku usłyszał żelazny głos, głos, którego nie słyszał od miesięcy. Głos, który mówił: „Weź się w garść, żołnierzu”. Mówił, że teraz nie pora. Jason wziął głęboki oddech i otarł oczy wierzchem dłoni.

- Czy zajmie... może się pani zająć Billym przez chwilę? Popatrzyła na niego tak, że zapragnął mieć znowu pięć

lat, wtulić się w jej suknię i poczuć bezpiecznie.

- Naturalnie.

Ukląkł przy sofie, z twarzą na wysokości twarzy chłopca. Mały najwyraźniej nadal był w szoku, ale jego źrenice nie były już tak rozszerzone, ramiona nie tak napięte. Znajome otoczenie.

- Bąku, wyjdę na chwilę. Ale Lauretta z tobą posiedzi. Zgoda?

Billy popatrzył na niego, potem na Laurettę. Pokiwał głową. Jason uściskał mu ramię, wstał i przeszedł przez zasłonę.

- Jason. - Obracała w palcach pasek sukienki, potem uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Twój brat był dobrym człowiekiem, i uważnym. Nie mieści się w głowie, że mógł spać się do nieprzytomności we własnym pubie i zaproszyć ogień.

Po plecach przebiegł mu dreszcz. Jeszcze raz usłyszał te słowa w myślach.

- Rozmawiałeś z glinami?

- Jasne.

Chcesz powiedzieć, że doniosłeś na któryś z gangów?"

- Tak, proszę pani - powiedział, zaciskając dłonie w pięść. - Nie mieści się.



## Ciemne plamy

Cruz nie znosiła, kiedy umierali dobrzy ludzie.

Przejechała przez miasto po gliniarsku, zatrzymując się na czerwonych światłach tylko, żeby sprawdzić, czy droga wolna i zaraz ruszyć dalej. Zaparkowała nieoznakowany radiowóz po drugiej stronie ulicy, za karetką, gdzie znudzeni ratownicy popijali kawę. Kilku krawężników rozmawiało z naocznymi świadkami. Właśnie minęło południe, powietrze było nieruchome i parne. Gorąco jak w piecu.

Kiedy tu jechała, czuła przede wszystkim niepokój o kogoś, kogo znała, prawdziwego człowieka w dzielnicy drani. Teraz, kiedy nozdrza szczypały ją od smrodu popiołów, pojawił się też gniew. Michael Palmer był dobrym człowiekiem.

Poprawiła kajdanki, bo wpijały jej się w plecy, i przeszła przez ulicę. Wezwane na miejsce zdarzenia jednostki oddzieliły chodnik taśmą, przeszła pod nią. Mężczyźni w żaroodpornych spodniach i bluzach przegarniali łopatami zgliszcza. Pasy odbłaskowe na ich ubraniach migotały jaskrawo. Jeden trzymał coś, co przypominało przenośne radio z an-tenką, którą przesuwał nad pogorzeliem, wywołując trzaski jak w liczniku Geigera. Jakiś wysoki facet uniósł dłoń do ust i krzyknął

- Proszę pani, proszę się cofnąć za taśmę.

Odsunęła połą zakietu, ukazując gwiazdę przy pasie.

Skinął głową, dał znak, żeby poczekała sekundę, i ruszył, lawirując wśród szerniałego gruzowiska. Każdy krok wzbijał chmurę dymiącego pyłu, który wisiał w bezwietrznym powietrzu.

- Pan jest biegłym z zakresu pożarnictwa?

Skinął głową, zdjął białe lateksowe rękawice z odrobiną sadzy, wyciągnął dłoń. -Tom Huff. Apani?

Przedstawiła się, poinformowała, że jest z Biura Wywiadu Kryminalnego ds. Gangów i że zna właściciela.

- Co się stało?

- Ogień podłożono wczoraj w nocy, późno, o trzeciej lub czwartej. Długo trwało, zanim udało nam się go opanować.

- To było podpalenie? Jest pan pewien?

Wskazał na miejsce, gdzie pod odsuniętym na boki gruzem widniała duża plama na podłodze, ciemniejsza jeszcze od otaczających ją zwęglonych ruin. - Widzi pani?

- Ślad po cieczy? Skinął głową.

- Kiedy jest tak wyraźny, zawsze oznacza substancję przyspieszającą spalanie. Testy laboratoryjne dadzą nam pewność, ale idę o zakład, że to benzyna. Kolor nie wskazuje na butan czy podpałkę.

Przyspieszacz. Co oznaczało podpalenie. Co najmniej.

- Znaleźliście jakieś ciało? Skinął głową.

- Dorosłego mężczyzny, zwęglone. Jest w drodze do koronera.

Co oznaczało zabójstwo. Ofiarą musiał być Michael Palmer. Kto inny mógłby być w pubie, kiedy puszczo go z dymem?

Cholera, zakłęła w duchu, przypominając sobie uścisk jego dłoni, mocny, ale nie ostentacyjny. Cholera, przemknęło

jej przez głowę raz jeszcze, gdy pomyślała o jego synu. I jeszcze jedna siarczasta cholera na myśl o dzielnicy. Ktoś próbował zrobić tu coś dobrego, i proszę, co go spotkało. Nic dziwnego, że policja nigdy nie miała świadków.

- Już złożyłem zawiadomienie o zabójstwie, lada moment powinien zjawić się tu detektyw. - Urwał, popatrzył na prawo od niej i wskazał podbródkiem.

- To ten pan z panią?

Cruz się odwróciła, zobaczyła mężczyznę zbliżającego się chodnikiem.

- Nie. - Ruszyła, żeby go zatrzymać. - Proszę pana, nie widzi pan taśmy?

Przystanął, spojrzał jej w oczy, nie taksując wcześniej ciała. Ładnie zbudowany, przystojny, blond włosy surfera. Jego twarz zdawała się dziwnie znajoma i odkryła dlaczego dokładnie w chwili, kiedy sam wyjaśnił.

- Nazywam się Jason Palmer. Ten pub należał do mojego brata.

Zarzucił ją pytaniami, ale poprosiła, żeby się wstrzymał i poczekał za taśmą. Sama wróciła do Huffa i dała mu swoją wizytówkę.

- Może pan do mnie zadzwonić, dać mi znać, jeśli znajdziecie coś jeszcze?

- Wszystko będzie w moim raporcie.

- Ten gość był moim znajomym. - Posłała mu uśmiech. - Zrobi pan to dla mnie?

Wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. - Schował wizytówkę, wyciągnął z kieszeni parę czystych rękawiczek lateksowych i wrócił do pracy.

Odwróciła się. Jason Palmer stał tuż obok.

- Prosiłam chyba, żeby poczekał pan za taśmą. Gapił się na nią.

- Mój brat. Czy on... czy... - Przeniósł wzrok na zgliszcza pubu za jej plecami i z powrotem na nią.

Otworzyła usta, gotowa do wygłoszenia standardowej, beznamiętnej formułki: „Przykro mi z powodu pańskiej straty, ale muszę zadać kilka pytań” - ale zamiast tego powiedziała delikatnie:

- Nie mam pewności, ale obawiam się, że tak. Zdawało się, że zapadł się w sobie, coś jakby obsunęło się w jego ramionach i karku.

- Zabili go - rzucił słabo. - Zamordowali Mikeya. Cruz popatrzyła na niego ostro.

- Kto go zabił, panie Palmer?

Przyłożył dłoń do ust, jakby próbował powstrzymać torsje.

- Ci z gangu. -Kto?

- Nie wiem. Kozia Bródka. Gość z... o, Chryste, Michael. - Twarz pobladła mu jak płótno. - Dlaczego mnie tu nie było? - Miał nieobecne spojrzenie człowieka, który zobaczył ducha.

- Panie Palmer. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Proszę się skupić.

Popatrzył na nią. Zamrugał kilka razy, pokręcił głową.

- Tak. Dobrze. - Wypuścił powietrze, wziął kolejny oddech. - Znała pani mojego brata?

Przypomniała sobie, jak siedziała w pubie z Galwayem, jak Michael Palmer mówił, że w dzielnicy dzieją się złe rzeczy, gorsze, niż sądzono, że gangi są tylko wierzchołkiem góry lodowej. Że wkrótce będzie miał dowody. Opanowany i racjonalny, z grzecznym dzieckiem i doświadczeniem w pracy na rzecz społeczności lokalnej. W niczym nieprzypominający szaleńca.

Ale do Jasona rzuciła tylko:

- Znałam go.

- Więc wie pani o nim i o tutejszych gangach? Że z nimi walczył?

-Tak.

- Dobrze. - Zacisnął szczękę i stanął prosto, dochodząc do siebie. - Dobrze.

Uświadomiła coś sobie. Śledcza matematyka była prosta: ciemna plama na pogorzeliśku równa się przyspieszacz, przyspieszacz równa się podpalenie, podpalenie ze zwłokami równa się zabójstwo. Co znaczyło, że nic tu po niej. Formalnie rzecz biorąc, jej zadanie sprowadzało się do opieki nad Palmerem do chwili przybycia detektywa z dochodzeniówki, od którego usłyszy, że ma wracać na posterunek i zająć się swoją cholerną bazą danych.

Z drugiej strony, jeśli w sprawę zamieszane są gangi, nie sposób jej zarzucić, że wykracza poza swoje kompetencje.

- Wspomniał pan o jakichś członkach gangów. - Wskazała kciukiem na knajpkę po drugiej stronie ulicy. - Może postawię panu lunch, a pan mi powie coś bliżej?

- Ja... - urwał, obejrzał się na zakład przedłużania włosów.

- Nie mogę. Mój bratanek jest tutaj i martwię się o niego.

- Zabrzmiało to jak propozycja? - spytała. -Tak.

-Anią nie jest.

- To są dane lekarza z kliniki uniwersyteckiej, oddział pomocy doraźnej. - Cruz skreśliła kilka słów na odwrocie swojej wizytówki. - Proszę mu powiedzieć, że ja pana przysłałam, a znajdzie czas dla pana bratanka jeszcze dzisiaj.

Jason sięgnął przez stół.

- Dziękuję.

- Żaden problem. Mówił pan o kimś, kto się nazywa Kozia Bródka?

- Nie nazywa się tak. To znaczy... nie wiem, jak naprawdę się nazywa. Tak go po prostu ochrzciłem.

- Kto to?

- Nie wiem. Jakiś członek gangu. Kark, dres, gangsta - tak ich chyba nazywacie.

- Skąd pan go zna?

- Napadł na mnie wczoraj, usiłował porwać. Słuchała w milczeniu, kiedy opowiadał, jak biegał, gdy

jakiś kark wziął go na muszkę i próbował zmusić, żeby wsiadł do samochodu. Jak udało mu się uciec i jak potem przyjechał sprawdzić, czy u brata wszystko w porządku.

- Uprawia pan sztuki walki, uczęszcza na kursy samoobrony czy coś w tym rodzaju?

- Co proszę?

- No, chodzi mi o to, że napadli na pana dwaj uzbrojeni mężczyźni, a pan zdołał uciec.

- Jestem żołnierzem. - W jego głosie słychać było opanowanie i może cień dumy.

- Jak wyglądali ci goście?

- Czarni - powiedział. Nie: Afroamerykanie i spodobało jej się, że nie usiłuje odstawić komedii, jaki to jest wyczulony na kwestie rasy, żeby zaimponować Latynosce. - Jeden miał może metr sześćdziesiąt osiem, krępy i mocno zbudowany, waga jakieś osiemdziesiąt dwa kilo. Obwieszony złotem. Ten, którego nazwałem Kozią Bródką, był jakieś pięć centymetrów niższy ode mnie i szczupły. Miał tatuaże na ramionach, no i kozią bródkę - chwycił kciukiem i palcem wskazującym fałd skóry na podbródku.

Tyle że opis odpowiadał mniej więcej połowie koleśków z kartotek wydziału.

- Tatuaże były charakterystyczne?

- Nie miałem okazji dobrze się przyjrzeć. Jakaś gwiazda z literami w środku, może „GD”?

Gangster Disciples. Poczula gwałtowny skurcz w żołądku. Miała mnóstwo zdjęć członków tej grupy. Gdyby Palmer zidentyfikował mężczyzn, którzy na niego napadli, miałyby

szansę szybko zamknąć sprawę, może nawet wydostać się z tej bazy danych z powrotem do pracy operacyjnej. No i choć trochę pomóc Michaela Palmera. Michaela Palmera z grzecznym dzieciakiem i przyjemnym uściskiem dłoni.

- Rozpoznałby pan ich?

Skinął głową i popatrzył przez okno na pożarników przeszukujących pogorzelnisko, przeczesujących je w tę i we w tę, jakby szukali zgubionych soczewek kontaktowych.

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę patrzył na takie sceny - mruknął cicho jakby do siebie.

- Jeszcze? - popatrzyła na niego.

- Służyłem w Afganistanie, potem w Iraku. - Wziął frytkę i zanurzył ją w ketchupie, obracając, jakby mieszał farby na palecie. - Kiedy tam przyjechałem, nie mogłem się nadziwić ogromowi zniszczeń. Całe ściany bloków mieszkalnych poroz-walane, tak że człowiek patrzył prosto do mieszkań ludzi, zaglądał do ich kuchni. Mnóstwo hummerów ma zamontowane Mk-19, granatniki i po prostu rozwalają w pizdu cały budynek. I te piękne meczety. Kiedy rebelianci zorientowali się, że staramy się nie niszczyć meczetów, zaczęli grzać do nas z minaretów. Więc je też musieliśmy ostrzeliwać. - Potrząsnął głową. Upuścił frytkę, wziął następną, dziobał nią apatycznie w kupce.

- Wszędzie jak okiem sięgnąć stosy gruzu i popiołu. Zawsze coś się paliło. Zawsze. A to ładunki wybuchowe domowej roboty, koktajle Mołotowa, moździerze rebeliantów, przypadkowe pożary śmieci. - Wzrok mu się zamglił. - Spodziewałem się, że wszyscy z miejsca, nie wiem, padną na kolana. Wybałuszą oczy. A tu nic z tych rzeczy. Zajmowali się swoimi sprawami, podczas gdy wszystko dokoła się paliło. - Wzruszył ramionami.

- Człowiek potrafi chyba przyzwyczać się do wszystkiego.

- Mogę spytać, jak pan spędził wczorajszą noc?

Palmer podniósł na nią wzrok, i zobaczyła w nim zaskoczenie nagłą zmianą tematu, ale ani cienia strachu czy napięcia.

- Byłem z kimś.  
- Dziewczyną?  
- Nowo poznaną.  
- Ma pan jej numer? Pokręcił głową.  
- Ma na imię Jackie. Mówiła, że pracuje jako kelnerka w Spring.  
Zna pani tę restaurację? Znajduje się na rogu North i Milwaukee?  
- I poza moim finansowym zasięgiem. - Upiła łyk okropnej namiastki kawy. - Pański brat miał ubezpieczenie na życie?  
- Pojęcia nie mam.  
- Wie pan, że nie wypłacają go w przypadku zabójstwa?  
Palmer odłożył frytkę, którą się bawił, wytarł zatłuszcz-czone palce o serwetkę. Popatrzył na nią przeciągle, nieruchomo.  
- Rozumiem, dlaczego pani pyta. Ale nie zabiłem swojego brata.  
Nie był sprawcą. Połowa jej pracy opierała się na instynkcie i potrafiła to poznać. Oczywiście warto by było odszukać tę dziewczynę tak dla pewności. Pierwsze, czego człowiek się uczył w tej robocie, to że wszyscy kłamią. Ale ten gość nie był sprawcą.  
Pozostawały zatem gangi.  
- Chciałabym, żeby poszedł pan ze mną na posterunek, popatrzył na kilka zdjęć. Może uda się panu zidentyfikować Kozią Bródkę.  
- W porządku. Skinęła głową.  
- Pojedzie pan sam czy zabierze się ze mną?  
- Że niby teraz? Uniosła brew.  
- Nie mogę. - Odchylił się do tyłu na oparciu krzesła. - Mój bratanek. Już mówiłem. Chcę go stąd zabrać.



- Świetnie. Z nim też chcę porozmawiać.
- Nie wchodzi w grę. Jest w szoku. Mowy nie ma.
- Panie Palmer, usiłuję znaleźć sprawców zabójstwa pańskiego brata. Może mi pan pomóc. Nie sądzi pan, że Michael tego właśnie by chciał?

Patrzył się na nią bez słowa z zaciśniętą szczęką. Minęła długa chwila. Potem powiedział:

- Wie pani, czego by chciał mój brat, proszę pani? Chciałby wiedzieć, że z jego synem wszystko jest dobrze.

Opadła na oparcie, czując się jak ostatnia suka.

- Proszę posłuchać - położył serwetkę na niezjedzonych frytkach. - Kochałem brata. Zrobię wszystko, by dopaść kutasów, którzy go zabili. Ale najpierw muszę się zatroszczyć o Billy'ego. Proszę.

Mogła go zmusić, ale to zawsze zrażało świadków. Poza tym podobała jej się jego troska o dobro dziecka, rzadka cecha wśród ludzi, z którymi miewała do czynienia.

- Wie pan co, w takim razie może wpadnie pan do mnie jutro z samego rana?

- Dziękuję. - Zaczął gramolić się z boksu.

- Tymczasem gdybyście sobie, pan albo bratanek, przypomnieli coś jeszcze, proszę natychmiast do mnie zadzwonić.

- Dobrze. - Wstał. - Mogę już iść? Cruz pociągnęła łyk kawy.

- Jasne. - Patrzyła, jak się odwraca i przechodzi przez drzwi, na powrót sztywny jakby kij połknął, jak kroczy popękany chodnikiem. Przystojny facet, niegłupi, jak się zdawało, i jeszcze troszczył się o dziecko. Wprawdzie zdecydowanie było z nim coś nie tak - ten szklany wzrok, kiedy mówił o Iraku - ale mimo to nadal nie uważała go za sprawcę. Za bardzo cierpiał. Trudno musi być stracić bliskiego w ten sposób. Jednego dnia jest cały i zdrowy, drugiego, bach, znika na zawsze.

Jeszcze raz wróciła myślą do tego popołudnia, kiedy siedzieli w pubie z Galwayem i rozmawiali z Michaeliem Palmerem. Twierdził, że w dzielnicy dzieją się rzeczy większego kalibru i znacznie gorsze, niż się komukolwiek śniło. A ona przytaknęła mu na odczepnego. Zapewniła, że jeśli będzie miał dowody, ona zacznie działać. Powiedziała to tak, jak mówiła mnóstwo innych rzeczy w tej robocie, głosem, który miał uspokajać ludzi, pacyfikować szaleńców. Bez przekonania.

A później ktoś go zabił.

Upiła łyżeczek kawy i popatrzyła przez okno, zastanawiając się, czy można to uznać za dowód.

## Kanikuła

We śnie Washington Matthews znowu siedział w celi. Widział gołą betonową posadzkę i porysowany metal toalety bez pokrywy. Ułożony starannie na biurku stos książek historycznych z więziennej biblioteki. Faraona pochrapującego na pryczy wyżej, słyszał jego mokry zduszony charkot odbijający się od pustych ścian. Pomyślał, że dobrze by było zwlec się z wyrka i oto nagle, jak to we snach, już stał boso w przyćmionym świetle separatki. Powietrze było gęste i wilgotne. Przeciągnął się, prostując napakowane pod całą ramiona i poobijane knykcie, w piersi czuł to dobrze znane wrażenie zimna, pieśń świszczącego metalu.

Faraon zachrapał głośniejsze i Washington ruszył, by go szturchnąć, powiedzieć, żeby się obrócił. Dopiero kiedy się zbliżył, zobaczył, że kumpel nie jest sam. Obejmował ramieniem drobne ciało: szczupłego czarnego chłopczyka z kalafiorowatym uchem wtulonego w niego jak łyżeczka. Miał może z osiem lat, a ten charliwy mokry charkot dochodził z krwistej miazgi, która kiedyś była jego gardłem.

Washington chciał się rzucić do ucieczki, biec. Ale kończyny miał spętane lepkimi więzami.

Wtedy się obudził i okazało się, że jest spętany lepkimi więzami.

Minęła chwila, zanim uświadomił sobie, że to przepocona pościel krępuje mu ruchy. Sierpień. Najgorętsze dni lata. Kanikuła. Czytał gdzieś, że określenie pochodzi od Syriusza, Psiej Gwiazdy, która wschodząc latem, zwiastowała upały. Współcześnie stała się gwiazdą zimową, co ma coś wspólnego z ruchem Ziemi, z jego rozdygotaniem. Wygramolił się z trudem z pościeli, sam rozdygotany. Uderzył ręką o coś grubego i gładkiego, i w ostrym blasku słońca zdążył tylko się zorientować, że to szklaneczka do whisky, zanim upadła na podłogę z twardego drewna.

- Cholera. - Przestał się rzucać, delikatnie uwolnił ręce i przesuwając dłońmi dokoła, aż wymacał butelkę Beefeatera. Pusta. Postawił ją na stoliku nocnym, potem wyplątał nogi. Na łóżku leżało otwarte *Sprzysiężenie Katyliny* Salustiusza. Zamoczone. Książka wprawdzie się zniszczyła, ale przynajmniej tym razem nie wyłopał całej butelki.

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka. Muskulatura ze snu zniknęła, zastąpiona przez obwisłe męskie cycki i czterdziestotrzyletni kałdun. Bolały go skronie, oczy szczypały. Ciągłe miał pod powiekami obraz chłopca z kalafiorowatym uchem.

Miotał się pod prysznicem, kiedy woda zmieniała się z gorącej na zimną i znowu gorącą. Przyciął wąsy przed lustrem, konstatując ze smutkiem, że czasy, kiedy prezentował się jak Richard Roundtree, bezpowrotnie minęły. Teraz bliżej mu było do Jamesa Earla Jamesa, i to kiedy miał dobry dzień, czyli nie dzisiaj.

Z dołu dobiegł jakiś hałas. Coś metalowego walnęło o podłogę. Potem nastąpiła chwila ciszy i zaraz rozległy się wrzaski w dwóch językach. Washington skrzywił się, wciągnął spodnie i rzucił się do drzwi, po drodze naciągając koszulkę. Zbiegł ciężko po schodach.

W kuchni Oscar i ten nowy chłopak - Diego? - darli się na siebie i próbowali wyrwać z przytrzymujących ich ramion.

Na blacie połyskiwały sztucce, z przewróconej torby z zakupami posypały się na podłogę pomarańcze. Dwóch chłopców trzymało mocno Diega, a gigantyczne ramiona Ronalda opasywały od tyłu Oscara, niemal unosząc go z ziemi.

- Puszczajcie, *putas!* - Twarz Diega płonęła szkarłatem, kiedy próbował się oswobodzić.

Washington wkroczył do kuchni.

- Panowie. - Nie krzyknął, ale wszystkie głowy skierowały się w bok. Oscar patrzył z miną winowajcy.

- Ten kolo - zaczął - rzucił się na mnie z partyzanta.

- Łzesz, kurwa, ty... - Diego wierzgał i szamotał się. Washington westchnął. Za bardzo bolała go głowa na

coś takiego. Wziął rondel z suszarki i stanął przed Diegiem. Chłopak zobaczył ciężki garnek i szarpnął się mocniej, usiłując oswobodzić się z trzymających go rąk, w oczach pojawił się błysk strachu. Washington zamierzył się i zacisnął zęby, czując tę starą zimną pieśń metalu.

Potem, najsilniej jak potrafił, walnął rondlem o blat.

Uderzenie było ogłuszające i wszyscy zamarli.

- Panowie - powtórzył Washington, patrząc po twarzach zgromadzonych. Postanowił zacząć od Oscara. Chłopak powinien mieć więcej rozumu, przychodził tu już od miesięcy. Washington mierzył go wzrokiem, rejestrując wściekłość w spojrzeniu i dzioby w policzkach, pamiątki po postrzale z jadącego samochodu. Żył tylko dlatego, że sprawca nie odróżniał śrutu drobnego od grubego, a mimo to, proszę, wraca do starych nawyków.

- Możesz odejść - powiedział Washington - kiedy tylko chcesz. Nikt tu nikogo siłą nie trzyma. Możesz wrócić na ulicę, do gangsterki. Wiem, że jesteś wystarczająco mocny. - Zerknął przez ramię. - Obaj jesteście. Szanuję waszą siłę. - Odstawił rondel. - Ale czy siła wystarczy? - Urwał, skinął głową na Ronalda, który odwinął swoje pięćdziesięciocentymetrowe bicepsy z piersi Oscara. - Co ci przyniosła siła, Ronaldzie?

- Cztery lata pierdla. - Mężczyzna mówił cicho, głosem jednocześnie mrukliwym i delikatnym. - Trzy kulki. Śmierć młodszego brata.

Washington skinął głową.

- Właśnie. A wiecie dlaczego? - Skinął na dwóch chłopców trzymających Diega. Puścili go powoli, ale trzymali się blisko. Chłopak wypiął pierś, dalej patrzył hardo, nie ruszając się z miejsca. - Ponieważ ten rodzaj siły to nie wszystko.

- Washington podszedł bliżej, położył mu dłoń na ramieniu, czując podrygujące pod spodem mięśnie. Popatrzył w oczy.

- Masz tego świadomość. Dlatego tu jesteś. Na ulicy słyszycie: nie daj się. Nie pozwól sobą pomiatać. Zabij, jeśli trzeba. - Wzruszył ramionami. - Tak się zaczyna. Ale jeśli każdy słyszy to samo, co się dzieje?

Washington lustrował ich twarze. Poza Ronaldem, żaden z chłopców nie miał skończonych dziewiętnastu lat. Większość od małego, od dwunastego, trzynastego roku życia, należała do tego czy innego gangu. Dzieci samotnych matek, pozbawione ojca, nieuznające żadnych autorytetów. To że w ogóle go słuchali, było cudem, świadectwem, jak bardzo chcieli zmienić swoje życie. Nawet Chrystus nie zbawiłby nieskruszonych grzeszników.

- Każdy z was przyszedł tu z własnej woli. Zostawił kumpli z paczki i zwrócił się do mnie o pomoc. Minął szyld „Latarnicy”, zapukał do moich drzwi. Powiedział „Doktorze Matthews, jestem zmęczony. Musi być jakieś inne życie”. - Urwał.

- A ja mówiłem: „Synu, jest”.

- Ten *vendejo* obraził Vice Lordów - Diego odwrócił głowę i splunął. - Takie coś nie przechodzi płazem.

Washington pokręcił głową.

- Zapomnij o tym. Żadnych ksywek, bandan, barw. Jeśli chcecie z tym zerwać, to na całego.

- Ja chcę. Ale on nie musi srać moim ziomalom do ryja.

- Rozumiem - powiedział Washington. - To twoi przyjaciele. *Su familia*.

- Dokładnie.

- Byłeś z nimi całe lata, troszczyli się o ciebie. Diego skinął głową, z rezerwą.

- To dlaczego tu jesteś?

- Że co?

- Po co tu przyszedłeś?

- Bo... - Diego z trudem dobierał słowa. - Moja dziewczyna, ona *embarazada*, co nie? Szósty miesiąc. I nie chcę, żeby moje dziecko wyrosło na...

- Gangsta? - spytał Washington.

Diego wzruszył ramionami, odwrócił głowę.

- Dopiero przyście tutaj, synu, wymagało prawdziwej siły. Znacznie większej niż życie na ulicy. - Podszedł bliżej, wpił spojrzenie w jego twarz. - Szanuję to. - Nie odrywał od niego oczu jeszcze przez kilka sekund, pokazując chłopcu, że mówi poważnie. - Nikt tu nikogo przemocą nie trzyma. Chcesz odejść, droga wolna. - Wskazał ręką korytarz. - Drzwi są tam. Możesz wrócić do gangsterki, dilowania i ciągłego oglądania się przez ramię. Ale jeśli zostaniesz, musisz o tym wszystkim zapomnieć. Słyszysz?

Diego nadal trzymał fason, ale przytaknął. To był już jakiś początek. Maleńki kroczek.

- Co jest naszym celem? - Washington rzucił hasło.

- Szacunek - rozległ się odzew.

- Co jest naszym celem?

- Szacunek - glosy odpowiedziały zgodnym chórem. Skinął głową.

- Dobrze. A teraz jedźmy. - Schylił się, zaczął zbierać pomarańcze i porozrzucane sztucce. I poczuł ten znajomy dreszcz dumy, gdy dołączyły do niego inne ręce.

Dzień był pracowity. Po posiłku, kiedy Ronald doglądał sprzątanania, rozsądnie trzymając z daleka Oscara i Diega,

żeby nie dolewać oliwy do ognia, Washington wycofał się do gabinetu. Fatalny dzień na zaspanie. Jeden z chłopców miał rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy i chciał, żeby mu towarzyszyć. Potem Washington zaczynał dyżur w bibliotece. I czekała go jeszcze masa papierkowej roboty, formularze do wypełnienia, deklaracja, że Latarnicy są organizacją 501(c) (3), non profit, nienastawioną na osiągnięcie zysku.

Cholera, nie był nastawiony na osiągnięcie zysku od czasu, gdy skończył siedemnaście lat. Tylko rząd mógł potrzebować formularza, żeby w to uwierzyć.

Usadowił się na krześle, złożył dłonie na brzuchu. Wpół opróżniona butelka Beefeatera na biurku iskrzyła się w słońcu, którego promienie rozszczepiały się na wolno tańczące tęcze. Kilka łyków uśmierzyłyby ból w głowie i palenie w żołądku. Odwrócił wzrok, zamknął oczy, i obserwował tańczące pod powiekami czerwono-czarne plamki, szukając własnej siły. Kiedy zadzwonił telefon, odebrał półprzytomny.

- Doktor Matthews, mówi Adam Kent - głos był napastliwy.

- Witam, panie Kent. - Washington błyskawicznie się wyprostował.  
- Co słyhać?

- Mnóstwo pracy. Mam problem z opóźnioną o dwa tygodnie dostawą części z Korei Południowej, a na głowie czterech różnych inspektorów domagających się łapówki. - Westchnął. - A co słyhać w domu pomocy skruszonym gangsta?

- O, jakoś ciągniemy wózek - przybrał najbardziej biały ton głosu, odpowiedni do rozmowy z milionerem i filantropem w jednym. - Z dnia na dzień.

- Skąd ja to znam. Za trzy dni wasze przyjęcie. Wypożyczył pan już smoking?

Cholera. -Tak.



- Świetnie. Proszę posłuchać, właśnie dzwonił radny. Chce się znowu spotkać. Chodzi mu o jakieś drobnostki, które go niepokoją, związane z pańską przeszłością.

Żołądek mu się skręcił.

- Z moją przeszłością?

- Tak, nie wiem dokładnie. Jestem pewien, że to nic takiego. To co, jutro po południu?

- Eee... Oczywiście.

- Dobrze. Przyniosę czek.

- Czek?

- No chyba pan nie myślał, że dam panu pięćset tysięcy dolarów w worku marynarskim?

- Nie, tylko... - Washington westchnął. - Mówiąc szczerze, panie Kent, nie mam doświadczenia w tego typu sprawach. Partiach, polityce i wielkich dotacjach. Formularzach podatkowych. Ja tylko... - kciukiem i palcem wskazującym potarł bolące oczy - ...pomagam dzieciakom.

- Wiem - głos był serdeczny. - Proszę się tym nie martwić. Jakoś sobie z tym poradzimy, cokolwiek to jest, i pozwolimy panu wrócić do spraw najistotniejszych. Zgoda?

- Zgoda.

- Dobrze. Zatem do jutra.

Washington się rozłączył, w głowie mu dzwoniło, jak zawsze gdy myślał o tych pieniądzach. Pół miliona dolarów. Dość, by rozbudować piwnicę, zainstalować piętrowe łóżka i łazienkę. Kupić sprzęt komputerowy i podręczniki. Opłacić szkolenia, usunięcie tatuaży i bilety miesięczne, tak by chłopcy mogli znaleźć pracę. A co tam, może nawet na zatrudnienie nauczyciela na pełen etat. Plus jedzenie, świadczenia i koszty konserwacji na całe lata. Dość, by przekształcić dom, który zostawiła mu matka, w ośrodek resocjalizacji z prawdziwego zdarzenia.

Jego oczy spoczęły na stojącej na biurku srebrnej ramce ze zdjęciem: wyblakły amatorski portret kobiety o skórze

ciemnej jak atrament, włosach upiętych skromnie pod kapeluszem z mgiełką czarnej koronki. Była w rękawiczkach i zapięta pod szyję. Usta się uśmiechały, ale zmrużone w słońcu oczy nadawały twarzy wyraz napięcia. Obok stał dwunasto-, trzynastoletni chłopiec w garniturku z Armii Zbawienia i z posepną miną.

W zdjęciach jest przedziwna moc. Chwila zamrożona w czasie, zatrzymana na papierze, w srebrze. Sposób, w jaki słońce padało na oczy kobiety, rozmazany ruch letnich drzew, nic z tego już się nie powtórzy.

Chłopiec na fotografii nie wiedział, że za cztery lata zabije o połowę młodsze od siebie dziecko. Kobieta ciągnąca syna do kościoła nie wiedziała, że już go straciła. Wtedy jeszcze to się nie wydarzyło. Ale czy już wtedy było nieuniknione? Czy było tylko kwestią czasu, kiedy dopadnie ich rzeczywistość?

Nie wiedział. Życie biegło swoim torem i te rzeczy się wydarzyły. Nie potrafił powiedzieć, czy można było temu zapobiec. Wiedział tylko, że trzydzieści lat temu Sally Matthews zmusiła syna do wizyty w kościele, jak się okazało, jednej z ostatnich. I z tej utraconej chwili pozostał teraz jedynie strzęp papieru.

„Staram się, mamó. Każdego dnia się staram”.

Rozległo się pukanie do drzwi, które wyrwało go z zamyślenia. Miał właśnie poprosić, by intruz, kimkolwiek jest, wszedł do środka, ale drzwi już się otwierały. Coś się musiało stać. Washington się wyprostował, spodziewając się wieści o Diegu i Oscarze, kolejnej odsłonie kłótni.

Ale ujrzał twarz Ronalda i uświadomił sobie, że wydarzyło się coś znacznie gorszego.

## Dobre życie

Jason nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak źle w miejscu, które dobrze znał.

Zamówili dwie pizze, lekki sos i dodatkowy ser dla Billy'ego oraz pepperoni i podwójną sałatkę z pikli dla niego. Siedzieli w pokoju dziennym Michaela i oglądali pierwszą część *Gwiezdnych wojen* na DVD. Nie tę prawdziwą pierwszą, tylko tę, którą Lucas dokręcił później, z tym długouchym obcym i prostackimi dowcipami. Jason miał wrażenie, że facet powinien być dać sobie spokój, ale Billy bardzo lubił ten film, a instrukcje lekarza były wyraźne.

- Wstrząś minie. Proszę na niego nie naciskać. Zabrać go gdzieś, gdzie czuje się bezpiecznie, i pozwolić się zrelaksować.

Lekarz, żylasty Azjata niewiele starszy od Jasona, wypisał receptę na valium, zastrzegając, by nie podawać chłopcu więcej niż pół tabletki. Potem zostawił Jasona w zbyt słonecznym korytarzu sam na sam ze świadomością, że miejsce, w którym Billy będzie się czuł najlepiej, jest ostatnim, w którym Jason chciałby się znaleźć.

- Jak pizza?

- Okay - bąknął chłopiec z pełnymi ustami i wzrokiem wbitym w ekran. Znajome otoczenie chyba napraw-

dę pomagało. Co miało swoje złe i dobre strony. Z fizjologicznego punktu widzenia zadaniem wstrząsu było pomóc organizmowi funkcjonować w bólu. Jason podejrzewał, że w chwili obecnej Billy nawet nie myśli o tym, co się stało. Jego umysł bronił się, nie dopuszczając do świadomości ostatnich wydarzeń. Ale prędzej czy później będzie musiał się z nimi zmierzyć.

I ja też, pomyślał Jason, opadając na oparcie kanapy nieżyjącego brata, i zmusił się do zjedzenia kolejnego kawałka pizzy.

Później zaprowadził Billy'ego do łóżka, czując się jak oszust, jakby w każdej chwili mógł pojawić się Michael z oskarżycielską miną i spojrzeniem mówiącym: „Zginałem, bo ciebie tu nie było, a poza tym kiepski z ciebie wujek”. Usiadł na brzegu wanny i patrzył, jak Billy myje zęby. Z trudem starał się ukryć zwierzęcy popłoch ogarniający go na myśl, że teraz jakoś ma się na tym wszystkim znać. Że musi być odpowiedzialny. Jeszcze wczoraj wieczorem przyprowadził do domu przypadkowo spotkaną dziewczynę, która jęczała mu gorąco do ucha, kiedy pieprzył się z nią przy ścianie swojej głównianej nory, usiłując utopić lęk w fizycznym doznaniu.

Dziś ma być nagle Tatusiem?

W swoim pokoju Billy ściągnął ubranie, rzucił je na podłogę, potem wpełzł do łóżka i naciągnął kołdrę pod brodę, zostawiając palące się światło. Jason nie znał protokołu pory snania: czy powinien przeczytać jakąś bajkę? Chłopiec sprawiał wrażenie tak bezbronnego, maleńkiego, że coś ścisnęło go w sercu. Chciał mu obiecać, że wszystko będzie dobrze, ale nawet nie wiedział, co to znaczy, więc po prostu stał i patrzył na niego, na długie rzęsy, biały strupek z pasty do zębów na małej wardze. W bladej dziecięcej bezpostaciowości widać już było zaczątki mężczyzny, którym Billy się stanie. Zaczynające się poszerzać ramiona. Silny podbródek Michaela - nos i oczy też go przypominały. Jason poczuł zawrót głowy,

myślał, że upadnie, ale nagle małe palce chłopca owinięły się wokół jego zgrubiałej dłoni.

- Zostaniesz? - Billy pociągnął go za rękę. - Dopóki nie zasnę?

- Się rozumie. - Jason uśmiechnął się z trudem. - Jak długo zechcesz. - Usiadł zakłopotany, opuściwszy ciężko tyłek na łóżko, plecami oparł się o ścianę. Wyciągnął rękę i niepewnie pogłaskał chłopca po włosach.

Bratanek westchnął przeciągle i zamknął oczy, zaciskając je tak mocno, że w kącikach wykwitły drobne kurze łapki. Owinął się dokładnie kołdrą i przekręcił na bok. Przez na wpół otwarte usta wymamrotał:

- Branoc, wujku Jasonie. - Ziewnął. - Kocham cię. Słowa były jak cios w brzuch, niemal zwały Jasona

z nóg. Nie sama deklaracja miłości - Billy był wrażliwym dzieckiem, na okrągło czynił takie wyznania - ale świadomość, że teraz jest jedyną osobą na świecie, do której chłopiec może coś takiego powiedzieć. Ogarnęła go panika i zapragnął całym sobą, by świat znowu nabrał sensu. To nie Michael powinien umrzeć. Los ukarał nie tego z braci Palmerów.

- Też cię kocham, szkrabie. - Serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył na wszystko, co zostało z jego rodziny. - Śpij już.

Wyłączył lampę i delikatnie ułożył się obok Billy'ego ze stopami wystającymi z wąskiego łóżka. Sufit był usiany świecącymi się w ciemności gwiazdami, spiralami sztucznych konstelacji i plastikowymi planetami tworzącymi sklepienie nad głową. Daleki od snu, Jason liczył ciche oddechy bratanka, liczył i gapił się na fałszywe niebo, gapił się i modlił, by wiedzieć, czego szuka.

Pierwsza w nocy. Siedział znowu w dużym pokoju, oświetlonym jedynie przez telewizor, na którym nadal jarzyło się menu DVD z *Gwiezdnymi wojnami*. W jego jaskrawym poblasku widać było, że butelka Jim Beama jest na wpół opróż-

niona. Jason nalał do szklaneczki jeszcze na dwa palce i wypił jednym haustem.

Kiedy byli mali, bawili się w *Gwiezdne wojny*. Była to jedna z nielicznych zabaw, na którą obaj przystawali. Michael zawsze chciał być Lukiem, odpowiedzialnym chłopcem z farmy, który ratuje świat. Jason wolał odgrywać Hana, przemytnika, który zobaczył galaktykę i zdobył dziewczynę. Pamiętał splekany beton i brązową trawę na tyłach nieczynnej ubojni, pamiętał, jak rzucali kamieniami w okna, udając, że wysadzają Gwiazdę Śmierci. Czasami pojawiała się policja i wtedy rzucali się do ucieczki, czmychając przez ogrodzenie z kutego żelaza i biegnąc nabrzeżem, wniebowzięci, że są ścigani, i świadomi, że glinom nie zależy na tyle, by ich złapać. Lukę Skywalker i Han Solo, ramię w ramię.

Tyle że w filmie Han wrócił, żeby uratować tyłek Luke'a. A ty pozwoliłeś Mike'owi zginąć.

Przywra się poruszyła, silniejsza i okrutniejsza niż wczoraj. Zacisnęła poblądłe knykcie na szklance, pociągnął kolejny łyk burbona. Chwycił pilota i zmienił kanał na CBB. Patrzył, jak opancerzone M113, „siewcy nienawiści”, toczą się przez Faludżę. Jakiś Irakijczyk w koszulce w paski pokazywał na miejsce, gdzie ogień z broni strzeleckiej odłupał kawałki betonu ze ściany.

Jego brat nie żyje. Usiłował chwycić się tej myśli, zrozumieć, ale równie dobrze mógł próbować złapać dym. Nic nie miało sensu. Odkąd Kozia Bródka wyłonił się z cienia, z literami wytatuowanymi na przedramieniu i chromowanym automatem w dłoni, świat przestał stosować się do reguł zrozumiałych dla Jasona.

Nie, nie wczoraj. Jeszcze wcześniej. Kiedy zginął Martinez.

Martinez, który kiedyś wsadził sobie cycki ze skarpetek pod mundur polowy i wymalował usta kurewską czerwienią, a potem paradował po bazie z karabinem na ramieniu, niczym makabryczna, ciężkozbrojna cheerleaderka. Nawet

porucznik stłumił uśmieszek i się odwrócił, pozwalając trepom na chwilę ubawu.

Jeszcze jeden brat, którego zawiódł.

Wyglądało na to, że za każdym razem gdy odważył się kogoś pokochać, ten ktoś znikał. Najpierw ten kutas, ojciec, potem mama. Znalazł nowy dom w armii i nowych braci. Ale to się skończyło, kiedy umarł Martinez. Stracił przyjaciela, potem swój drugi dom, a teraz stracił Michaela. Jediną rzeczą, którą Jason rozumiał, było to, że sam jest trucizną.

Miał już w czubie, ale nalał sobie kolejnego drinka i szybko wypił świadom pulsowania w czole. Na ekranie palił się samotny, odludny budynek, czarny dym siniaczył niebo.

„Płacz. Na litość boską, płacz, człowieku”.

Przypomniał sobie, jak siedział w piwnicy pubu Michaela. Brzęczenie radia w tle. Stary sejf za imitacją grzejnika. Wyjaśnienia Michaela, że w czasach prohibicji, kiedy miejsce było nielegalną metą, chowano tam pieniądze. Pamiętał, że potem Michael otworzył skrytkę, wyjął butelkę Black Label, pociągnął z niej sam i podał Jasonowi. Pamiętał, że uśmiechnął się do niego, puszczając w niepamięć wszystkie kłótnie.

Powiedział, „Za dobre życie, bracie”.

„Ożeż, cholera jasna, płacz!”

Walnął pięścią w udo, potem jeszcze raz, czując mięsiste plaśnięcie i tępy rozchodzący się ból, który niczego nie zmienił. Co jest z nim nie tak? Ile to już razy od powrotu do Stanów siedział w ciemnościach, przywołując łzy, które nigdy się nie pojawiały. Zero łez dla Martineza, zero dla siebie. A teraz też zero dla Michaela. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby nie płakać po śmierci brata?

Przypomniał sobie, jak rano czyścił berettę. Ten dziwny trans, jaki go ogarnął, kiedy odwrócił broń i skierował śmiertelne oko na swoje czoło. Syreni zew połyskującego metalu, swój kciuk na spuście, pokusę, by go nacisnąć. Był już zmęczony ciągłym rozczarowywaniem ludzi, zmęczony za-

rażaniem ich. Zmęczony stanem nieważkości, w którym poruszał się po świecie.

A w środku jeszcze ta tłusta, skręcająca się Przywra.

Zgiął się wpół z rękoma zaciśniętymi na brzuchu, usiłując stłumić odruch wymiotny. Wziął kilka łapczywych wdechów, potem chwycił szyjkę butelki, zacisnął na niej wargi, jakby chciał wyssać z niej zbawienie. Przechylił ją i otworzył usta, pozwalając, by palący płyn zalewał mu gardło. Pił i pił, oddychając przez nos i wyobrażając sobie, jak Przywra się topi, wijąc się i piszcząc, wzbijając obrzydliwym cielskiem bursztynowe fale.

Pił, dopóki nie opróżnił butelki, potem pozwolił jej wypaść bezwładnie z palców. W CNN pojawiły się gadające głowy, Rumsfeld perorujący na temat ostatnich wydarzeń. Jason pamiętał, jak wiele lat temu, niedługo po pierwszym wyjeździe na misję, usłyszał jego słynny tekst o znanych wiadomych i znanych niewiadomych oraz nieznanymi niewiadomych, i pomyślał, że choć brzmiało to głupawo, doskonale wie, co gość ma na myśli, tyle że nie mówił o wojnie, a o życiu, przynajmniej tak jak na nie patrzył Jason, nigdy nie rozumiejąc, i przez chwilę siedział, gapił się w telewizor i usiłował znaleźć sposób na ogarnięcie tego wszystkiego i pozbieranie świata do kupy.

Kiedy wreszcie się poddał, czuł suchość w ustach i początki potężnego kaca. Zegar na panelu kablówki pokazywał drugą dwanaście. Sięgnął po pilota i naciskał po omacku, dopóki odbiornik się nie wyłączył, potem upuścił go z głuchym odgłosem na stolik. Rozwiązał sznurówki sportowych butów, ściągnął skarpetki. Czas uderzyć w kimono. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść na górę, do pokoju brata.

Nie. Mowy nie ma.

Ściągnął koc z oparcia kanapy, podkulił nogi i opuścił głowę. Długi, potworny dzień. Dzień, który wymykał się zrozumieniu. Może rano sprawy nabiorą sensu.

Prawie już spał, gdy usłyszał odgłos rozbijanego szkła.



*2 lipca 2005 roku*

*Billy wysuwającyk. Źle trzyma młotek, zaciskając małe palce zbyt wysoko i choć wali raz po raz, gwóźdź nie chce wejść. Na ziemi obok leży pięć niedobraniych bali i splątana lina.*

*Buduje domek na drzewie, wyjaśnił wcześniej Jasonowi, a ten się roześmiał, zmierzwił mu piśszczotliwie włosy i wrócił do domu po piątę piwo. Wypił, i jego usta domagają się teraz szóstęgo, ale Jason ociąga się z opuszczeniem oszklonej werandy, obserwując bratanka. Billy bierze zamach i wali z całej siły. Gwóźdź odskakuje z brzdękami i upada gdzieś dalej. Chłopiec upuszcza młotek i kopie drzewo, potem skacze dokoła na jednej nodze.*

*Zamiast iść do kuchni, Jason otwiera siatkowe drzwi i wychodzi na zewnątrz.*

*Tłumaczy Billy'emu, jak należy trzymać młotek, dłonią u nasady. Wbija jeden bretnal, pokazując: dwa stuknięcia, żeby osadzić, trzy uderzenia, żeby wbić. Potem przytrzymuje deskę i podaje młotek bratankowi.*

*Kiedy Michael wraca do domu, znajduje ich na drzewie, każdy siedzi na swoim konarze, machając nogami. O bok pnia opiera się nierówno drabina. Michael rejestruje to wszystko bez słowa.*

*- Skończyło nam się drewno - wyjaśnia Billy.*

*Michael wzdycha i odchodzi.*

*- Co się stało? - Chłopiec wygląda nagle na zdenerwowanego.*

*Jason kręci głową.*

*- Nie wiem.*

*Chwilę później Michael wraca, niosąc dwa brzoźowe leżaki. Stawia jeden do góry nogami, sięga po młotek i odłamuje jedną nogę.*

*- Nie możecie na tym poprzestać. Patrzcie, o ile wyżej moglibyście wejść.*

*Puszczą oko, podając im deskę.*

## W blasku czerwono-niebieskich świateł

Jason otworzył gwałtownie oczy. Usiadł prosto, bijąc na oślep powietrze. Fala adrenaliny splukowała alkoholowe zamroczenie, reakcja „walcz albo uciekaj” zepchnęła wszystko inne na bok.

Dźwięk był jednoznaczny, ale trochę stłumiony. W tej okolicy hałas tłukącego się szkła mógł oznaczać pijaka wyrzucającego ostatnią butelkę albo dzieciaki rozbijające szybę samochodową. Nie było jeszcze powodu do paniki. Starał się dostroić do odgłosów domu, rozciągnąć percepcję na każdy jego zakątek, uczynić go przedłużeniem własnego ciała, częścią samego siebie, tak osobistą jak kończyny.

Jeszcze raz trzasnęło szkło. Głośniej. Wewnątrz domu.

Wstał, gołymi palcami dotknął słoju drewnianej podłogi. Pokój zawirował mu przed oczyma na moment od napływu krwi do głowy. Przeszedł obok fotela, wstępując w strefę zupełnego mroku z sercem walącym w piersiach. Rozległ się kolejny krótki trzask, jakby ktoś rozbijał szybę, a sekundę później głucho uderzenie, gdy kawałek szkła upadł na dywan.

Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, analizując potencjalne pole bitwy. Bawialnią, gdzie stał, znajdowała się z przodu domu, obok małego holu i drzwi wejściowych. Otwarty łuk prowadził do kuchni i kącika jadalnego. Kuchnia

wychodziła na pokój letni, oszkloną werandę, na której jadali latem. To stamtąd. Usłyszał odgłos otwieranej zasuw.

Jego marynarka leżała przerzucona przez oparcie fotela. Stąpając bezgłośnie, wsunął dłoń do przedniej prawej kieszeni. Broni nie było.

Cholera. Szpital. Wyjął pistolet z marynarki i wsadził do schowka w samochodzie, zakładając słusznie, że na oddziale pomocy doraźnej będą wykrywacze metalu. Później był tak rozkojarzony, że o nim zapomniał. Usłyszał hałas dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia, jakby ktoś wpadł na stół. „Cicho”, wyszeptał jakiś głos. Zatem nie intruz, lecz intruzi.

Jason posuwał się pomalutku wzdłuż ściany, serce mu łomotało, w ustach zaschło. Snop żółtego światła przeciął powietrze, skacząc gwałtownie dokoła, zanim opadł na podłogę. Zaraz jednak pojawił się drugi, ostrożniejszy. Jason przywarł plecami do ściany, zaledwie kilka centymetrów od łuku prowadzącego do kuchni. Drobinki kurzu tańczyły w świetle, kiedy latarki omiatały wnętrze. Odtwarzał w myślach rozkład kuchni - stół niedaleko łuku, czarno-białe płytki linoleum, blat i zlew na jednej ścianie. Nagły rozbłysk latarki oślepiłby go, odbierając zdolność widzenia w ciemności. Musiał wiedzieć, co ma przed sobą. Z mrowieniem w palcach zajrzał do kuchni.

Trzech mężczyzn rozmawiało cicho. Dwóch trzymało małe maglajty, które skierowali na stopy, ograniczając krąg światła. Mieli na sobie luźne ciemne ubrania i sportowe buty, nieskazitelnie czyste, jakby prosto ze sklepu. Wszyscy trzej byli uzbrojeni. Po co złodziejom broń?

Nagle trzeci mężczyzna też włączył latarkę, kierując ją na pierś, żeby wyregulować moc. Blask światła wyłonił z mroku jego twarz. Przez chwilę Jason myślał, że serce mu stanęło, potem uświadomił sobie, że tylko wstrzymał oddech.

To był Kozia Bródka.

Jego pierwszą reakcją był czysty gniew. Pomyślał o zgliszczach pubu, poskręcanych drewnie pokrytym pę-

cherzami od gorąca. O ciele swojego brata, leżącym gdzieś w kostnicy. Serce przepełniła mu wściekłość, krew zagotowała się od żądz mordy. Kozia Bródka chce się zabawić. Już on z nim zatańczy.

Potem przypomniał sobie o Billym.

Wycofał się z przejścia w mrok. Musi się jakoś z tego wykaraskać, nie narażając chłopca. Może nie spisuje się jako wujek. Może nie jest jeszcze gotów do roli tatusia. Ale w życiu nie pozwoli, żeby ktokolwiek skrzywdził jego bratanka.

Nie miał dużo czasu. Omiótł wzrokiem pokój w poszukiwaniu broni, jego spojrzenie padło na pogrzebaczę przy kominku, potem na stolik z pilotem do telewizora i pustą butelką po Jimie Beamie, wreszcie na biurko brata z nożykiem do kartonu wystającym z kubka na długopisy. Nic, co mu wpadło w oko, nie mogło się równać z pistoletem, a co dopiero z trzema.

Potem jeszcze raz popatrzył na stolik.

„Dalej”.

Podszedł szybko na palcach, chwycił pilota, potem zakradł się do frontowych drzwi. Z pomieszczenia obok kuchni dochodziły słabe odgłosy stąpania, mężczyźni się rozdzielali. Miał góra kilka sekund. Chwycił klucz tkwiący w zamku i zaczął obracać, ciało wołało o pośpiech, umysł nakazywał ostrożność. Przekręcał klucz bardzo powoli, a kiedy poczuł opór, sięgnął do klamki. Pomodlił się szybko w duchu, żeby zawiasy nie zaskrzypiały.

Drzwi otworzyły się lekko, bezgłośnie jak zjawa.

Wyszedł na zewnątrz, po klimatyzowanym wnętrzu parne powietrze sierpnia wydawało się gęste jak wata. Odwrócił się i zamknął drzwi dokładnie w chwili, kiedy w salonie pojawiła się ciemna postać, omiatając podłogę snopem światła. Jason obrócił się, schylił i szybko przebiegł wzdłuż frontu.

W okolicy panował spokój, pogrążone we śnie domki opierały się o siebie nawzajem. Większość latarni była ze-

psuta, ale nieliczne działające oświetlały podwórko mocniej, niżby sobie życzył. Szedł schylony. Kiedy dotarł do okna bawialni, ostrożnie przycisnął się do ściany obok, przenosząc stopy z trawy na ostre drewniane wióry wyściełające pusty kwietnik. Coś wbiło mu się w miękkie podbicie stopy, ale przelewająca się przez ciało adrenalina sprawiła, że ból wydawał się stłumiony jak odległy grzmot. Odchyliwszy głowę w bok, zajął do wnętrza pokoju przez okno.

Na środku pomieszczenia stał jakiś mężczyzna z latarką w jednej ręce, pistoletem w drugiej. Miał metr osiemdziesiąt z kawałkiem, opadające powieki i zaczesane do tyłu warkoczyki na głowie. Trzymał broń nisko i nie kierował światła tam, gdzie powinien.

Jason uniósł pilot, skierował go przez okno na telewizor niecałe dwa metry dalej i wcisnął przycisk. Odbiornik zaskoczył, ekran ożył. Kark obrócił się na pięcie. Podniósł pistolet do strzału i krótko krzyknął.

Jason wcisnął przycisk natężenia dźwięku, podgłaśniając fonie. Nadal leciało CNN: huk obracających się śmigieł czarnego jastrzębia niósł się przez szybę. Bandyta ruszył w kierunku telewizora, nagle znowu się odwrócił, pozwalając światłu latarki tańczyć szaleńczo po ścianach. Jason się uśmiechnął, upuścił pilota i pognął dalej co siłą.

Cadillac stał zaparkowany na ulicy i przez chwilę Jason rozważał, czy może pobiec po broń. Ale manewr maskujący z telewizorem z pewnością nie odwróci uwagi napastników na długo. Musiał wydostać Billy'ego. Ruszył przez podwórze, wciągając do płuc gorące powietrze. Między domem Michaela a sąsiednim znajdowała się wąska ścieżka i pognął nią, uderzając stopami o spękany beton. Budynek obok był w pożałowania godnym stanie: całe kawały sidingu poodpadały, dziury po nich, niczym zapadnięte oczy, obserwowały jego bieg.

Po piętnastu krokach znalazł się na tyłach domu i przystanął w ciemnościach, spoglądając na oszkloną werandę.

Tak jak się spodziewał, jedna z szybek w szklanych drzwiach została wybita. Drzwi ustąpiły pod dotykiem jego dłoni. Odrobina światła wpadająca przez okna odbijała się od ostrych krawędzi, kiedy kroczył ostrożnie między odłamkami szkła na podłodze.

Przystanął z sercem w gardle, dziko tętniącym krwią. Telewizor w drugim pokoju nadal ryczał na cały regulator, słycać było arabski i nałożony na to głos tłumacza informujący o zasadzce, która posiadała trzech marines do piachu. Z uliczek wychynęli rebelianci z kałasznikowami i granatnikami RPG, relacjonował jakiś mężczyzna. Jason przeszedł przez drzwi do kuchni na palcach. Pomieszczenie tonęło w ciemnościach, powietrze z klimatyzatora było zimne i zatechłe. Po boku spłynęła mu powoli kropla potu, ręce się trzęsły. Zignorował to i stawiając ostrożnie stopy, krok za krokiem zbliżał się do schodów.

- Człowieku, wyłącz to cholerstwo. - Głos był głośny, zdecydowanie za głośny jak na zasadzkę, i Jason go rozpoznał. Ten sam, który niedawno opowiadał mu o DVD w desce rozdzielczej zmyślnego cadillaca XLR. W innych okolicznościach, gdyby chodziło tylko o jego własne życie, być może uśmiechnąłby się nawet na myśl o Koziej Bródce wracającym po kolejny łomot.

Telewizor zgasł, zapadła cisza niczym kurtyna akustyczna. Cholera. Dźwięk stanowił dobrą zasłonę dla jego ruchów.

- Pojechało cię, ziomas? - Kozia Bródka sprawiał wrażenie wściekłego.

- Gówno samo się włączyło.

- Może Trey-Ball zdepnął pilota.

Trzech mężczyzn, trzy głosy. To znaczyło, że schody są wolne. Szedł ostrożnie, unosząc stopę, przesuając ją uważnie w powietrzu i stawiając pewnie przed podniesieniem drugiej. Dotarł do blatu, zauważył stojący telefon. Czemu nie?

Podniósł słuchawkę, wystukał 911, potem delikatnie odłożył słuchawkę na blat i ruszył dalej.

- Facet, niczego nie zdeplęm.

- No, samo się nie włączyło.

Głos Koziej Bródki przerwał sprzeczkę.

- Mordy w kubel. Znajdźcie tego dzieciaka i załatwmy sprawę.

Na te słowa Jason się wzdrygnął. Ręce mu się trzęsły, kiedy przetrawiał ich znaczenie. Wcześniej zakładał, że Kozia Bródka nie przeboleał wczorajszego incydentu i wrócił, żeby się z nim policzyć. Tymczasem zupełnie nie o to chodziło, nie jego chcieli dorwać. Zależało im na Billym. Z jakiegoś powodu chcieli zabić jego bratanka.

Ale nic z tego, gdy Jason jest na warcie.

Ruszył po schodach. Starał się stapać lekko po zewnętrznych krawędziach stopni, nie opierając się całym ciężarem ciała. Dom, podobnie jak wszystkie w okolicy, był stary, ale w odróżnieniu od większości okolicznych mieszkańców, którzy pozwalali popadać swoim nieruchomościom w ruinę, Michael o niego dbał. Schody przykrywał nowy dywan, którego gruby splot tłumił odgłos kroków. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Jason zdąży zabrać chłopca, sprowadzić go na dół i ulotnić się tą samą drogą, którą przyszedł, zanim napastnicy w ogóle się zorientują, że ich nie ma.

Nagle w korytarzu na górze zapaliło się światło i rozległ się głos Billy'ego, zaspany, półprzytomny, rozdzierający serce i... głośny.

- Tato?

Tyle jeśli idzie o wymknięcie się chyłkiem. Jason poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, rzucił się z tupotem po schodach, słysząc już z tyłu pościg, pisk gumowych podszew na parkiecie, łoskot jakiegoś upadającego przedmiotu.

Billy stał na końcu korytarza w uchylonych drzwiach, obramowany żółtym światłem i maleńki w wielkich majta-



sach. Jason popędził korytarzem, mijając drzwi do pokoju Michaela i do łazienki, potem zgarnął chłopca za jedno ramię i kopnięciem zamknął drzwi. Szybko omiótł wzrokiem pokój: plakaty, zegar NASCAR, stos brudnych ubrań, biurko ze szczebelkowym krzesłem. Przyda się. Postawił Billy'ego, chwycił krzesło i wepchnął je pod klamkę drzwi, potem wyłączył światło.

Wiedział, że nie są jeszcze bezpieczni. Podeszedł do okna. Dach werandy znajdował się niecałe dwa metry niżej. Pociągnął za klamkę. Nic. Słysząc było łoskot kroków na schodach. Przeklął, nagłym szarpnięciem otworzył zamek, potem uniósł okno.

- Chodź tutaj!

Odwrócił się i zobaczył, że Billy stoi już obok, z wielkimi oczyma i twarzą pobladłą w poświacie latarni. Jason stłumił poczucie winy z powodu paniki malującej się na twarzy małego. Nie pora na to. Zakarbował sobie kolejny powód, by nienawidzić Koziej Bródki.

Usłyszał trzask otwieranych drzwi w głębi korytarza, wyobraził sobie, jak mężczyźni omiatają latarkami łóżko Michaela. Nachylił się do przodu, szarpiąc za zasuwy moskitiery. Były bardzo stare, plastikowe rygle się zacinały, sprężyny dawno przerdzewiały. Padł na niego blady strach. Musi wydostać stąd Billy'ego.

Skrzywił się, potem walnął prawą stopą w krawędź ramy siatki. Tandetne ustrojstwo oderwało się od okna i upadło z brzękiem na daszek niżej.

- Chodź - nakazał gestem Billy'emu i po części pomógł mu wyskoczyć, po części wyrzucił go przez okno. Z tyłu ktoś szarpnął za klamkę, zablokowane przez krzesło drzwi uchyliły się na półtora centymetra.

Jason przykucnął na skraju parapetu, przerzucił na zewnątrz jedną nogę, potem wyciągnął drugą. Billy patrzył się na niego oczyma okrągłymi jak księżycy. Z tyłu rozległ się

przeciągły trzask, krzesło ustąpiło, drzwi gwałtownie odskoczyły, ktoś krzyknął.

Jason chwycił bratanka, przerzucił go sobie przez jedno ramię i pobiegł do krawędzi dachu, smoła lepiała się mu do gołych stóp. Bez mrugnięcia okiem skoczył na trawnik niżej, od siły uderzenia po kolanach i kostkach przeszedł mu prąd. Zauważył krzywą drabinę z kantówek, biegnącą w górę jedyne na podwórzu drzewa do chybotliwego domku, który zbudowali z Billym i Michaeliem niecałe dwa miesiące temu.

Rozległ się trzask, poszła szyba i Jason, biegnąc, automatycznie rejestrował siłę ognia, dwa, potem trzy strzały, stawał na dziewięć milimetrów. Uskoczył na wąską ścieżkę między domami. Billy, z rękoma zaciśniętymi na jego szyi, obijał się mu o grzbiet jak plecak, resztki beztroskiego dzieciństwa brały w łeb z każdym kolejnym ciężkim, spanikowanym stąpnięciem stóp wujka.

W domach dokoła zaczęły migotać światła zapalane przez ludzi zerwanych z łóżek przez strzelaninę, zorientowanych, że trzeba zapalić światło, ale broń boże wyjść na ganek. Cadillac stał niecałe trzydzieści metrów dalej i Jason biegł ile tchu w piersiach, na złamanie karku, jedną dłonią szukając kluczyków w kieszeni.

Podbiegł do samochodu od strony pasażera i wgramolił się tamtędy do środka, wykorzystując auto jako zasłonę, potem wciągnął Billyego. Uruchomił silnik i zanim ten jeszcze w pełni zaskoczył, już wrzucił bieg.

Kiedy ruszali z piskiem opon, frontowe drzwi domu Michaela otworzyły się gwałtownie i Jason spodziewał się, że Kozia Bródka rzuci się chodnikiem, grzejąc do nich jak jakiś szwarczarakter z filmu akcji, widział już w oczach wyobraźni rozpryskującą się tylną szybę auta. Ale z rykiem silnika i piskiem opon mieszał się dźwięk policyjnych syren, głośnie wycie dochodzące z kilku stron. Telefon pod 911 nie poszedł

na marne. Postać w drzwiach uniosła broń, zawahała się, potem odwróciła i zniknęła we wnętrzu.

Serce biło mu jak szalone, chciał wcisnąć gaz do dechy i grzać przed siebie, ale zmusił się, żeby zwolnić, skręcając w pierwszą z brzegu uliczkę i jadąc równo pięćdziesiąt. Jakiś radiowóz z włączonym kogutem zbliżał się z naprzeciwka i Jason zjechał mu z drogi na bok, jak przystało na wzorowego obywatela.

Kiedy przejeżdżał obok, Jason zerknął na chłopca, na jego drobne ciało prawie kompletnie gołe, przypominające jeden wielki siniak w blasku czerwono-niebieskich świateł, i zachodził w głowę, kto może być tak pojebany, żeby chcieć zabić ośmioletnie dziecko.

I czy spróbuje znowu.

## Zagrożenie

Anthony DiRisio się nudził. Nie mógł pojąć, jak policjanci znosili to wysiadywanie całymi godzinami na czujce. Na filmach zawsze człowiek miał wrażenie, że ledwo opowiedzieli sobie jakąś anegdotkę, a już coś się zaczynało dziać. Ale on warował pół przecznicy od domu czarnuchów już od dwóch godzin i jedynym wydarzeniem było doskwierające mu coraz bardziej potężne parcie na pęcherz. Ziewnął i się przeciągnął, kabura podjechała po żebrach do góry.

Zaparkował wystarczająco daleko, by nikt nie zwrócił uwagi na furgonetkę, ale sam miał bardzo dobry widok na frontowy ganek, gdzie kumple z osiedla popijali z butelek Old English. Pajacowali i chojrakowali niczym panowie całego stworzenia w okolicy, która wyglądała jak Liban. Rozpadające się parterowe domy ze stalową siatką na frontowych drzwiach, maleńkie ogródki zapuszczone na amen. Graffiti na billboardach, graffiti na słupach latarni, graffiti na cholernej ulicy przed domem.

Ciężki od basu rap popłynął z otwartych drzwi niczym dzingiel i przed dom wyszedł muskularny mężczyzna, DiRisio poznawał go po sylwetce. Dion Williams, który kazał nazywać się C-note. Anthony nazywał go C-welem. Przybił pionę z jednym z kumpli, a bambus wstał i ruszył za nim do domu.

DiRisio wiedział, że już nie jest trendy nazywanie ich bambusami, ale tego określenia nauczył się jako dziecko, dorastając na południe od Taylor, i pozostał mu wierny.

Sięgnął ręką w dół do pokrętła oparcia i odchylił je odrobinę, usiłując zmniejszyć nacisk na pęcherz. Czekał.

Dziesięć minut później dwóch gości na ganku wstało. Odwalili wymyślny rytuał pożegnalny złożony z uścisków dłoni i objęć z resztą zgromadzonych, potem zwieźli się po schodach. Ten, na którego wołali Brillo, zatrzymał się na dole, przechylił głowę i jednym haustem opróżnił butelkę piwa, którą następnie rzucił na trawę. Zero szacunku nawet dla własnego otoczenia.

Potem dwójka wsiadła do czarnego monte carlo, rocznik 1970, bardzo podobnego do tego, którym Denzel Washington jeździł w tym policyjnym filmie. Denzel był w porzo. Anthony nie podejrzewał, by rzucał puste butelki po browarze przed własnym domem. Światelka LED podświetlały tablicę rejestracyjną, a basy trzęsły podwoziem. Brzmiało to tak, jakby ktoś usiłował się wydostać z bagażnika.

- S-rap - rzucił pod nosem Anthony i odpalił furgonetkę.

Trzymał się z daleka, dając im dużo swobody. Na jednym ze skrzyżowań minęli kantor wymiany walut oświetlony jak Vegas, kilka witryn sklepów i zakładów z ręcznie malowanymi szyldami na drugim. Zatrzymali się na czerwonym przy McDonalddie, potem skręcili w kwartał, przed którym stała tablica informująca, że nie toleruje się tu narkotyków ani gangów. Dokładnie przez jej środek biegł namalowany sprayem tag Gangster Disciples. Monte carlo zatrzymał się obok opuszczonego parkingu i muzyka gwałtownie ucichła.

Anthony minął forda i pojechał dalej. Zahamował przed znakiem stopu, zerknął we wsteczne lusterko. Brillo, wymachując zatłuszczoną białą torbą, przeszedł z kumplem przez ulicę. Anthony okrążył kwartał i znalazł miejsce do parko-

wania. Przez chwilę słuchał pomruku silnika, potem zabrał swoją walizeczkę i wysiadł z furgonetki.

Przede wszystkim przeszedł wzdłuż budynku, w którym zniknęła dwójka bambusów, wyłowił fiuta i oznaczył dom tagiem Anthony'ego DiRisio. Kiedy ostatnie krople spłynęły po tynku, poczuł się jak nowo narodzony.

Podszedł do monte carlo, wyjął ze skrzynki na narzędzia cienki metalowy pasek. Wsunął wytrych za uszczelkę okna i kiedy poczuł, że usadowiła się na dźwigni blokady, pociągnął w bok i do góry. Zamek odskoczył.

W środku w gęstym od dymu powietrzu unosiła się tandetna woń drzewka zapachowego. Szyby były tak mocno przyciemnione, że prawie nie widział ulicy. Ściągnął odświeżacz z lusterka, wyłączył głośność na odtwarzaczu CD, potem wyjął ze swojej walizeczki śrubokręt i wcisnął go do stacyjki. Wbił głębiej młotkiem, zacisnął klucz nakrętkowy na grocie, następnie walnął w dół, żeby uwolnić mechanizm. Całe ustrojstwo znalazło się w jego dłoni.

Jedno przekręcenie przełącznika obrotowego i silnik uruchomił się ze zmysłowym pomrukiem.

Anthony się uśmiechnął. Z żadnym autem wyprodukowanym po 1985 roku nie poszłoby tak łatwo. A większość tych z ostatniej dekady miała zainstalowane immobilizery RFID uniemożliwiające uruchomienie samochodu bez kluczyka. Chwała chłopakom za przedkładanie stylu nad użyteczność.

Włączył z powrotem radio, ustawił głośność na poziomie białych ludzi. Natychmiast uruchomił się odtwarzacz, Di Risio walnął w przycisk, żeby wyjąć płytę. Z przyzwyczajenia - poznaj swojego wroga - sprawdził wykonawcę: DMX, *It's Dark and Heli is Hot*.

- Święta racja, bracie - rzucił pod nosem i zachichotał. Cisnął płytę razem z odświeżaczem na tył i ruszał pokrętłem strojenia, dopóki nie znalazł prawdziwej muzyki: Phila Collinsa śpiewającego o tym, jak czuje, że coś się stanie dziś wieczorem.

Kabura wpijała mu się w bok, wyciągnął pistolet, szwajcarskiego sig-sauera P-226 i położył go na siedzeniu obok.

Gdy znalazł się z powrotem na ulicy, rozparł się wygodnie na skórzanym oparciu, zadowolony. Zawsze wydawało mu się dziwne, do czego przywiązywały wagę te gnojki z gangów. Ich sportowe buty musiały być nieskalanie czyste. Ich bryki podrasowane i lśniące. Ale bez zmrużenia oka mieszkali w zapuszczonych norach, gdzie spod przesuniętego mebla rozbiegała się hurma karaluchów. Na metach miewali czterdzieści koła w gotówce wepchnięte za pięćdziesięciocalowy telewizor i wiadro na wpół wypełnione szczyną koło stolika, bo toaleta się zepsuła i nie mogli wezwać hydraulika. Anthony nie cierpiał jeździć na ich osiedla, nie cierpiał ich smrodu. Nie cierpiał bufonady małolatów, którzy nie odwalili pierwszej roboty i pozostawali poza strukturami, nie cierpiał tej wszechobecnej pozy gangsta. Nie cierpiał ksywek, towaru, rapu, łańcuchów, biżutów, bandan i brutalnych rywalizacji międzygangowych, których nie potrafili wyjaśnić, i domagania się szacunku, na który nie zasłużyli.

W wieczory takie jak ten miał więcej frajdy.

Jechał na zachód, patrząc na rosnące numery i zmieniające się budynki. Zaczęły się pojawiać sklepiki spożywcze, małe miejskie markety z jaskrawymi fluorescencyjnymi neonami rozświetlającymi noc. Również graffiti się zmieniło, widać było korony i gwiazdy, tu i ówdzie migła liczba trzynaście. Na parkingu przy taquerii z samochodów dolatywały latynoskie brzmienia, a o maski opierali się cholo\*: mężczyźni w spodniach khaki, kobiety o wybujałych kształtach. Cokolwiek by mówić o Meksach, a Anthony mógł powiedzieć niemało, trzeba przyznać, że ich seniority mają w sobie coś.

Zwolnił i posuwał się żółwim tempem, pozwalając, by dobrze się przyjrżeli monte carlo. Zwarli szyki w obliczu zagro-

\* Cholo - członek meksykańskiego, lub szerzej, latynoskiego gangu.

żenia. Mężczyźni się wyprostowali, kilku wystąpiło do przodu. Większość była napakowana, rozdarte koszule ukazywały muskuły pokryte tatuażami, gdzieś spłowiała czerń więziennych dziar. Zastanawiał się, czy któryś z nich wie, że samochód należy do Brilla, czy też po prostu zobaczyli podrasowaną brykę, która była obca. Na dwoje babka wróżyła.

Parę minut później dotarł do właściwej ulicy. Po obu jej stronach ciągnęły się rzędy takich samych domów, kilka opuszczonych, wszystkie zapuszczone. Wieczór był gorący i ludzie siedzieli na gankach. W radiu Merrilee Rush śpiewała *Angel of the Morning*. Pogłodził nieco, lubił czyste i mocne brzmienie jej głosu. W połowie przecznicy wyłączył światła, samochód był teraz jak czarny rekin, drapieżca w niebezpiecznych wodach.

Dla niewprawnego oka dom nie różnił się niczym od pozostałych. Pooblupywany tynk, wyblakła oblicówka, brama z metalu. Ale każde okno miało kraty antywłamaniowe przyspawane albo zabezpieczone hartowanymi zamkami, a frontowe drzwi wgniecenie nad klamką, gdzie musiał je kiedyś zarysować policyjny taran. Podwórko było zupełnie pozbawione roślinności, nie rosły tu nawet wymizerowane krzaczki widoczne przed innymi domami. Wszystkie okna zasłaniały grube rolety.

Anthony wrzucił luz. Pora na zabawę. Wziął sig-sauera z siedzenia pasażera, czarny plastikowy chwyt leżał jak ulal w jego dłoni. Merrilee się rozkręcała, śpiewała, że jest dość duża, by stawić czoła świtowi. Anthony nucił razem z nią, opuszczając szybę i mierząc po lufie, trytowa kropka i kreska celownika siga zgrały się idealnie.

*Just call me angel of the morning, angel.*

Lufa trysnęła ogniem, huk przetoczył się ciemną ulicą. Górne narożne okno eksplodowało deszczem iskier.

*Just touch my cheek before you leave me.*

Gdzieś dalej na ulicy ktoś krzyknął. Anthony wycelował w następne okno, nacisnął spust. Rozbił trzecie, zanim szyba drugiego spadła na ziemię.



*Jusr cali me angel ofthe morning, angel.*

Opuścił trochę ramię. Odetchnął i strzelił dwa razy, roztrzaskując w deszczu iskier światła na ganku. Czekał z ręką opartą o okno.

*Then slowly tum away.*

Ktoś szarpnął frontowe drzwi i gdy tylko uchylły się na kilka cali, Anthony posłał piękną potrójną wiązkę w okolice klamki, która otworzyła je na przestrzał. Jakaś postać uskoczyła szybko w głąb. Do uszu Anthony'ego doleciał grad hiszpańskich przekleństw, ktoś ubliżał mu od skurwysynów.

Niezbyt mądrze mówić tak do gościa, który wychował się na południe od Taylor.

Obrócił się o pół cala, mierząc z sig-sauera w lewą część ościeżnicy drzwi. Nacisnął dwa razy. Studwudziestotrzygramowe pociski pełnopłaszczowe przeszły przez wysłużony siding i zbutwiałe drewno jak przez masło. Istniała różnica między krzykiem a jękiem i mężczyzna w środku to zademonstrował.

Anthony się wyszczerzył, cisnął broń na siedzenie pasażera, przygazował na luzie i wrzucił bieg. Monte carlo szarpnął do przodu, silnik dziko zawył.

Zobaczył we wstecznym, że z domu wypadły barczyste postaci z bronią w dłoniach. Wcisnął gaz do dechy. Z tyłu rozbrzmiewały trzaski wystrzałów. Dojechał do rogu i nie dotykając pedału hamulca, szarpnął kierownicą, samochód skręcił z piskiem opon i zaraz znalazł się na prostej. Ryk silnika przedrzeźniał wycie wiatru rozbrzmiewające w uszach. Anthony włączył radio, sunąc gładko drogą i zostawiając coraz dalej w tyle cichnące odgłosy strzałów i wrzaski.

I kiedy zapach spalonego prochu wypełnił samochód, a Merrilee darła się na fuli przez głośniki, Anthony DiRisio wybuchnął śmiechem, waląc w kierownicę raz po raz, niczym dżokej zacinający padłego konia.

## Pewniak

Cruz obudził koszmar: śnił się jej pożar. Chciała z powrotem zasnąć i sięgnęła po policyjną wersję liczenia baranów: usiłowała przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z formularzy aresztowań. Nazwy gangów, ksywki i wcześniejsze wyroki przychodziły z łatwością, ale już wzrost, waga, adresy stanowiły wyzwanie.

Dotarła do młodego gangsta z wczorajszej strzelaniny - osiemnaście lat, dwa wyroki za napaść, członek Latin Saints, ksywka Raton, zameldowany w Crenwood prawdopodobnie pod adresem matki - i dała sobie spokój. Nie była ani na jotę bardziej śpiąca, za to zdecydowanie bardziej przygnębiona. Po jakimś czasie coraz trudniej było myśleć o członkach gangów jak o ludziach. Jeden szedł do piachu albo za kratki i natychmiast na jego miejsce pojawiał się następny. Młodzi rekrutowali się z gimnazjum, taśmy produkcyjnej getta. Każdy kolejny model młodszy i agresywniejszy od poprzedniego.

Wstała z łóżka, wciągnęła dres i skarpety. Ciemność napierała na okna od wschodu, a niebo płonęło na południu. Może równie dobrze trochę popracować, nadrobić czas, który poświęciła na rozmowę z Jasonem Palmerem. Kiedy odpaliła komputer, na kolana wskoczył jej mruczący kot. Podrapała

go za uszami, westchnęła, otworzyła pierwszą ze stosu szarych teczek i zaczęła wpisywać dane.

Biuro Wywiadu Kryminalnego ds. Gangów stanowiło swoiste CIA w strukturach chicagowskiej policji z zadaniem tropienia i rozpracowywania gangów, ich członków, sojuszy oraz prowadzonych wojen. Zatrudnieni w nim funkcjonariusze zdobywali informacje na setki różnych sposobów: od rozmów z mieszkańcami, przez graffiti, podejrzanych, przyjaciół śpiących w zamian za lżejszy wyrok, po zdjęcia aresztowanych i donosy od tajnych informatorów. Wszystkie te dane razem służyły nieocenioną pomocą nie tylko w śledztwach, ale także w decyzjach dotyczących rotacji patroli, aresztów prewencyjnych, a nawet budżetu. Biuro było jednostką specjalną, delegacja do niego nie lada gratką i Cruz tyrała jak wół, żeby być pierwszą kobietą, która dostąpi tego zaszczytu.

Jedyny szkopuł polegał tylko na tym, że zamiast zbierać informacje, musiała je wprowadzać do pamięci komputera.

Z początku wyglądało to inaczej. Przez dziesięć pierwszych miesięcy tyrali ile sił, przodując w całej południowej części miasta w tworzeniu sieci tajnych informatorów oraz ilości zebranych danych. Nawet reszta chłopaków z biura zaczęła, chcąc nie chcąc, okazywać jej pewną dozę szacunku.

Potem wyniknęła cała ta afera z Donlanem w zeszłym roku i wszystko wzięło w łeb.

Nie wiedziała, w jaki sposób wszyscy się dowiedzieli. Ale zaczęło się od żartów - prezerwatyw zostawianych na jej biurku, przybijanego do tablicy ogłoszeń kącika porad poświęconego wewnątrzwydziałowym romansom. Potem jakiś bystry wesolek zawiadomił tych z wewnętrznego i zasugerował, że jej stanowisko to wynik faworyzowania. Gówno prawda, że musieli wszcząć dochodzenie. Nie pomogło też, kiedy się dowiedziała, kim jest ów wesolek, i rozprawiła się z nim na ringu. I tak oto oddelegowano ją do „tymczasowego

zadania", którym mogła się zająć byle sekretarka, i siedziała teraz, wklepując dane, które zbierali inni gliniarze.

To miała być dołująca praca i była. Ale świadomość, że cała masa ludzi nie ronilaby łez, gdyby odeszła, dawała jej siłę, by trwać. Poza tym każdy kij ma dwa końce. Teraz wiedziała najwięcej ze wszystkich o tym, co się dzieje w Crenwood. Znała każdy donos, szczególnie każdej przepychanki czy zabójstwa, jeśli tylko miał coś wspólnego z gangami. Była niczym pajak na środku pajęczyny, świadoma każdego jej drgnięcia. Nici biegły we wszystkich kierunkach i od czasu do czasu miała wrażenie, że dostrzega w tym jakąś prawidłowość, tajemniczy układ.

Takie spojrzenie na sprawy trochę pomagało. Ale tylko trochę.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrała, nie sprawdzając numeru na wyświetlaczu.

- Czołem, partnerze.

- Pobudka, wstawać - powiedział Galway. - Masa drani czeka na przymknięcie, a *huevos rancheros* na zjedzenie. Może śniadanko?

- Nie mogę.

- Randka? Westchnęła.

- Wczoraj wieczorem dzwonił Donlan, żeby się umówić na śniadanie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem Galway powiedział:

- Ty i on... chyba nie...

- Nie - rzuciła szybko. - Absolutnie nie.

- No to o co chodzi?

- Nie wiem. Wygląda na to, że coś mu siedzi na żołądku. Ale ci powiem, że perspektywa śniadania w jego towarzystwie jest chyba jedyną rzeczą gorszą niż wklepywanie tych danych.

- Właśnie słyszę. - Wessał powietrze przez zęby. - Słuchaj, uważaj, co? Twoja sytuacja już i tak nie przedstawia się różowo. Ostatnie, czego ci trzeba, to ten dupek mieszający ci w głowie.

- Sierżant Galway - powiedziała z uśmiechem - czy wy przypadkiem nie usiłujecie mnie chronić?

- W życiu. Po prostu nie chcę wysłuchiwać twoich zawodzeń częściej, niż muszę.

Cruz się roześmiała.

- A mówią, że rycerskość diabli wzięli.

Restauracja w Peninsula była urządzona w europejskim stylu rustykalnym, na modłę babcinej kuchni, zakładając, że babcie mieszkają w hotelu śpiewającym pięć stów za noc. Donlan najwyraźniej czuł się tu jak ryba w wodzie, siedząc przy antycznym stole w szytym na miarę garniturze i podróbce roleksa na rękę.

- Elena. - Błysnął zębami białymi jak z reklamy pasty do zębów. - Dobrze cię widzieć.

Poczuła ten dziwny dreszcz, resztki pożądania zmieszane z gniewem i wstydem. Ustalili wcześniej, że w takich sytuacjach będą zachowywać się jak dorośli, co oznaczało, że zazwyczaj czuła się wprost przeciwnie.

- Witam, szefie. Jak się ma rodzina? - Usiadła ostrożnie, wygładzając spódnicę i uśmiech.

Wyglądał jakby się zastanawiał, czy go nie obraża.

- Kiedy jesteśmy sami, możesz nadal mówić mi James.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- A to dlaczego?

Kelnerka wybawiła ją od odpowiedzi. Zamówili, bułkę z kruszonką dla niego, dla niej quiche, najbliższy odpowiednik *huevos rancheros*, jaki był jej pisany tego ranka.

Wpadła Donlanowi w oko sześć lat temu. Jakiś sprawca dusił prostytutki, porzucając zwłoki w spalonych domach

i opustoszałych parkach. Zabójstwa kurew zawsze stanowiły dla śledczych twardy orzech do zgryzienia: żadnych stałych adresów zameldowania, mało bliskich związków, okazji w bród. Nikt się nie palił do sprawy, ale Cruz zobaczyła w niej szansę na wyrobienie sobie nazwiska. Pracowała nad nią po godzinach całymi miesiącami i wreszcie osiągnęła przełom, kiedy jakaś dziwka z Pięćdziesiątej Siódmej, której dała swoją wizytówkę, zadzwoniła, podając numer rejestracyjny podejrzanego klienta. Cruz spytała, co rozumie pod pojęciem „podejrzany”.

- Białe - odpowiedziała dziewczyna.
- Jest cała masa białych klientów.
- Nie na Pięćdziesiątej Siódmej, złotko.

Kiedy go przymknęli, Cruz doczekała się swojej pierwszej notki w prasie, pochwały z wpisem do akt i życzliwego zainteresowania podówczas jeszcze porucznika Jamesa Donlana. Był politykiem z opinią bez skazy i świetlaną przyszłością, a Cruz nie urodziła się wczoraj. Wiedziała, że każdy jej sukces, j ako kobiety latynoskiego pochodzenia, przekłada się na jego sukces wizerunkowy. W zamian mógł jej służyć pomocą, referencjami, kiedy ich potrzebowała. Pracując w chicagowskiej policji, zawsze dobrze mieć wysoko postawionych przyjaciół. Wszystko toczyło się fair i zgodnie z prawem. Układ był uczciwy i czysty jak Iza.

Do czasu.

- Jak się miewasz? - spytał cicho.
- Dobrze, szefie. Doskonale. A pan?
- Nie wydaje mi się, że doskonale.
- A jak się panu wydaje?

Potrząsnął głową. Strząsnął drobinę kurzu z wykrochmalonej koszuli z grubej białej bawełny, która błyszczała jak zbroja.

- Nad czym teraz pracujesz?

Podniosła filiżankę z kawą, odchyliła się na krześle. W mgiełce gorącej pary jego twarz zdawała się ciut zdeformowana.

- Nie wie pan?

- Spytałem przecież, prawda? - Rozłożył ręce w geście irytacji. - Nie możemy po prostu zjeść śniadania?

Nie. Nie możemy. Dorosłość, przypomniawszy sobie. Mają się zachowywać jak dorośli. Westchnęła.

- Jestem oficjalną maszynistką biura. - Opowiedziała mu o dochodzeniu chłopców z wewnętrznego, o tym, jak odsunięto ją od roboty operacyjnej i skierowano do pracy za biurkiem.

Skrzywił się.

- Słyszałem o dochodzeniu, ale nie o degradacji. Przykro mi.

- Mnie również.

- Mogę coś zrobić?

- Nie. - W tym momencie nic nie mogło zaszkodzić bardziej niż jego pomoc. Westchnęła. - Wiesz, co jest najbardziej frustrujące? Ja tylko chcę wykonywać swoją robotę. A ci goście najwyraźniej uważają, że myślę tylko o tym, jak by tu ich wygryźć. Co jest absurdalne. Nie mam politycznych aspiracji.

- Elena, to jest Chicago. - Wzruszył ramionami. - Wszyscy mają polityczne aspiracje.

Zaczęła się śmiać, ale zaraz się zorientowała, że on nie żartował.

- Nie martw się. - Nastawił zegarek. - Zanim się obejrzysz, cała sprawa pójdzie w zapomnienie.

Wpatrywała się w niego. Zachodziła w głowę, czy naprawdę jest taki tępy.

- Wiesz, o co któregoś dnia spytał mnie jeden koleś? Dzielnicowy usiłujący zaimponować kumplom? - Nachyliła się do przodu. - Spytał, czy teraz, kiedy awansowałaś, dochrapałaś się wreszcie większego biurka, czy też nadal walę głową o spód starego. - Kawa przelała się przez brzeg filiżanki, kiedy odstawiała ją gwałtownie. - Niech pan mi nie mówi, że

to pójdzie w zapomnienie, dobrze, szefie? To nie pan musi tego wysłuchiwać i udawać, że to żart. To nie pan został tu przetrzynięty i ma przejebane.

Pojawiła się kelnerka z parującymi talerzami i jedną brwią lekko uniesioną, jakby usłyszała końcówkę ich rozmowy. Cruz ją zignorowała, wzięła widelec i nabrała kawałek quiche'a. Przeżuwała, nie czując w ogóle smaku, tylko głuchą wściekłość.

- Posłuchaj - powiedział Donlan, patrząc się na nią nieporuszony - nikt cię siłą nie ciągnął do tego hotelowego pokoju.

- Nie wkurzam się z powodu pokoju. Wkurzam się z powodu tego, co stało się później.

- Już to przerabialiśmy. Przykro mi, że rzecz się wydała, aleja nikomu nie powiedziałem.

-Ani ja.

- Elena - wzruszył ramionami. - Gliniarze gadają. Zmyślają i plotkują jak stare baby. Wiesz o tym.

- Czy to dlatego musieliśmy dzisiaj rano zjeść razem śniadanie? - Czując pot pod pachami, odłożyła widelec, żeby ukryć trzęsące się z gniewu ręce. - Żebyś mógł mi przypomnieć, że gliniarze gadają?

Donlan przełknął, rogiem serwetki otarł usta.

- Nie. - Wyprostował się i przybrał oficjalny wyraz twarzy. - Słyszałem, że jeden z twoich tajnych informatorów przekreślił się wczoraj.

Podniosła głowę.

- Że co?

- Jakiś tam Palmer zginął w pożarze?

- Nie był tajnym informatorem - powiedziała wolno. - Po prostu obywatelem, z którym pracowałam. - Urwała. - Ale to chyba trochę za mała sprawa, by poruszyć twój radar, prawda?

- Podejrzewasz kogoś?



- Palmer miał na pieńku z Gangster Disciples. Domagali się od niego haraczu. Przystąpił do Latarników, lokalnej grupy wsparcia dla młodzieży wychodzącej z gangów. - O co tu chodzi? Donlan został niedawno awansowany na zastępcę komendanta Dochodzeniówki Rejonu Pierwszego, co stanowiło ostatni krok przed błyskawicznym lotem w górę. Jego zainteresowanie tą sprawą było równie absurdalne jak myśl, że burmistrz mógłby niepokoić się niedziałającym sygnalizatorem.

- Zatem to robota gangu - stwierdził.

- Pewności nie mam.

- Dlaczego?

- To nie takie proste - zawahała się, ostrożnie dobierając słowa. - Poznałam Michaela Palmera na jednym z zebrań ze społecznością lokalną. Podszedł do mnie później, powiedział, że chce pogadać. Kiedy pojechałam do jego pubu, twierdził, że ma jakieś informacje dotyczące gangów. Mówił, że to coś grubszego.

- No to chyba mamy motyw.

- Wiem tylko, że... - Wzruszyła ramionami. - Był naprawdę ostrożny. Nawet mi nie zdradził, o co dokładnie chodzi. Ale zasygnalizował, że rzecz wykracza poza gangi. Że inne osoby są w to wmieszane. - Zamilkła. - A potem jego pub spłonął, a on razem z nim.

Donlan westchnął, pokręcił głową.

- A ty dopatrujesz się w tym znowy.

- Tylko jestem skrupulatna, chcę mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. - Splotła palce pod stołem i zacisnęła do bólu kości. - Znałam go.

- Traktujecie tę sprawę osobiście, pani funkcjonariusz? Wyprostowała się.

- Nie, sir.

- To śledztwo to teraz priorytet. Jeśli gangi zabijają się nawzajem, wszyscy mają to gdzieś. Ale kiedy mordują obywateli, działamy.

- Zgadzam się. Chcę się tylko upewnić...

- Dosyć - wtrącił. - To była robota gangów. Dochodzeniówka szybko się z tym upora. A ty, jeśli chcesz być skrupulatna i dopiąć wszystko na ostatni guzik, pomóż nam z info. Nie baw się w detektywa i nie spieprz pewniaka. - Odłożył widelec równiutko wzdłuż talerza. - Kapujesz?

Kapowała, na wskroś. Donlan zrzucił już niejedną osobę z drabiny, żeby utorować drogę sobie.

- Rozumiem, szefie. Skinął głową, wstał.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Elena - rzucił, wyciągając dwudziestkę ze swojego klipsa na banknoty. - Jeśli będziesz ostrożna, daleko zajdziesz. - Rzucił banknot i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Cruz została w restauracji hotelu, w którym pokój kosztował jej tygodniową wypłatę, zachodząc w głowę, co dokładnie jej powiedziano.

11 lipca 1975

- Sun Zu? Co za bastek?

- Sun Tzu. Spoko koleś. Napisał taką książkę Sztuka wojny. - Swoop opiera się łokciami o stopień za sobą. - Chiński brat, dawno temu.

-Icoz tego? - Washington nie wierzy, że Swoop może gadać o książkach w takim momencie.

- Gość powiedział: „Wojna to podstęp”. Czujesz? Wojna to podstęp. - Swoop wskazuje na skapaną w słońcu ulicę. - Ten Rican kropnął Eight Balia, a że to twój kolo, to chcesz teraz ich załatwić, tak, ziom?

- Dokładnie.

-Ale jeśli teraz wparujesz na ich dzielnię, jak myślisz, co się stanie? Jesteś sam jak palec, oni wiedzą, że się pojawisz. Cholera, zapierdola cię.

- Zabiorę Szalonego Dee.

- Dee to nie moja własność. Robi, co chce. Ale ty nie zrobisz nawet kroku. - Swoop patrzy twardo.

- Ej, wyluzuj, człowieku...

- Nie pójdiesz. Niech se myślą, że speniałeś. - Wypija łyk piwa. - A kiedy stracą czuja, za tydzień, za miech, kopsniemy się tam razem, ty i ja, i zrobimy rozpierduchę.

*- Urywa. - Wojna to podstęp, jol - Wstaje, kiwa głową w kierunku słońca i znika ze skrzygnięciem drzwi.*

*Trzynastoletni i zdołowany Washington zaczyna się podnosić. Potem ponownie siada.*

*Tej nocy Szalony Dee otwiera ogień do budki z hot dogami na terytorium Latin Kings. Posyła parę strzałów i roztrzaskuje okno, zanim żołnierze z sąsiednich domów go zdejmują i pada z rozszarpaną piersią na ulicę.*

*Kiedy Washington się o tym dowiaduje, zamyka się w sypialni i ryczy do zderzenia gardła. Wali w poduszkę i przypomina sobie, jak Szalony Dee, gdy mu powiedział, że nie idzie, nazwał go cieniem i cipą, i odszedł wzburzony. I o tym, że gdy mieli po siedem lat, on i Szalony Dee, który naprawdę miał na imię Dennis, i Eight Bali, który jeszcze nie był Eight Ballem, tylko Williamem, wymyślili swoją własną grę. Z początku przypominała piłkę ręczną. Ale potem zagmatwała się na tyle, że ją nazywali DWW albo WD W albo WWD, w zależności od tego, kto rzucał. Myśli o tym, jak grali w nią okrągłe lato, cała ich trójka, śmiejąc się i wygłupiając.*

*I myśli jeszcze, że wojna to podstęp i jakie to dziwne, że moc napisanej dawno temu książki jakiegoś chińskiego brata jest jedynym powodem, dla którego jeszcze żyje, żeby oplakiwać swoich przyjaciół.*

## Strach

Jason obudził się ze słońcem świecącym prosto w oczy i berettą w dłoni. Przede wszystkim odbezpieczył broń. Potem sprawdził pokój.

Billy leżał zamotany w pościeli z jedną bladą nogą wystającą poza krawędź łóżka. Spał na brzuchu z podkulonymi pod siebie ramionami i rękoma, jakby usiłował zwinąć się do środka. Słowo spokojny nie było pierwszym, które nasuwało się na jego widok, ale przynajmniej wyglądało na to, że nie odniósł obrażeń. Fizycznych.

Jason zabezpieczył z powrotem broń i położył ją na podłodze między udami. Obrócił głowę w jedną i drugą stronę, czując trzeszczenie kręgosłupa. Kiedy już położył zeszłej nocy Billy'ego do łóżka, zamknął frontowe drzwi na trzy zamki i spał oparty o nie plecami. Pozycja dała mu się we znaki. Całe ciało miał zeszywniałe i ciężkie. Po plecach chodziły mu kłuszące mrówki, a nogi zdrętwiały na amen.

Podniósł się powoli, przed oczyma zobaczył mroczki, kiedy krew odpłynęła z głowy. Oszołomiła go nagła fala mdłości. Pokój drżał do rytmu z biciem jego serca i w ustach odbijał mu się smak Jima Beama, teraz skwaśniały i obrzydliwy. Podczas wydarzeń zeszłej nocy adrenalina bardzo skutecznie stłumiła stan upojenia, ale ni cholerę nie działała teraz na kaca.

W łazience gapił się na sedes, aż poczuł napływającą żółć, zacisnął nos i zwymiotował. Dwa razy. Splunął, spuścił wodę, przepłukał usta listerine. Położył pistolet na blacie i oblał twarz dwiema garściami zimnej wody, która pociekła mu na szyję i koszulkę lodowatym strumieniem, przyjemnie kontrastującym z igielkami w nogach. Kiedy poczuł, że wracają mu siły, osuszył twarz ręcznikiem do rąk i rzucił go na blat.

Jego brat nie żyje. Ta myśl dotarła do niego z całą mocą, kiedy napotkał swoje spojrzenie w lustrze. Michael umarł. Nie. Został zamordowany. I czas już dowiedzieć się dlaczego.

Wsunął broń za pasek z tyłu spodni, wyprostował się i opuścił łazienkę.

Mieszkanie składało się z jednego średniej wielkości pokoju z maleńkim aneksem kuchennym na końcu. Jason zaczął przygotowywać kawę, nie robiąc specjalnie hałasu, ale też nie starając się być cicho. Chciał, żeby Billy'ego obudziła zwyczajna, codzienna krzątanina. Przed pojawieniem się napastników wczoraj wieczorem, chłopiec zaczynał wracać powoli do siebie i Jason miał nadzieję, że to się nie zmieni. Nalał Corn Pops do dwóch miseczek, z brzękiem włożył do środka łyżki. Co piją rano dzieci? Sok? Miał trochę soku z li-mety do ginu z tonikiem, ale nic poza tym. Uznał, że co tam, nalał dwie filiżanki kawy, jedną czarną, drugą beżową z mlekiem i cukrem.

Kiedy odwrócił się, żeby postawić wszystko na kuchennym stole, oczy chłopca były otwarte.

- Dzień dobry, dzieciaku - rzucił lekkim głosem, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt sztucznie. Billy ziewnął i usiadł, potem, widząc swój goły tułów, położył się z powrotem i naciągnął kołdrę po szyję. Jason się uśmiechnął.

- Na brzegu łóżka leży koszulka. Włóż ją i chodź na śniadanie.

Billy nie przejawiał entuzjazmu, dopóki nie zobaczył, że koszulka jest szara z czarnym napisem ARMIA. Oczy wyszły

mu z orbit, chwycił ją i wciągnął przez głowę, potem podszedł i usiadł po drugiej stronie stołu, trąc powieki. Na widok kawy spojrzał pytająco na Jasona, potem upił łyżek. Wargi wykrzywiły mu się niczym dwa robale.

Jason przyłożył dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech.

- Wcinaj.

Jedli w milczeniu, w złotym blasku promieni słonecznych słysząc tylko postukiwanie metalu o plastik i chrzęst rozgniatanych płatków. Kawa, mocna i cierpka w smaku, rozlewała się w żołądku Jasona, dając kopa zmęczonym komórkom. Kiedy nie mógł już odwlekać tego dłużej, zapytał:

- Jak się trzymasz?

Billy spojrzał na niego znad łyżki żółtego mleka.

- Okay. - Głos miał nieco drżący, ale spojrzenie wyraźne, źrenice nieposzerzone.

- To dobrze. - Jason sączył kawę, myśląc o tym, co powiedzieć. - Wiesz, że jesteś teraz bezpieczny, tak?

Billy skinął głową.

- Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. - Nachylił się, położył dłoń na dłoni bratanka. - Obiecuję.

Trwali tak chwilę, długą, jak się zdawało i nagle Billy się uśmiechnął. Przelotnie. Uśmiech pojawił się i zaraz zniknął, ale Jason poczuł, jak jego mięśnie opuszczają napięcie.

- Tylko musisz mi pomóc, zgoda? Powiedzieć, co się stało wczoraj. Zanim do mnie przyszedłeś.

Billy zeszywniał, ale nie wyglądało na to, że wraca do stanu zombie.

- Muszę?

- Przykro mi, stary. - Jason starał się nadać swojemu spojrzeniu pogrzipiający wyraz. - Ale naprawdę powinienem wiedzieć. To ważne.

Chłopiec przesuwiał łyżką w tę i w tę namokłe płatki.

- Nie chciałem uciec. - Zmiażdżył kuleczkę. - Przestraszyłem się.

- Rozumiem - powiedział Jason. - Też się kilka razy przestraszyłem. Wiem, jak to jest. Człowiek robi wtedy takie rzeczy, których nie chciałby zrobić.

Bratanek pokiwał głową energicznie.

- Chciałem pomóc, ale nie mogłem się ruszyć.

- Komu pomoc? Tacie?

- Bili go. - Dół twarzy chłopca się wykrzywił, broda zaczęła mu drżeć. - Tata kazał im wyjść. Roześmiali się i potem jeden z nich chwycił butelkę i uderzył go nią w głowę. I ja nie chciałem, ale... - urwał, głębiej wbijając głowę w piersi. - Zsikałem się.

Jason ześlizgnął się z krzesła i przykucnął przy bratanku, obejmując go ramieniem. Mięśnie szczęki napięły mu się z tłumionej furii.

- Kiedy to poczułem, poruszyłem się i wpadłem na jedną z półek. Byłem na zapleczu i oni obaj popatrzyli, i jeden ruszył w moją stronę. Tak się bałem, że tylko stałem tam i wtedy tata wdrapał się na bar i rzucił na niego. Krwawił, a ten drugi zaczął go kopać, ale tata nie puszczał. Krzyczał do mnie, żebym uciekał. - Popatrzył Jasonowi w oczy. - On mi kazał. Ja nie chciałem.

Jason pokiwał głową, serce przepełniało mu pełne goryczy zrozumienie.

- Dobrze zrobiłeś. - Ścisnął ramię bratanka. - Zrobiłeś dokładnie to, co powinieneś.

Billy się wyprostował, jakby poczucie winy wciskało go wcześniej w ziemię.

- Uciekłem tylnymi drzwiami i biegłem, aż już dłużej nie mogłem. Zatrzymałem się w parku i tam był duży krzak, wpełzłem pod niego i się schowałem. Jeden z tych ludzi mnie szukał, ale nie znalazł. Czekałem tam długo i chyba zasnąłem. - Wyrzucał z siebie słowa szybko jak truciznę, którą chciał wypluć. - Kiedy się obudziłem, było już rano i nie wiedziałem, gdzie jestem, ale zobaczyłem dworzec kolejki



i pamiętałem przystanek, gdzie się wysiada do ciebie, więc się wślizgnąłem.

Jason myślał o Billym, samym jak palec, śpiącym pod krzakiem w parku Crenwood, miejscu, które nawet gliniarze obchodzili z daleka nocą, gdzie roilo się od dilerów spylają-cych działki i zniszczonych kurew robiących loda za dziesięć dolców. Wyobraził sobie, jak chłopiec budzi się rano w porannej mgle z pełzającymi po nim pajakami kosarzami. A jego ojciec już nie żyje.

- No a ci mężczyźni, którzy przyszli do pubu - zagadnął możliwie jak najspokojniejszym głosem. - Możesz mi powiedzieć, jak wyglądali?

Billy skinął głową.

- Jeden wyglądał zwyczajnie. Głównie tylko patrzył. Drugi był wyższy i naprawdę silny. Przypominał trochę tego człowieka z *Kto wrobił królika Rogera*, tylko był większy i podlejszy.

Jason niemal się uśmiechnął. Ten film był jednym z kilku, które Michael trzymał w pubie dla Billy'ego. Chwała popkulturze.

I wtedy do niego dotarło.

- Chwilka. Którego człowieka?

- No tego... - powiedział Billy. - Tego od Rogera. Jason wybiegł myślał do filmu, zobaczył twarz aktora.

Gość o wyglądzie Włocha. Ale...

- Billy, jakiej rasy byli ci mężczyźni?

- Biali - powiedział bratanek. - Ten duży był łysy, a ten zwykły miał szpakowate włosy. Mieli garnitury.

Jason wstał, podszedł do okna, wyjrzał na róg na dole, gdzie nawet o dziesiątej rano zawsze kręciło się kilku gości o sennym spojrzeniu. Słońce paliło go w twarz, zwiastując początek kolejnego skwarne go dnia.

Spodziewał się, że usłyszy o czarnym mężczyźnie z kozią bródką i diamentowym naszyjnikiem. Tymczasem Billy

twierdził, że Michaela pobili i zamordowali dwaj biali w garniturach.

Mikey, w co u licha, się wpakowałeś? Poczul zimny dreszcz w tyle nóg, pustkę w burzącym się żołądku. Poznał to uczucie. Strach.

Jeśli to nie żołnierze gangu zabili mu brata, to kto? I dlaczego? I co to miało wspólnego z gangami? Co tu się, u Boga ojca, dzieje?

- Wujku Jasonie? - Billy siedział na brzegu krzesła, tonąc w wojskowym T-shircie i z trudem sięgając stopami ziemi. Wyglądał tak, jakby miał zamiar znowu się rozplakać.

- No już, wszystko w porządku, stary. - Jason przeszedł z powrotem przez pokój. - Przepraszam. Nie chodzi o ciebie. Jestem po prostu... smutny. - *Iskołowany. Całkowicie zagubiony.*

*I, Boże pomóż, przerażony.*

Przykląkł przy chłopcu, położył mu ręce na ramionach.

- Dziękuję, że mi to opowiedziałeś. Wiem, że nie było ci łatwo.

Billy pokiwał poważnie głową.

- Chcę, żebyś coś wiedział. - Jason popatrzył mu w oczy. - To co się zdarzyło, nie jest twoją winą. Zrobiłeś wszystko jak należy. Wszystko. - Uśmiechnął się. - Tata byłby z ciebie bardzo dumny.

Usta chłopca zadrżały i zaczął wyc, zalewając się łzami. Jason pochylił się i go objął. Billy uczeplił się jego szyi niczym występu skalnego na skraju przepaści.

- Wszystko dobrze, kolego. Wszystko dobrze. - Jason głaskał go po plecach. - Śmiało, płacz. - Trzymał chłopca w ramionach, czując ciepło jego przypominającego szmacianą lalkę ciała. I wtedy zrozumiał.

Przez cały ten czas był zagubiony. Żołnierz pozbawiony sprawy, za którą mógłby walczyć, czyli nie żołnierz. Odkąd stracił swoją armię, szukał czegoś, za co mógłby się bić.

Teraz zrozumiał, że trzyma to w ramionach.

- Billy - odchylił się, by spojrzeć chłopcu w oczy. - Nie mam pojęcia, co się wydarzy. Ale chcę, żebyś wiedział, że teraz jesteś bezpieczny. Ochronię cię. Żeby nie wiem co.

Chłopiec miał mokrą dolną wargę i pachniał solą. Popatrzył na niego i skinął głową.

I wtedy przez sekundę Jason poczuł, jak Przywra kuli się ze strachu.

## Długi

Podstawa sedesu była usłana włosami. Zbierając je papierowym ręcznikiem, Washington starał się nie myśleć, skąd się tam wzięły. Nie mieli kota.

- Co teraz? - Ronald oparł się o drzwi, od napiętych mięśni naprężył się mu szew koszuli. - Garaż?

- Zostaw - powiedział Washington. - Zaparkują na ulicy. Ale kilku chłopców mogłoby sprzątnąć gabinet.

- A co z tymi wszystkimi twoimi książkami?

- Z moją szafą? Ronald się roześmiał.

- No tak. - Washington się przeciągnął, czując w plecach pulsowanie i kłujący ból. Skrzywił się i rozejrzał dokoła. Wskazał ręką prysznic.

- Wsadźcie je tutaj. - Tyle jeszcze zostało do zrobienia. Radny Owens i Adam Kent przyjadą za piętnaście minut, żeby porozmawiać o tym, co niepokoiło tego pierwszego. Washington domyślał się, o co chodzi i nie bardzo wierzył, by sprzątnięty dom i błyszcząca toaleta mogły coś naprawić. Ale trzeba próbować. - Ronald?

Wielki mężczyzna ponownie wsadził głowę przez drzwi.

- Ale najpierw rozłóżcie tu plastikowy worek, jasne? - Potem skupił się na szorowaniu cholernego sedesu.

Kiedy skończył, wrzucił zużyte papierowe ręczniki do ubikacji i spuścił wodę, potem położył ręce na kolanach i podniósł się z trudem. Dom wrzał od krzątaniny, byli gangsta bez entuzjazmu włączyli się do sprzątanania. Ale Washington widział tylko ogień. Płomienie tańczące niczym dżin, liżące skrzyconymi jęzorami stare drewno i zniszczony kamień. I dwa ciała, szerniałe i spopielaałe, nic tylko zęby i zgroza.

*Przestań, głupcze. Nawet nie wiesz, czy to był Michael, tym bardziej chłopiec. To, że ludzie widzieli wynoszone ciało, nie oznacza jeszcze, że należało do twojego przyjaciela.*

Ale kto inny mógłby to być?

Z zamyślenia wyrwało go stukanie do drzwi. Zerknął na zegarek, wzdrygnął się. Strzepnął pył z kolan, wyprostował się i ruszył do gabinetu. Wpadł na niego Ronald, pytając:

- To oni?

- Nie jesteśmy gotowi - stwierdził Washington. - Więc oczywiście, że oni.

- Chcesz, żebym otworzył? Skinął głową, ale zaraz rzucił:

- Czekał. - Podeszedł bliżej, rozejrzał się. - Wiesz coś? Ronald pokręcił głową.

- Rozpuściłem wici. Jeśli coś usłyszę, dam ci znać.

Washington potaknął, uśmiechnął się z trudem. Podeszedł do gabinetu i usiadł za biurkiem. Ze srebrnej ramki patrzyła na niego matka z twarzą wykrzywioną walką między uśmiechem a zmarszczeniem brwi. W końcu korytarza otworzyły się drzwi, usłyszał stłumione głosy. Wziął głęboki oddech, zamknął oczy i poszukał pocieszenia w Cyceronie: o sławie cnoty częściej rozstrzygają wrodzone zalety bez wykształcenia niż wykształcenie pozbawione oparcia w naturze\*.

\* Marek Tulliusz Cynceron, *Mony, Mowa w obronie poety Archiasza*, Wydawnictwo Antyk, Kety 2003.

Otworzył oczy i zobaczył butelkę Beefeatera ciągle stojącą na biurku. Cholera. Chwycił ją, otworzył gwałtownie szufladę, słysząc zbliżające się kroki, stukanie obcasów na kaflach. Schował butelkę i właśnie zamykał biurko, kiedy drzwi gabinetu się otworzyły i do środka wkroczył radny Owens, a za nim Adam Kent.

„Niezawodny” Eddie Owens należał do tych szczupłych szykownych czarnych mężczyzn, dla których wymyślono jednorzędowe garnitury. Miał na sobie jasnokremową koszulę i buty błyszczące jak tafla wody. Na jego tle stojący z tyłu Adam Kent sprawiał wrażenie trochę niestosownie ubranego w spodniach khaki i cienkim swetrze. Miał zadbane szpakowate włosy, ale nic w jego wyglądzie czy sposobie zachowania nie zdradzało człowieka, który może wypisać sześciocyfrowy czek. Mimo uśmiechów i wyciągniętych przyjaźnie dłoni, obaj mężczyźni przywodzili Washingtonowi na myśl sędziów. Albo może katów.

- Panowie - podniósł się. - Witam.

Uścisnęli sobie dłonie i Washington gestem ręki zaprosił ich, by usiedli na kanapie, swego czasu największej ozdobie salonu jego matki.

- Podać coś panom? - spytał, mając nadzieję, że któryś poprosi o drinka i w ten sposób on sam też będzie mógł się napić. Ale nic z tego.

- Jak miło, że się znowu spotykamy - uśmiechnął się jak najuprzejmiej, udając, że nie słyszy, jak mu serce wali. - Mieliście panowie problem z zaparkowaniem? - Kent pokręcił głową, a radny bawił się suwakiem skórzanej aktówki. Washington zagał jeszcze raz, tym razem siląc się na rubaszość. - Wygląda na to, że w piątek wieczór poszalejemy za wszystkie czasy.

Goście popatrzyli po sobie. Coś się zmieniło: podczas ostatniej wizyty nie było końca obietnicom i toastom, zapewnieniom, jak wiele dobrego mogą razem zdziałać. Teraz żaden z nich nie wiedział, gdzie podziać oczy.

*Wiedzą.*

Ręce zaczęły mu się trząść, serce głośno waliło w piersi. Czuł się jak mały dzieciak przyłapany na gorącym uczynku. Może to i lepiej. Kiepski był z niego kłamca.

- Coś panów niepokoi? - Odchylił się w krześle. - Może coś związanego z moją osobą?

Owens obciągnął mankiety koszuli, potem otworzył aktówkę.

- W rzeczy samej. - Wyjął arkusz papieru, popatrzył na niego. - Musi pan wiedzieć, że to nas zaskoczyło. - Położył kartkę na stoliku. - Wie pan, co to jest?

Washington nie widział szczegółów, ale odcyfrował wystarczająco dużo. Poczł ucisk w piersi i skinął głową.

- Zatem to prawda.

- Tak - powiedział. - To prawda.

- Spędził pan dwanaście lat w więzieniu. - Rzucił radny głosem prawnika weryfikującego fakty.

Washington potaknął.

- Z tego większość w Danville, od dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego do dwunastego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego. Całe lata osiemdziesiąte.

- Za morderstwo.

Przyznał się do nieumyślnego spowodowania śmierci, ale nie ma sensu dzielić włosa na czworo.

- Zgadza się. - Opadł na oparcie z zaciśniętymi ustami. Starł się nie zwracać uwagi na matkę patrzącą na niego z biurka, puścić w niepamięć plany, które snuł wcześniej, nie pamiętać, ile dobrego mogłoby zdziałać pięćset tysięcy dolarów.

Milczenie trwało dobrą chwilę. Potem Kent nachylił się z poważnym i zaintrygowanym wyrazem twarzy.

- Chryste, Washington. Dlaczego nam pan o tym nie powiedział?

Teraz się zacznie. Najpierw wykład, potem gorycz rozczarowania. Nie było sensu się tłumaczyć. To ile książek przeczytał czy ilu chłopcom pomógł, nie miało już teraz znaczenia. Przerobił tę samą gorzką lekcję, co każdy skazany - gdy tylko ludzie dowiadawali się o odsiadce, wszystko inne przestawało ich interesować.

Potem jeszcze raz usłyszał w głowie słowa Cyncerona o tym, że o sławie cnoty częściej rozstrzygają wrodzone zalety, a nie jakieś błahe okoliczności, jak wykształcenie czy pobyt pod celą. Powinien spróbować.

Wyprostował się, położył ręce na kolanach.

- Nie powiedziałem, bo to nie byłem ja.

- Chwileczkę, dopiero co pan... - przerwał radny. Washington zamachał dłońmi.

- Mówię o tym, kim jestem teraz. O człowieku, jakim się stałem, a nie tym głupim chłopcu sprzed trzydziestu lat. Tego chłopca już nie ma. Był skołowany, niebezpieczny i przez większą część dnia naćpany.

- Westchnął. - Ten chłopiec umarł w więzieniu... Zanim tam trafiłem, gang był całym moim życiem. Jedynym celem. Wszystkim, co znałem. Całym światem. W getcie człowiek szybko dorasta, szybko umiera.

Radny się wyprostował.

- Doktorze Matthews...

- Wie pan cholernie dobrze, że nie jestem żadnym doktorem - przerwał Washington. - Pozwalam chłopcom tak mnie nazywać, bo ten tytuł kojarzy im się z człowiekiem wykształconym, nawet samoukiem i dlatego, że nosi go bardzo niewielu znanych im czarnych. Ale nie ma nic wspólnego z tym, którego wy używacie.

- Zatem, panie Matthews, nie chodzi o to, że nie rozumiemy warunków, w jakich pan dorastał. Ja także wychowałem się w południowej części miasta.

- Jasne - prychnął Washington - W Bronzeville, tak? Owens posłał mu chłodne spojrzenie.



- W każdym razie nie w Lincoln Park. Też miałem kłopoty, przeżyłem swoje. Ale fakt, że pochodzi pan z gorszej dzielnicy...

- Widzi pan, proszę, w tym po części problem. Pan nawet nie używa właściwego języka. „Gorszą” dzielnicą nie trzeba zawracać sobie głowy. Z gettem już trzeba coś zrobić. To tutaj to jest getto. - Washington przeniósł spojrzenie z radnego na Adama Kenta. Mężczyzna nie uciekł w bok wzrokiem, choć trudno było wyczytać coś z jego oczu. Ale przynajmniej nie opuścił pokoju. - Kiedy przyszedł pan do mnie, powiedział, że do wszystkiego doszedł pan sam. Że chce pan ułatwić start innym. I że potrzebuje pan kogoś, kto naprawdę zna życie ulicy. - Wzruszył ramionami. - Kogo się pan spodziewał?

Kent nieznacznie skinął głową.

- Chyba brzmi to uczciwie. - Złożył dłonie na kolanach. - Musi pan jednak zrozumieć. Rozmawiamy o pół miliona dolarów.

- Ależ rozumiem - Washington stłumił odruch popadnięcia w kaznodziejski ton. - Taka suma może zapewnić wyżywienie, wykształcenie i pomoc chłopcom z dzielnicy. Może coś dać tym dzieciakom. Nauczyć ich, że świat nie kończy się na Crenwood. Ja musiałem pójść do więzienia, żeby się tego dowiedzieć.

Kent gryzł wargę.

- Niech nam pan o tym opowie.

- O czym? O więzieniu?

- Dlaczego pan tam trafił.

Huk i gorący odrzut broni. Krew rozpryskująca się niczym czerwona mgła.

- Zabiłem chłopaka. - Siedział sztywno z nieobecny spojrzeniem. - Nieumyślnie, ale zabiłem. Nawet nie był moim wrogiem. Po prostu czyimś młodszym bratem, który przypadkowo znalazł się w niewłaściwym miejscu.

- To był wypadek?

- Należałem do gangu. Nosilem broń. - Washington wzruszył ciężko ramionami. - Wypadek to nie jest odpowiednie słowo.

- Co się stało?

Chłopiec z kalafiorowatym uchem obraca się, wolno, w ostatnim piruecie. Pada. Chwila ciszy, kiedy świat wstrzymuje oddech.

- To... nie ma znaczenia.

- Może mieć.

Washington westchnął, potrząsnął głową, żeby przegnać wspomnienie tego dnia sprzed lat.

- Wiecie, co się wydarzyło? Wziąłem broń do ręki. Miałem dziesięć lat, wstąpiłem do Blackstone Ranger Nation i wziąłem do ręki broń. Kiedy człowiek to zrobi, życie zamienia się w bombę zegarową. I zanim tę broń odłożyłem, zabiłem chłopca, za co zapłaciłem dwunastoma latami życia. - Miał ochotę wstać, pokój zaczął go przytłaczać. - Szczegóły nie mają znaczenia. To, co zrobiłem, się nie odstanie. Wydarzyło się naprawdę. Nie mogę tego cofnąć. Mogę zrobić tylko dwie rzeczy. Obiecać, że już nigdy, przenigdy nie sięgnę po broń, pod żadnym pozorem. I mogę pomóc innym chłopcom ją odłożyć. Czym się właśnie zajmuję od czternastu lat. Po to tu wróciłem. - Urwał, żeby zebrać myśli i uświadomił sobie, że powiedział już, co miał do powiedzenia. - Teraz wszystko zależy od pana, panie Kent, i pana, panie radny. Jesteście dobrymi ludźmi. Wy zdecydujcie.

Patrzyli na niego przez długą chwilę. Washington siedział prosto, spoglądał na nich spokojnie. Zwalczył odruch, by błagać, jeszcze raz tłumaczyć, ile dobrego mogą zdziałać te pieniądze, jak bardzo jego chłopcy na nie liczą. Świadom, że wszystko co teraz powie, będzie psu na budę.

Wreszcie radny popatrzył na Kenta i uniósł brew. Milioner wzruszył ramionami.

- Jeśli robi pan tu jakiś przekręt, to jest to najdłuższy przekręt w dziejach. - Uśmiechnął się i roześmiał. - Może jestem niespełna rozumu, ale dam panu te pieniądze.

Washington chciał się odezwać i zdał sobie sprawę, że ma otwarte usta.

- Dziękuję panu.

- Ale stawiam dwa warunki. - Kent odliczył je na palcach. - Po pierwsze, będę miał prawo weta w stosunku do wydatków powyżej, powiedzmy, tysiąca. Po drugie, chcę być w zarządzie.

- Weto nie stanowi problemu. Ale zarządu nie mamy. Kent otworzył aktówkę i wyjął książeczkę. Nabazgrał coś

srebrnym piórem. - Teraz już macie. - Wydarł czek i podał go Washingtonowi z uśmiechem. - Dorobiłem się majątku, ponieważ poznałem biznes od podszewki, a potem walczyłem o swoje marzenia. I nie widzę powodu, dla którego z tymi chłopcami miałyby być inaczej. Bo ma pan rację. To nie jest gorsza dzielnica, prawda?

Washington gapił się na czek. Piątka, po niej pięć zer. Na rany Chrystusa. Pięć zer. Pół miliona dolarów. Więcej niż zarobił przez całe piętnaście lat pracy w bibliotece. Coś wezbrało mu w piersiach.

- Nie, proszę pana. - Żył już tak długo, widział tyle zła, a mimo to ludziom nadal udawało się go zaskoczyć czymś dobrym. - Nie jest.

Gawędzili jeszcze kilka minut, omawiając szczegóły piątkowego przyjęcia, logistykę. Czek leżał na stoliku tuż obok wypisu z jego kartoteki. Po kilku minutach Kent zerknął na zegarek i Washington odprowadził ich do drzwi.

- Panie Matthews - odezwał się radny. - Rozumie pan, że to nie było nic osobistego. Nie szukałem tych informacji i no, sam byłem zdziwiony, kiedy się o tym dowiedziałem. - Zawahał się. - Bardzo jestem zadowolony z tego, co pan tu robi. Nie ma pan do mnie żalu, mam nadzieję?

Washington podejrzewał, że być może powinien czuć gniew, ale nie potrafił się teraz na to zdobyć.

- Nie mam żalu. - Są długi, których nie można spłacić pieniędzmi, innych nie można spłacić w ogóle. Chłopiec z ka-lafiorowatym uchem będzie go prześladował do końca życia. I zapewne czekał też na niego po śmierci.

Do niego również nie miał żalu.

Stał w drzwiach i patrzył, jak goście podchodzą do limuzyny, krusząc włoskimi butami ręcznej roboty odłamki rozbitego szkła na chodniku. Kiedy odjechali, wrócił do swojej kryjówki, opadł na wysłużone krzesło. Czuł się zmęczony, ale dobrze. Walka, którą toczył, nie miała końca i wiedział, że z góry skazana jest na klęskę. Miał tego świadomość, gdy ją podejmował, ale nie jest łatwo walczyć, kiedy w grę nie wchodzi zwycięstwo.

Przynajmniej od czasu do czasu wygrywał jednak jakąś potyczkę.

## Katastrofa

- Biali? - Cruz pochyliła się do przodu, przestała obracać w palcach długopis.

- Zgadza się - powiedział Palmer. Wyglądał jak z krzyża zdjęty, pod niespokojnymi oczyma kwitły ciemne doły. - Tak powiedział Billy.

- Jest pewien?

Palmer wzruszył ramionami.

- Ma osiem lat, a nie daltonizm.

Biali. Kolejny kawałek, który nie pasował do układanki. Coś tu było nie tak i przyprawiało ją o ucisk w żołądku. Po pierwsze, twierdzenia Michaela Palmera o zмовie i obietnicy dostarczenia dowodów zakończone śmiercią w płomieniach niecały tydzień później. Potem to ostrzeżenie od Donlana. A teraz informacja o napadzie na dom Michaela Palmera poprzedniej nocy, telefonie pod 911 i strzelaninie.

Stąd ten żołądek.

- Gdzie jest teraz Billy?

- W stołówce. Chciałem mu oszczędzić - zatoczył łuk ręką, obejmując tym gestem cały posterunek - tego wszystkiego. To były ciężkie dni.

- Tak, nie wątpię. - Cruz opadła na oparcie. - A ci biali? Ma pan jakieś podejrzenia, kim są?

Pokręcił głową.

- Pojęcia nie mam. Ja widziałem tylko tych z gangu. Tego, którego ochrzciłem Kozią Bródką, a który nazywa się Playboy. - Ruchem głowy wskazał kupkę fotografii przedstawiających znanych członkowi sympatyków Gangster Disciples. Zwierzchu stosu patrzył na nich spode łba Playboy z miną jednoznacznie mówiącą, żeby się walili. - O co chodzi z tymi imionami?

- Ksywki. Przewiska. Zwykle wybierają takie, które sugerują twardzieli, epatują grozą. W zeszłym roku mieliśmy do czynienia z gościem, który kazał na siebie wołać Anthrax\*. - Przechyliła głowę. - Myślałam, że żołnierze też je sobie nadają.

- Tylko w filmach o Wietnamie.

- Poznaj e pan kogoś j jeszcze?

- Nie. Nie widziałem dobrze dwóch pozostałych wczoraj w nocy, a tego kurdupłowatego zapaśnika tu nie ma.

Identyfikacja Playboya to już był jakiś trop. Prawdziwe imię i nazwisko: Louis Freeman, numer dwa w Gangster Disciples, kilka razy skazany za napaść z bronią w ręku i nielegalne posiadanie broni, podejrzany o udział w całej masie strzelanin. Rozmawiała już z nim kiedyś, był nie w ciemną bity, znacznie inteligentniejszy niż większość jego kumpli, co znaczyło, że teoretycznie mógł coś takiego zorganizować.

Szkopuł polegał tylko na tym, że nie był biały.

Kiedy kawałki układanki nie pasowały, pozostawały dwa wyjścia. Poszukać nowych albo mocniej naciskać te, które się miało.

- Nadal nie rozumiem, czego mogli od was chcieć. Nic panu nie przychodzi do głowy?

- Już mówiłem. Chodziło o Billy'ego.

- Hmm. - Zmrużyła oczy. - Tylko że to nie trzyma się kupy. To znaczy trzyma się, jeśli pańskiego brata zabił gang.

\* Ang. węglik.

Ale jeśli zabili go biali, to dlaczego teraz polują na pana kolorowi? Przede wszystkim zaś dlaczego polują na dziecko? - Broń ciążyła jej z boku spodni. Zmieniła pozycję. Pstryknęła długopisem. - Rozumie pan, do czego zmierzam?

Palmer siedział z rękoma na kolanach i nieufnym wyrazem twarzy.

- Nie, nie bardzo.

- Musi być coś jeszcze, jakieś powiązanie. - Pstryk, pstryk. - Rozumiem, że chce pan chronić pamięć brata, ale jeśli Michael był zamieszany w coś podejrzanego, muszę o tym wiedzieć.

- Wykluczone - Pokręcił głową. - Nie mój brat. Zmieniła taktykę.

- Jackie przesyła pozdrowienia. -Kto?

- Jackie. - Pstryk-pstryk. - Pańska dziewczyna z feralnego wieczoru? Potwierdza, że był pan z nią przez całą noc i wczorajszy ranek. Ale kiedy wspomniałam, że odszedł pan z wojska, wyglądała na zaskoczoną.

Odchylił się na krześle, skrzyżował ramiona na piersiach.

-Tak.

- Ma pan coś przeciwko, że spytam o okoliczności pańskiego odejścia?

- Szczerze mówiąc, owszem, mam. Przekrzywiła głowę. Z nawyku drążyła głębiej.

- Czy to było źródłem nieporozumień w stosunkach między panem a bratem? Nie pochwalał pańskiej decyzji?

- Dlaczego się pani do mnie przyczepiła? - Przewiercał ją spojrzeniem. - Doskonale pani wie, że ja tego nie zrobiłem. Usiłuje pani coś sobie udowodnić?

Już miała na niego wsiąść, ale przeszło jej przez głowę, że może mieć rację.

- Staram się po prostu wszystko sprawdzić.

- Stara się pani mnie dręczyć, a powinna raczej szukać Koziej Bródki. Znaczący się, Playboya. Czy jak tam, kurwa, się zwie.

Cruz opadła na oparcie.

- Badam każdy aspekt sprawy.

- Włącznie z nim?

- Tak. - Popatrzyła na niego chłodno, czekając, aż powściągnie nerwy. Kiedy to nastąpiło, nakazała sobie w duchu zrobić to samo. Owszem, działo się tu coś dziwnego i rzeczywiście nie miała zielonego pojęcia co. Ale nie wierzyła, że Jason Palmer jest w to zamieszany. - Rozmawiałam już z kilkoma swoimi informatorami. Dziś po południu złożę wizytę paru wyrostkom, tym z Gangster Disciples, ale również z innych gangów.

- Może to pani zrobić? - Wyglądał na zaskoczonego.

- Rozmawiać z członkami gangów? Oczywiście. Jestem z policji.

- Nie, chodzi mi o to, czy oni coś pani mówią?

- Rzadko kablują na swoich. Ale świat jest mały. I są wprawdzie cwani, ale daleko im do szachistów. - Pochyliła się do przodu. - A teraz, jak wyglądali ci biali?

Wział głęboki oddech i opisał napastników, jedną ręką pocierając sobie kark. Robiła notatki. Niewiele jednak tego było: jeden szczupły z siwiejącymi włosami, bez cech charakterystycznych, drugi łysiejący i umięśniony, o twarzy Włocha i przerażającym wyglądzie.

- Może Billy powinien porozmawiać z kimś od portretów pamięciowych, czy coś?

Cruz się uśmiechnęła.

- Tak się robi tylko w serialach policyjnych. W rzeczywistości ludzie nie zapamiętują szczegółów wyglądu: wielkości nosa czy wysokości czoła. Wszystkie portrety pamięciowe wyglądają jak zlepek rysów osób obecnych akurat w pokoju. I to kiedy robi je dorosły. W przypadku dziecka...



Zasznurował wargi.

- To jak zamierza wytropić pani tych gości?

- Dysponując tylko opisem? Bez żadnych nazwisk, numerów rejestracyjnych, odcisków palców. - Roześmiała się - Nie zamierzam.

-Ale...

- Kiedy będziemy mieć podejrzanych, Billy będzie mógł ich zidentyfikować. Połączyć z miejscem, w którym zginął pana brat. Ale sama kwestia ich odszukania? W Chicago żyje dziewięć milionów ludzi, z tego cała masa białych.

- To wszystko, na co was stać? Jeszcze raz spiorunowała go wzrokiem.

- Przepraszam. Tylko że... - Osunął się na fotel, odgarnął grzywkę z czoła. - W głowie mi się to nie mieści. - Miał w sobie coś z żołnierza i jednocześnie coś z ucznia, co razem stanowiło dziwnie pociągającą mieszankę siły i delikatności. Cruz zdała sobie sprawę, że zastanawia się, jak by to było pójść z nim na drinka. Siedzieliby w jednym z tych seksownych barów na River North, oboje po dwóch martini. To była dziwna myśl, zupełnie z księżycą i irytująca, więc ją odgoniła i przyoblekła twarz w wyraz troski.

- Przykro mi z powodu pańskiego brata. Sprawiał wrażenie dobrego człowieka.

Skinął głową i zaraz się zachmurzył.

- Czy muszę... - urwał. - Czy będę musiał...

- Nie - powiedziała cicho. - Zidentyfikowaliśmy go na podstawie danych dentystycznych. Może go pan zobaczyć, jeśli chce. Ale odradzałabym.

- Czy powinienem coś zacząć przygotowywać? Wie pani, zrobić coś z... ciałem.

- Teraz jest pod pieczę specjalistów od medycyny sądowej - ostrożnie dobierała słowa. - Starają się sprawdzić, czy uda nam się dowiedzieć więcej o okolicznościach zgonu. Za kilka dni powinni przekazać ciało do wybranego przez pana

domu pogrzebowego. Może pan powoli zacząć się zastanawiać nad pogrzebem.

- Ale jak mam to zrobić?

- Wiem, że to mnóstwo bieżączki, ale przedsiębiorca pogrzebowy na pewno pomoże...

- Nie, pytam, jak w ogóle mogę zorganizować pogrzeb? Jaką mam pewność, że nie pojawi się na nim zgraja bandytów, żeby załatwić Billy'ego?

Cruz otworzyła usta i zaraz zamknęła. Po chwili powiedziała:

- Ja tam będę.

Skinął głową, lustrując wzrokiem pokój i opuszczając go na zagracone biurko, które dzieliła z innym funkcjonariuszem, budżetówkowe jarzeniówki, wiekowy komputer.

- Musicie nam pomóc - powiedział. - Potrzebujemy ochrony policyjnej.

- Ochrony policyjnej?

- Dla Billy'ego.

Skrzywiła się. To był jeden z tych momentów, który uświadamiał przykre realia tej roboty. Na filmie dysponowałoby strzeżonym przez snajperów mieszkaniem, z pięćdziesięciocalowym telewizorem na ścianie i lodami w lodówce.

- Mogę poprosić, żeby wozy patrolowe częściej jeździły po okolicy. Crenwood już i tak jest mocno patrolowane, więc byłoby ich naprawdę dużo. Pojawiałyby się raz lub dwa razy na godzinę, może częściej.

- Raz na godzinę?

Uniosła ramiona, rozłożyła ręce.

- Niewiele więcej mogę zrobić. Możecie zostać tutaj do wyjaśnienia sprawy.

- Tutaj. -Tak.

- Na posterunku. Wzruszyła ramionami.

- Niewiarygodne. - Pokręcił głową. - On ma osiem lat. Wie pani? Osiem.

- Przykro mi. Wstał.

- Jeśli nie zamierzacie chronić Billy'ego, sam się tym zajmę.

- Panie Palmer - powiedziała twardo, również się podnosząc - niech pan nie robi głupstw. Niech pan zostawi przestępców nam.

- Myśli pani, że zamierzam bawić się w rozwiązywanie jakichś kryminalnych zagadek, proszę pani? - Wyglądał na wyczerpanego i ledwie żywego, ale oczy miały pioruny. - Staram się chronić swoją rodzinę. Tylko to mnie obchodzi.

- Jason - powiedziała delikatnie, w nadziei, że zdoła załagodzić sytuację, spacyfikować go jakoś. Mogła wsadzić go do aresztu, ale nie chciała. - Mnie też zależy na waszym bezpieczeństwie.

Zacisnął ręce w pięści, wargi mu pobieleły. Wpatrywał się w nią przez długą chwilę.

- Świetnie - rzucił.

Potem obrócił się na pięcie i odszedł wzburzony, ze ściągniętymi ramionami, prosty jak struna. Zastanawiała się, czy go nie zawołać, powiedzieć, żeby został. Kazać mu zostać. Ale tylko osunęła się na krzesło. Gwiazda na pasie nagle zaczęła ciążyć.

- Wiesz, czyja to wina? - Tom Galway huśtał się na dwóch nogach krzesła. Szpakowaty, w schludnym garniturze, wyglądał bardziej na ortodontę niż sierżanta z Wywiadu Kryminalnego. - CSI.

- Że jak? - Cruz podniosła wzrok znad laptopa.

- Te wszystkie seriale policyjne z wymyślną fabułą. No wiesz, ofiara zabita tłuczkiem do ziemniaków, funkcjonariuszki o wyglądzie modelek rozmawiają z dwunastoma osobami,

potem puszczają tajemnicze niebieskie światło i okazuje się, że sprawcą był drużynowy ze skautów, którego ofiara nie widziała od dziesięciu lat. Roześmiała się.

- Wnoszę, że tego nie kupujesz. - Cruz zwierzyła mu się ze swoich wrażeń, opowiedziała o dziwnych elementach sprawy. - Byłeś tam, słyszałeś, co powiedział Michael Palmer.

Prychnął.

- Tak, i też go polubiłem. Był grzeczniejszy niż większość tych stukniętych.

- A ta cała gadka o tym, że gangi to tylko część problemu, że ma dowody. Uważasz, że zmyślał?

- Nie, miał rację w stu procentach. Gangi naprawdę są tylko częścią problemu. A problem nazywa się bieda z nędzą. Dowodów nie trzeba szukać ze świecą. - Wzruszył ramionami. - Posłuchaj, zabity głośno krytykował gangi. Żył wśród nich i zginął w pubie na ich terytorium. Koleś z Gangster Disciple polował na jego brata i syna. I to nie byle jaki koleś, ale Playboy, gnój, który jak wiemy, posłał już paru do piachu. Czemu koniecznie chcesz to komplikować i dzielić włos na czworo?

Był w tym sens. A jednak...

- A co z opisem podanym przez dzieciaka?

- Po czasie i po łebkach. Ile on ma lat, osiem? Wystraszył się na śmierć, prawdopodobnie kojarzy mu się coś z telewizji. I nie możesz zrobić świadka z ośmiolatka. Obrona rozniosłaby cię na strzępy. Poza tym... - Galway rozejrzał się i nachylił. - Rozmawiałem wcześniej z porucznikiem.

Odłożyła długopis, przygotowała się.

- Palmer był społecznikiem - ciągnął Galway. - Prasa jeszcze tego nie zwąchała, ale to tylko kwestia czasu. Szef, komisarz są naciskani ze wszystkich stron. Cholera, radny Owens dzwonił, żeby zakomunikować, że chce w wieczornych wiadomościach zobaczyć skutego sprawcę.

- Radny Owens się w to zaangażował? - Sprawa robiła się z każdą chwilą ciekawsza.

Galway skinął głową.

- Zwyciężył dzięki obietnicy, że będzie walczył z przemocą na ulicach i gangami. Ta sprawa nie stawia go w dobrym świetle. - Posłał jej spojrzenie, które nietrudno było odczytać. Mówiło: niebezpieczeństwo, kryj swój tyłek. Przypomniało jej się śniadanie z Donlanem, jego sformułowane wprost ostrzeżenie, że ta sprawa to pewniak i boże broń spieprzyć ją przez jakieś idiotyczne założenia. Zapewnienie, że pożałuje, jeśli to zrobi.

Poczuła, jak żyłka na czole pulsuje krwią.

- Z tego, co mówisz, wynika, że siedzimy w samym środku chujni z grzybnią.

- Co to znaczy „siedzimy”, biała dziewczynko? To twoja sprawa. - Galway puścił do niej oko, wstając. Zdjął kamizelkę z oparcia krzesła i ją włożył. - Posłuchaj, żarty na bok, dam ci jedną radę, jak partner partnerowi. Góra chce szybko ukreć sprawie łeb. To świetna okazja do wkupienia się w łaski. A Playboy będzie doskonale się prezentował w kajdankach. Może - powiedział, dociskając paski kamizelki kuloodpornej - wystarczająco dobrze, żeby wyciągnąć cię z tej bazy danych.

Kiedy odszedł, z trudem powstrzymała się, żeby nie zmieść z biurka stosu teczek. Ale tylko odchyliła się na krzesło i wbiła wzrok w płyty sufitu. Wzięła do ręki długopis, włączyła go z pstryknięciem, wyłączyła, włączyła z powrotem. Kiedy sprawy się tak skomplikowały? Przestępcy byli zwykle głupi, na ogół arogancy, często pijani lub na haju. Ładowali magazynki gołymi rękoma, zostawiając na miejscu zbrodni łuski z odciskami swoich palców. Przypalali dwa skuny z anielskim pyłem i zabijali właściciela monopolu, żeby zdobyć hajs na trzeci. Zabijali się nawzajem za maźnięcie sprejem po niewłaściwej ścianie.

Ale nie uczestniczyli w skomplikowanych intrygach.

Mimo to teraz coś się działo. Michael Palmer zginął po tym, jak rozmawiał z nią o gangu. Najwyraźniej z rąk białych facetów, mimo że to czarni później zasadzili się na jego dzieciaka. I do tego jeszcze te ostrzeżenia z ust Donlana i Galwaya, naciski polityczne.

Cruz otworzyła najniższą szufladę biurka, wyjęła kamizelkę. Założyła ją, sprawdziła broń i odznakę. Zawahała się, potem wyciągnęła też broń zapasową, „miniglocka”, którego umieściła w kaburze na kostce u nogi. Machinalnie odwalila cały ten rytuał, przygotowując się do wyjścia na ulicę i odszukania Playboya. Ale przez cały czas nie opuszczał jej dziwny niepokój, wrażenie, że dzieje się coś, o czym nie wie, nad czym nie ma kontroli. Zaczynała się czuć jak w pędzącym pociągu, który wyskoczył z torów i gnał w dal na łeb na szyję.

Fakt, nie doszło jeszcze do katastrofy.

Ale to nie oznaczało, że się nie zbliża.

## Rak

Byli zdani tylko na siebie. Niech to szlag.

Na zewnątrz posterunku słońce lało się promieniami na plecy Jasona. Od strony Dan Ryan dochodził szum przejeżdżających samochodów. Billy podniósł na niego szeroko otwarte oczy. Jason zobaczył w nich z trudem tłumiony lęk, i ten widok zaciążył mu jak kamień.

Policja umyła ręce. Teraz tylko on może ocalić bratanka przed ludźmi, którzy chcą go zabić.

*Po kolei, żołnierzu. Musicie się gdzieś zadekować. Ale gdzie? Jeśli bandyci ustalili adres Michaela, mogą bez problemu odszukać mieszkanie Jasona. Musiał znaleźć takie miejsce, w którym nikt ich nie będzie szukał. Tylko co mają niby robić? Pomieszkiwać w hotelach do końca życia?*

Odpowiedź spłynęła na niego jak uśmiech na usta.

- Billy - rzucił - pojedziemy odwiedzić starego przyjaciela.

Droga była krótka, ale pełna dziwnych odkryć. Jason od lat nie odwiedzał ulicy, gdzie dorastał. Minał swój dawny dom, nadal pochylony jak pijak, który lada moment spadnie z taboretu. Siding pstrzyły żółte plamy, tynk odpadał płatami, ale za to ogród był wypielegnowany. To go ucieszyło. Fakt, że ktoś się stara.

- Polubisz tego pana - powiedział, zerkając na Billy'e-go. - Był ważną osobą w moim życiu, kiedy dorastałem. Dla twojego taty też. Ma na imię Washington.

Bratanek popatrzył na Jasona, jakby brakowało mu piątej klepki, powiedział:

- Znam wujka Washingtona.

To tylko pogorszyło sprawę. Michaela nie było zaledwie dzień, a do Jasona już zaczynało docierać, że choć niby znał swojego brata, nic tak naprawdę o nim nie wiedział.

Dom Washingtona był, tak jak pamiętał, trzypiętrowym budynkiem z wyblakłym ogrodzeniem z kutego żelaza i sfatygowanymi zasłonami w oknach. Ale obok stopni prowadzących na ganek wisiał teraz szyld z napisem LATARNICY, a pod spodem trzy słowa:

Szacunek

Godność

Duma.

Poprowadził Billy'ego po schodach, mając wrażenie, że kroczy przez jakiś stary sen. Drzwi otworzył im żyłasty wyrostek o ospowatych policzkach, wysłuchał ich z podejrzliwością i kazał zaczekać. Jason zmierzwił włosy Billy'emu. Siatka przeciw owadom na drzwiach ograniczała widok na wnętrze domu. Jason dostrzegł jakąś zbliżającą się postać i poczuł lekki zawrót głowy. Dopiero teraz dotarło do niego tak naprawdę, kogo za chwilę zobaczy i ile to już lat minęło.

I wtedy drzwi się otworzyły.

- O, dzięki Bogu. - Washington przykucnął i mocno uścisnął Billy'ego. - Martwiłem się.

- Nic mi nie jest - zapewnił chłopiec głosem stłumionym przez ramię mężczyzny. - Wujek Jason się mną opiekuje.

Jason przestępował z nogi na nogę, dziwnie zdenerwowany. Minęły całe wieki. Chwila była bardzo niezręczna, nie



spodziewał się, że Washington z miejsca rzuci się na Billy'ego. Zawahał się, potem uśmiechnął.

- Witaj, staruszk.

Washington się wyprostował, stanął naprzeciwko Jasona i ściągnął ramiona.

- Proszę. - Nosił teraz brodę, a zmarszczki dokoła oczu nieco się pogłębiły. - Syn marnotrawny wraca.

Przez długą chwilę stali i patrzyli na siebie. Nagle Washington wyszczerzył się szeroko, oczy mu zaświeciły. Otworzył ramiona, Jason wszedł w jego objęcia, obaj zaczęli się zaśmiewać i poklepywać wzajemnie po plecach.

- Witaj w domu.

Jason zamknął oczy i objął go mocniej. Potem zrobił krok do tyłu, trzymając jedną dłoń na ramieniu tego człowieka, który był dla niego jak prawdziwy ojciec, jedyny, jakiego znał. Zaciśnął usta, przez twarz przebiegł mu cień.

- Słyszałeś?

Washington skinął głową.

- Na ulicy wieści rozchodzą się szybciej od światła. Trzymasz się jakoś?

-Tak. Nie wiem. Powinienem tam wtedybyć. - Urwał. - Musimy porozmawiać.

- Mhm. - Spojrzał na Billy'ego. - Ale później.

Przez chwilę stali w milczeniu. Jason chciał o coś poprosić, tylko nie bardzo wiedział o co. O pomoc? Wybaczenie? Odwrócił wzrok. Nagle poczuł, że coś ciepłego ciągnie go za ramię.

Patrzył na niego Billy.

- Mogę wejść do środka i zobaczyć się z Ronaldem?

- Kto to jest Ronald?

- To mój przyjaciel. Potrafi mnie podnieść jedną ręką. Jason przeniósł spojrzenie na Washingtona, zobaczył kiwnięcie głową i powiedział:

- Jasne, bąku.

Billy się rozpromienił i pognął do środka, pobłyskując piętami. Jason poczuł kłujący ból w piersi. Przez chwilę chłopiec wyglądał jak każde normalne dziecko.

- No - stęknął Washington, sadowiąc się w krzesło i kładąc nogi na balustradzie ganku.

Przyjechali późnym popołudniem, ale dopiero teraz, gdy dochodziła ósma, mieli okazję naprawdę porozmawiać. Jason nie widział staruszka od lat i przez ten czas Washington przedzierzgnął się z pomagającego w nauce miejscowym dzieciakom bibliotekarza w społecznika pełną gębą. Dom, w którym Jason bywał jako nastolatek, stał się obecnie skrzyżowaniem świetlicy szkolnej i klubu, gdzie dawni członkowie gangów zmywali statki w kuchni i uczyli się w bawialni do zaocznej matury. Washington dwoił się i troił, zdawało się, że jest wszędzie jednocześnie, rozmawiając ze „swoimi chłopcami”, uczestnicząc w spotkaniach i wisząc godzinami na telefonie.

Tych kilka godzin czekania wyszło na dobre. Jason mógł spędzić trochę czasu z Billym, rozerwać chłopca i odwrócić jego uwagę od ostatnich wydarzeń. Nauczył go wszystkich dowcipów, jakie znał, tych przyzwoitych przynajmniej, a resztę popołudnia spędzili, grając w kosza pod okiem nastoletnich zabójców.

Teraz jednak Billy już spał, niebo zachodziło purpurą i Jason nie mógł dłużej uciekać od własnych myśli.

-Tak.

- Radzisz sobie jakoś? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Był dobrym człowiekiem.

- Tak. - Jason czuł, jak narasta w nim napięcie. Ciągle jeszcze nie uрониł ani jednej łzy po śmierci brata i zaczynał się za to nienawidzić. Wziął łyk ginu, obserwował owady krążące wokół latarni. Zastanawiał się, co powiedzieć.

- Nadal pracujesz w bibliotece?  
- Już nie.  
- Złapałeś jakąś lepszą pracę?  
- Tę tutaj - Washington sącył drinka. - Obiło ci się o uszy nazwisko Kent? Adam Kent?  
-Nie.  
- Dwadzieścia lat temu otworzył w swoim garażu firmę importową, teraz jest multimilionerem. Pojutrze wieczorem wydaje dla nas przyjęcie charytatywne i daje nam z własnej kieszeni pół miliona dolarów.  
- Pół miliona? - Jason zagwizdał. - Chryste. Washington skinął głową.  
- To kompletnie zmienia postać rzeczy, jakby się niebo dla nas otworzyło. Bo teraz cienko przedziemy, właściwie ciągniemy tylko cudem, resztkami sił i środków. Tracę mnóstwo chłopców, którym można by pomóc.  
Jason pociągnął kolejny łyk ginu. Poczłł typowo męskie zakłopotanie, chciał coś powiedzieć, ale słowa brzmiały dziwnie.  
- Mnie pomogłeś.  
- Nie potrzebowałeś wielkiej pomocy. Tylko trochę ukierunkowania.  
- Ale zawsze. Staczałem się. Bunt to jedna sprawa, ale kradzież telewizorów? - Pokręcił głową. - Gdybyś nie skopał mi tyłka, mogłoby być znacznie gorzej.  
Washington się nachylił i napełnił ponownie szklaneczki. Gdzieś zawyła syrena.  
- Powinienem był przyjść wcześniej - powiedział Jason.  
- Zastanawiałem się, czy to zrobisz. Twój brat powiedział mi, że odszedłeś z wojska.  
Jason się skrzywił, wstał, podszedł do balustrady. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się opuszczona parcela. Kiedy mieszkał kilka domów dalej, stała tam stara karuzela. Ra-

zem z Michael'em często ją rozpędzali, chwytając się krzesełek i biegnąc ile sił w nogach. Potem wskakiwali na siedzenia i patrzyli, jak świat wiruje dokoła.

- Myślałem o tym. - Zamknął oczy, zobaczył Martinez'a i szybko je otworzył. - Tylko że sprawy nie potoczyły się tak, jak bym chciał.

- To znaczy?

- Nie odszedłem z wojska. Zostałem wyrzucony. - Niebo za bardzo pociemniało i nie widział, czy karuzela nadal stoi gdzieś pośród chwastów. Starał się nie myśleć, nie analizować słów. - Z powodu nieprzydatności, tak to nazwali. Za postępowanie niegodne żołnierza i wykroczenia przeciwko dyscyplinie. Robią tak często z kolesiami, którzy przyznają się do zespołu stresu pourazowego. To nie to samo, co zwolnienie dyscyplinarne, ale też nic fajnego.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie. - Doleciał go strzęp muzyki z jakiegoś odległego samochodu, ładna latynoska melodia, w sam raz na wieczór ciężki od skwaru. Westchnął. - Popeniłem błąd.

- Jaki?

- Taki, od którego giną ludzie. - Washington milczał. Staruszek zawsze miał do tego dryg. - Zlekceważyłem rozkaz. Byłem sierżantem i skierowałem ludzi gdzieś, gdzie nie powinni się znaleźć. I jeden z nich zginął. - Przywra wślizgnęła się między żebra a serce, przyprawiając go o mdłości.

- Musi ci być ciężko, synu.

Jason upił ginu, zapatrzył się w ciemność.

- Nie tak ciężko jak temu, który zginął. - Tak wiele się wydarzyło w tak krótkim czasie, czuł się z maltretowany niczym worek obijany przez boksera. Wypuścił powietrze, odgarnął grzywkę ze spoconego czoła. Odwrócił się i oparł o balustradę. - Często widywałeś się z Michael'em?

- Wiele razy przywoził Billy'ego na weekendy. Pomagał nam, raz w roku organizował u siebie w pubie zbiórkę pie-

niedzy dla stowarzyszenia. Ale chciał działać bardziej zdecydowanie. Uważał, że społeczność powinna wziąć sprawy w swoje ręce, podjąć walkę z gangami. I nie cierpiał polityki ani zbiórek pieniędzy. Twierdził, że ludzie dają pieniądze tylko po to, by móc dalej ignorować problem.

- A to prawda?

Washington wzruszył ramionami.

- Synu, niewiele mnie to obchodzi. Tutaj giną dzieciaki. Pieniądze pomagają.

Jason skinął głową. Cały Michael: wyznaczyć granicę między białym a czarnym i nie dostrzegać istnienia półcieni. To jedna z rzeczy, która zawsze utrudniała im porozumienie, sposób, w jaki Michael...

Paf!

Dźwięk był głośny i ostry. Jason automatycznie, bez chwili zastanowienia przyjął pozycję bojową, wyszarpując berettę spod koszulki i szeroko otwartymi oczyma przeczesując teren. Rozglądał się w poszukiwaniu ruchu czy błysku z lufy, gotów rzucić się w każdym kierunku. Po karku chodziły mu mrówki, zmysły szalały, dłonie spływały potem, ale pewnie trzymały broń.

Nic.

Minęła chwila, kiedy tak stał z odbezpieczonym pistoletem, zanim uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Jak często słyszał ten dźwięk jako dziecko, zawsze wystarczająco odległy, by nie można było mieć pewności, czy to pistolet, gaźnik samochodu czy wybuch petardy. To była jedna z osobliwości miasta, zwłaszcza jego południowej części, jedna z tych rzeczy, do których człowiek się przyzwyczajał. Poczul falę gorąca na twarzy, krew pulsującą na czole. Patrzył w mrok, nie mając odwagi się odwrócić.

- Może mi powiesz, dlaczego wniosłeś broń do mojego domu? - rozległo się za jego plecami.

Westchnął. Zabezpieczył berettę i schował, dalej z oczyma wbitymi w ciemność.

- Przepraszam.

- Przepraszam to żadne wyjaśnienie - z głosu Washingtona zniknęła łagodność.

Jason skinął głową. Odwrócił się powoli, przysunął sobie krzesło i zrelacjonował dokładnie wszystkie ostatnie wydarzenia, zaczynając od Playboya. Trwało to niemal godzinę, w czasie której Washington nie odezwał się ani słowem. Siedział tylko z kamienną twarzą, uważnie słuchając. Kiedy opowieść dobiegła końca, powiedział:

- Nie lubię broni.

- Przepraszam.

- Nie będę jej tolerował w swoim domu.

- Zostawię ją w samochodzie. Mogę ją zanieść tam już teraz.

Washington patrzył na niego badawczo.

- Zrobisz to, zanim przejdiesz przez te drzwi. I zamkniesz ją w bagażniku, słyszysz? - Kiedy Jason skinął głową, opadł na oparcie i wziął niespieszny łyk ginu, patrząc w przestrzeń.

- Powiedziałeś, że to Playboy cię zaatakował?

- Znasz go? - Po spędzonym tu popołudniu Jason podejrzewał, że nie powinien się dziwić. Washington ewidentnie znał okolicę na wylot.

- Należy do Gangster Disciples, jest żołnierzem. Zastępcą przywódcy.

- Zastępcą? Ma jakieś dwadzieścia trzy lata, góra.

- Gangi werbują młodych. Trzydziestolatek zastanowi się chwilę, zanim naciśnie spust, piętnastolatek ma to gdzieś.

- Czy Playboy mógłby polować na Michaela za to, że gadał z policją?

- Bez dwóch zdań. Ale mówiłeś, że ludzie, których widział Billy, byli biali.

- Tak. - Jason położył nogi na balustradzie. - Nie wiem, co to za goście. - Potarł oczy, pod powiekami zawirowały mu czarne gwiazdki.

- Szlag, nie wiem nawet, co się tu dzieje.

- Co się tu dzieje? - Washington wzruszył ramionami. - Dzieje się coraz gorzej. Wiesz, że prawie pięćdziesiąt procent czarnych chłopców nie kończy szkoły średniej? Mówię tylko o Chicago. To całe pokolenie, a myje zawodzimy, wystawiamy do wiatru.

- Kto ich wystawia do wiatru? Ja im nie kazałem rzucać szkoły. A już na bank nie prosiłem, żeby polowali na moją rodzinę - powiedział Jason. - A gdzie są ich rodzice?

- Rodzic, synu. Zwykle to samotna matka tyrająca na dwóch kiepsko płatnych etatach za minimalne wynagrodzenie. Wyciąga może czterysta dolców na tydzień. Nie stać jej na świetlicę, nie stać na książki czy komputer i jeszcze w dodatku ciągle jest nieobecna. Dziecko nie ma tak naprawdę domu, szkoła się na nie wypina, na ulicy jest niebezpiecznie, jaki pozostaje mu wybór inny niż przystąpienie do gangu?

- Gównu prawda. - Był tu gościem, ale nie potrafił zamilczeć, nie po tym, co przeszedł w ostatnich dniach. - Dorastałem w tej dzielnicy. Wiesz, że mój stary nawiał. Mama miała trzy etaty. Oboje z Michaeliem pracowaliśmy, sami sobie kupowaliśmy ubrania, odkąd skończyliśmy dwanaście lat. Każdy ma wybór. Oni wstępują do gangów, bo Tupać albo Snoop Dogg czy kto tam jeszcze im wmawia, że to jest fajowe. Jesteś w gangu, wozisz się ze spluwą, laski wyłóżą ze skóry, żeby wsiąść do twojej bryki.

Washington pokręcił głową.

- Wiesz, ile dzieciak dostaje za dylowanie koką? Dziewięć, dziesięć dolców za godzinę. Dzieci z dzielnic podmiejskich zarabiają tyle w Starbucksie i jedynym ich zmartwieniem jest groźba poparzenia sobie palców. Nie wstępują tam dla pieniędzy.

- Pozwól, że strzełę. Wstępują z myślą o swoich braciach i swojej społeczności, żeby bronić jej przed białymi.

- Wątek rasowy na pewno jest obecny, bez dwóch zdań, ale nie tak, jak ty to przedstawiasz.

- No więc po co w takim razie?

- Po szacunek - rozległ się cichy głos z tyłu.

Jason się obrócił. Mężczyzna stojący w drzwiach mógł się postrach: metr dziewięćdziesiąt, ponad sto kilo żywej wagi, ramiona jak z ciosanego granitu, włosy ciasno zaplecione w warkoczyki.

- Nie mają kasy ani celu. Gang daje im sławę. Stają się gwiazdami getta. Nikt im nie podskoczy, nikt z nimi nie zadrze, bo przynależą.

- Jason Palmer, Ronald Wilson. - Washington dokonał prezentacji.

Jason wstał, uścisnęli sobie dłonie. Obawiał się, że Ronald zmiażdży mu palce, ale ku jego zaskoczeniu okazało się, że wielkolud ma zdecydowany uścisk, ale nie macho.

- Jesteś przyjacielem Billy'ego. Ronald się uśmiechnął.

- Fajowy dzieciak. Można go trzymać do góry nogami przez godzinę, a on ciągle chce więcej. - Wszedł na ganek. Kiedy światło padło na jego przedramiona, Jason odskoczył do tyłu. Wpadł na krzesło, które się zachwiało i przewróciło z trzaskiem.

- Spokojnie. - Washington zerwał się na równe nogi i wkroczył między nich.

Ronaldowi nie drgnęła nawet powieka.

- Jakiś problem?

- To ty mi powiedz - Jason wskazał na jego ramię, na którym sześcioramienna gwiazda w płomieniach otaczała litery GD. Taki sam tatuaż miał Playboy, albo cholernie podobny.

Ronald skinął głową, podniósł ramię do światła i okręcił je w tę i w tę.

- Znak mojej załogi. Należałem do Gangster Disciples na Pięćdziesiątej Czwartej.

- Należałeś. -Tak.



- Ale już nie należysz.

- Odszedłem prawie cztery lata temu. - Przekrzywił głowę w bok. - Doktor Matthews mi pomógł. Chciałbym się pozbyć tatuażu, ale jeszcze mnie nie stać.

Jason odetchnął głośno.

- Przepraszam, stary. - Potrząsnął głową. - To były ciężkie dni.

- Billy też tak mówi.

Washington wyslizgnął się spomiędzy nich, nie spuszczać oczu z Jasona.

- Ronald jest moją prawą ręką. I żywym przykładem tego, co można osiągnąć, pracując z dziećmi zamiast ich ignorować. Pomaga mi na sto różnych sposobów i nawet nowi chłopcy wiedzą, że nie należy z nim zadzierać.

- Nietrudno zrozumieć dlaczego. - Jason się schylił, podniósł krzesło. - Więc szacunek, tak? O to chodzi?

- W dużej mierze.

- Jakoś mnie to nie przekonuje.

- Dlaczego? To niewiele się różni - Washington spojrzał na Jasona - od szukania rodziny w wojsku.

Jason się splonął.

- Różni się jak cholera, w ogóle nie ma porównania. Głosem dochodzącym jakby z nieodwiedzanej od tysięcy lat jaskini odezwał się Ronald.

- Nie wiem, jak jest w woju. Ale kiedy dorasta się tutaj, czasem gang wydaje się wszystkim. Pierwszy raz poszedłem na mokrą robotę, kiedy miałem trzynaście lat, wtedy też zacząłem spylać towar. Trzy lata później urodził mi się syn. Jego matka odeszła ode mnie, i go zabrała. Wówczas mi to latało. Miałem po prostu więcej czasu dla załogi. Niepotrzebny był mi jakiś tam syn. Mój gang był całym moim światem. Do czasu kiedy ktoś nie kropnął mojego młodszego brata. Dopiero wtedy zaczęło coś do mnie docierać - zamilkł, zostawiając ich z mrokiem, skwarem i odgłosem własnych oddechów.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? - spytał wreszcie Washington. - Życie tych dzieciaków gna na łeb na szyję. Ich cały świat jakby się palił.

- Ale jaki to ma sens? - Jason dorastał wprawdzie ulicę dalej, ale to nie był jego świat. Nigdy. Może dlatego, że nigdy nie uważał tej okolicy za swój dom. Może dlatego, że był inaczej wychowywany, albo dlatego, że zawsze z Michaeliem trzymali się razem i uważali na siebie albo po prostu dlatego, że biała skóra matki umożliwiała jej zdobycie posady za więcej niż minimalne wynagrodzenie, nawet jeśli potrzebowała trzech etatów. Z tego czy innego powodu jakoś go to ominęło: świat wyrostków zabijających się za kawałek kolorowej szmatki, udających, że bandany są mundurami. - Dlaczego po prostu się z tego nie wymiksujecie? Obaj?

Washington zmierzył go wzrokiem, od którego Jasonowi zrobiło się nieswojo, jakby staruszek przejrzał go na wylot. Wziął łyk ginu, głowa pękała mu od upału i alkoholu. Milczenie się przeciągało. Kiedy Washington wreszcie się odezwał, jego głos był cichy.

- Słyszałeś kiedyś o Rutupiae?

- To jakiś gang?

- Historia, synu. - Washington pokręcił głową. - W czwartym wieku Brytania była jednym z najbardziej zaawansowanych cywilizacyjnie miejsc na świecie. Kwitły tam kultura i medycyna, krzewiła się umiejętność czytania i pisanie, rozwijała się opieka społeczna, to wszystko, co uznajemy za oznaki cywilizacji. W miejscowości Rutupiae, w pobliżu dzisiejszego Dover, znajdowała się ogromna latarnia morska, która co noc rozbłyskała światłem. Przede wszystkim po to, by pokazywać drogę statkom, ale miało to też wydźwięk symboliczny. Dopóki się paliła, nieprzyjaciele Brytanii wiedzieli, że Rzym stoi na jej straży.

Ale był to ciężki okres dla cesarstwa. Dni największej chwały przeminęły, a wrogowie rośli w siłę. W końcu Rzymia-

nie ewakuowali stamtąd swoje wojska, zostawiając Brytanię na łasce saksońskich plemion, barbarzyńców, którzy malowali sobie twarze na niebiesko, pili krew, pustoszyli, gwałcili i niewolili. Sytuacja wyglądała tragicznie. Bez rzymskich legionów Brytania była skazana na zagładę. Ale według podania tej nocy, kiedy Legiony odpływały do Rzymu, zdezerterowała z nich grupka żołnierzy. To było czyste samobójstwo. Nie mieli żadnych szans w obliczu przytłaczającej przewagi liczebnej Sasów. Ale zostali i pilnowali światła w Rutupiae.

- W nadziei, że wykiwają najeźdźców? - Jason prychnął. - Nie udałoby im się to na dłuższą metę. Że niby zginęli po to, by latarnia się paliła parę nocy dłużej?

- Można tak na to patrzeć. - Usta Washingtona rozciągnęły się w delikatnym uśmiechu. - Albo można przyjąć, że w obliczu końca pewnego marzenia postanowili zostać i walczyć. Powstrzymać ciemność. Choćby przez kilka nocy. - Zerknął na Ronalda jak profesor wzywający ucznia do odpowiedzi. - Wiesz, jak się nazywali?

Wielkolud pokazał głową na wiszący szyld.

- Latarnicy.

Jason poczuł ogarniającą go falę pogardy do samego siebie. Dupek z niego. Przywra wiła się w środku, szarpiąc zębami ciało.

-Tak.

Washington się uśmiechnął, opadł na krzesło obok Jasona. Poklepał go po kolanie.

- Ludzie gadają o „upadku Rzymu”, jakby nagle jednego dnia wszystko gruchnęło i się zawaliło. - Pokręcił głową. - Nic podobnego. Imperia umierają powoli i od środka. Jakby zżerał je rak. - Pokazał ręką pociemniałą ulicę, wzburzając przy tym gin w szklance. - Tak jak tutaj. Na krańcach miasta. Zżera nas rak, ale wszyscy odwracają oczy.

Jason przesunął ręką po karku, rozmasowując lepka od potu skórę. Wiaterek przybrał trochę na sile, ciepły, przepel-

niony słodką wonią bzu i krztyną zapachu rozkładających się śmieci. Myślał o Billym, śpiącym z kciukiem w ustach i w wojskowej koszulce. Bezbronnym. Ufnym. Tropionym.

- Czy mały mógłby to zostać przez jakiś czas?

- Oczywiście. - Washington pogładził wąż. - Dlaczego? Jason wstał i oparł się o balustradę, stając tyłem do nocy.

- Musisz mi opowiedzieć jak najwięcej o Gangster Disciples.

Washington zmrużył oczy.

- Obywatelska ciekawość? Jason się uśmiechnął.

- Rozpoznanie. - Uważał, że należy to powiedzieć. Jeśli Washington może walczyć z ciemnością, jeśli Ronald może, to on równie dobrze też. - Zostanę i będę walczył. Tak jak powiedziałeś.

Washington patrzył na niego z kamienną twarzą. Badawczo. Uśmiech zamarł na ustach Jasona. Zapadło długie, ciężkie milczenie, słychać było tylko odgłosy nocy, bicie ich serc i alkohol buzujący w głowie.

Potem Washington się podniósł.

- Rozczarowujesz mnie, synu. Słowa smagnęły jak policzek.

- Że co? Dlaczego?

- Czy kiedykolwiek popierałem przemoc?

- Nie proszę cię o to. Ale tylko ty znasz okolicę jak własną kieszeń, wiesz wszystko o gangach. Muszę wiedzieć, z czym mam do czynienia.

- Nie - rzucił Washington. - Zachowujesz się tylko jak cholerny głupiec. Myślisz, że ta opowieść jest o walce? Uważasz, że próbowałem cię namówić, żebyś poszedł do Playboya, wyciągnął spluwę i udowodnił, jaki z ciebie twardziel? - Potrząsnął głową. - Może twój brat miał rację. Może nie powinieneś był wstępować do wojska, jeśli tylko tyle się tam nauczyłeś.

Jason zamrugał, z rękoma rozłożonymi na wysokości pasa, patrząc, jak Washington się oddala. Staruszek zrobił trzy ciężkie kroki i pociągnął stare siatkowe drzwi. Zapiszczały zawiasy. Coś w sposobie, w jaki się odwrócił, odprawił go lekceważąco, sprawiło, że Jason się zagotował.

- To tyle? - rzucił. - Nie popierasz przemocy i tylko tyle masz do powiedzenia?

Washington obrócił się na pięcie, przytrzymując otwarte drzwi jedną dłonią. Oczy płonęły mu w przyćmionym świetle.

- Właśnie tak, synu. Ja już to przerabiałem. Wiesz, że tak. Nigdy do tego nie wrócę i tobie też nie pomogę.

- Ktoś zamordował mojego brata. Usiłował zabić jego syna. A ja mam po prostu nadstawić drugi policzek? - Jason pokręcił głową. - Jest tylko jeden problem. Jezus dostał wpierdol, staruszkę, i zginął. Zatem wybac mi, że będę się bronił. - Odstawił gwałtownie szklaneczkę z ginem, ciepły płyn wylał się na poręcz. - Proszę cię o pomoc. Jeśli nie masz odwagi, dobrze, schowaj głowę w piasek. Ale ja będę walczył dla Billy'ego. Jest wszystkim, co mam, i nie pozwolę, żeby ktoś go skrzywdził.

Patrzyli się na siebie przez długą chwilę, Jason i jedyny ojciec, jakiego miał. Wreszcie Washington się odwrócił.

- Nie wnoś tego pistoletu do mojego domu. - Przeszedł przez drzwi, które zamknęły się za nim z trzaskiem.

W ciszy, jaka nagle zapadła, odgłosy owadów wydawały się bardzo głośne.

Jason się odwrócił, gniew, który czuł, zamieniał się już w coś brzydszego, coś co Przywra lubiła. Jednym haustem dopił resztę ginu. Pierdolić to. Jak podleci. No więc będzie sam przeciwko światu, i dobrze. Może zawsze tak było, tyle że dopiero teraz to widzi.

Zapomniał na śmierć, że Ronald dalej jest na ganku, dopóki nie usłyszał jego głosu.

- Wiesz, moja mama czytała mi Biblię. - Wielkolud podszedł i oparł się o poręcz, ramiona miał jak sękate sęki drewna.

Jason westchnął.

- Taa?

Ronald skinął głową.

- Podobał mi się Stary Testament. Izaak i Abraham. Mojżesz. Te sprawy.

- Nigdy tego nie czytałem. - Jason słyszał gniewne głosy dolatujące z otwartego okna w sąsiednim domu, jakiś mężczyzna i kobieta kłócili się ze swobodną wściekłością nawyku. Znalazł się w punkcie wyjścia. Gliny mu nie pomogą. Przyjaciele mu nie pomogą. Jego brat nie żyje. Jest sam przeciwko wrogom, których nawet nie rozumie. Szlag, przeciwko wrogom, których nawet nie potrafi zidentyfikować.

- Ale Nowy Testament jakoś nigdy mi nie leżał - głos Ronalda tchnął spokojem. - Mama w kółko gadała o Jezusie, ale ja myślałem jak ty. Łatwo nadstawić drugi policzek, gdy twój stary jest Bogiem, nie? - Wzruszył ramionami. - Sam nigdy nie znałem swojego ojca.

Coś w jego tonie uderzyło Jasona. Odwrócił się od ciemności.

- Ronald, czy ty próbujesz mi coś powiedzieć? Wielkolud się uśmiechnął.

- Tylko tyle, że doktor Matthews nie jest jedyną osobą, która zna okolicę.

## Marsz tysiąca morderstw

Blżej wszawej namiastki kwatery głównej Diona, która zresztą bardziej przypominała budynek klubu, z nastoletnimi gangsta rozwalonymi na całym rozpadającym się ganku, znajdowało się dogodniejsze miejsce do parkowania - ale Anthony DiRisio straciłby wtedy swój marsz tysiąca morderstw.

Tuż po południu ostre słońce wykurzyło mały z ich nor. Wylegli na schody, porozsiadali się na gankach, wystawali na ulicy, świecąc gołymi torsami. Napakowani gangsta obnosili się jawnie z barwami: niebieskie bandany w kieszeniach, bejsbolówki przekrzywione na prawo. Dziesięciolatki, pulchne maluszki o spojrzeniach zabójców, trenowały wojenne miny. I to wszystko, tę czarną zarazę, która śmierdziała jak ściek, przeszywała teraz jego nienawiść.

Anthony się uśmiechnął, wkładając w to całą swoją pogardę. Akrobacje spadochronowe były dla mięczaków. On mierzył długość swojego kutasa siłą swojej nienawiści.

Szedł wolno, pod ostrzałem spojrzeń, nie uciekając wzrokiem na boki. Niektórzy z nich wiedzieli, kim jest, pozdrawiali go niechętnym skinieniem. Inni brali go za gliniarza, niedotykalnego. Większość widziała po prostu, że reszta ustępuje z drogi, i szła za przykładem. Instynkt stadny.

Anthony kroczył swobodnie, wiedząc, że nikt nie ruszy jego samochodu, nikt go nie zaczepi. Niesiony nienawiścią, pokonał lekko odcinek od końca przecznicy do rozpadającego się parterowego domku. Czarny hip-hop płynął niczym dym z okien. Dzieciaki na schodach przekazywały sobie grubego jointa, słodka woń marihuany unosiła się w letnim skwarze. Dwóch zaprawianych w bojach gangsta stało pod stropem ganku i obserwowało, jak się zbliża. Patrzył im twardo w oczy, czując wibrowanie każdej komórki w ożywionym ciele.

- To-nej Di. - W ustach bambusa północnowłoskie imię i nazwisko zabrzmiały jak murzyńska ksywka. Opuścił powieki, jakby Anthony nie zasługiwał na wysiłek oglądania. - C-Note czeka.

Anthony uśmiechnął się, nie angażując oczu, pokonał schody, zmuszając wyrostków do usunięcia się z drogi. Po żarówce na zewnątrz wewnątrz domu wydawało się ciemne, przystanął na chwilę, by oczy przyzwyczyły się do panującego mroku. Zamiast zasłon okna zacieniały przybite gwoździami niebieskie prześcieradła, które w połączeniu z unoszącym się dymem tworzyły wrażenie podwodnego świata. Światło, które jednak zdołało przedostać się do środka, zdawało się rozczarowane, padając na zniszczone sofy i wytatuowanych gangsta. Anthony'ego powitało nagle zapadłe milczenie, słyhać było tylko muzykę w tle. Wreszcie ktoś się odezwał, Di-Risio się obrócił i zobaczył Ala Pacina siedzącego za kopczykiem kokainy.

- Pozwólcie, że spytam - zagaił tonem swobodnej pogawędki - nigdy nie macie dość tego filmu?

Jeden z łepków na kanapie podniósł piwo, pociągnął sownicie z butelki, nie odrywając spojrzenia od Anthony'ego.

- W życiu. *Człowiek z blizną* wymiata. - Uśmiechnął się przebiegle.  
- A ty nigdy nie masz dosyć tych badziewiastych garniaków?

To ich rozbawiło, stuknęli się pięściami.



Anthony się uśmiechnął. Podeszedł bliżej i stanął naprzeciwko wyrostków. Począł, aż się uciszą. Z tak bliska czuł cuchnący zapach ich potu. Przez chwilę rozkoszował się przeciągającym się napięciem, potem się uśmiechnął, powoli pochylił i wziął sobie piwo. Przytknął butelkę do ust i poczuł w gardle ciepły, obrzydliwy smak, ale pił i przetykał, dopóki nie opróżnił całej flaszki.

- Nie. - Wręczył chłopakowi puste szkło. - Nie mam. Wyrostek się roześmiał, posłał butelkę na drugi koniec

pokoju, gdzie z głuchym odgłosem walnęła o dywan.

- Spoko loko, gościu. - Sięgnął do stołu, chwycił kolejną butelkę. - Mam tego w chuj i trochę.

- Wielki Anthony, mój ziombój. - Głos dochodził z kuchni, gdzie z ramionami opartymi o ościeżnicę stał Dion Williams.

Anthony skinął głową, ale nie odwrócił oczu od chłopaka na kanapie.

- Witaj, Dion.

- Zapraszam.

Mierzył biedaka wzrokiem jeszcze chwilę, wreszcie odwrócił się i poszedł za Dionem. Kuchnia tonęła w brudzie, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie walały się butelki, pojemniki po żarciu na wynos, pety po mentolach i jointach odgaszone na blacie. Nad zlewem pełnym brudnych statków krążyła leniwie mucha. Anthony szedł ostrożnie z rękoma przywiedzionymi do boków, uważając, żeby czegoś nie dotknąć. Dion otworzył drzwi na tyłach i weszli do jego gabinetu, pokoiku w chicagowskim stylu, ledwo mieszczącym biurko i wyściełane krzesła. Anthony zawsze musiał tłumić śmiech na widok tych mebli, jakby żywcem kupionych na wyprzedaży w Omcemax.

Dion usiadł za biurkiem, kładąc dłonie na blacie. Zabębnił palcami i ten ruch spowodował, że mięśnie ramion mu się napięły. Anthony usiadł, zmierzył go wzrokiem. Odczekał długą chwilę. Wreszcie powiedział:

- Naprawiłeś swoją wtopę? Dion zmrużył oczy.

- Już to maglowaliśmy. Ustalałeś to z Playboyem, nie ze mną.

Anthony wzruszył ramionami.

- Myślałem, że potrafi rzecz załatwić. Do głowy mi nie przyszło, że masz u siebie takie cioty w załodze, Dion.

Gangsterowi rozszerzyły się nozdrza, ale siedział w milczeniu przez chwilę.

- Po pierwsze - rzekł wreszcie - mówisz o moim ziomku, więc lepiej weź się ogarnij. Po drugie, mam na imię C-Note.

- Jasne - Anthony pozwolił sobie na lekką pogardę w głosie. - Nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Wysłałem paru kumpli pod adres, który dałeś nam zeszłej nocy.

- Czyli po sprawie? - Odpreżył się trochę, opadł na oparcie. - Dzieciak nie żyje?

- Nie. - Dion spojrzał na niego twardo, jakby prowokując, żeby coś z tym zrobił. - Przyjechały mendy.

Anthony poczuł znajomy ból w lewej skroni, miał ochotę ją potrzeć. Wziął głęboki oddech.

- Czyli chcesz powiedzieć, że znowu daliście dupy.

- Zbastuj. Taki ton przechodzi tylko raz. Nie przeginaj - mówił Dion cicho. - Teraz jesteś w moim domu.

Groźba rozochociła Anthony'ego, wywołując przyjemne ciarki na całym ciele i niemal powiedział C-Note'owi, że może mu skoczyć na jego biały żyłasty kij. Czarnuch trzymał ręce na stole i nawet jeśli miał giwerę, nie miał szans wyciągnąć jej szybciej niż Anthony, którego sig-sauer tkwił w szybkiej podramiennej kaburze. Ale Dion był nadal przydatny, przynajmniej na razie, więc DiRisio tylko się uśmiechnął, wyobrażając sobie, jak kula trafia go w oko i rozrywa pół głowy.

Prawe pół, postanowił.

- Czyli chłopak nadal żyje.

Gangsta pokiwał głową, potem odchylił się do tyłu z rękoma złożonymi za głową, ewidentnie zadowolony ze swojej przewagi.

- Taa. Ale - rzucił przeciągle - teraz, kiedy osobiście się tym interesuję, długo to już nie potrwa. Pod warunkiem że powiesz mi, gdzie go znaleźć.

Anthony prychnął.

- Wyglądam ci na książkę adresową?

- Już dawałeś nam namiary.

- To było wcześniej. - Starał się nie dać tego po sobie poznać, ale szybko kombinował w myślach. Sytuacja mogła się wymknąć spod kontroli. Wcześniej sam chciał się zająć chłopakiem, ale zlecenie tego gangowi miało swoje plusy i ostatecznie dał się przekonać. A teraz ten zasrany szczył się wymknął - znowu - i może właśnie gada z Bóg raczy wiedzieć którymi glinami.

I mogło do tego wszystkiego dojść tylko w jeden sposób.

- Jason Palmer - powiedział. -Kto?

- Wujek. - To się trzymało kupy. Ojciec nie żył, więc kto mógł się zająć dzieciakiem? A jako były żołnierz Palmer potrafiłby go obronić. - Ten, na którym Playboy umoczył. Znajdźcie go, to znajdziecie smarkacza.

- Białego chłopaka z dzieciakiem gdzieś w Chicago? - Dion wzruszył ramionami pobłaźliwie. - Znaczy się, masz jakąś fotkę czy coś? Nie wiem nawet, jak gościu wygląda.

- Playboy wie - uśmiechnął się Anthony. - A ja wiem, gdzie Palmer mieszka.

- Dobra, w porzo. Zmontuję Playboyowi paru żołnierzy. Twój kolo nawet nie zajarzy, co mu się przydarzyło. - Zaczął się podnosić.

Anthony ani drgnął.

- Chyba nie rozumiesz. Spieprzyłeś sprawę. - Zamilkł na chwilę, pochylił się. - Teraz musisz naprawić, a nie wysyłać kilku debilowarych szczyli. - Wytrzymał gniewne spojrzenie Diona, dalej wyobrażając go sobie z kulą w oku i krwawy, postrzępiony splacheć zamiast głowy. - Przyłóż się, skieruj wszystkie swoje siły do tej sprawy. Przekopcie to cholerne miasto. Jeśli Palmer będzie jechał na golfa, chcę, żeby jego wózek w każdej chwili mógł zostać ostrzelany. Chcę, żeby szukał go i tego dzieciaka każdy tutejszy czarnuch.

C-Note zmrużył oczy, słysząc obelgę. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, Anthony podjął:

- Nie jesteś moim jedynym klientem, Dion. Cholera, dziś wieczór mam spotkanie. - Poprawił krawat. - Jeśli zawalicie, wstrzymam dostawy. Spylę towar waszym nieprzyjaciołom. Twoich ziomali chapnie zdziwko. Ani się obejrzycie, a wasz gang będzie wspomnieniem. - Uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. - Obczajasz to, chłopcze?

Przez długą i radosną chwilę Anthony myślał, że bambus się na niego rzuci. Ale chwila minęła, a C-Note rozsiadł się na krześle w dyrektorskiej pozie z twarzą stanowiącą wzór opanowania.

- Disciples kończą to, co zaczęli. Puszczę w ruch chłopaków.

Anthony skinął głową, wstał.

- Dobrze. - Poprawił krawat, obciągnął mankiety, rzucił rzeczowym tonem: - Znajdźcie Jasona Palmera i chłopca, obu zabijcie. - Podeszedł do drzwi, otworzył je, potem się odwrócił. - Dion? Tym razem zróbcie to, jak należy.

I uśmiechnął się, widząc nienawiść malującą się na twarzy C-Note'a.

## Obce miasta

Jason musiał przyznać, że zaczynało to wyglądać na kiepski pomysł.

Z punktu widzenia taktyki działania zaczepne były najlepszym rozwiązaniem. Dopóki nieprzyjaciel był zepchnięty do obrony, nie mógł realizować własnych celów. To go wytrącało z równowagi, zmuszało do reagowania na poczynania strony przeciwnej, nie pozwalało działać samemu.

To właśnie oni, kimkolwiek byli, robili mu od kilku dni. Ale zamroczony ginem wczoraj wieczorem Jason miał wrażenie, że widzi szansę na zmianę tej sytuacji. Jeśli Washington zająłby się Billym, on mógłby przejść do ofensywy, zaczynając od jedyne go tropu, jakim dysponował: Playboya. Gdyby udało mu się ustalić, jaki jest jego udział w tej sprawie, może dotarłby do ludzi, którzy zabili Michaela.

Co zrobi później, było już nieco mniej jasne. Stanie z nimi twarzą w twarz, poszuka skruchy w ich oczach, każe ich aresztować?

Wyciągnie spluwę i ich sprzątnie?

Gdyby miał przy sobie broń, kiedy ci gangsta przyszli po Hilly'ego, zrobiliby to bez mrugnięcia okiem. To była walka. Bywał już na wojnie, chodził w szpicie po obcych miastach. Nazywał miejscowych pakisami, turbaniarzami albo ciapa-

tymi, tak jak wszyscy żołnierze, nawet jeśli starał się czynić dobro, tak jak wszyscy żołnierze. Ustawiał celownik swojego M4, przypominał sobie, czego go uczono: wydech, wstrzymać oddech, wolno ściągnąć spust - czuł szarpnięcie i patrzył, jak ludzie padają.

Ale wytropić człowieka, przytknąć mu lufę do skroni i rozwalić w pizdu? To nie była żołnierka. Tylko morderstwo.

Powoli, nie wszystko naraz. Teraz musi wykombinować, jak dorwać Kozia Bródkę. Wczoraj wieczorem, kiedy Jason zasugerował, że może po prostu obserwować dom, aż nadarzy się okazja, żeby porwać Playboya, Ronald tylko się uśmiechnął. Dziś rano Jason zrozumiał dlaczego.

To nie był Lincoln Park, gdzie mógł bezpiecznie spać na chodniku. To nie był zamęt stacji Clark and Davidson, gdzie nie rzucał się w oczy. To nie było nawet Crenwood, które znał, zaniedbane i chylące się ku upadkowi, ale zamieszkane głównie przez rodziny usiłujące z trudem związać koniec z końcem.

To była strefa wojny.

Nie wszyscy tu oczywiście należeli do gangów, starał się dodać sobie otuchy. Nie każdy dzieciak stojący na rogu, nie każdy mężczyzna z gołą klatką patrzący na niego spode łba. W szukających zaczepki twardej spojrzeniach, prowokujących, żeby spuścić wzrok, nie chodziło o Jasona. Tylko o przytłaczającą biedę i czterysta lat ucisku. O wozy patrolowe krążące tu niczym czołgi okupującej armii. O dzielnicę bez miejsc pracy czy szans na lepsze jutro, gdzie studia były marzeniem ściętej głowy. Wysłuchiwał zbyt wielu wykładów Washingtona, spędził zbyt wiele czasu w przeważającej mierze czarnym liceum, żeby o tym nie wiedzieć.

Mimo to nadal miał wrażenie, że większość tych ludzi z radością patrzyłaby, jak umiera.

Zatrzymał się na czerwonym świetle przy sklepie z telefonami komórkowymi, jednym z niewielu dobrze prosperu-

jących biznesów. Jakiś samochód stanął obok, dudniąc basem i gniewnym głosem, od którego zadzwoniły mu szyby w oknach. Nie spojrział w bok, ale starał się nie okazać zdenerwowania, po prostu patrzył na sygnalizator.

Ronald długo wczoraj opowiadał. Znał od podszewki przywódców gangu, jego struktury, źródła utrzymania, wrogów, bazy. Wiedział, że tą konkretnie załogą kieruje niejaki Dion Wallace, ksywa C-Note.

Może Ronald już nie był w gangu, ale ewidentnie nadal miał kontakt z tym światem. Co sprawiło, że Jason zaczął się zastanawiać, dlaczego mu pomaga. Po godzinie spytał.

Wielkolud urwał, potem pokazał głową na okno pokoju, w którym spał Billy.

- Pomagam ci pomóc jemu.

Nie dodał nic więcej, ale Jason widział, że myśli o swoim zamordowanym młodszym bracie.

Światło się zmieniło. Pora podjąć decyzję. Skręcić w prawo i zmierzyć się z wrogiem na jego terenie albo skręcić w lewo i pojechać na drinka, wymyślić nowy plan.

Jakiś samochód go strąbił. Jason ruszył w prawo.

Na pierwszy rzut oka ulica wyglądała jak wszystkie inne. Popękany chodnik, upał odbijający się od cegieł. Duży ruch jak na powszednie popołudnie: ludzie siedzieli na schodach, wystawali na rogu, popijali z papierowych toreb.

Potem wyobraził sobie, że znowu jest na pustyni, rozejrzał się ponownie i wszystko się zmieniło. Dwóch kolesiów z nagimi torsami na końcu przecznicy wyglądało na zwykłych opitalających się nigusów, ale spojrzenia mieli czujne, a każdy patrzył w innym kierunku. W dłoniach trzymali telefony Nextela, te, które działają też jak walkie-talkie. Czujki. Parę małych szkrabów kręciło się w pobliżu, opierając się o ogrodzenie i zgrywając twardzieli. Prawdopodobnie posłańcy.

Dom stał pośrodku ulicy: ruderowaty, ceglany, parterowy budynek z dużym otwartym gankiem. Jason poczuł dreszcz

w łydkach. Pięciu, nie, sześciu mężczyzn na ganku. Z tego czterech dobrze przed dwudziestką, ale już na pierwszy rzut oka widać, że zaprawionych w bojach i czujnych. Dwóch pozostałych było starszych. Stali w postawie niedbałej gotowości, jaką widywał u chłopaków z Sił Specjalnych, mężczyzn, którzy służyli w Somalii, Afganistanie i Zatoce i byli wystarczająco obeznani z przemocą, by traktować kule i rozbryzgi krwi jak chleb powszedni, nieodłączną część życia, jeden z elementów funkcjonowania świata.

Zadzieranie z kimś takim równało się śmierci, to proste.

Żołądek podszedł mu do gardła, poczuł mrowienie w palcach. Miejsce, oglądane oczyma żołnierza, przypominało jakiś cholerny koszmar. Terytorium wroga. Strażnicy i zwiadowcy. Kolaborująca ludność cywilna. Liczne siły walczących, w tym mnóstwo uzbrojonych. Niewielu, jeśli Washington miał rację, z szansami na dożycie starości. Uliczni żołnierze samo-zwańczej armii.

Jechał dalej, starając się ignorować ostrzał spojrzeń. Chciał zwolnić, utrwalić sobie w głowie szczegóły okolicy, ale nie śmiał. Zaschło mu w ustach, ręce zwilgotniały.

Wkroczyć ot tak i spróbować porwać jednego z nich?

Samobójstwo.

Dodał trochę gazu, wbił oczy przed siebie, ze wszystkich sił starając się wyglądać na cywila, który przypadkowo tu złądził. Bębnił palcami o kierownicę, krew dziko pulsowała w szyi. Dojechał do końca przecznicy, skręcił w prawo, ujechał jeszcze trochę, znowu skręcił i znalazł się z powrotem na Halsted, z powrotem w prawdziwym świecie. To była ta sama dzielnica, po której krążył od godziny, ale po kwartale gangu wydawała się banalnie spokojna.

- Chryste - mruknął pod nosem, wycierając dłonie o dzinsy. Słońce paliło przez szybę, roziskrzane złote cętki padały na zakurzoną deskę rozdzielczą. Ssanie w żołądku



zmieniło się w uczucie pieczenia. Ci ludzie byli zamieszani w śmierć jego brata, próbowali zabić jego bratanka. Teraz paradowali sobie w popołudniowym słońcu powszedniego dnia, a on nic nie mógł na to poradzić.

Szczęka go rozboleła i zorientował się, że ma zaciśnięte zęby. Niecałe sto metrów dalej znajdował się narożny sklepik spożywczy, szklana witryna osłonięta była metalową siatką. Zaparkował cadillaca przed wejściem. Dwóch wyrostków, którzy powinni siedzieć teraz w szkole, zmierzyło go morderczym spojrzeniem, ale w odpowiedzi spiorunował ich wzrokiem, wypinając pierś. Przeszedł obok, nie spuszczać ich z oczu.

W środku zobaczył brudne linoleum i lodówki pełne piwa. Kartka na grubej na dwa i pół centymetra osłonie lady informowała „sprzedaż na sztuki, 50 centów”, obok figurował rysunek papierosa. W chłodziarce w głębi znalazł coca-colę i pepsi, ale także jakieś pomarańczowe i grejpfrutowe napoje gazowane, których nazw nie kojarzył. Nie było Gatorade, więc zdecydował się na Mountain Dew.

Gdy wyszedł z powrotem na słońce, dwa łepki stały tam, gdzie ich zostawił przy budce z aparatem, jeden gadał przez telefon, drugi stał obok, z zapałką przyklejoną do wilgotnej wargi. Słońce prażyło przyjemnie w plecy i kark, więc Jason oparł się o bok samochodu i wbił wzrok w drogę, patrząc na przejeżdżające auta.

Napój był słodki, ale nie mógł zabić goryczy. Michael nie żył i Jason stał się opiekunem, a także może - Chryste - ojcem dla Billy'ego. To ostatnie brzmiało zbyt przerażająco, by się nad tym zastanawiać. Lepiej skupić się na pierwszym zadaniu, na rozprawieniu się z polującymi na nich ludźmi. Przywra zaśmiała się z głębi jego trzewi. Też mi opiekun się znalazł.

Na spękany, zachwaszczony parking wjechał radiowóz. Jason zerknął w jego kierunku, potem na dwóch wyrostków

przy budce. Starali się zachowywać spokojnie, na skutek czego ramiona mieli uniesione, szyje zdrętwiałe, ruchy nienaturalnie sztywne. Ten, który wisiał na telefonie, rozłączył się i obaj zaczęli się oddalać.

- Ej - zawołał gliniarz przez opuszczone okno władcym, wyćwiczonym tonem. - Scooby, tak?

Chłopcy zamarli, potem powoli się odwrócili. Zawahali się, następnie podeszli do radiowozu, jakby wyświadczali grzeczność.

-Taa.

- Jak leci?

- Obleci. - Scooby przesunął zapalną z jednej strony ust na drugą. Jego przyjaciel strzelał oczyma na boki, jakby miał nadzieję, że nikt ich nie obserwuje.

- Wiesz, że znaleźliśmy Li'l Cisco na tyłach Świętego Franciszka? - Gliniarz przekrzywił głowę. - Ktoś strzelił mu w twarz.

- Z prochu powstałeś...

- Taa. - Gliniarz się uśmiechnął. - Obiło ci się może o uszy, z kim zadarł?

- Nie, człowieku.

- Daj spokój. To był twój ziom, tak? Pomóż mi. - Gliniarz się rozejrzał, gestem pokazał Scooby'emu, żeby podszedł bliżej. Chłopak obejrzał się na przyjaciela, potem położył ręce na samochodzie i wsadził głowę do środka. Siedząca obok policjantka, kobieta z kwadratową szczęką i spokojnym wyrazem twarzy rutyniarza, mierzyła wzrokiem Jasona przez szybę.

Przypomniała mu się Cruz, wczorajsze przesłuchanie. Właśnie kiedy o mały włos nie wpadł w szal, odpuściła. Zapewniła go, że sprawdzi wszystkie ewentualności, pogada z chłopakami z gangów, postara się zgarnąć Playboya. To zrobiło na nim wrażenie, myśl, że ta niewysoka, metr sześćdziesiąt w kapeluszu, Latynoska będzie przesłuchiwać władców ulicy. Miała w sobie ogień.

I nagle, kiedy patrzył, jak Scooby słucha gliniarza, a jego kumpel przestępuje z nogi na nogę, jakby chciało mu się siku, ni stąd, ni zowąd go olśniło i omal nie wypuścił z rąk napoju.

Pomysł był niestworzony, zupełnie z księżycyca.

Jezu, ale będzie ostra jazda.

I zdał sobie sprawę, że się uśmiecha.

*11 stycznia 1988*

*Wie, że nigdy nie będzie wysoka i smukła, że nigdy nie będzie mieć włosów jak z reklamy szamponu. Ale to nie ma znaczenia, bo teraz, miesiąc po piętnastych urodzinach, Elena Cruz jest już dorosła, już wie, czym to się je: chodzi z maturzystą i dziś wieczór jej matka wyjeżdża z miasta.*

*Nie wypisuje „Elena Vaughn” na perfumowanym papierze ani nie rysuje koślawych połączonych serc z EC + EV nabazgranym w środku, ale poza tym wpadła po uszy. Śledzi niedbały nonszalancki krok Ericha Vaughna na szarych korytarzach, zachwycona jego gburowatością, rozchełstany ubraniem i nieudolnym tatuażem.*

*To, że on żąda, by trzymali ich miłość w sekrecie, postanawia uznać za romantyczne. Przecież wcale nie jest zimny, tylko zraniony i jedynie ona może sprawić, że te rany się zagoją. Fakt, on zachowuje się tak, jakby nie mieli chwili do stracenia, co ją denerwuje, bo zawsze jego ręce wędrują tam, gdzie ona nie jest jeszcze gotowa ich przyjąć. Ale to tylko dowodzi, jak bardzo jej potrzebuje.*

*To miłość, a miłość zawsze wygrywa. W każdej książce tak jest.*

*Elena powtarza to sobie, kiedy otwiera drzwi mieszkania i widzi za nimi nie tylko Erica, ale także jego przyjaciela*

*Steve'a. Powtarza to sobie raz jeszcze, kiedy się orientuje, że obaj są pijani. Próbuje nawet wmówić sobie, że ponury ogień płonący w oczach Erica to miłość.*

*Ale to nie miłość rozdziera jej bluzkę. I to nie miłość śmieje się, kiedy Steve ciągnie za jej pasek.*

*I kiedy patrzy, jak piękny Eric Vaughn rozpina spodnie, podczas gdy jego najlepszy przyjaciel trzymają od tyłu, dociera do niej, że on wie, że już przekroczył granicę, i ma zamiar zabawić się na całego, bardziej upojony tą chwilą niż ukradzionym alkoholem. Dociera do niej, że ona, Elena, nie jest już nawet osobą, tylko czymś, czego on chce.*

*I wtedy następuje Steve'owi na stopę i wrywa się z jego rąk. Chwyta bezprzewodowy aparat i z łazienki dzwoni na policję. I czeka, trzęsąc się, w samych majtkach - tych ładnych, które specjalnie dziś włożyła, chcąc, żeby zsunął je z niej, kiedy da mu wszystko, co tylko będzie pragnął wziąć.*

## Martwa trawa

Matka Eleny Cruz, wyglądająca zawsze jak z krzyża zdjęta, powiedziała jej kiedyś, że życie nauczyło ją jednego: człowiek nie powinien mieć więcej dzieci niż rąk.

Teraz, kiedy Cruz patrzyła, jak Keanna buja jedno dziecko na udzie, wolną ręką usiłuje rozpiąć kurtkę drugiemu synowi i jednocześnie wrzeszczy na najstarszego, żeby zostawił psa w spokoju, zanim ten go ugryzie, przeszło jej przez głowę, że dziewczyna zrobiłaby dobrze, gdyby poszła za tą radą. Oczywiście, widząc zmarniały park, gdzie dziewiętnastolatka siedziała z innymi młodymi matkami, budząca grozę Dulcynea Cruz miałaby zapewne o wiele więcej nauk do przekazania. Najpewniej razem z dłuższą pogadanką, kilkoma apelami do Jezusa i przetrzepaniem skóry drewnianą chochlą.

- Nic nie słyszałam o żadnych pubach, co by się paliły - powiedziała Keanna i uniosła dziecko w górę, mówiąc do niego pieszczotliwie.

Cruz zerknęła na Galwaya, który przewrócił oczyma. Spytała:

- Pozwolisz, że usiądę?

- To pono wolny kraj.

Galway zachichotał pod nosem, skrzyżował ręce na piersi. Kiedy Cruz usiadła na betonowej ławce, drugie dziecko,

może czteroletnie, popatrzyło na nią ogromnymi oczyma. Pomachała mu palcem, a chłopczyk uśmiechnął się łobuzersko, ale zaraz szybko odwrócił i ukrył twarz w kolanach matki.

- Jak sobie radzisz?

- Wyłączyli telefon - Keanna uśmiechnęła się do dziecka. - Śliczności ty moje - powiedziała i niemowlę zagaworzyło. - Mama straciła robotę.

- Rondeli ci nie pomaga? Keanna spiorunowała ją wzrokiem.

- Rondeli jest tatą Lawrence'a. - Skinęła głową w stronę ogrodzenia, gdzie najstarszy syn głaskał psa pod włos. - Nie pokazuje się, odkąd żeśmy się zeszli ze Spiderem.

Cruz skinęła głową, powiedziała, że tak, jasne, przykro jej, zapomniała. Czasami trudno za tym wszystkim nadażyć. Ulicą przejechała bryka z niskim zawieszeniem, plując muzyką, a jedna z matek podskoczyła i podbiegła w tamtym kierunku. Wyglądała jak siedemnastolatka, czyli dokładnie na swój wiek.

- A tak wogle, co cię to interesuje? Zapłacisz rachunki czy jak?

- Spidera wsadzili za nielegalne posiadanie, zgadza się? - Cruz wzruszyła ramionami. - Mogłabym szepnąć za nim słówko. Dopilnować, żeby szybko rozpatrzyli prośbę o warunkowe.

- No, nie ma to jak psy. - Dziewczyna prychnęła, pokręciła głową. - Najpierw człowieka zapuszczają, potem chcą wypuszczać.

Cruz się uśmiechnęła.

- Tak jak mówiłam, Keanna. Pub. Na Damen.

- Lawrence! - Dziewczyna okręciła się dokoła. - Zostawże tego psa. - Przeniosła spojrzenie na Cruz. - Już mówiłam, nic nie wiem o żadnych pubach, co by się jarały.

- A Playboy? - wtrącił się Galway.

- Co z nim?

- Wie coś o tym?
- Jego pytajcie.
- Gdzie teraz waletuje?
- Pojęcia nie mam.
- Nie masz? - Cruz zapytała nieco ostrzej. - Drugi człowiek w Disciples, a ty nie masz pojęcia, gdzie sypia?
- Ja już z nimi tak nie trzymam. Bynajmniej odkąd Spider poszedł siedzieć.
- A co z tym pubem? Dziewczyna westchnęła.
- Rany, żeście się uwzięli. Zadajecie w kółko to samo pytanie, jakbym za którąś razą miała odpowiedzieć inaczej. Nic nie wiem i nic nie słyszałam o żadnym sfajczonym pubie.
- Zastanów się dobrze. - Cruz zdjęła ciemne okulary, mrugając w prażącym słońcu późnego popołudnia i zmierzyła dziewczynę poważnym, szczerym spojrzeniem. - To ważne. Mamy układy, dojścia. Możemy ci pomóc, pomóc Spiderowi.
- Nic nie wiem. A poza dylowaniem herą i amfą, Spider nadaje się tylko do robienia dzieciaków. - Popatrzyła na Gal-wayę, potem z powrotem na Cruz. - Chcecie pomóc? - Potrząsnęła głową. - Kupcie jedzenie, żebym miała co do garnka włożyć.
- Dobra - prychnęła Cruz. - Dzięki za czas. - Wstała, nasunęła z powrotem okulary. Poprawiła kajdanki. Galway szedł już w kierunku wyjścia z parku, ruszyła za nim.
- Dobiegł ich z tyłu głos dziewczyny.
- Atak wogle, w Crenwood ciągiem coś się jara, co rusz jakiś dom trafia szlag. Czemu to niby tak was interesuje akurat ten pub? - Keanna podniosła głos. - Należał do białego czy jak?
- Galway się roześmiał. Cruz jej pomachała, podeszła do nieoznakowanego radiowozu, który zostawili na skraju parku. Galway otworzył drzwi od strony pasażera i oznajmił:
- Wczoraj wieczorem widziałem się z synem.



- Dziwka pozwoliła ci na nadprogramowe widzenie? - Tak często słuchała o rozwodzie partnera, że czasami miała wrażenie, że sama została porzucona.

- Cuda się zdarzają, nie? Ale słuchaj, podjeżdżam pod jej chatę. W Schaumburg. Ładny dom, ładna okolica. Wychodzi Aidan, powłócząc nogami, mamrocze coś na przywitanie, zaczyna manipulować przy radiu. Wyżelowane włosy sterczą na wszystkie strony. Ma na sobie dzinsy z dziurami na kieszeniach i postrzępionymi nogawkami, sprane miejscami do białości. Więc pytam go: „Słuchaj, Aidan, co z tymi spodniami? Mama nie może ci kupić nowych?”. Galway urwał, popatrzył na dwóch mężczyzn po drugiej stronie wymieniających wymyślny uścisk dłoni. Mieli na sobie długie białe koszulki i jaskrawe sportowe buty.

Cruz podkreśliła klimatyzację.

- I co on na to?

Galway odpowiedział z wzrokiem wbitym przed siebie.

- Powiedział, że nie znam się na modzie. Że teraz tak się nosi, dzinsy muszą być całe podarte i obsrane.

- Ma rację.

- Dobra, zgoda, nigdy się nie miałem za wyrocznie od ciuchów. Ale czy to cię nie dziwi?

- Co takiego?

- Jego nowy tatuś jest prawnikiem, wyciąga ponad sto koła. Aidan ubiera się jak malarz pokojowy, ale ma samochód, i-poda, wzajemny fundusz inwestycyjny zarabiający na studia. - Pokazał przez okno. - Ci goście nie mają nawet rachunku osobistego. Pewnie też nic w lodówce. Za to buty nieskazitelnie czyste, złote łańcuchy na szyjach i w życiu nie zdołałbym wydusić ze swojej koszuli takiej bieli, nawet gdybym próbował.

-No i?

- To dziwne, i tyle. Ci, bez grosza przy duszy obnoszą się ze wszystkim, co mają, ci, którym na niczym nie zbywa, robią wszystko, żeby wyglądać na meneli.

Cruz się roześmiała.

- Powinieneś rzucić w cholerę tę policyjną fuchę i zacząć uczyć filozofii.

- Za Chiny nie wyrzekłbym się tego prestiżowego stylu życia. - Galway rozparł się w fotelu. - Wyrzucisz mnie przy posterunku? Mam masę papierkowej roboty.

Uśmiechnęła się i popędziła na północ.

Później wróciła do Crenwood. Bez konkretnego celu, chciała po prostu poczuć klimat ulicy. Wszystko było lepsze od ślęczenia nad tą cholerną bazą danych. Mijała zniszczone rzędy jednorodzinnych segmentów i rozwalające się parterowe domy, wyschnięte na wiór trawniki, szyldy pomazane graffiti. Wiele domów było zamkniętych na głucho, ciemne ślady w kształcie litery V po starych pożarach znaczyły zewnętrzne ściany. Zabite deskami okna pokrywały plakaty: nowy album 50 Cent, reklamy Hustle & Flow, ulotki wyborcze radnego Owensa. Na każdej przecznicy wyburzono jeden lub dwa budynki, jakby robiąc miejsce na nowe, ale na nielicznych coś się naprawdę działo. Przeważnie poprzestano na ogrodzeniu pustych parceli i zostawiono je własnemu losowi. Tkwiły tam teraz w rzędzie zabudowań jak czarne dziury po zębach.

Zadzwoił jej telefon, na wyświetlaczu pokazał się numer centrali telefonicznej Rejonu Pierwszego.

- Cruz.

- Peter Bradley z tej strony. Prosiłaś mnie...

- Tak, pamiętam. Ustaliliście coś?

- Przejechaliśmy się pod ostatni znany adres Playboya. Mieszkanie przy Racine.

-I?

- Nora jakich mało.

- To się zdziwiłam. Był?

- Nie. Rozmawialiśmy z właścicielką, powiedziała, że wyniósł się kilka tygodni temu. Wisi jej za dwa miesiące.

W sumie nic dziwnego. Trudno było oczekiwać, że Playboy będzie siedział z założonymi rękoma i na nich czekał. Choć z drugiej strony miło by było, gdyby coś dla odmiany poszło gładko. Westchnęła, podziękowała dzielnicowemu i się rozłączyła.

Jak znaleźć Playboya, nie prowokując go jednocześnie do ucieczki? Członkowie Gangster Disciples na bank wiedzieli, gdzie się zadekował, ale to była jego załoga, i gdyby mu powiedzieli, że ona go szuka, najpewniej z miejsca dałby nogę. A ona mogłaby wtedy wbić zęby w ścianę. Galway miał rację - gościu świetnie prezentowałby się w kajdankach. Bez względu na to jak wygląda prawda o śmierci Michaela Palmera, na pewno rozsądnie byłoby zacząć od zatrzymania Playboya.

Najlepiej dalej szukać go po cichu, licząc na informatorów. Wielu z nich tylko dzięki niej uniknęło odsiadki, cała nadzieja, że ta świadomość powstrzyma ich od ostrzeżenia Playboya. Skręciła w Sześćdziesiątą Trzecią, im bliżej stacji kolejki miejskiej, tym mniej było widać rozbitych okien, a elewacje budynków wyglądały na świeższe. W Chicago dobrobyt zawsze szedł za transportem, również w Crenwood. Pojawiło się nawet skupisko małych biznesów: na rogu sklepik z dekoracjami na przyjęcia, obok fast food, a nawet kawiarnia, nie Starbucks, ale taka z fioletowymi kanapami i tablicą z listą serwowanych sandwiczów o nazwach inspirowanych tytułami filmów. Marzenie, na którego realizację ktoś tam odkładał każdy grosz, licząc, że uda mu się otworzyć lokal w Wicher Park albo Lakeview, ale czynsz okazał się za wysoki.

Zastanawiała się, gdzie jest teraz Jason Palmer. Wczoraj wypadł z posterunku nieźle wzburzony, z tym spojrzeniem samozwańczego szeryfa. Miał w sobie coś, co jej się podobało, ale ewidentnie skrywał też jakiś uraz. Przypomniła sobie jego nieobecny wzrok w smaźalni ryb, to, co mówił o spustoszeniach widzianych w Iraku, o spalonych budynkach. O tym,

że ludzie po prostu przyzwyczajali się do tego widoku, przestawali nawet zauważać...

O mały włos nie wjechała w tył jadącego przed nią samochodu.

Szlag by to.

Zadzwoiły jej w uszach słowa Keanny: w Crenwood ciągiem coś się jara, co rusz jakiś dom trafia szlag.

Popędziła w kierunku Dan Ryan. Musiała dostać się do domu. Potrzebowała komputera, wykazu danych, statystyk przestępczości. Czowała lekki zawrót głowy, ten piękny haj, który pojawiał się, gdy trafiła na trop. Kiedy znowu zadzwonił telefon, była tak pochłonięta myślami, że odebrała, nie patrząc na numer na wyświetlaczu.

- Cruz.

- Pani funkcjonariusz, może pani swobodnie rozmawiać?

Głos nie brzmiał znajomo.

- Eee... - Sprawdziła szybko numer dzwoniącego, ale go nie poznała. - Tak.

- Pani mnie nie zna, ale jestem przyjacielem.

- Mhm. - Opadła na oparcie. Świr zatem. Skąd wytrzasnął jej numer? - O co chodzi?

- O śmierć Michaela Palmera.

Zjechała z drogi, prosto na krawężnik, opony zachręściły na spalonej słońcem trawie. Włączyła awaryjne i zatrzymała wóz.

- To znaczy?

- Zajmuje się pani tą sprawą, prawda?

- Tak, ale nie jestem z dochodzeniówki. Powinien pan porozmawiać z...

- Ale pracuje pani w Wywiadzie Kryminalnym.

- Owszem.

- Czy już się pani zorientowała, że za tym zabójstwem kryje się coś więcej niż zwykły odwet gangów?

Kim jest ten facet?

- Nie wolno mi o tym rozmawiać.

- Przepraszam. Powiem wprost. Gangster Disciples nie zabili Michaela Palmera.

Promienie słońca załamywały się na desce rozdzielczej, tworząc tęczowy wzór.

- Pani funkcjonariusz?

- W porządku. - powiedziała - Słucham. Kto w takim razie?

- Chciałbym powiedzieć - Miał nienaganną wymowę telewizyjnego prezentera. - Ale nie uwierzyłaby pani.

- Wie pan co, jak na anonimowego informatora, nie jest pan bardzo pomocny.

- Kto się raz sparzył...

- A toczący się kamień nie obrasta mchem. Co to u licha to znaczy?

- To znaczy, pani oficer, że wiem, kto zabił Michaela Palmera. I powiem pani, jak to ustalić.

## Trwa wojna

Wziął głęboki oddech i jeszcze raz obrzucił wzrokiem swoje odbicie we wstecznym lusterku. Serce biło nierówno, w palcach czuł mrowienie. To będzie bez dwóch zdań najbardziej szalona rzecz, jaką zrobił w życiu. Uśmiechnął się cierpko, zaciskając usta tak mocno, że rozboleły go zęby.

Garnitur leżał jak ulał, choć tak jak Jason chciał, widać było, że wyszedł z mody kilka lat temu. Gdy tylko przekroczył próg lumpeksu, z miejsca rzucił się mu w oczy: dwurzędowy, brązowy, lekko wyświecony od długiego używania. Do tego niebieski krawat, szeroko wiązany, i srebrna spinka, którą zauważył przy kasie.

- Poradzisz sobie - powiedział do swojego odbicia. Wziął ray-bany z siedzenia pasażera i nasunął je na nos, zachód słońca odbijał się w dużych szklach.

Był tylko trzy przecznice dalej, ale czuł każdy ich cal, napór spękanego asfaltu, chrzęst tłucznia pod kołami, powietrze ciepłe i stęchłe, jakby ktoś dyszał mu w twarz. Widział reakcje ludzi, kiedy skręcił w ulicę, złowrogie spojrzenie jednego z mężczyzn, który odzepił telefon od paska i powiedział coś do słuchawki. Świat dokoła wirował mu przed oczyma i rozmazywał się, jakby Jason znalazł się w środku trąby powietrznej, w samym oku ludzkiego cyklonu.

Przez chwilę poczuł w brzuchu gwałtowny przypływ paniki, ale już parkował samochód i nie było odwrotu, ta świadomość dała mu potrzebną energię i siłę, tak jak zawsze się działo na patrolu, kiedy opuszczali względnie bezpieczną strefę bazy i wychodzili na ulice. Ruszał się w sposób wyważony, starając się nie okazywać pośpiechu czy zdenerwowania. Ot, zwykły dzień, kolejny obowiązek do odwalenia. Zgarnął papiery, jeszcze raz odetchnął głęboko, potem otworzył drzwi i wysiadł.

Czuł na sobie ciężar spojrzeń. Grupka młodszych gang-sta siedziała na schodkach rozlatującego się ganku, ze stojącego u ich stóp radia wylewał się hip-hop. Jason zerknął na nich, potem jak gdyby od niechcienia przeniósł wzrok dalej na dwóch mężczyzn stojących przy drzwiach domku: niewiele po dwudziestce, spokojne miny, kamienne twarze lśniące potem i nienawiścią.

Po jego ciele rozeszła się kolejna fala paniki, ale spojrzał im w oczy, pozdrowił nieznacznym skinieniem głowy i odwrócił się, żeby zamknąć samochód. Poprawił marynarkę, podciągając ją tak, by mogli zobaczyć jego nabytki.

Kabura z miękkiej brązowej skóry była poplamiona oliwą do czyszczenia broni. Nosił ją na prawym biodrze, nisko zawieszoną jak u rewolwerowca. W środku tkwiła beretta - odbezpieczona. Wątpił, by zauważyli ten subtelny szczegół, dzięki któremu jednak mógł zyskać pół sekundy więcej, gdyby sprawy przyjęły zły obrót.

Niemal się roześmiał. Tak jakby miał choć cień szansy wyjść z tego cało, gdyby sprawy przyjęły zły obrót.

Z tyłu za kaburą wisały na pasie kajdanki. W demobilu mieli całą masę najróżniejszych, z tego większość była przeznaczona do łóżkowych igraszek, miętko wyściełana i z szybkimi zamkami. Zdecydował się na parę zwykłych niklowanych, ciężkich i błyszczących. Obok, tak by poła marynarki przysłaniała ją prawie całkowicie, przyczepił srebrną

gwiazdę na kawałku czarnej skóry. Kręcił się wystarczająco długo przy samochodzie, wyciągając notes, który położył na dachu, by dzieciaki na ganku zdążyły ją zobaczyć. Liczył, że ją zobaczą. Z daleka.

Bo gdyby zrobili to z bliska, Jason byłby trupem. Sam nieczęsto patrzył na policyjne odznaki, ale był raczej pewny, że nie mają na rewersie słów „FBI: Fan Bzykania Idiotek”.

Sekret tkwi w zachowaniu, pomyślał. W poczuciu niekwestionowanej wszechwładzy, sposobie, w jaki policjanci chodzą po ulicy: jakby wszystko tam należało do nich. Opuszki palców miał bez czucia. Schował kluczyki do kieszeni i wolno się odwrócił. Poprawił poję marynarki, tak by zasłaniała rzeczy wiszące u pasa, zostawiając na widoku tylko kolbę pistoletu. Notes trzymał w lewej ręce, stłumił chęć poruszenia palcami prawej. Szaleńczo pragnął uciec, wskoczyć ot, tak do samochodu i odjechać, świadom, że w ciągu dwudziestu minut może znaleźć się z powrotem na bezpiecznym terenie.

Potem pomyślał o Billym, śpiącym w wojskowej koszulce.

Podszedł do domu, starając się iść pewnym, zamaszystym krokiem. Ze srogą miną zmierzył wzrokiem zza ray-ba-nów siedzących na ganku wyrostków. Czas na przedstawienie.

- Który pójdzie powiedzieć Dionowi Williamsowi, że mam z nim do pogadania? - spytał i posłał im lekki uśmiech komunikujący, że żadna troska nie mąci mu czoła.

Czuł na ramionach żar popołudniowego słońca. Demony strachu szalały w środku, wyły, słały wyładowania elektryczne trzaskające po wszystkich nerwach ciała. Stał nieruchomo.

Wtedy wyższy z dwóch gangsta stojących przy drzwiach trącił nogą jednego z łepków.

- Kopsnij się do środka i powiedz C-Note'owi, że jakiś detektyw chce się z nim zobaczyć.



Jason bębnił palcami po notesie, starał się wyglądać na znudzonego i nie analizować, jakie są szanse, że Playboy tu jest, świadom, że jego obecność oznacza pewną śmierć. Jeden z chłopców na schodach zgłosił radio, z którego płynęły zapewnienia, że nie ma lamerów na pólacie, na śmierć przerażonych, robiących w gacie. Jason zerknął na ulicę i udał, że tłum ziewnięcie, podczas gdy serce przeszywał mu strach.

- Nie pamiętam, żebym wzywał policję. - Mężczyzna w drzwiach miał na sobie zapinaną na guziki koszulę w paski z logo „Sean John”, opiętą na muskularnym torsie i ramionach. Dwóch gangsta stało obok niczym ochroniarze.

Jason się uśmiechnął.

- Ty nas nie wzywasz, Dion. To my cię wzywamy.

Jeden z gangsta zrobił krok do przodu z uniesioną głową i wypiętą piersią. Jason popatrzył mu w oczy. Znał zasady tej gry, przerabiał ją w wojsku aż do znudzenia: zero słabości, cienia strachu.

- Lepiej kontroluj kumpla. Nie chciałbym go przeszukać, znaleźć czegoś, co narusza zasady jego warunku.

- Bez nerwów, goniu - rzucił spokojnie Dion i gangsta się cofnął. - A ty, kurwa, coś za jeden?

- Detektyw Martinez. - Prawdziwy Martinez, szalony sukinsyn, byłby zachwycony tym numerem.

- Nie wyglądasz mi na żadnego Martineza.

Jason osłonił oczy przed słońcem, rzucił, przeciągając samogłoski.

- W kółko to słyszę.

- A czemu nigdy wcześniej cię nie widziałem?

- Bo wkraczam dopiero, kiedy robi się smród. Musimy pogadać. - Pokazał na samochód. - Przejedźmy się.

Dion zmrużył oczy.

- Od kiedy to mendy wożą się cadillacami?

Szlag. Jason zastanawiał się nad tym wcześniej, ale niewiele mógł działać. Rzucił z obojętną miną:

- To moja osobista bryka. - Uśmiechnął się. - Nierasowany. Lubisz oldskule?

- Są w porzo. Mój ziom Brillo miał starego monte carlo, dopóki niedawno ktoś nie podprowadził grata. - Urwał. - A może byś się na coś przydał i znalazł furę Brilla?

- Wskakuj, rozejrzemy się. - Odczekał chwilę, zobaczył wahanie w oczach mężczyzny. - Chyba że chcesz, żeby cała ulica gadała o twoich sprawach.

- Przyjechałeś mnie aresztować?

- Nie. Tylko zaprosić.

- Nigdzie nie jadę.

Jason wzruszył ramionami. Miał wrażenie, jakby ktoś powoli wyszarpywał mu żołądek.

- Chciałem ci wyświadczyć przysługę. Znasz Cruz z Wywiadu Kryminalnego? - Poczekał na lekkie skinienie. - Ona i porucznik chcieli przysłać tu czołgi. Zaprotestowałem. Powiedziałem, że C-Note to nie w ciemną bitą gość, że powinniśmy najpierw spróbować z nim pogadać. - Wszystko zależało od tego, czy szef gangu to kupi, czy wsiądzie z nim do samochodu. Plan Jasona zakładał, że porozmawiają, jeżdżąc po okolicy, caddy miał mu zapewnić śladową przewagę na terytorium wroga: mobilność i bezpieczeństwo.

Długie milczenie. Potem Dion się odwrócił i otworzył drzwi.

- W moim gabinecie.

Dłonie Jasona spływały potem, serce waliło mu jak młotem. Jeśli wejdzie do środka, znajdzie się o włos od śmierci. Jeden błąd i będą mogli zrobić z nim, co się im żywnie podoba, po cichu, za zamkniętymi drzwiami.

Nie spiesząc się.

Rękawy bawełnianej koszuli pod marynarką miał całkowicie mokre. Dion przyglądał mu się badawczo. Na widok wyrazu jego oczu Jasona ogarnęła zimna furia. Zbir kazał swoim ludziom zabić Billy'ego, może i Michaela. Ma to mu ująć płazem?

Wydał pogardliwie wargi, uśmiechnął się szyderczo, wzruszył ramionami.

- Prowadź. - Wszedł na ganek, minął dwóch goryli, niemal się o nich ocierając. Mrówki chodziły mu po karku, kiedy wkraczał do jaskini lwa. Miał dziwne wrażenie *déjà vu*, czuł tę samą mieszaninę lęku i podniecenia, która mu towarzyszyła za każdym razem, kiedy sprawdzał jakiś dom z drużyną, nie wiedząc, co w nim zastaną. Taki żołnierski haj, w którym był też strach, ale okiełznany, pod kontrolą. Tyle że wtedy miał na sobie kamizelkę kuloodporną, przewieszony przez ramię M4 i reprezentował siłę Armii Stanów Zjednoczonych.

W środku panował półmrok, śmierdziało zieleń, potem i chińszczyzną na wynos. Dywan szpeciły powypalane dziury po papierosach. Na jednej z kanap spoczywała w półleżącej pozycji dziewczyna z niemowlęciem śpiącym na jej piersiach. Na drugiej siedziało dwóch nastolatków z gołymi torsami, pochyleni, z furią wciskali przyciski jakiegoś sterownika. Jason zerknął dalej, zobaczył wielki plazmowy telewizor, gdzie pod pomarańczowym niebem szturmowali ulicę tonącego w kurzu miasta. Jakiś głos krzyknął „padnij”, chwilę później na ekranie wybuchł granat, odrzucając wirtualną postać jak szmacianą lalkę. Jeden z nastoletnich gangsta zagwizdał: „Podobało się?” i pochylił się, żeby chwycić piwo ze stolika, ukazując lśniący chwyt pistoletu wepchniętego z tyłu za pas. „Chcesz jeszcze?”

Gabinet mieścił się w małej sypialni. Stało tam ogromne biurko z płyty wiórowej, obity skajem uszak i zielona bankierska lampka: wypisz wymaluj pokój kierownika niższego szczebla, tyle że położony w sercu siedziby gangu strzeżonej przez nastoletnich zabójców giercujących sobie w najlepsze w wojenne gry wideo. Jason nie wybuchnął śmiechem tylko z obawy, że nie będzie mógł przestać i że każdy krok, który postawił, może ciężko okupić przy wyjściu.

- Dobra, psie. - Dion się odwrócił i posłał mu uśmiech podszyty groźbą. - Teraz jesteśmy sam na sam. U mnie.

Jason poczuł, jak drga mu mięsień uda, ale zachował kamienną twarz i podszedł bliżej, stając kilka cali od drugiego mężczyzny. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, ale Dion miał, lekko licząc, jakieś trzynaście kilo mięśni więcej. Jason świdrował go nieruchomym spojrzeniem, choć pachy spływały mu potem, a palce drżały. Od chwili kiedy tu wszedł, wiedział, że to nie przelewki: albo pójdzie na całość, albo zginie. Musiał sprawić, że C-Note uwierzy mu bez zastrzeżeń.

- Myślisz, że jestem sam?

- Nikogo więcej nie widzę - w głosie Diona pobrzmiwał cień niepokoju.

- Bo nie patrzysz. To jak w zabawie w Indian i kowbojów. Ja jestem zwiadowcą. Widzisz tylko mnie, ale całe plemię czeka tuż za wzgórzem.

Dion zmrużył oczy.

- Czego chcesz?

- Chcę wiedzieć, dlaczego kazałeś Playboyowi zlikwidować Jasona Palmera.

- W życiu nie słyszałem tych nazwisk.

- Sprzedajesz krak w Egglestone i Ross. Prowadzisz klub nocny w składzie na Hooker. Masz pannę imieniem Christine, urodziła ci dzieciaka. - Zobaczył reakcję w oczach Diona i w duchu podziękował Ronaldowi za te szczegóły. - Nie spuszczaemy z ciebie oka. Wiem więcej o twoich interesach niż ty sam. - Jason odczekał chwilę, potem rzucił ostrzej. - Naprawdę nie chcesz mnie wkurzyć. No więc, dlaczego twoi fum-fle próbowali sprzątnąć Jasona Palmera?

Dion wzruszył ramionami.

- To była ustawka Playboya. Miał go tylko zgarnąć, poczekać na telefon.

- A co z kolesiami, którym kazałeś zabić jego bratanka?

- Pierwsze słyszę - rzucił z miną niewiniątka. Gdyby Jason nie widział tego na własne oczy, może by się nabrał.

- Mamy świadka, który zidentyfikował trzech członków twojego gangu, w tym Playboya. - Zaczynał powoli wczuwać się w rolę. W kwestii języka musiał się wprawdzie posiłkować telewizją i książkami, ale sposób zachowania nie był mu obcy. W tej części miasta bycie gliną niewiele się różniło od bycia żołnierzem, podobnie jak w Iraku służba żołnierska niewiele odbiegała od policyjnej. - Chcesz powiedzieć, że działali na własną rękę?

- Możliwe. Mają swój rozum.

- Chyba w takim razie powinienem z nimi pogadać. - Rozległo się buczenie klimatyzatora w oknie. - Dać znać, że umywasz ręce. Może kiedy się dowiedzą, że zostawiasz ich samych sobie z zarzutem zabójstwa, zaczną inaczej śpiewać. A dlaczego zabiłeś Michaela Palmera?

- Nie wiem, o czym mówisz. A nawet gdybym wiedział, nie strzelałbym ci z ucha.

Jason pokręcił głową.

- Nie dajesz mi wyboru. Co innego przymknąć oko na mały interes na stronie, zwłaszcza jeśli nie przekracza granic rozsądku. Ale porywanie cywilów? Włamywanie się do domów, polowanie na małe dzieci? Tego nie będę tolerował.

- Nie ma zbrodni, póki ofiarą nie jest biały, co?

- Wysłałeś ludzi, żeby zamordowali ośmiolatka. Chcesz zobaczyć, jak to będzie wyglądało w serwisach informacyjnych? Stary, specjalnie dla ciebie przywrócą karę śmierci.

W sąsiednim pokoju rozległy się strzały.

Jason obrócił się na pięcie, sięgając jednocześnie po broń. Drugi strzał, potem trzeci. Potem, równocześnie z czwartym, dołączyło potwornie gniewne dudnienie basu.

Muzyka. Odwrócił się do Diona, zobaczył, że gnój się uśmiecha z politowaniem, arogancki i zadowolony.

- Oj, coś ci nerwy siadają, psie. Peniasz?

Walcząc z niechętnymi palcami, Jason zabrał dłoń z beretty.

- Nie. - Zmusił się do uśmiechu, choć jego język przypominał spragnione zwierzę w pustyni wyschłych na amen ust. - Po prostu nie palę się do pisania raportów, dlatego cię zastrzeliłem.

Dionowi wyszły żyły na szyi, zrobił krok do przodu.

- No, kurwa, teraz przegiąłeś.

- Nie sędzę. - Ciepło rozeszło mu się w dole brzucha, czuł, że jeszcze chwila, a puszcza mu zwieracze, ale się nie poddawał. - Jak już mówiłem szefowi, nie jesteś w ciemną bity. Wiesz, że żaden gliniarz nie pojawi się tu zupełnie sam, bez wsparcia. Więc wiesz też, co się stanie, jeśli czegoś spróbujesz. - Zrobił efektowną pauzę. Starał się utrzymać ją jak najdłużej, jakby to była gliceryna. Jeden fałszywy ruch i wszystko wybuchnie. Jak dotąd nie odważył się na większy blef. Ale musiał ugrać coś więcej przez wzgląd na Bihyego. - Poza tym chcę ci wyświadczyć przysługę.

Dion zamarł, popatrzył na niego podejrzliwie. -Tak?

- Prawdę mówiąc, wiemy, że nie ty zabiłeś Michaela Palmera. Mamy świadka, który twierdzi, że to dwaj biali. Ale ponieważ Palmer był takim prawym obywatelem, musimy kogoś szybko przymknąć. Najlepiej gości, którzy naprawdę to zrobili, pewnie tych samych, którzy zlecili ci porwanie Jasona. Jest tylko jeden szkopuł: nie wiemy, gdzie ich szukać. - Zamilkł na chwilę, czekając, aż jego słowa dotrą do Diona. - Ale wiemy za to bardzo dobrze, gdzie szukać ciebie.

Dion pokręcił głową.

- Ścierwarze.

- Po prostu mówię ci, jak jest. To, że wiem, że ty tego nie zrobiłeś, nie oznacza jeszcze, że cię za to nie zapuszczuję. - Urwał. - Chyba że podsuniesz nam kogoś lepszego.

- Czarny człowiek ma tu przesrane. Jason wzruszył ramionami.

- To raczej dlatego, że jesteś zabójcą i bandytą. Ale jak wolisz.

Dion odwrócił się do okna, położył dłonie na klimatyzatorze, zabębnił palcami. Wbił wzrok w brudną szybę. Milczenie się przeciągało.

Wreszcie się odwrócił.

- Playboya wynajął biały kolo. Nazywa się Anthony Di-Risio.

Jason odetchnął z ulgą.

- Co za jeden?

- Chwila. Jeśli wystawię go wam za to gównno, za które go szukacie, to czy beknę za jakiegokolwiek wcześniejsze swoje, czaisz, z nim układy?

- W życiu. - Jason się uśmiechnął. - Słowo gliny.

- No to mi ulżyło. - Dion potrząsnął głową. - Gość jest dostawcą.

- Czego, narkotyków?

- Nie - powiedział Dion i się uśmiechnął. - Specjalizuje się w żelastwie.

- W pistoletach.

- Bez beki, gościu. Chcę giwerę, biorę telefon i za pół godziny mam już tu chłopaków z pełną ciężarówką. Anthony sprzedaje cięższy towar. Kalachy, schmeissery, te wielkie shotguny. Nie jest tani.

Jason patrzył na niego z otwartymi ustami.

- Robi w tym gdzieś tak od roku. Żeni to wszystkim, co jest jedynym powodem, dla którego w ogóle ty i ja gadamy, kumasz? Gościu nie wie, co to lojalność.

Jason zamrugął.

- I to on zlecił wam porwanie - niemal wyrwało mu się „mnie”, zreflektował się w ostatniej chwili - Jasona Palmera? Dlaczego?

- Tak jak mówiłem, to była ustawka Playboya. Ja wiem tyle, że miał facia zgarnąć i czekać na telefon.

- A co z włamaniem do domu Michaela Palmera?

- Ten Jason uciekł, a DiRisio naciskał, żeby Playboy się wywiązał. Zadzwoił, podał nam adres.

- A ty wysłałeś ludzi, żeby tam wszystkich zlikwidowali. Dion wzruszył ramionami.

- Tego nie powiedziałem.

Jason uśmiechnął się półgębkiem, w środku cały się gotując. Chciał rozerwać Diona na strzępy, choć wiedział, że to nie on jest głównym problemem.

- Muszę znaleźć tego DiRisio.

- Na czym ci tak naprawdę zależy, glino? Chcesz przymknąć kilku braci czy dorwać gościa, który wydał rozkaz?

I to, i to. Chcę żebyście wszyscy gnili na dnie ziemi przez tysiąclecia.

- Dorwać gościa, który wydał rozkaz.

- DiRisio był tu dzisiaj, gadał jak pojebany. - Dion wzruszył ramionami. - Powiedział, że ma dii i jest z kimś styknięty na wieczór.

- Gdzie?

- Nie wiem na pewno - powiedział Dion. - Ale ostatnich kilka razy spotykaliśmy się w centrum. Na Wacker Drive.

- Górnej czy Dolnej? Mężczyzna się uśmiechnął.

- Najdolniejszej. Na najniższym poziomie, gdzie kręcili tego Batmana. Jest tam takie miejsce obok rampy dostawczej hotelu Hyatt. Tam się umawialiśmy.

Jason skinął głową. Wprawdzie tego akurat miejsca nie kojarzył, ale znał dobrze Wacker: jedna z głównych ulic miasta, trypoziomowa arteria biegnąca wzdłuż zakola rzeki od Lake Shore Drive do autostrad. Górne poziomy były bardzo ruchliwe, ale z samego dołu korzystały głównie pojazdy służb drogowych i samochody dostawcze. Bardzo sprytny wybór: odosobnione miejsce i łatwe do zabezpieczenia, przy tym z całym mnóstwem potencjalnych dróg ewakuacji. Lokali-



zacja, jaką mógłby wybrać doświadczony żołnierz. Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła. W co u licha Michael się wpakował?

- Dobra, a teraz, pies - Dion spojrzal na niego spode łba - z łaski swojej wypierdalaj z mego domu.

Jason skinął głową. Uzyskal to, co chcial, nawet więcej. Pora się zbierać, zanim zdradzi się jakimś głupim błędem.

- W porządku - wycofał się ze wzrokiem wbitym w Diona. Zaryzykował szybki rzut oka do tyłu, by zlokalizować klamkę i odwrócił się z powrotem.

- Jeszcze jedno. Powiedziałeś, że gość sprzedaje automaty, broń wojskową. Po co wam taki sprzęt?

- Nie zauważyłeś, glino? - Dion's spytał cicho, patrząc zmęczonym wzrokiem i na ułamek sekundy Jasonowi niemal zrobiło się go żal. - Trwa wojna.

## Podziemie

Jestem trochę zajęty - powiedział Jason, przyciskając komórkę do ucha ramieniem, zobaczył, że jakiś SUV śmignął obok i zjechał na prawy pas.

- Czym? - rzucił Washington lodowato.

- Nie chcesz wiedzieć. Długie milczenie.

- Masz rację.

- Słuchaj, powiedz Billy'emu, że go kocham i zadzwonię później.

- On chce z tobą porozmawiać. Boi się.

- Wiem, tyle że... zrozum, zostawiłem go u ciebie, żeby przez chwilę być żołnierzem zamiast wujkiem.

- Tylko jedna z tych dwóch rzeczy jest warta zachodu - wycedził Washington spokojnie. Nie mógłby wyrazić dobitniej swojej dezaprobaty, nawet gdyby wrzeszczał. - Ale jeśli musisz być i tym, i tym, bądź najpierw wujkiem.

- Jezu, przyjaźnimy się Bóg jeden wie jak długo. Nie możesz wyświadczyć mi tej jednej przysługi i zająć się moim bratankiem przez chwilę?

- Możesz bawić się w żołnierza, ile wlezie. Ale nie możesz zostawić Bill'ego w tych okopach i spodziewać się, że nie będzie się wychylał. Może zapomniałeś, ale chłopiec stracił ojca.

Przywra już zacierała ręce, poczucie winy było jej ulubionym daniem.

- Nie zapomniałem.

- Więc zachowuj się odpowiednio.

- Dobrze, już dobrze, staruszk. Dotarło. - Jason westchnął. - Daj mi go.

Wyjechał z Lake Shore Drive na północny kraniec Magnificent Mile, turystycznego raj z wystawami połyskującymi feerią barw o zmierzchu. Chodnikiem ciągnął niespieszny strumień kobiet w szortach i mężczyzn o spalonych słońcem twarzach. Skreślił w Oak, zanim stracił orientację w natłoku samochodów, zaparkował na drugiego przed jakimś markowym butikiem i włączył awaryjne. Wziął głęboki oddech i spróbował zebrać myśli.

Potrafi stawić czoło walce, ale ośmiolatkowi - tego nie był już taki pewien.

- Wujku Jasonie?

- Cześć, dzieciaku.

- Gdzie jesteś?

- Nigdzie, stary. - Przez otwarte okno wpadł powiew wiatru i Jason zamknął oczy, upajając się wonią jeziora. - Mam po prostu coś do załatwienia.

-Co?

- No wiesz, takie tam sprawy. - „Sprawy”?

W słuchawce rozległo się westchnienie, długie i teatralne. -Co?

- Możesz mi powiedzieć prawdę. Nie jestem małym dzieckiem, wiesz.

Jason już miał się roześmiać, ugryzł się w język w ostatniej chwili.

- Wiesz co? - Przygryzł wargę. - Masz rację. Przepraszam.

- Nie szkodzi. - Billy wydawał się odpowiednio udobruchany.

Nastąpiła długa chwila ciszy i Jason zdał sobie sprawę, że teraz kolej na jego kwestię. Tylko co u Boga ma powiedzieć? Słuchaj, wcześniej podszywałem się pod glinę, żeby dostać się do kryjówki narkotykowego gangu, a teraz właśnie urządzam zasadzkę na handlarza bronią spotykającego się z ulicznymi bandytami. A żadna z tych rzeczy nawet w połowie nie przeraża mnie tak bardzo jak wizja nagłej odpowiedzialności za kogoś.

- Jestem w centrum.

- Co robisz?

- No... wiesz, próbuję ustalić, co się dzieje, stary. Muszę się dowiedzieć, dlaczego ci ludzie przyszli do twojego domu.

- O - powiedział Billy słabo, jakby z oddali.

- Ale - rzucił Jason szybko - dobrze mi idzie. Chyba już zaczynam rozumieć, na czym stoimy.

- Znalazłeś tych złych ludzi?

- Kilku. Jeszcze nie wszystkich, ale to kwestia czasu.

- I co wtedy zrobisz? Potarł kark.

- Jeszcze nie wiem.

- Zabijesz ich? - Trudno było wyczytać coś z jego głosu, mieszaniny czegoś na kształt szczerości i przerażenia.

Jasonowi nieraz dźwięczały wcześniej w uszach kule odłupujące kawałki muru tuż nad jego głową, potępieńcze krzyki rannych, rozzierające błagania zrozpaczonych matek. Ale nigdy jeszcze nie słyszał czegoś równie strasznego jak to pytanie z ust ośmiolatka. Tym bardziej że nie znał odpowiedzi.

Czy chce zemsty? O tak, jak cholera.

Czy jest gotów z tego powodu zabić?

Przypomniał sobie zajęcia ze szkolenia podstawowego. Kapitan o łagodnym głosie i ostrych rysach twarzy tłumaczył im, co to znaczy być żołnierzem, i jedno zdanie szczególnie

utkwilo Jasonowi w glowie, nawet juz wtedy. Rownica miedzy bandyta a zolnierzem, powiedzial, sprowadza sie do moralnej slusznosci jego sprawy.

- Nie - powiedzial. - Nie zabije. Ale dopilnuje, zeby juz nigdy nie mogli cie skrzywdzic. Obiecalem ci to i dotrzynam slowa.

Nastapila dluga chwila ciszy, a potem Billy powiedzial:

- Wierzę ci.

O szeroką rynnę bębniła woda, miarowe kapanie przypominało dzwonienie jesiennego deszczu, odgłos kropel spadających ze starych stalaktytów. Przystanął przy niej obdarty człowiek o przeżartej brudem skórze, nadstawił złączone dłonie, żeby nabrać ciemnej cieczy. Ochlapał twarz, poruszając się spokojnie niczym mieszkaniec dzielnicy podmiejskiej rozpoczynający rytuał golenia się w zaciszu własnej łazienki.

Jason zwolnił, cadillac toczył się teraz w żółtym tempie po zjeździe. Nigdy wcześniej nie był tu, na dole. To, co większość ludzi brała za dolną Wacker Drive, było tak naprawdę drugim poziomem ulicy, drogą szybkiego ruchu, która biegła wzdłuż rzeki i pozwalała ominąć światła i gapiących się turystów na ulicach na górze. Tamtą Wacker znali wszyscy, ale wątpił, by wielu ludzi zjeżdżało jeszcze jeden poziom niżej, wprost do trzewi miasta, tego ponurego opustoszałego miejsca, gdzie samochody dostawcze i firm usługowych poruszały się na tle powalanych spalinami bram rolowanych w niegasnącej mgłę żółtego sodowego światła.

Ten świat należał do ludzi, o których ci na górze na ogół zapominali: śmieciarzy, drogowców, kierowców samochodów dostawczych. Pod żelaznymi dźwigarami tłoczyło się mrowie bezdomnych. Wszyscy mieli takie same koce, co wprawiło w zdumienie Jasona, dopóki nie domyślił się, że pochodzą z hotelu: stara pościel, zbyt już zniszczona dla normalnych gości, wrzucona do kontenera na śmieci i zutylizowana przez

armię wykluczonych, którzy spali ramię przy ramieniu na ulicy pod Hyatt. Najniższa warstwa hotelowych gości.

Kryła się w tym jakaś piękna, straszliwa symbolika, choć Jason nie mógłby powiedzieć czego dokładnie.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie Steston przecinała Wacker. Czuł to mrowienie w palcach. Nie wiedział, o której dokładnie ma dojść do spotkania, ale najpewniej nie przed północą. Teraz była ósma, przyjechał z wyprzedzeniem, żeby rozeznaczyć się w sytuacji.

A ta przedstawiała się raczej kijowo.

Na prawo droga niknęła w ciemności przecinanej tablicami pokazującymi kierunek na policyjny parking. Druga strona nie miała wylotu, kończyła się ślepyim zaułkiem z obskurnego betonu, wystarczająco szerokim, by mogła tam zawrócić średniej wielkości ciężarówka. Brama rolowana była zamknięta, ale wyblakła tablica oznaczała rampę dostawczą hotelu. Jaskrawopomarańczowe kontenery dostawcze częściowo odgradzały tę strefę. Naprzeciwko biegło ogrodzenie, za nim wąski pas murawy prowadził do rzeki, w której atramentowej wodzie odbijały się kształty hoteli konferencyjnych po drugiej stronie. Ich połyskujące okna zdawały się być oddalone o tysiące mil od tego zapomnianego świata podziemi, gdzie dźwięki tonęły w szumie samochodów i wody, a obskurne światło kradło kolor. Śladowy ruch, zero monitoringu, a jedynymi świadkami mogli być bezdomni przecznice dalej, ludzie, którzy życie zawdzięczali tylko temu, że nigdy w nic się nie miesza.

Można tu było zrobić prawie wszystko.

Jason postukał palcem w przednie zęby. W samochodzie na pewno zostanie zauważony - dokoła było po prostu zbyt pusto. Co znaczyło, że będzie musiał zostawić wóz i wysiąść, stawić nieprzyjaciołom czoło na piechotę, i to w obliczu ich liczebnej oraz, jeśli Dion nie kłamał, dramatycznej ogniowej przewagi.

Miał ochotę się napić. Zapomnieć o wszystkim, włożyć ładną koszulę, pójść do klubu. Wyhaczyć jakąś dziewczynę, którą kręca wojenne opowieści, utopić problemy w alkoholu, seksie i słodkim wytchnieniu tych chwil tuż przed zaśnięciem, kiedy wszystko się rozmywa i człowiek nie musi się martwić tym, co przyniesie kolejny dzień, tym, że coś jest komuś winien.

Potem przypomniał mu się pełen ufności głos Billy'ego: „Wierzę ci”.

Zaparkował samochód w jakiejś strefie dostawczej, z podniesioną maską i włączonymi awaryjnymi. W niecałą minutę wrócił truchtem na miejsce spotkania, przeskoczył ogrodzenie z metalowych sztachet niczym przeszkodę na szkoleniu podstawowym - krótki sprint zakończony wypadem w przód i odbiciem się od słupka - i już był po drugiej stronie niesiony rozpędem. Drogę od rzeki oddzielał sześciometrowy pas wyschniętej trawy. Przecinała go ścieżka rowerowa, ale o tak późnej porze w tym ciemnym miejscu nie należało się spodziewać żadnych pieszych, więc ludzie, na których czekał, teoretycznie nie mieli powodu tu zaglądać. Sprawdził berettę, potem ułożył się i czekał.

Stracił wielu przyjaciół na obcej ziemi. Armia, której służył, go nie chciała. Brat został zamordowany z powodów dla Jasona niezrozumiałych. A teraz jeszcze ktoś polował na tę resztkę rodziny, która mu została.

Jeśli to sprawa odróżniała żołnierza od bandyty, to on będzie żołnierzem.

Czas włókł się niemiłosiernie, ale w wojsku nauczył się czekać. Cała sztuka polegała na tym, by znaleźć zen, nie poganiać chwili, a po prostu mieć świadomość, że ona w końcu nadejdzie. Leżał na plecach, gapiąc się na linię horyzontu, słuchając szumu samochodów, obserwując światła migające na wzniesieniach, gdzie zwyczajni ludzie zajmowali się zwyczajnymi sprawami.

W ciągu trzech godzin na dole tylko kilka razy błysnęły reflektory samochodu: przejechało kilka taksówek i laweta holująca bmw. Od razu skierowała się na policyjny parking, a Jason przewrócił się z powrotem na plecy i próbował wypatrzeć gwiazdy przez światła miasta. Przypomniawszy sobie pewną noc na pustyni, gdy jechali z Bagdadu do jednej z osad rozrzuconych po okolicy i nagle zatrzymali się w połowie drogi, wyłączyli reflektory hunwee i wszyscy kumple z zespołu stali w ciemnościach z zadartymi do góry głowami, mocarne chłopaki, w pytę żołnierze, raptem przedzierzgnięci w małych chłopców zachwyconych majestatem nieba. A na nim płonęły gwiazdy niczym wywiercone w nocy dziury, jakby niebo było kocem, za którym znajdowało się coś wspaniałego i świetlistego, jakiś promienisty świat, gdzie wszystko przepełniał blask.

Zaczynał się właśnie zastanawiać, czy aby Dion go nie okłamał, kiedy zauważył szczupły kształt poruszający się przy rzece.

Krew zakipiała mu od adrenaliny. Niecałe czterdzieści metrów dalej, jedynie sylwetka na tle cicho pluskającej wody. Ale nawet z takiej odległości Jason widział, że przybysz jest ubrany na czarno i się czai. To nie był obywatel, który wybrał się na spacer, tylko ktoś, kto się skradał. I kierował wprost na niego.

Zaklął pod nosem, czując, jak dłonie spłynęły mu potem, mięśnie nóg się napięły. Jeśli się teraz poruszy, zdradzi swoje położenie. Może rozpląszyc się na ziemi, odwrócić twarz. Zawsze jest szansa, że intruz przejdzie obok.

A jeśli nie?

Było tu wszystkiego sześć metrów wszcz, martwa trawa i rachityczne drzewka. Zbyt duże ryzyko. Wyciągnął berettę nagrzaną od jego ciała, i odbezpieczył. Nie chciał nikogo zabijać. Ale w obronie własnej to nie morderstwo.

Oddychał szybko, płytko. Patrzył, jak postać się zbliża krok za krokiem. Odliczał metry. Sześć, pięć. Przy trzech nie



mógł już dłużej wytrzymać, zerwał się i rzucił do przodu, błyskawicznie podnosząc broń.

Postać zareagowała raz-dwa, wyciągając rękę do podramiennej kabury.

- Nie ruszaj się! - Podszedł bliżej z beretą gotową do strzału, modląc się w duchu, by gość nie sięgnął po broń, nie zmusił go do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chciał. I wtedy zobaczył cynamonową skórę, oczy okrągłe ze strachu, poznał intruza i obojgu im się równocześnie wyrwało:

- Co ty tu, kurwa, robisz?!

## Przeholowanie

Jason opuścił broń w chwili, gdy dotarło do niego, że szczupły przybysz jest kobietą. W tym samym zresztą momencie ją rozpoznał. Serce miał w gardle, dziko bijące, panika i zew bojowy stapiały się w jedno, zamieniając każdy oddech w coś nierzeczywistego. Cruz gapiła się na niego podejrzliwie, z dłonią nadal na broni w kaburze pod pachą.

- Jest pan w to zamieszany? - spytała głosem pełnym niedowierzania.

- Niby w co? Zmrużyła oczy.

- Co pan tutaj robi?

- Właśnie miałem spytać o to samo panią.

- Jestem policjantką - rzuciła twardo tonem: „Tylko bez żadnych kitów”.

- Tak, ale skąd się tu pani wzięła? Zawahała się.

- Miałam telefon - odrzekła wreszcie. - Anonimowy. Z informacją, że dzieje się tu coś, co chciałabym zobaczyć. - Zdjęła dłoń z kolby pistoletu. - Wie pan, o co chodzi?

- Ma się tu zjawić jeden z ludzi, którzy zabili mojego brata. Ale kto mógł do pani dzwonić?

- Może odłoży pan broń, to razem się nad tym zastanowimy?

Jason popatrzył na nią, potem na berettę. Przeholował już, kiedy do niej wymierzył - cholera, kiedy to zobaczyła. Ale mimo wszystko.

- Przepraszam, że panią wystraszyłem. Ale mogę to wyjaśnić. Wysłucha mnie pani?

Wzruszyła ramionami.

- Panie Palmer, ma pan broń w ręku. Zgodzę się na prawie wszystko, co pan powie.

Nie chciał, żeby tak to się potoczyło. Pochylił głowę, wolną ręką potarł twarde i napięte mięśnie karku.

- Wiem, jak to wygląda. - Popatrzył na nią. - Ale może mnie pani po prostu wysłuchać?

Po chwili odpowiedziała:

- Okay. Co to za facet ma się tu zjawić?

- Nazywa się Anthony DiRisio i handluje bronią. Wojskowym sprzętem. Zaopatruje gangi. - Zobaczył wyraz konsternacji na jej twarzy. Rozłożył ręce. - Przychodzi mi tylko do głowy, że Michael musiał się o tym dowiedzieć i dlatego DiRisio go zabił.

Wydawało mu się, że coś mignęło w jej oczach, ale powiedziała jedynie:

- Skąd niby właściciel pubu mógł być w coś takiego zamieszany?

- Michael był społecznikiem. Walczącym. Chciał zbawić świat. - Jason przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie, twarz brata czerwoną od gniewu. - Może powiedział mu ktoś, z kim współpracował, albo po prostu sam przypadkiem się zorientował. Ale jeśli się o czymś takim dowiedział, nie potrafiłby tego zostawić. - Urwał. - Chwileczkę. Mówiła pani, że go znała, że z panią o czymś rozmawiał. O tym?

Cruz pokręciła głową.

- Nie wspominał nic o broni. - Rozejrzała się. - Zamierza pan zastrzelić DiRisio?

- Nie - zawahał się. - Sam nie wiem, co chciałem zrobić. Będę się tym martwił, gdy przyjdzie co do czego. Wiem tylko, że ktoś zabił mi brata i próbuje zamordować bratanka i że na to nie pozwolę.

Pokiwała wolno głową, ze zmarszczonym czołem, jakby coś rozważała. Czekał. Usłyszał samochód i zerknął przez ramię na Wacker, ale nic nie zobaczył. Łagodny powiew wiatru niósł zapach jej perfum, ostry i przyjemny, nakładający się na lekką woń czystego potu.

- Teraz wie pani tyle, co ja. - Popatrzył na nią. - Dzięki za wysłuchanie.

Skinęła głową, więc zasunął bezpiecznik beretty i wsunął ją z tyłu za pas.

Gdy tylko zabrał ręce z broni, Cruz kopnęła go w jaja.

Zauważył, co się święci w ostatniej chwili, ale za późno, zdołał nieco się uchylić, jednak nie na tyle, by stopa minęła cel. Poczul uderzenie, dno żołądka podjechało mu do gardła, starał się złapać oddech, jeszcze żywy w tym ostatnim ułamku sekundy, kiedy jego mózg już wiedział, co nastąpi, a zanim ciało jeszcze to poczuło. I nagle, sruu, lodowata fala mdłości zalała go całego, złączył dłonie na jądrach i upadł na kolana, myśląc: *pieprzę, ja pieprzę*, i musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby zrozumieć to, co zobaczył, gdy wyciągnęła swoją własną broń, groźnie wyglądający automat.

- Połóż ręce na głowę.

Wciągnął powietrze przez zęby. Dzięki zmianie pozycji w ostatniej chwili, nie trafiła w sam środek tarczy i wiedział, że najgorsze męczarnie zaraz miną, ale w tej chwili stanowiło to marną pociechę.

- Łapy na łeb, już! - rzuciła głosem gliny: twardym, rozkazującym, nieznoszącym sprzeciwu, jak broń. Ręce same powędrowały mu do góry, mimowolnie, lewa znalazła prawą, dłonie się splotły i mocno zacisnęły, by zagłuszyć ból. Cruz stanęła z tyłu, pewnie trzymając pistolet.

Obrócił głowę i spojrzał na nią przez ramię.

- Jezu Chryste, to bolało - wykrztusił.

- Zamknij się. - Poruszyła się. Poczuł, jak wyciąga mu zza pasa pistolet, usłyszał, jak broń uderzyła o ziemię. - Twarzą do przodu.

Posłuchał, przeniósł wzrok na Wacker, widząc jak przez mgłę. Klęczał tam, czekając aż kajdanki zatrzaskną się mu na nadgarstkach, wściekły, sfrustrowany i obolały.

I właśnie wtedy zauważył światła samochodu zbliżającego się zjazdem.

## Żółć

Jason obrócił głowę najmocniej, jak mógł, na ile pozwalał mu lodowaty ból promieniujący z jąder. Cruz stała za nim, z bronią już w kaburze, w jednej ręce trzymała kajdanki, drugą sięgała do jego nadgarstka. Widział, że gapi się nad nim, dalej, tam gdzie czarna honda odyssey zjeżdżała w kierunku ślepej uliczki. Trudno było orzec, patrząc pod tym kątem, na klęczkach i z obolałymi jajami, ale sprawiała wrażenie raczej wystraszonej.

- Padnij - syknął i zabrał dłonie z głowy. Zobaczyła, że się ruszył i sięgnęła po broń. Zamarł ciągle

jeszcze z rękoma w górze.

- Słuchaj, aresztujesz mnie później, okay? - Popatrzył jej w oczy prosząco. - To jest człowiek, który zabił mojego brata. - Usłyszał zbliżający się samochód, zobaczył światła omiatające martwą trawę. - Padnij.

Zmrużyła oczy i przez chwilę myślał, że odmówi. Potem wyciągnęła broń i mierząc w niego, rzuciła się na ziemię właśnie w chwili, kiedy światła reflektorów przesunęły się nad nimi. Barijerka ochronna i ogrodzenie po tej stronie Wacker rzucały dość cienia, wątpił, by ich zauważono.

Furgonetka miała już swoje lata, była zakurzona i poobijana, jak miejskie samochody. Kierowca wykręcił i zatrzymał

się przodem do wyjazdu, nie gasząc silnika. Gotów odjechać w każdej chwili. Bardzo rozsądnie z punktu widzenia taktyki. Przez ciemne szyby nie sposób było dostrzec, kto siedzi w środku.

Jason zerknął na Cruz.

- A teraz mi wierzysz? Przeniosła na niego wzrok.

- Na razie widzę tylko vana - rzuciła, ale już nie tak szorstko.

- Musimy poczekać.

- Na co?

Jakby w odpowiedzi druga para świateł błysnęła na burym betonie.

- Na kupców.

Do furgonetki podjechał jaskrawofioletowy pikap z obniżonym nadwoziem i spoilerem. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Głucho trzasnęli drzwiami. Z tej odległości Jason niewiele mógł dostrzec, oprócz latynoskiej karnacji, ogolonych głów i tatuaży.

Cruz popatrzyła na niego badawczo.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

Zanim zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi vana i Jason zeszywniał.

Facet miał niecały metr dziewięćdziesiąt, masywną budowę robotnika portowego, grube buły mięśni, które daje tylko fizyczna praca. Do tego łysinę i nieogoloną twarz. Charakterystyczne wybrzuszenie zdradzające kaburę pod ramieniem. Postawę jednocześnie sztywną i rozleniwioną, niczym u zawodowych żołnierzy, którzy potrafią stać na baczność z taką samą swobodą, jakby leżeli rozwaleni w hamaku.

To w jego oczy Michael patrzył przed śmiercią.

Jason był tego pewien, wiedział to ponad wszelką wątpliwość. Nie tylko dlatego, że gość pasował do opisu podanego przez Billy'ego. Było w nim coś organicznego, coś co po-

wietrze między nimi wprawiało w drżenie. Smakował żółcią, brunatną wydzieliną, która paliła Jasona w usta. Jego brat nie żyje. Michael, ze swoją krewkością, który tak kochał życie, który kupił Jasonowi pierwsze piwo, powiedział, czego ma się spodziewać pod stanikiem Mary Ellen Jabrowski i co z tym powinien zrobić... zamordowany i spalony, a jego syn nadal ścigany i ten człowiek, stojący tu właśnie, jest za to wszystko odpowiedzialny,

- Anthony DiRisio? - wyszeptała Cruz.

Jason skinął głową. Sięgnął po broń, ale natrafił tylko na koszulę i pasek, i przypomniał sobie, że mu ją zabrała. Zerknął w bok, zobaczył, że patrzy na niego spod zmrużonych powiek z bronią gotową do strzału.

- Nie każ mi żałować, że cię nie skułam - powiedziała. Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze przez usta.

Walczył z falą mdłości, która tylko częściowo miała związek z otrzymanym kopniakiem. Odwrócił się, żeby przyjrzeć się swoim wrogom i opanować myśli.

Dwóch gangsta ruszyło na tył hondy. DiRisio czekał, jakby byli ogrodnikami, którymi dyryguje, przydzielając ich do prac w swoim ogrodzie. Przywitał się skinieniem głowy i uśmiechem, który nawet z tej odległości wyglądał na fałszywy, potem odwrócił się i otworzył tył vana. Jason dostrzegł w środku drewniane skrzynie ładunkowe. Potem dotarło do niego, co muszą zawierać, i krew ścięła mu się lodem.

Wyższy gangsta, wąsaty mięśniak z wytatuowanym drutem kolczastym, gwizdnął i klepnął towarzysza po ramieniu. Podeszedł do samochodu z miną dziecka zabierającego się za gwiazdkowe prezenty.

DiRisio położył mu od niechcienia dłoń na piersi i pchnął.

Chłopak poleciał do tyłu, wymachując ramionami z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy. Drugi gangsta krzyknął, sięgając za plecy. Zamarł, kiedy zobaczył, co DiRisio wyjął z vana. Jason sam nigdy takiej nie miał, ale roz-



poznał ją od razu. Jedna z najbardziej popularnych broni, którą upodobały sobie jednostki specjalne i wojskowe Bóg raczy wiedzieć ilu krajów. Sześćdziesiąt centymetrów oksydowanej stali wystrzeliwującej osiemset naboju na minutę.

Pistolet maszynowy Heckler & Koch MP5.

Otworzyły się drzwi od strony pasażera i z vana wysiadł kolejny mężczyzna, mierząc z kolejnego MP5. Miał dobry garnitur i surowy wyraz twarzy pod schludną czupryną popielatych włosów.

Cruz wydała stłumiony okrzyk, przykładając szybko rękę do ust. Jason zacisnął pięści. Mimo że wiedział, czego się spodziewać, nie był przygotowany na ten widok. Nie wiedząc czemu, pomyślał o mecie gangu, dzieciakach grających na konsoli.

Wobec argumentu tysiąca sześciuset naboju na minutę, stojący gangsta cofnął się, podniósł ręce do góry. Jego leżący na ziemi towarzysz miał skołowany wyraz twarzy dziecka, które spadło z roweru.

- Najpierw kasa. - Głos DiRisii odbijał się echem od betonu.

Gangsta skinął głową, zaczął się wolno przesuwając w stronę pikapa. Jason odwrócił się do Cruz. Patrzyła prosto przed siebie, z pustym wyrazem twarzy.

- To dlatego Michael zginął. To muszą być ludzie, których Billy widział w pubie.

Pokiwała głową apatycznie.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Piękny, prosty, doskonały pomysł i poczuł, jak kamień spada mu z serca. Okazja, jakich mało. Sam lepiej by tego nie wymyślił: handlarz bronią, bandyci z gangu i cały arsenał w jednym miejscu. Nie będzie musiał prowadzić osobistej wojny i dotrzyma obietnicy danej Billy'emu. Obu obietnic.

- Jesteś gliną - powiedział. - Wezwij wsparcie.

Ale Cruz odwróciła się do niego i pokręciła głową. -Nie.  
- Dlaczego nie?  
- Ponieważ - rzuciła beznamiętnie, ale z przybitą miną - jeden z tych gości jest gliną.

## Fajerwerki

Niemożliwe.

To po prostu, kurwa, nie jest możliwe.

Cruz leżała na ziemi, kości miednicy bolały ją od spalonej słońcem ziemi. Gapiła się na scenę rozgrywającą się przed ich oczyma niczym na ujęcie z jakiegoś filmu: mężczyźni w garniturach z pistoletami maszynowymi dobijający transakcji w upiornym żółtawym świetle sodowym. Tyle że to nie był film, lecz rzeczywistość, a jednym z mężczyzn był Tom Galway. Jej partner.

Już wcześniej miała wrażenie, że cała ta sprawa przypomina wykolejony pociąg pędzący gdzieś na łeb na szyję. Teraz doszło do katastrofy.

I wtedy za ich plecami rozległ się najwyraźniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała. Czysty, ostry i dobitny, jakby sam Bóg pstryknął palcami.

Naciągnięcie kurka broni.

Poczuła pulsowanie krwi w żyłach na szyi, skóra twarzy się ściągnęła. Odwróciła się instynktownie. Męska sylwetka zasłaniała blask światła centrum kongresowego po drugiej stronie rzeki. Udało jej się dostrzec tylko jeden szczegół, jedyny, który się liczył: pistolet trzymany w obu dłoniach.

Obok niej Palmer uniósł się na ramionach, zapierając się kłykciami o ziemię. Wyglądał jak sprężyna śrubowa, któ-

ra zaraz pęknie. To jej przypomniało, że sama ma broń i niewiele myśląc, po prostu nie chcąc tutaj umrzeć, na zasranym brzegu zasranej Chicago River, zaczęła ją podnosić.

- Nie - powiedziała postać.

Cruz zamarła. Ton był chłodny i beznamiętny jak głos człowieka, który z radością naciska język spustowy.

- Rzuć broń.

Zacisnęła zęby, rozglądając się.

- Kurwa, ty uparta pizdo, rzuć ją.

Widziała jego twarz w refleksach odbitego światła: okrutne usta z białą fałdą bliznowatej tkanki przecinającą policzek aż do kącika ust. Jeśli był gliną, nie znała go.

Położyła smitha na uschłej trawie, mając wrażenie, że opuszczają razem z nim całe życie. Jakby ziemia zaczęła się przechylać, a ona nie mogła się utrzymać na jej powierzchni. Zbrodnicze podpalenia. Spiski, mataczenia. Tajemnicze telefony. Wyrostki z gangów z pistoletami maszynowymi. Skorumpowani policjanci i bezduszne głosy.

Zerknęła na Palmera, zobaczyła, że też na nią patrzy. Przekląła się w duchu za to, że zabrała mu pistolet. Wyciągnęła mu go zza spodni i rzuciła na ziemię, pochłonięta kajdankami, a było zbyt ciemno, by zobaczyć, gdzie upadł.

- Jestem z policji - rzuciła, z zadowoleniem stwierdzając, że głos ma opanowany. - Choćbyś nie wiem za jakiego się miał bandziora, uwierz mi, nie chcesz celować do gliny.

Bliznowaty parsknął. Odkaszlnął z przeciągłym charkotem, potem pochylił się do przodu i posłał flegmę na trawę między jej stopami.

- Siedź cicho, glino. - Wyprostował się i podniósł głos. - Ej! - Krzyk zatonął w zgiełku ruchu ulicznego na górze. -Ej!

- Co? - Dziwne, ale bez problemu usłyszała odpowiedź. Beton ślepego zaułka musiał odbijać i wzmacniać głos.

- Mamy towarzystwo.

-Co?

- To-wa-rzyst-wo.

Cruz zaryzykowała rzut oka do tyłu. Wyglądający z wioska mięśniak w tanim garniturze, ten, który według Palmera nazywał się Anthony DiRisio, trzymał dwóch gangsta w zasięgu swojego śmiertelnościanego automatu. Postawę miał bez zarzutu, pozę swobodną. Przywodził jej na myśl kobrę z rozpostartym szyjnym kapturem, kołyszącą się lekko i rytmicznie, gotową w mgnieniu oka uderzyć. W obliczu tej skomasowanej groźby śmierci obaj gangsta wyglądali na nadrabiające miną dzieci.

Galway tymczasem podszedł do ogrodzenia, w jednej ręce nadal trzymał MP5, drugą uniósł, by osłonić sobie oczy.

- Co tutaj mamy? - Sięgnął do kieszeni spodni, potem zarzucił pistolet na ramię. Szarpał się z czymś, co trzymał w dłoniach. Latarka, minmaglite.

Snop światła przeciął ogrodzenie i dźgnął Bliznowatego w oczy. Ten się wzdrygnął, podniósł rękę, by się zasłonić.

Cruz zerknęła na Palmera, zobaczyła, że myśli o tym samym, co ona i zaraz oboje już gramolili się na nogi. Bliznowaty okręcił się na pięcie, jego pistolet razem z nim, aż czarna lufa znalazła się naprzeciwko Cruz, która zrobiła momentalny unik, wstając. Zdziwił ją potężny huk, znacznie głośniejszy niż stłumiony trzask, jaki słyszała przez osłonę na uszy na policyjnej strzelnicy. Bluzg pomarańczowego ognia wyrwał kawał ziemi niecałe pięć centymetrów na prawo od jej uda. Zamarła, zdruzgotana strachem, hałasem i odkryciem prawdy. Zobaczyła, że lufa pistoletu się unosi, tym razem mężczyzna celował w jej pierś i nie miał szans chybić. Patrzyła, jak napina palec na spuście, i wiedziała, że już po niej.

Wtedy Palmer błyskawicznie rzucił się na Bliznowatego bykiem, wbijając mu bark w brzuch. Bandzior wydał stłumiony krzyk, pistolet wypadł mu z ręki. Palmer napierał

na niego niczym linebacker na manekin treningowy i przepchnął trzy metry w tył do brzegu rzeki. Uderzyli w barierkę i na sekundę obaj znaleźli się w świetle latarki Galwaya. Palmer odskoczył, Bliznowaty przeleciał przez ogrodzenie, kręcąc młynka ramionami, jakby próbował wzbić się przez światło do góry.

Od lustra wody dzieliło go jakieś półtora metra, ale wydawało się, że upłynęło nieskończenie dużo czasu, zanim rozległ się plusk.

Snop latarki gwałtownie zjechał w bok, ześlizgując się z nich. Cruz zastanawiała się dlaczego i szybko znalazła odpowiedź: Galway prawdopodobnie sięgał obiema rękoma po MP5. Nie mogła uwierzyć, że mógłby ją zabić, że jej partner i przyjaciel potrafiłby do nich strzelić, ale jakoś nie chciała się przekonywać. Rzuciła się i pociągnęła Palmera za ramię. Odwrócił się od wody, poczuła woń strachu, napięte mięśnie jego ramion i zaraz oboje już biegli ile sił w nogach, ona przodem, on tuż za nią, z tupotem sadząc po ścieżce rowerowej w kierunku mostu na Michigan Avenue.

Z tyłu za nimi rozległa się seria wybuchów, jakby petard.

Jezu Chryste.

Żadnego bólu. Oddychała ciężko, czuła krew pulsującą w nadgarstkach i szyi, mrowienie na skórze. Słyszała swoje kroki - twarde i wyraźne - i z tyłu kroki Palmera niczym echo jej własnych. Nastąpiła kolejna seria petard, ale po ścieżce doskonale się biegło, a przed nimi już majaczyły schody prowadzące na most. Pokonała je po trzy stopnie naraz, trzymając się poręczy i podciągając do góry, świadoma, że są już bezpieczni. Że nie ma mowy, by napastnicy zdołali pokonać ogrodzenie wystarczająco szybko, by ich dogonić. Michigan Avenue znajdowała się tylko dwa piętra wyżej i nawet o północy będą tam ludzie, polujące na klientów taksówki. Nie zwolniła jednak, biegła dalej z Jasonem

Palmerem za plecami. Dolatywał ją ciężki odgłos jego kroków, a chwilę później nad dzwoniącym w uszach oddechem, usłyszała jak chłopak się śmieje, znajdując w całej sytuacji coś zabawnego.

- Chyba - rzucił zdyszczanym głosem - jednak mnie dzisiaj nie aresztujesz.

23 września 2003

*„No więc tych trzech dzieciaków, Meksów, wpada na pomysł, że będą obrabiać salony manicure”. Tom Galway bierze łyk piwa i kręci głową. „Pierdolone salony manicure. Wparo-wują, wymachując śrutówkami, czyszczą kasę, zabierają klientkom biżuterię, portmonetki, telefony. Wchodzą i już ich nie ma. Chytrze. Żadnej ochrony, zero kamer, a w środku same kobitki, to je łatwo nastraszyć, co nie, Cruz?”*

*Rozlega się salwa śmiechu, ale zaraz potem kolejna, gdy ona mówi partnerowi, żeby rzucił okiem na jej manicure i pokazuje mufakę, więc wszystko jest, jak należy, ot, grupka glin po szóstej kolejce budweisera, zrywających boki z całego pieprzonego świata.*

*„No i ci pionierzy obrabiają średnio dwa salony tygodniowo, ale to Chicago, więc Bóg jeden wie, że mogą to ciągnąć w nieskończoność. Tyle że raz biedaki pechowo wybierają salon, gdzie pazury robi sobie żona kongresmana. Nawet jej tam wtedy nie było, ale z góry przychodzi polecenie: przymknąć całą trójkę na szybkości, sprawa ma bezwzględny priorytet. Powaga. Cały rejon postawiony w gotowości, wszyscy stają na rżęsach, żeby znaleźć cholernych Pedicurowych Bandytów”. - Wybuchą gromki zbiorowy rechot i Galway urywa, żeby jednym haustem opróżnić poło-*



wę butelki piwa. „Więc jak raz wieczorem dostajemy cynk, że koleś będą w pubie przy WestLawn. Jedziemy tam, ale nie mamy przecież pojęcia, jak wyglądają, nie? W czasie napadów byli zamaskowani. No więc siedzimy z partnerem w tej obsranej meksykańskiej knajpie i kombinujemy. Że niby co? Mamy przeszukać tych wszystkich nasterydowanych cholo? Dziękuję, postoję”.

„Cienias”, rzuca Cruz, stolik zanosi się śmiechem i teraz Galway pokazuje jej w odpowiedzi środkowy palec.

„No to partner pyta barmana, czy możemy skorzystać z telefonu. Wyciąga listę numerów komórek skradzionych tego popołudnia i zaczyna wykręcać jeden po drugim. A ja stoję obok, staram się nie ryć ze ścinającego z nóg polotu chicagowskiej policji, aż tu, proszę - Galway podnosi głos, zbliżając się do puenty - koleśowi, za którym stoję, ale to dosłownie tuż za, zaczyna dzwonić w kieszeni. - Stolik wybucha śmiechem. - I wiecie, co koleś robi? - Galway rozkłada ręce, jakby mierzył głupotę na metry - Japierdykam, koleś odbiera!”

Wybuch śmiechu, w którym zawiera się wszystko: miłość do tej roboty, miłość do kumpli, miłość do czystego szaleństwa tego obłądnego świata, i Cruz się przyłącza, ryjąc tak samo głośno jak cała reszta. Myśli sobie, że to jest właśnie to, tego właśnie chce, być z tymi mężczyznami, ścigać debilowatych przestępców, nosić gwiazdę, a pod koniec dnia pić budweisera i przerzucać się anegdotkami, a potem budzić się nazajutrz i robić to wszystko od nowa, raz jeszcze.

## Ciężkie sny

Tandetna boazeria pokrywała ściany od dywanu poznaczonego plamami, którym Cruz wolała się dokładniej nie przypatrywać, do pożółkłego od dymu sufitu. W stęchłym powietrzu unosiło się wspomnienie papierosów, zapach, który nią wstrząsnął, bo w tej chwili była gotowa wygrzebywać pety z knajpianej popielniczki.

- Lokal z klasą.

- Ujdzie. - Jason zamknął drzwi, zasunął zasuwę i założył łańcuch. Spuścił żaluzje, zasłaniając rdzewiejący kontener na śmieci i stare rzeczy na motelowym parkingu. Poruszał się minimalistycznymi ruchami i zdała sobie sprawę, że obserwuje go z przyjemnością. Jakby z oddali, poza rzeczywistością.

Podeszła do łóżka, z odrazą patrząc na niechlujne poduszki. Nad imitacją zagłówek wisiała reprodukcja lilii namalowanej przez kogoś, kto znał kwiaty tylko ze słyszenia. Przeciągnęła ręką po materacu, przycupnęła na brzeżku.

- Słuchałeś kiedyś Toma Waitsa?

- Że co? - Odwrócił się od prześwitu w zasłonach.

- To miejsce przypomina mi jedną z jego piosenek. Nie pamiętam tytułu. „Pokoje śmierdzą dieslem i śni się sny tych, którzy wcześniej tu spali”.

Uśmiechnął się.

- *Róg dziewiątej i Hennepin. Z Rain Dogs.*

- Jesteś fanem? Ja też. Kiedyś chodziłam z chłopakiem, który mnie nim zaraził. Zasypiał przy jego muzyce.

- Chryste - Jason się roześmiał. - Musiał mieć ciężkie sny.

Skinęła głową.

- Marnowałam na niego czas, ale przynajmniej dzięki niemu poznałam muzykę Waitsa. - Od leżenia na ziemi miała żalobę pod paznokciami. Coś się jej przypomniało i zachichotała. - Kiedyś puścił ten kawałek, kiedy byliśmy, no wiesz, w kursie dzieła. - Przed oczyma mignęło jej wspomnienie wymiętej pościeli, zapachu burbona, jego tatuażu: kostek do gry z szóstkami i wstęgą, na której stało: Spoko lus, właśnie tak, przez s. - No więc zajmujemy się sobą, a Waits śpiewa: „Znałem go, kiedy był nikim i nie zmienił się nic a nic”, a ja zaczynam się śmiać, no wiesz kompletna głupawka, nie możesz przestać. W samym środku akcji.

Palmer parsknął z rozbawieniem w oczach.

- Wkurzył się?

- A jak myślisz? On tu w roli ogiera, a ja pokładam się ze śmiechu. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie, potem potrząsnęła głową. - Tak, raczej się wkurzył.

Na moment uwagę obojga przykuło głośnie dudnienie na zewnątrz, zamarli, nasłuchując w napięciu, jak dźwięk narasta, a potem niknie: jakaś anonimowa ciężarówka z naczepą zdążająca w kierunku autostrady.

- Wiesz, który kawałek uwielbiam? *Kartka świąteczna od dziwki z Minneapolis*. Ten fragment: „Chciałabym mieć tę całą kasę, którą wydawaliście na towar...”

- Kupiłabym se autokomis i nie sprzedała żadnej z bryk - dokończyła Cruz.

Jason się uśmiechnął, odszedł od okna. Wyciągnął krzesło z uszkodzonym szczebelkowym oparciem i usiadł. Twarzą do Cruz, co jej się spodobało.

- A ciebie kto zaraził?

- Brat.

Rzeczywistość wróciła z całą siłą, jakby pękła tama. Wzdrygnęła się, skrzyżowała ramiona. Uświadomiła sobie, że nadal ma na ramieniu kaburę, choć jej pistolet został na brzegu rzeki. Cholera. Pistolet.

- Chyba nie możemy przerzucać się tekstami piosenek przez całą noc.

- Nie - westchnął. - Choć szkoda. To moja pierwsza normalna rozmowa od kilku dni.

Przyjrzała mu się badawczo, z gliniarskiego odruchu rejestrując szczegóły. Ciemne kręgi pod oczyma i kilkudniowy zarost. Wyprostowana postawa, dużo siły, ale także to znękané spojrzenie, które widywała do czasu w oczach bezdomnych żyjących pod estakadą Stevensona.

- Taak.

Skinał głowę i przeciągnął dłonią po włosach. Wyprostował się.

- Więc gość stojący z tyłu vana to Anthony DiRisio. Powiedziałaś, że ten drugi to glina?

- Tom Galway. - Westchnęła. - Mój partner.

- Twój partner?! Potaknęła.

- Mhm.

Wstał, podszedł do okna. Wyrzał na zewnątrz. Jeszcze raz sprawdził drzwi. Odwrócił się do niej.

- Pamiętasz, co powiedział Billy? Że ludzie, którzy zabili Michaela, byli w garniturach. Jeden wysoki, łysiejący i muskularny. To DiRisio. A drugi był szczupły i miał szpakowate włosy.

Nie powinno jej to dziwić po wszystkim, co widziała, po tym, jak jej były partner do niej strzelał. Ale dziwiło.

- Chryste. Galway. - Nagle błysnęła jej myśl, jak promień światła przebijający się przez chmury. - Chwila. A jeśli źle to

wszystko interpretujemy? Jeśli w pubie był ktoś inny, a Galway dzisiaj tylko udawał, że w tym siedzi? Jeśli to była prowokacja? Palmer pokręcił głową.

- Strzelał do nas.

- Może celowo chybił. - Jednak nie brzmiało to przekonująco. Gliniarz grzejący z pistoletu maszynowego w samym środku miasta? Kula mogła pójść rykoszetem dosłownie wszędzie. A nawet jeśli rzecz była oficjalnie klepnięta, gdzie podziało się wsparcie? Powinno tam być co najmniej trzydziestu ludzi, zespoły taktyczne, śmigłowiec, te sprawy. Nie ma mowy, żeby pozwolili wymknąć się bandytom z bronią maszynową i ostrą amunicją. - Dobra. No więc Galway i ten DiRisio sprzedają gangom broń. - Westchnęła. - Jak się o tym dowiedziałeś?

Zesztywniał, potem krótko się zaśmiał, potarł kark.

- Teraz to już i tak chyba wszystko jedno. - Usiadł. - Złożyłem wizytę niejakiemu Dionowi Wallace'owi.

- Szeфовi Gangster Disciples?

- Temu samemu. Podałem się za glinę i udało mi się mu wmówić, że go aresztuję, jeśli nie poda mi nazwiska.

- Że co zrobiłeś? - Zerwała się na równe nogi. W głowie się nie mieści. Ależ facet ma tupet. - To ciężkie przestępstwo.

Popatrzył na nią z sarkastycznym uśmiechem.

- Cóż, zważywszy, że właśnie widzieliśmy, jak prawdziwi gliniarze handlują ciężką bronią, może umieścimy podszywanie się pod jednego na liście rzeczy, za które aresztujesz mnie później, zgoda? Poza tym - powiedział - gdyby mnie tam nie było, leżałabyś teraz na brzegu rzeki. Pamiętasz?

Odpowiedź uwieź ją w gardle. Przypomniał jej się pistolet Bliznowatego, to, jak stała osłupiała, kiedy przygotowywał się do śmiertelnego strzału. Palmer może i jest choj-rakowatym dupkiem, ale uratował jej życie. Usiadła, wbiła wzrok w plamy na dywanie.

Westchnął.

- Posłuchaj, jestem normalnym człowiekiem. Cała ta sytuacja jest dla mnie szokiem. Ale wszystko wskazuje, że to nie przelewki i siedzimy w tym razem. - Urwał. - Będziemy musieli sobie zaufać.

- Mówisz, jakby to była bułka z masłem.

- Byłem żołnierzem, pamiętasz? Wiem, co znaczy zaufanie. Ale cokolwiek jest tu grane, robi się coraz bardziej gorąco. Musimy sobie wzajemnie pomagać.

Wydmuchnęła powietrze przez usta.

- Masz rację.

Palmer skinął głową, odchylił się na krześle, splótł palce za głową i popatrzył na sufit. W pokoju obok włączył się telewizor, przez cienkie ściany słychać było puszczone na cały regulator kreskówki.

- Wiesz, czego nadal nie rozumiem? Dlaczego właśnie Michael? Z jakiego powodu ci goście postanowili zlikwidować akurat jego?

Mięśnie pleców jej się napięły. Zadała mu dokładnie to samo pytanie wcześniej. Ale po ostatnich wydarzeniach dotarło do niej, że zna odpowiedź.

- Przez tego tajemniczego rozmówcę. Brew podjechała mu do góry.

- Pamiętasz, mówiłam ci, że ktoś do mnie dzwonił? Nie podał swojego nazwiska, ale wiedział, kim jestem, i twierdził, że był przyjacielem twojego brata. - Miała wrażenie, jakby od tego popołudnia minęło tysiąc lat. Jej świat już wcześniej zaczynał się rozłazić w szwach, ale przynajmniej pozostały jakieś pozory normalności. Zdziwiająco, ile może się zmienić w kilka godzin. - Powiedział mi, żebym pojechała na Wacker i poszukała czarnej hondy odyssey. To dlatego ci uwierzyłam: zobaczyłam vana.

- Hmm. - Palmer pochylił się z ramionami na kolanach. - Więc ktoś jeszcze wie, co się dzieje.

- To nie wszystko. - Cruz masowała skronie. - Powiedział... - Westchnęła. - Powiedział, że dał Michaelowi coś i że właśnie przez to coś Michael zginął. Jakiś dowód.

Palmer wbił w nią spojrzenie, potarł podbródek tak mocno, aż zaszeleścił świeży zarost. Wyglądał tak, jakby miał ochotę walnąć krzesłem w okno. Czekala. Wreszcie się odezwał:

- Aktówka. - Pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i jęknął.

- Jaka aktówka?

Wyjaśnił, nie zdejmując rąk z twarzy.

- Kiedy spotkałem się z Michaelem dzień przed, miał przy sobie aktówkę, zwykłą skórzaną teczkę, ale non stop z nią coś robił. Postawił w jednym miejscu, chwilę gadaliśmy i zaraz ją przekładał gdzie indziej. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Ale cokolwiek w niej było, przez to właśnie zginął. - Podniósł głowę. - Siedziałem niecały metr dalej i nie miałem o tym, cholera, bladego pojęcia.

- Gdzie ona teraz jest? - Gdyby wpadła im w ręce, wszystko wyglądałoby inaczej.

Uśmiechnął się ponuro.

- Oni ją mają. Galway i DiRisio. Nie rozumiesz? Po to właśnie przyszli do pubu, po teczkę. Musiała zawierać dowody, coś, co potwierdzało, że skorumpowani gliniarze sprzedają broń gangom. Gdyby Michael to ujawnił, byłiby skończeni.

Cruz skinęła głową, elementy układanki zaczynały tworzyć sensowną całość.

- A gdy już ją zabrali, najłatwiej było zabić Michaela, żeby zatrzeć ślady. Zabić go, spalić pub, zrzucić winę na gangi.

Wszystko stało się takie oczywiste, kiedy dodało się jedno do drugiego. Proste, bezwzględne i porażające.

- Masz jakiś pomysł, kim może być ten dzwoniący?

- Nie bardzo, nie. Dużo wie o policji. Może być gliniarzem. - Skupiła się, usiłując przypomnieć sobie coś jeszcze,

co mogłoby im pomóc. - Wykształcony, sądząc po sposobie mówienia. Wyrażał się w sposób bardzo precyzyjny, jak prezydent wiadomości. I użył kilku dziwnych zwrotów.

- Dziwnych?

- Zwróciłam mu uwagę, że nie podaje mi zbyt wielu konkretów. A on rzucił wtedy coś jakby, że kto się raz sparzył, ten na zimne dmucha.

- Kto się raz sparzył? Co to niby ma znaczyć?

- Najwyraźniej tyle, że on dyktuje warunki. Wyglądał, jakby wykonywał w myślach skomplikowane dzielenie.

- Powiedział, żebyś nikomu o tym nie mówiła.

- Tak - przyznała. - A nawet więcej. Żeby nie mówiła nikomu z pracy. - Cofnęła się myślą do rozmowy, przypominając sobie wpadające przez okno słońce, grę promieni na desce, dotyk telefonu w dłoni. Nagle ciarki przeszły jej po plecach. Jezu. O Jezu. Popatrzyła na Palmera. - W szczególności powiedział, żeby nie mówiła niejakiemu Jamesowi Donlanowi.

- Kto to?

Jej ciało zrobiło się ciężkie jak z ołowiu.

- Szef Pionu Śledczego Rejonu Pierwszego. Palmerowi opadła szczęka.

- Mój Boże.

- Właśnie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, słuchając dochodzących przez ścianę dialogów kreskówki. Kabura ją piła, więc ją zdjęła i położyła na łóżku obok. Potarła oczy, przypominając sobie Donlana, takiego, jakim go znała: przyjaciela, powiernika, wreszcie kochanka.

- Może to nic nie znaczy. Może po prostu, ot tak, mu się wymyśliło.

- Niezłe wymyślenie. Skinęła głową.



- A gdybyśmy zawiadomili wydział wewnętrzny? Może oni pomogą? - rzucił Palmer jak cywil, ktoś, kto naoglądał się policyjnych seriali, ale sam nigdy nie nosił odznaki.

- Biuro Spraw Wewnętrznych? - Wzdrygnęła się. Donoszenie na innego funkcjonariusza było traktowane jak zdrada. Poza tym to nie takie proste. - Nie mamy dowodów.

- Ale zeznamy to samo. Roześmiała się.

- Jasne. Szłoby to mniej więcej tak: „Lekceważąc swoje służbowe obowiązki na rzecz pracy nad sprawą, od której mnie odsunięto, odebrałam anonimowy telefon, podczas rozmowy dzwoniący poinformował mnie o planowanym sekretnym spotkaniu. Przybywszy na miejsce, zobaczyłam, jak mój były partner, wielokrotnie odznaczany sierżant z dwudziestojednoletnim stażem, sprzedaje pistolety maszynowe członkom ulicznego gangu. Nie, nie wiem, skąd je wziął ani co się z nimi potem stało. Ale plus jest taki, że udało mi się zgubić swoją służbową broń - czy to ma jakieś znaczenie?”

- Znamy nazwisko DiRisio.

- Wymusiłeś jego podanie na członku gangu. Nie zda się na wiele. Nawet jeśli jest prawdziwe.

- Ale jest jeszcze Billy. Mógłby ich zidentyfikować.

- Naszym asem w rękawie ma być zeznanie ośmiolatka?

- No więc co, chcesz się poddać? - rzucił tonem, który mężczyźni rezerwują tylko dla kobiet.

- Nie, trenerze - powiedziała. - Pilnuj mnie tylko, a wygram.

Popatrzył na nią z gniewem w oczach, ale nagle coś w nim pękło, schylił głowę i się roześmiał.

- Słusznie. Przepraszam. - Odetchnął. - To były ciężkie dni.

- Tak. - Zawahała się. - Słuchaj, masz rację. Zeznanie twojego bratanka to już coś. Ale za mało. O wiele za mało.

- Dobra, to na czym w takim razie stoimy?

- Cóż, wydaje mi się, że właściwym określeniem jest chyba „siedzimy”. Po uszy w gównie.

Ich telewizor miał kanał pornograficzny.

Wałkowali to w tę i we w tę aż do znudzenia. Żadnych dowodów ani możliwości ustalenia, kto jest umoczony, a kto nie, więc nie mogli pójść na policję. Żadnego tropu prowadzącego do DiRisii. Najłatwiej byłoby pójść śladem Galwaya, ale zorientowałby się i na sto procent zabezpieczył. A na samą myśl, że Donlan może być w to zamieszany, Cruz miała ochotę w trymiga zmyć się z kraju.

Wreszcie, sfrustrowani, postanowili zrobić sobie przerwę, oderwać na chwilę myśli. Palmer brał prysznic, a ona zwała się na łóżko, szukając w telewizji lokalnych wiadomości, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pojawi się wzmianka o strzelaninie w centrum. Ogarnęło ją uczucie ogromnego wyczerpania, poadrenalinowej pustki. Obskurny materac był zadziwiająco wygodny, i Cruz przerzucała kanały ze ściszoną fonią. Pstryk, sport. Pstryk, komedia. Pstryk, dwie blondynki ze sztuczną opalenizną i sztucznymi cyckami robiące sobie niewiarygodne rzeczy ogromnym sztucznym penisem w kolorze różu.

Przypominało to film przyrodniczy, owady filmowane w makrozblizeniu. I coś takiego kręci facetów?

Potrząsnęła głową, przerzuciła na inny kanał. Szum wody ustał, usłyszała rozsuwanie zasłony, odgłos ściągane go z wieszaka ręcznika. Były to dziwnie intymne dźwięki i przywiodły jej na myśl inną hotelową sypialnię. Ciasną i ciemną, wytarty szlafrok i woń rozlanego na pościeli wina. Pałący wstyd, gdy nasłuchiwała pogwizdywań Jamesa Donlana pod prysznicem, kiedy zmywał z siebie zapach jej ciała przed powrotem do domu, do żony.

Przestań, pomyślała odruchowo. Ale to nigdy nie działało.

Przypomniała sobie ich pełne skrepowania śniadanie. Jak na nią naciskał, ostrzegał, żeby czasem nie schrzaniła. Czy to znaczyło, że jest zamieszany? A może była to zwykła niechęć polityka do komplikowania prostych spraw, tak jak to wyglądało z pozoru.

Nie miała pojęcia. Westchnęła i potarła oczy. Matka przestrzegała ją przed pracą w policji, mówiła, że tylko napyta sobie biedy. Ostatnio wiele wskazywało, że Cruz powinna przyznać jej rację. Pierwszych dziewięć, dziesięć lat, kiedy pracowała na ulicy, ścigała przestępców, bardzo się jej podobało. Jasne, raz po raz musiała udowodniać, że się nadaje, ale raz po raz jej się udawało. Ale od czasu tego błędu z Donlanem wszystko wzięło w łeb. Po pierwsze szacunek, na który tak ciężko pracowała, rozwiął się jak sen złoty. Potem przyszło polecenie uwiązujące ją do biurka, za którym tkwiła miesiąć za miesiącem, uzupełniając bazę danych, wklepując tam raporty i informacje gromadzone przez innych funkcjonariuszy. Oglądała ulicę tylko z daleka, jako zbiór statystycznych danych. Ot, taka sekretarka makabry, protokółantka przestępstw, scen zabójstw i podpaleń...

Zanim dotarło do niej, co robi, już była na nogach. Okrążyła łóżko, walnęła w zamknięte drzwi łazienki i nawet się nie zawahała: wparowała prosto do środka.

- Spokojnie! - Palmer stał schylony w drzwiach, wycierając nogi. Kiedy weszła, wyprostował się gwałtownie i zasłonił rącznikiem. Miał opalone ciało, pierś szczupłą i muskularną, bez włosów, przeciętą pomarszczoną linią blizny, która biegła po lewej aż do miejsca, gdzie dyndały metalowe nieśmiertelniki. - Co, do cholery?

Uśmiechnęła się.

- Wiem, co musimy zrobić.

## Cieć

Cholerny amator.

Anthony zacisnął zęby, napięte mięśnie szczęki podrygiwały. Szyby w oknach miał opuszczone do połowy i do środka wpadał ciepły wiatr, szarpiąc krawat, targając stronami „Sun -Timesa” leżącego na siedzeniu pasażera. Wziął go w nadziei, że trochę poczyta, żeby się uspokoić, ale nawet nie zajął do środka. Na wierzchu leżał jego sig ze szpetnym tłumikiem przykręconym do lufy. Na filmach wszyscy mieli tłumiki, jakby można je było dostać w sklepiku na rogu, ale on jakoś nigdy nie znalazł dojścia, pomimo swoich kontaktów. Musiał więc zadowolić się ustrojstwem własnej roboty: stalowa rurka, otwory wywiercone stołową wiertarką, sprężyny i podkładki. Tokarką do metalu obrobił gwintowaną końcówkę, żeby pasowała do siga, potem wszystkie części połączył twardym srebrnym lutem. Kiedyś obito mu się o uszy, że w Finlandii tłumiki są dostępne w wolnym obrocie, na legalu, będzie musiał się tam kiedyś wybrać.

Dziś wieczór jednak wziął siga tylko na wypadek, gdyby pojawiły się jeszcze jakieś niespodzianki.

Na tę myśl mięsień w szczęce znowu mu zadrgał. Gal-way. Amator. Najpierw nie chciał przyjąć do wiadomości, co trzeba zrobić, żeby uciszyć tego bachora, Billyego Palmera.

Anthony musiał prosić się i tłumaczyć jak jakiś początkujący cyngiel, a Galway i tak znalazł sposób, żeby to speprzyć, wysługując się gówniarzami z gangu. A dziś wieczorem, kiedy Jason Palmer podał się im sam jak na tacy, Galway dokonał rzeczy niewiarygodnej: pozwolił mu uciec.

No i teraz on, Anthony, o drugiej nad pierdolonym ranem, sterczy w tej pierdolonej dzielnicy bambusów, jakby, kurwa, nie miał nic lepszego do roboty. Sprzątając po kimś pierdolony syf jak jakiś pierdolony cieć.

We wstecznym lusterku mignęły światła samochodu. Najwyższy, kurwa, czas. Ześlizgnął się niżej, wziął siga, trzymając go tuż przy piersi, lufą do góry, ot na wszelki wypadek. Ale jaguar go minął, zatrzymał się przed garażem. Silnik pracował równo i cicho, kiedy brama się unosiła. We wnętrzu garażu panował zadziwiający porządek, podłoga była zamieciona, nawet narzędzia na tablicy wisiały równiutko. Gość prawdopodobnie nigdy jeszcze z nich nie korzystał, kupił je z katalogu, bo słyszał, że coś takiego trzeba mieć.

Anthony się uśmiechnął. Poczul to łaskotanie w pęcherzu sygnalizujące, że czas na zabawę.

Odliczył do stu, potem wysiadł z samochodu, ale zamiast siga wziął ze sobą smitha tej policjantki. Światła na ganku rozwalił zaraz, kiedy się tu zjawił: trzy strzały na dwie lampy, co go trochę wkurzyło, ale tłumik redukowało celność - więc teraz ruszył pewnym krokiem do frontowych drzwi. Zastanawiał się przelotnie, czy gość będzie dzisiaj miał towarzystwo. Galwayowi by się to nie spodobało. Cieniasowaty amator, zero chęci do prawdziwej roboty.

Dwa zamki, jeden klasowy schlage, który kosztował go dodatkowe dwadzieścia sekund i już był w środku, nasłuchując z otwartymi ustami. Myśliwy. Czekał, żeby umysł i oczy oswoiły się z ciemnością. Po chwili zobaczył zarys eleganckich mebli: sofę z czarnej skóry, niski szklany stolik, obraz, na którym Afrykanka walczyła z tygrysem, tyle że głowę miała od-

chyloną do tyłu, a cycki obnażone, tak jakby może wcale nie walczyli, jakby tygrys ją po prostu rznął. Scena była niejednoznaczna, otwarta na interpretacje. Nawet mu się podobała.

Podłogę pokrywała gruba biała wykładzina, więc szedł lekko, niemal bezgłośnie. Ostrożnie pokonał schody, kiedy na górze rozległa się muzyka, kawałek zdecydowanie łagodniejszy, niżby się spodziewał. Spokojny czarny rytm i zmysłowy głos Sade śpiewającej, że gdy go poznała, był uroczy, i zaraz potem Anthony otworzył kopniakiem drzwi, które poleciały w bok i uderzyły z trzaskiem o ścianę. Dion Wallace stał osłupiały na środku swojej sypialni, idealnie na widelcu, bez możliwości ukrycia się, bez broni, z kieliszkiem do koniaku w jednej ręce i butelką courvoisiera w drugiej, w jedwabnym szlafroku w tureckie wzory, niezawiazanym i z klejnotami na wierzchu.

- Heja, C-Note. Spytałbym, jak sprawy stoją, ale sam widzę. - Anthony uśmiechnął się, wszedł do środka. - Wiesz co, zawsze słyszałem, że wy, chłopaki, macie wypasione spręcicho. Chyba ci zimno, co?

Dion miał spanikowany wyraz twarzy zdybanego zwierzęcia, strzelał oczyma na boki, jakby chciał smyrgnąć do nory.

- Człowieku, o co ci biega?

- Pomyślałem, że wpadnę, zobaczę, jak leci. Wiesz, zacieszę rogala, odwałę gadkę szmatkę. Sprawdź, czy wykonałeś zadanie, które zleciłem twojej czarnej dupie.

Gangsta się wyprostował, zmrużył oczy. Napelnił kieliszek, opróżnił, napelnił znowu.

- Napijesz się koniaku?

- Jasne.

Odwrócił butelkę do góry dnem, patrząc jak brązowy płyn wylewa się zawiesistym strumieniem, gul, gul. Uśmiechnął się.

- Właśnie się skończył.

Anthony pokręcił głową.

- Widzisz, na tym właśnie polega wasz problem. Zgrywasz się na twarziela, ale tak naprawdę wylałeś tylko alko na swój ładny biały dywan.

- Wbijam w to. - C-Note odrzucił pustą butelkę. - Mam flotę, będę miał nowy, zanim jeszcze wrócę jutro na chatę.

- Tak, ale widzisz, to nic nie dało. Zniszczyłeś swój dywan zupełnie bez sensu. Gdybyś jeszcze chciał użyć tej butelki jako broni, tobym zrozumiał. Naturalnie - gestykulował lewą ręką, jak magik odwracający uwagę widowni, podczas gdy drugą wyciągnął smitha - mogłaby nie wystarczyć. Ale przynajmniej wykazałbyś się minimalną, jak to mówią, czujnością.

Dion popatrzył na pistolet, potem Anthonyemu w oczy.

- Czego chcesz?

- Żebyś zawiązał ten cholerny kaftan.

Dion zaczął powoli zbierać poły szlafroka, z wyzywającą miną i przymkniętymi powiekami, pokazując, że to drobnostka, nic, co mogłoby zepsuć mu krew. Anthony poczekał, aż zawiąże pasek, potem schował smitha do kabury i uśmiechnął się, jakby byli starymi kumplami.

- No, a teraz powiedz mi, co jest z Jasonem Palmerem?

- Obstawilem ludźmi wszystkie miejsca, jego hajzę, chatę jego brata, nawet ten pub, który spaliliście. Jeśli tylko gdzieś się pokaże, nadzieje się na twardego brata, który z miejsca załatwi sprawę. Chłopak jest trupem, tyle że jeszcze o tym nie wie.

- Naprawdę?

Dion skinął głową, upił łyk koniaku.

- W takim razie muszę spytać, jak to się stało, że zjawił się na dolnej Wacker i spieprzył mi całą transakcję?

Dion zakaszłał, szybko odsunął kieliszek od ust -Co?

- Wskoczył ni z tego, ni z owego, wolny jak dzika świnia. Nie przypominał człowieka, któremu depta po piętach setka wściekłych czarnuchów.

- Na dolnej Wacker? - Kieliszek wyslizgnął mu się z palców, kilka kropli się wylało, zanim go złapał. - Kitujesz.

Anthony zmrużył oczy. Nie takiej reakcji się spodziewał. Działo się tu coś, o czym nie wiedział.

- Coś ci się kojarzy?

- To skurwysyn. - Dion dopił resztkę koniaku. Potrząsnął głową. - Martinez.

- Martinez? - O co chodzi? DiRisio odtworzył w myślach przebieg rozmowy. Dolna Wacker. Bambus zareagował na adres. Tylko niby dlaczego?

Dotarło.

- Och, ty głupia małpo. Wszedłeś w układ.

- Do kurwy, nie - rzucone zbyt szybko.

- Tak, wszedłeś. - Zgraja ciotowatych amatorów. - Gadałeś z Palmerem, prawda? Zaproponował ci kasę?

- Nie, człowieku, na oczy go nie widziałem. - Niespokojnym wzrokiem filował w stronę nocnego stolika, w związku z czym Anthony już wiedział, gdzie trzyma broń.

- To kim jest ten Martinez?

- Gliniarz, biały kolo. Wdepł do mnie na chatę, zapodał bajerę. Powiedział, że to jak kowboje i Indiance.

Anthony patrzył na niego nieruchomo.

- Nie mówię ebonikiem.

- Ten Martinez powiedział, że w odwodzie czeka cała kawaleria, że nas wszystkich zwiną, jeśli czegoś mu nie dam. Nie miałem wyboru. Ale nie sypnąłem niczego, co mógłby wykorzystać, żadnych nazwisk ani w ogóle. Uznałem, że jesteś mężczyzną, który potrafi to załatwić. Obronić się, kumasz?

Kim jest ten Martinez? Niewykluczone, że przyjacielem tej policyjnej suki. Ale po co by sprowadzali tam Palmera? I dlaczego Galway nic o tym nie słyszał? Nie trzymało się to



kupy. Gdyby psy wiedziały o transakcji, nie wysłałyby samej Cruz z Palmerem. Odwaliby cały ten cyrk z użyciem czer-wono-niebieskich świateł. Ale jeśli Martinez im nie powiedział, skąd wzięły się tam Palmer? Chyba że...

- Powiedziałeś, że ten gliniarz był biały?

- Tak, miał tylko latynoskie nazwisko.

- A przypadkiem nie miał tak trochę ponad metr osiemdziesiąt?

Dobrze zbudowany, fryzura na surfera, jeździ cadillakiem?

Dion otworzył szeroko oczy.

- Skąd wiesz?

O, pies by to jebał. Anthony się roześmiał. Jason Palmer ma jaja, bez dwóch zdań. Ma kawał prawdziwych jaj. I dobrze. Nawet lepiej. Będzie większy ubaw.

- Co takiego zrobił ten Martinez, żeby rozwiązać ci język? - Delektował się tym słodkim dreszczem. Mówił wolno, z pogardą w głosie. - Stanął za blisko? Pojechał ci po rajtach, obraził twoją gablotę?

- Człowieku, o czym ty gadasz?

- O niczym, Dion. Nie gadam o niczym zupełnie. - Jeszcze raz zrobił swoją magiczną sztuczkę z pistoletem tej suki.

Pierwsza kula dosięgła Diona tuż nad policzkiem, rozrywając skórę i przez ułamek sekundy, zanim oderwała spory kawałek jego głowy z prawej strony, Dion Wallace wyglądał, jakby naprawdę złapał dowcip.

## Zwykli ludzie

Jason nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest głodny, dopóki nie weszli do taniej garkuchni i nie poczuł zapachu bekonu, kawy i tłuszczu.

- Czynniki X - powiedziała Cruz.

- Tak - rzucił z ustami pełnymi tuńczyka zapiekanego z serem.

- Wprowadzałam dużo danych. Naprawdę mnóstwo, nie uwierzyłbyś ile. I co jakiś czas wydawało mi się, że wszystko układa się w całość, że widać w nich jakąś wyraźną prawidłowość. No wiesz, zakulisowy układ. Tylko nie potrafiłam tego wyjaśnić.

- Mhm. - Wskazał na jej nietknięte frytki. - Nie jesz? Przesunęła talerz po blacie z laminatu.

- Ale wczoraj powiedziałeś coś, co sprawiło, że spojrzałam na wszystko inaczej.

- Coś, co ja powiedziałem?

- Tak. Opowiadałeś, że w Iraku ludzie po prostu przyzwyczajali się do życia w świecie, gdzie wszystko się pali. Pomyślałam sobie, cholera, to zupełnie jak w Crenwood. Ma bardzo wysoki wskaźnik podpaleń, zdecydowanie przekraczający normę. Zauważyłam to już wcześniej w trakcie prowadzenia tej bazy danych. Ale nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza, bo nie natknęłam się na swój czynnik X.

- Galway i DiRisio.

- Właśnie. - Ujęła widelec w dłonie, obróciła go, zapatrzyła się w ząbki. - To dziwne.

-Co?

- Nie cierpiałam tej roboty. Tej bazy danych. Wiesz, myślałam, że to nie jest praca dla gliniarza. Oddelegowali mnie do niej, żeby trzymać mnie z dala od miasta. Tyle że teraz okazuje się, że gliniarze pracujący na ulicach są umoczeni, a baza to broń, której potrzebujemy, żeby ich pokonać.

Skinał głową.

- To się chyba nazywa ironia losu.

- Tak - powiedziała i zeszywniała.

Poszedł za jej spojrzeniem, zobaczył radiowóz za oknem. Dwóch mężczyzn w środku. Odwróciła się twarzą do Jasona, uniosła rękę, bawiąc się włosami i zasłaniając profil. Strzelała oczyma na boki.

- Patrz?

Jason wsadził frytkę do ust i wyjrzał przez okno jak gdyby nigdy nic, ot normalny gość w trakcie śniadania. Ale gotów był w każdej chwili strzelić w długą, gdyby musiał, najlepiej, uznał, przez kuchnię do tylnego wyjścia.

Światło się zmieniło, radiowóz odjechał.

- Pojechali - sięgnął po tabasco i potrząsał butelką tak długo, aż frytki zrobiły się szkarłatne.

Wyjrzała przez okno, przeniosła wzrok na stolik. Pokręciła głową.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Znam to uczucie - powiedział, myśląc o swoim bracie i o Billym. Ten brudny układzik kosztował życie Michaela, a jego obarczył odpowiedzialnością, na którą nie jest przygotowany. Nad którą nawet nie zdążył jeszcze się zastanowić. I nadal na to nie pora. Najpierw musi się upewnić, że jego bratanek jest bezpieczny. Dopiero wtedy będzie mógł pomyśleć, co dalej. - Jesteś pewna, że będzie tam to, czego nam trzeba?

Skinęła głową.

- Mój służbowy komputer niewiele się różni od liczydła. Nie uwierzyłbyś, na jakim sprzęcie musimy pracować. Więc ja zawsze robię na swoim osobistym laptopie, potem po prostu codziennie przesyłam bazę do policyjnej sieci. Mam dane dotyczące każdej interwencji, każdego zdarzenia z udziałem gangów, od graffiti przez zabójstwa na podpaleniach skończywszy. Gdzieś tam znajdziemy to, czego szukamy. Wtedy zgłosimy się do BSW z czymś więcej niż tylko gołosłownymi oskarżeniami. Będziemy mieć fakty i statystyki na ich poparcie. Może to nie całkiem dowód, ale dość, by zwrócić uwagę dobrego gliny.

- Raczej czarno to widzę.

- Lepszego materiału nie mamy. - Jason zaczął protestować, ale go uciszyła. - Posłuchaj, pamiętasz, jak mówiłeś o zaufaniu? Obowiązuje obie strony.

Westchnął. - Tak.

Pojawiła się kelnerka z rachunkiem, mówiąc, że mogą zostać, jak długo chcą, nie ma pośpiechu. Jason skinął głową, łyknął kawy, teraz już chłodnawej, nabił na widelec rozmięktłą od tabasco frytkę. Żuł wolno, starając się uspokoić rozdygotane nerwy. Przez chwilę było dobrze, ale wiedział, że to tylko krótka chwila wytchnienia, jak schowanie się w czasie burzy pod daszek, który wszak nie powstrzymuje deszczu.

Cruz sięgnęła po herbatę, upiła łyk, odstawiła filiżankę, wydymając usta.

- Nie wiem, jak możesz to robić - powiedziała. - Co?

- Jeść. Mój żołądek wziął sobie wolne.

- Pierwsza zasada w kamaszach. Kiedy jest jedzenie, szamaj. Nigdy nie wiadomo, ile kilometrów będziesz musiał przebiec, zanim znowu wrzucisz coś na ząb.

- Ja bym nie dała rady. Muszę coś przegryźć co dwie godziny albo organizm odmawia mi posłuszeństwa. - Urwała. - Lubieś to?

- Kamasze? - Pomyślał o dumie, jaka go rozpieła, kiedy dostał awans na sierżanta, o przyjemności chodzenia ze swoim oddziałem, ducha koleżeństwa i zaufaniu. - Tak. Bardzo to lubiłem.

- To dlaczego zrezygnowałeś? Wytarł usta serwetką.

- A ty, lubisz być gliną?

Widział, że zauważyła unik, ale nic nie powiedziała.

- Tak, lubię.

- Jesteś w tym dobra?

Cruz otworzyła usta i zaraz zamknęła. Skroplona para ze szklanki z wodą utworzyła małe okręgi na stole. Włożyła palec w jeden, przebiegając po mokrych konturach.

- Kiedyś tak mi się wydawało.

- Ej. - Złożył serwetkę i położył ją na resztkach posiłku. - Nie obwiniaj się za tę sytuację. Nijak nie mogłaś się domyślić, co się dzieje.

- Nie o to chodzi.

- A o co? Milczała.

- Nikt mi nie ufa - rzuciła wreszcie.

- Dlaczego?

- Uważają, że trafiłam do biura z uwagi na PR. - Mówiła powoli, uważnie dobierając słowa. - Albo że jestem faworyzowana. I że nie ma tam dla mnie miejsca. Jak mogę być dobrym gliną, jeśli nikt mi nie ufa?

- Pokaż im, że się mylą.

- To nie takie proste. Jest cała masa... zaszłości. - Westchnęła, potrząsnęła głową. - Możemy zmienić temat?

- Jasne. - Odczekał chwilę. - Za kim jesteś: Cubs czy Sox\*?

\* Nazwa chicagowskich drużyn bejsbolowych, między kibicami których trwa wieloletnia rywalizacja.

Cruz oniemiała na chwilę, potem parsknęła śmiechem, naturalnym i donośnym, jednym z tych szczerych, prosto z serca płynących rechotów, i on sam się wyszczerzył w odpowiedzi. Uświadomił sobie, że nie słyszał jeszcze, jak ona się śmieje, i cieszył się, że udało mu się to zmienić. To było takie normalne: mężczyzna i kobieta siedzą w restauracyjnym boksie, rozmawiają, żartują. Żadnej broni, zero bandytów.

- Nie odszedłem z wojska - wymknęło mu się ni stąd, ni zowąd, mimowolnie. - Zostałem zwolniony.

Przechyliła głowę, ale nic nie powiedziała.

- Nazywają to zwolnieniem z powodu nieprzydatności. Robią tak, gdy nie kwalifikujesz się pod oficjalny sąd wojskowy.

- Co się stało?

Wyjrzał przez okno. Zwykli ludzie spieszący do swoich spraw. Słońce podrygujące na betonie. Dziewczyny rozwalone na kocach w parku. Ot, zupełnie zwyczajny ranek w Chicago. Jeszcze teraz, po tylu miesiącach, zdarzały się chwile, kiedy nie wierzył, że coś takiego dalej istnieje. Bikini i billboardy, neony i zielona trawa.

- Byliśmy na akcji, strześliśmy pewnego domu. Szwagra czyjegoś bratanka, jakoś tak. Mnóstwo tam było takiej roboty. Nadal jest. Tak czy siak, po prostu, kolejne zadanie, nic specjalnego.

Wszyscy w drużynie w kamizelkach kuloodpornych pod pustynnym umundurowaniem, nieporęczni i zwaliści. Wokół ostry zapach potu, drapiący, oblepiający wszystko pył. Jason odwała bezgłośnie odliczanie obecnych, już po raz setny tego dnia, jak zawsze boi się śmiertelnie, że mógłby kogoś zgubić: Jones, Campbell, Kaye, Friedel, Crist, Flumingan, Borcherts, Paoletti, Rosemoor i Martinez, cała dziesiątka. Jego dziesiątka. Martinez błaznuje, mówi, że aby naprawdę pilnować domu, powinni siedzieć w środku, gdzie właściciel ogląda sobie Red Wingsów na satelicie. Jason dołącza się do

śmiechu, rozluźniony, powietrze jest łagodne, zachód słońca blisko, czuje już w ustach smak lodowato zimnej gatorade, która będzie czekała w kantine.

I nagle rozlega się dźwięk silnika. Żarty z miejsca cichną, pojawia się bojowa paranoja. Formują szyk zespołowo, przygotowują broń, zajmują pozycje, osłaniając wejście na podwórze. Prowadził od frontu, jako pierwszy wszedł na uliczkę wijącą się przed domem.

- To był ambulans, stary diesel, dymiący z tyłu - powiedział. - Usłyszałem głośny trzask, jakby pękła opona.

Ma wrażenie, że wspomnienie tamtej chwili jest bardziej rzeczywiste niż ulica przed garkuchnią. Znowu czuje uspokajający ciężar broni w dłoniach. Napięty pasek hełmu pod brodą. Woń przygotowywanego posiłku, zapach kminku, pieprzu i dymu.

Ambulans zatrzymał się niecałe sto metrów na północ, pośrodku zaułka. Jason zobaczył, jak otwierają się drzwi. Dwóch mężczyzn o śniadych twarzach rozejrzało się dokoła nerwowo. Jeden zniknął z tyłu samochodu, po chwili wrócił z łyżką do opon, przykucnął przy przednim prawym kole furgonetki, podczas gdy drugi trzymał w napięciu straż. Świadom, podobnie jak Jason, że na środku uliczki na terenie ogarniętym rebelią, bez żadnej ochrony, za to ze sprzętem medycznym i przypuszczalnie lekami w środku, stanowią tylko jedno.

Cel.

Jason otrzymał jasny rozkaz: chronić dom. Stać kamieniem na miejscu, dopóki ich nie zluzują. Ale w karetce mogli być ranni. Być może kobiety lub dzieci.

- Rzecz w tym, że tam nigdy nic nie wiadomo. W jednej chwili ktoś się uśmiecha i przyjaźnie macha, w następnej mierzy do ciebie z AK-74. - Wzruszył ramionami. - Ale to był ambulans.

Rozkazał reszcie drużyny zostać na miejscu, wziął ze sobą Paoletiego i Martineza. Ruszyli ostrożnie, trzymając się

z daleka od murów. Przy wymianie ognia pociski je przebijały. Ciemne oczy patrzące z okien natychmiast zniknęły, gdy tylko odwracał głowę w ich stronę. Krok po kroku zbliżali się do karetki. To było długie sto metrów. Obserwował mężczyzn trujących się przy kole, zobaczył, że jeden przestał, osłonił oczy dłońmi, pomachał w ich kierunku przyzywająco. Krzyczał coś po arabsku, szybko i gardłowo. Jason go zignorował. Tydzień wcześniej furgonetka udająca ambulans, załadowana zrobionym w wannie dynamitem, została zdetonowana pośród tłumu mężczyzn ubiegających się o stanowiska w Irackiej Gwardii Narodowej.

- Dziwne, ale człowiekowi zostają w głowie najdrobniejsze szczegóły. Słońce zachodziło i pamiętam, myślałem

o tym, że któregoś dnia jeszcze kiedyś zatęsknię za tymi zachodami. To przez ten pył. Przez niego niebo wygląda, jakby się paliło.

Mężczyzna kucający przy kole miał cienkie czarne wąsy. Kropelka potu wisiała u ich jednego końca. Podniósł głowę

i się uśmiechnął, pokazał na leżący obok zapas, powiedział coś niezrozumiałego.

Jason dał znak Paolettiemu, by pilnował, podczas gdy sam z Martinezem ruszył na tył samochodu. Z walącym sercem. To nie jest coś, z czym człowiek się oswaja, świadomość, że jeśli coś pójdzie nie tak, nagle może go już tu nie być. Nie być, i tyle.

Gdy znaleźli się obok pojazdu, Martinez położył jedną dłoń na klamce drzwi, a Jason uniósł broń. Skinął głową, gotów do strzału, powtarzając sobie w myślach „krótkie, spokojne serie”, powtarzając sobie w myślach „nie pozwól, by to był ten moment”, i Martinez otworzył gwałtownie tylne drzwi i uniósł własną broń, obaj zaczęli wrzeszczeć tych kilka arabskich zwrotów, których nauczyli się ze słuchu.

Z podłogi samochodu gapił się na nich okrągłymi z przerażenia oczyma mniej więcej pięcioletni chłopiec. Klęczał nad nim



mężczyzna, przebijając szkarłatnymi palcami w klatce piersiowej dziecka. Zerknął na nich i zaraz bez słowa się odwrócił. Nie spytał, czego chcą, kim są, po prostu dalej ratował życie.

- To był pocisk z moździerza. Rebelianci non stop z nich strzelają, ale mają fatalnego celnika. Zero przeszkolenia i stara radziecka broń szmuglowana z Afganistanu. Ten dzieciak bawił się ze swoim bratem półtora kilometra od naszej bazy. Szrapnel rozerwał go na strzępy.

- Chryste - powiedziała Cruz cicho. - I co zrobiliście?

- Odłożyliśmy broń i podnieśliśmy samochód tak szybko, jakbyśmy zmieniali koło w indianapolis 500.

Kiedy skończyli, niewysoki mężczyzna z kierowcą uściśnął Jasonowi dłoń, potem położył swoją prawą rękę do serca. Jason powtórzył gest, czuł się dobrze. Patrzył, jak z rury wydechowej buchnął czarny dym, kiedy odpalili silnik i odszedł na bok, by mogli odjechać. Razem z Paolettim i Martinezem uśmiechnęli się do siebie i ruszyli powoli z powrotem, czując się dobrze pod płonącym niebem. Pamiętał wrażenie ciepła w piersi, nagłą świadomość, że kocha tych ludzi i zrobiłby dla nich wszystko.

I kiedy przeszli niecałe dziesięć metrów, Jason usłyszał odległy trzask. Jego mózg natychmiast go sklasyfikował: ogień ze strzelby średniego kalibru, pojedynczy strzał, a Martinez powiedział: „O”.

Tylko tyle, „O”. Żadnego krzyku, płaczu czy przekleństwa i zaraz potem z szyi zaczęła wylewać mu się krew gęstym zawiesistym strumieniem, nie strzykać jak w przypadku trafienia w tętnicę, ale wylewać się szybko, góra jego pustynnej panterki nagle cała w ciemnych plamach, nie, nie, Martinez, najmilszy facet na świecie, krew wszędzie, Martinez z rękoma przy szyi, jakby starał się to zatamować, powstrzymać życie uchodzące z niego przez zaciśnięte palce.

Niech mu Bóg wybaczy, pierwszą myślą Jasona była ulga, że to nie on. I wtedy w piersi narodziła się Przywra, wstrętny

obrzydliwy, godny pogardy, tchórzliwy, mięczakowaty, beznadziejny śmieć, taki jak on sam.

- Snajper zastrzelił jednego z moich ludzi - powiedział i wbił wzrok w nakrapiany wzór laminatu. Przeciągnął palcem po kropkach. - Odkąd wróciłem, nie rozmawiałem o tym z nikim, nawet z Michaelem. - Podrapał się po czole, zamknął oczy i zobaczył Martineza, który puszczał w obieg zdjęcia Scarlett Johansson i twierdził, że to jego narzeczona. Który śmiał się do łez, gdy nawalał Jasona krzesłem, gdy grali w zapasy na konsoli, Martineza, który umarł, zanim zdążyli go zanieść do humvee, który charczał i trzymał się kurczowo ramienia Jasona, zostawiając ślady palców, czarne i nierówne. Chłopiec zaledwie. - Nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam.

Cruz sięgnęła przez stół i ujęła jego dłoń. Ten gest go zaskoczył, przywołał do terażniejszości, prostej przyjemności bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem, dotyku żywej kobiety. Podniósł głowę, spojrzał jej w oczy, zobaczył, jak zagryza wargę, jakby starała się dobrać właściwe słowa.

- Spałam z innym gliniarzem - powiedziała. - Żonatym.

- Że co? - rzucił zdezorientowany.

- To dlatego nikt mi nie ufa. Był przełożonym, przyjacielem i kiedyś sprawy wymknęły się spod kontroli. Tylko ten jeden głupi raz. Ale kiedy się rozniosło, wszyscy uznali, że to tak dostałam się do biura. - Ogień w oczach, pełne gniewu ściśnięcie dłoni. - Więc teraz nikt mi nie ufa, nikt nie wierzy, że się nadaję. Żeby nie wiem jak ciężko pracowała czy nie wiem ile spraw rozwiązała, nie mogę cofnąć tego, co się stało.

Nie wiedział, co powiedzieć, po prostu na nią patrzył, czuł ciepły i miękki dotyk jej palców w swoich.

- Wiem, że to nic w porównaniu z tym, co przydarzyło się tobie - powiedziała. - Nie porównuję moich problemów w pracy do twojej wojny. Ja tylko... sama nie wiem, chcia-

łam ci coś opowiedzieć. Coś, o czym nie mówiłam nikomu innemu, tak jak ty nie rozmawiałeś z nikim o tym, co się stało w Iraku. - Urwała, otworzyła usta, zamknęła. Popatrzyła na niego. - Rozumiesz?

- Tak. - Przez chwilę po prostu patrzył jej w oczy, pozwalając sobie wierzyć przez ten moment, że są dwójką normalnych ludzi dzielących się sekretami pośród brzęku sztućców i woni palonej kawy, jakby to był ranek po randce, w którym wszystko mogło się zdarzyć. Potem westchnął i zabrał dłoń.

- Już czas.

Ulica była szeroka i wysadzana drzewami obsypanymi letnim kwieciem. Lekki wietrzyk poruszał gałęziami, których cienie płynnie się kołysały. Po obu stronach drogi stały zaparkowane samochody, dobrze ubrane kobiety z fryzurami prosto od nietaniego fryzjera przechadzały się między małymi sklepami. Z piekarni dochodził zapach świeżego chleba.

- Wygląda na to, że droga wolna - powiedziała Cruz. Skinął głową.

- Szybko.

Ruszyli energicznie w górę chodnika, krokiem na tyle szybkim, by jednocześnie nie ściągnąć na siebie uwagi. Zza rogu od strony Lincoln wyjechał jakiś samochód i Jason zeszywniał.

- Szkoda, że nie mamy broni.

Cruz nie odpowiedziała. Jej wieżowiec, prosty blokowy budynek z lat siedemdziesiątych, miał szerokie okna, w których odbijało się słońce. Sędziwy portier uśmiechnął się do niej z holu, wcisnął przycisk na biurku i wejście otworzyło się z brzęczeniem.

- Witam, panie Thomas - powiedziała Cruz. - Jak się pan miewa?

- Wszystko dobrze, pani Cruz. - Skinął głową, kiedy go mijali. - Życzę miłego dnia.

Z holu korytarz prowadził do aneksu z czterema windami o lśniących drzwiach. Cruz wcisnęła guzik, podczas gdy on kołysał się na piętach. Bark go swędział, szyja bolała od wczorajszej szarży na Bliznowatego. Z tyłu dobiegł go znowu brzęczyk wejściowych drzwi, ale z tego miejsca nie widział holu.

Cichy dzwoneczek oznajmił przybycie windy, otworzyły się drzwi. Weszli do środka, Cruz wcisnęła przycisk czternastego piętra. Podłoga była wyłożona czerwoną wykładziną, wzdłuż tylnej ściany biegła wypolerowana mosiężna poręcz. Wnętrze może nie luksusowe, ale zdecydowanie ładne.

- Nie tak wyobrażałem sobie miejsce, w którym mieszkasz - powiedział, żeby wypełnić ciszę.

- Za bardzo trąci dzielnicą dla białych?

- Nie, raczej właścicielami pudli. Cruz się roześmiała.

- Kłóci się też z wyobrażeniami mojej matki. - Drzwi otworzyły się na pieczołowicie urządzonym kąciku do czekania ze stoliczkiem ze sztucznymi kwiatami i lustrem, jakby ludzie mieli zwyczaj wysiadywać przy windach zamiast w swoich mieszkaniach. - Policjanci też muszą gdzieś mieszkać. Dzielnice takie jak Beverly i Garfield Ridge często w żartach nazywa się „Niebieskim rajem” z uwagi na liczbę mieszkających tam gliniarzy. Całkiem ładne, ale jakoś nigdy mi nie leżały.

- A dlaczego to miejsce ci leży? Wzruszyła ramionami.

- Może dlatego, że kłóci się z wyobrażeniami mojej matki.

Dotarli do drzwi na końcu korytarza, przy klatce schodowej. Szukała kluczy w kieszeni. Z tyłu dobiegi brzęczyk, kolejna winda przyjechała na piętro. Cruz wsunęła klucz do górnego zamka mieszkania.

- Nie to, żeby mama nie była mi bliska. Po prostu lepiej, gdy jest daleko.

Jason już miał coś odpowiedzieć, kiedy do niego dotarło. Kolejna winda.

Odwrócił się, spojrzał w głąb korytarza. Przestrzeń była wąska i ograniczona, długi rząd usytuowanych naprzemiennie drzwi z zatoczką z windami w połowie korytarza, za rogiem. Nie mieli gdzie się schować.

Potem dobiegł ich dochodzący z oddali stłumiony męski głos.

- Które to jej mieszkanie?

- Zaraz tutaj.

Cruz zamarła z kluczem w zamku i szeroko otwartymi oczyma, w których odbijało się jego przerażenie.

Sprawdził drzwi naprzeciwko jej mieszkania. Zamknięte. Powiódł spojrzeniem dookoła.

Klatka schodowa.

Pociągnął ją za sobą, wrywając klucz z zamka. Uchylił drzwi prowadzące na schody, przeszedł szybko i natychmiast się odwrócił. Kiedy Cruz znalazła się po drugiej stronie, chwycił klamkę i delikatnie je zamknął, tak by nie trzasnęły.

Jaskrawe szpitalne światło, niedopałki papierosowi plamy po gumie do żucia. W drzwiach było małe okienko i Jason przylgnął do ściany, Cruz rozplaszczyła się tuż obok, wystarczająco blisko, by czuć zapach jej perfum. Może się myli. To może być jakiś sąsiad. Jasna cholera, może nawet dostawca pizzy.

- ...we łbie mi się to całe gówno nie mieści. - Zabrzmiał bliżej szorstki głos.

- Wcale się nie dziwię. Masz klucz od portiera?

- Trzymaj. - Rozległ się odgłos tarcia metalu o metal, a potem wyraźny szczełk zwalnianego zamka. - Gotów?

- Wchodzimy.

Jason zeszywniał, potem usłyszał, jak drzwi otwierają się z trzaskiem, te do mieszkania Cruz. Mężczyźni wpadli do środka, krzycząc „Stać!” głosami coraz bardziej stłu-

mionymi przez ściany mieszkania. Tylko policja mogła tak wrzeszczeć.

Wskazał na schody. Cruz skinęła głową, ruszyła na palcach, sprężyście, krok za krokiem, ale szybko, jakby ćwiczyła układ gimnastyczny. Szedł za nią, tłumiąc chęć obejrzenia się na drzwi, świadom, że gdyby napastnicy weszli na korytarz, ten gest mógłby ich zdradzić.

Kolejni skorumpowani gliniarze. Zimne palce zacisnęły mu się na sercu.

Przesuwał dłoń po wyszczerbionej metalowej poręczy. Pokonywał trzy stopnie naraz, bardziej skacząc niż biegnąc. Odgłos ich kroków niósł się echem po klatce. Jason patrzył na zmniejszające się numery na drzwiach pożarowych: jedenaście, dziesięć, dziewięć. Oddychał coraz ciężiej, nie z wysiłku, tylko na skutek raptownej zmiany sytuacji, od zupełnego bezruchu przeszli nagle do szaleńczego pośpiechu. Sześć, pięć, cztery. Cruz zakręciła na podeście i skupił się na niej, patrzył, jak się porusza, obserwował rytm jej ruchów, prostych i oszczędnych. Na trzecim piętrze przystanął, zawołał ją po imieniu.

- Zwolnij teraz. Nie możemy wparować do holu zdyszani.

Skinęła głową, znowu ruszyła. Jedno piętro, podest, kolejny ciąg schodów i już widzieli wyjście. Zapragnął nagle zadzwonić do Billy'ego, obiecał sobie, że to zrobi, jeśli tylko wyjdą z tego cało.

- Gotów? - spytała.

Skinął głową. Weszła do wyłożonego wykładziną korytarza. Pewna siebie, atrakcyjna kobieta, swobodna na swoich śmieciach. Ruszył za nią, starając się uspokoić puls. Wystarczy, że pokonają niecałe dziesięć metrów korytarza, przemkną przez hol i będą na zewnątrz. Zamiast myśleć, koncentrował się na szczegółach, śledził wzory na dywanie, liczył kinkiety na korytarzu. Kiedy mijali mosiężne drzwi windy, mignęło

mu własne zdeformowane odbicie. Już prawie byli na miejscu. Widział słońce wpadające przez okna holu.

- Piździelcu jeden, wyglądam, jakbym się wygłupiał? - Głos dochodzący z holu brzmiał znajomo i podszyty był groźbą. Jason chwycił Cruz za ramię, zatrzymał ją w ostatniej chwili, zanim weszła do holu. Pokręcił głową, słuchał.

- Widzisz to? - z recepcji doleciał jęk. - Właśnie. Słusznie strach cię obleciał, staruszk. Gadaj, gdzie mieszka ta suka Cruz, bo inaczej będę musiał tym cię przekonać.

Zmrużyła oczy.

- Kto? - spytała szeptem.

- Playboy. Ten, który próbował mnie porwać - zginał palce, starając się zwalczyć chęć ucieczki. - Szlag by to, szkoda, że nie mamy broni.

Skrzywiła się.

- Tylne wyjście.

Skinał głową, ruszył za nią z powrotem, patrząc na te same kinkiety i wzory na dywanie. Skręcili, przeszli kawałek korytarza.

- Tędy wyjdziemy na LaSalle. - Pchnęła drzwi i znaleźli się w dusznym doku załadunkowym. Wysoki sufit, twarda, wyłożona gumą podłoga, woń śmieci. Na jednej ze ścian brama segmentowa. Sześć metrów dalej wyjście. Dostrzegł je i zaraz się otworzyło w nagiej eksplozji światła: promienie białego słońca przeszyły półmrok i zobaczył wchodzącą postać, mężczyznę z wydatnym torsem w granatowym mundurze przepasanym ciężkim pasem. Cholera, jeszcze jeden gliniarz. Mężczyzna uniósł ręce do oczu, odwrócił się do kogoś i powiedział: - Człowieku, ależ tu ciemno po tym słońcu - i wtedy Cruz wciągnęła Jasona z doku z powrotem do korytarza.

Popatrzyli na siebie. Znaleźli się w potrzasku. Z jednej strony bandyci, z drugiej policja, żadnych innych dróg wyjścia czy miejsc, gdzie mogliby się schować. Schody i winda były ryzykowne - stetryczały portier nie zdoła powstrzy-

mać Playboya zbyt długo. Ale jeśli pozostaną tutaj, wpadną w ręce policji.

Jason zacisnął zęby i rozejrzał się desperacko dokoła. Spróbował otworzyć drzwi, najpewniej do pomieszczenia gospodarczego, ale były zamknięte. Popatrzył na niewielki ozdobny kosz na śmieci, zastanawiał się, czy mógłby go użyć. Śmietniczka przeciwko pistoletowi maszynowemu. Pokręcił głową. Drzwi do rampy znajdowały się na środku ściany, obok było wystarczająco dużo miejsca, by się tam schować w nadziei, że napastnik nie zauważy go od razu. A potem się na niego rzucić. Choć niespecjalnie palił się do bitki z gliniarzem, zwłaszcza że z naprzeciwnika zbliżali się bandyci.

Zza drzwi doku rozległ się odgłos kroków. Mieli sekundy.

Popatrzył na Cruz, zobaczył, że analizuje sytuację na trzeźwo, bez paniki i to, dziwna rzecz, dodało mu otuchy. Zaraz potem go olśniło. Pociągnął ją do kącika przy drzwiach, przycisnął plecami do ściany i stanął tuż naprzeciwko, jak najszerzej rozstawiając ramiona. Powiedział: - Zaufaj mi -i ją pocałował.

Na początku jej usta były sztywne, odporne. Ale już za moment się otworzyły, język zatrzepotał lekko o jego język, kiedy dotarło do niej, o co mu chodzi, jak dobrze to powinno wyglądać, jak namiętnie. I może to kwestia chwili, ale kiedy drzwi się otworzyły i Jason usłyszał ciężkie kroki gliniarza za plecami, skonstatował ze zdziwieniem, że wcale nie musi udawać, że naprawdę jej pragnie, że chce smakować ledwo wyczuwalny smak herbaty na jej ustach, czuć pierwotny zapach potu na jej szyi, siłę wczepionych w niego palców. Przyłgnęła do niego mocniej, zadrżał i wszystkie nerwy mu się napięły.

Ledwo zdawał sobie sprawę z obecności gliniarza, który przystanął z tyłu, czuł mrowienie na karku. Potem przegnał wszystkie myśli i dał się porwać pocałunkowi.

Znowu rozległ się odgłos kroków, cichszy na wyłożonym wykładziną korytarzu, ostry głos rzucił:



- Cholera by to, pamiętasz jeszcze, jak całowałeś tak kobietę?

Po sekundzie drugi gliniarz odparował ze śmiertelną powagą.

- Jasne. Twoją żonę w sobotę wieczorem. - I obaj wybuchli śmiechem, którego odgłos zamarł powoli, kiedy skręcili za rogiem.

Jason nie był pewien, ale miał wrażenie, że podobnie jak on, Cruz przeciągnęła pocałunek o dodatkowe, niepotrzebne pół sekundy.

Obejrzał się na korytarz, upewniając się, że nikogo nie ma, i zrobił krok do tyłu, czując się nagle obnażony bez dotyku jej ciepłego ciała.

- Chodźmy - powiedział.

Weszli do parnego gorąca i wilgotnego smrodu rampy. Uchylił drzwi na zewnątrz na szerokość palca, wyjrzał. Radiowóz stał pusty. Otworzył drzwi i oto już szli La Salle, autobus linii 22 przetoczył się z łoskotem, poczuli woń spalin i szczypiące Izy od nagłej jasności.

- Mało brakowało - wydusił wreszcie.

- Tak - powiedziała i roześmiała się, nie tym wcześniejszym dobrym śmiechem, ale udawanym, jakby głuchym. - Znam jednego z tych gliniarzy. Poznałam go po głosie.

- To ma sens. Galway pewnie werbował ludzi z twojego zespołu.

Pokręciła głową.

- Nie jest z mojego zespołu. Nawet nie z mojego rejonu - mówiła z rozgorączkowanym przejęciem. - Miasto jest podzielone na pięć odrębnych rejonów i on pracuje w innym.

- Ale... to by znaczyło - urwał. - Więc inni gliniarze też nas szukają?

- Tak - stwierdziła, a potem, jakby czytając w jego myślach, dodała pytanie, nad którym sam się głowił. - Jak daleko to sięga?

## Skóra

Jason myślał o tym, jak wygląda krew wsiąkająca w piasek.

Siedzieli z powrotem w samochodzie, jadąc na wschód, było ledwo po dwunastej, ale promienie słońca już ukośnie padały na obrzeża miasta. Chicago leżało dość daleko na północ i miało się wrażenie, że słońce tak naprawdę nigdy tu nie góruje, jakby po prostu ślizgało się po krawędzi nieba, nawet latem. Co jednak wcale nie zmniejszało upału. Rozedrgane skwarem powietrze, które uniosło się z maski cadilla-ca, spowijało mgłą parną ulicę: sprzedawcę churros apatycznie wymachującego dzwonkiem, białe światło odbijające się od szklanych wystaw, głośniki sklepu z odzieżą kowbojską, z których sączyło się *tejano*.

Tam, na pustyni, wszystko tonęło w pyle. Pyl na ulicach, pył w powietrzu. Oblepiał buty, strzelał do góry w miejscu, gdzie czterdziestotrzykilowy pocisk wybuchał hen na horyzoncie. Kiedy nad Bagdad nadciągała *ajaja*\*, całe niebo robiło się żółte. Mieli piasek w dupie, piasek w kącikach oczu.

Ta spękana ulica, na której zginął Martinez, tonęła w ochrowym pyle.

- Donlan - powiedziała Cruz.

\* Burza piaskowa

- Szef pionu śledczego?

- Tak - rzuciła bezbarwnym głosem, ze wzrokiem wbitym w okno pasażera. - Nie chce mi się wierzyć, żeby był w to zamieszany, ale jeśli jest, to wyjaśniałoby udział tych innych policjantów. Nawet nie z mojego rejonu.

- Chcesz powiedzieć, że ma skorumpowanych gliniarzy na zawołanie w całym mieście?

- Niekoniecznie. Ale dużo może, liczą się z nim. Gdyby wydał rozkaz, Bogu ducha winni funkcjonariusze też staraliby się go wykonać.

Jason skinął głową. Odchrząknął, w ustach zaschło mu od wspomnienia pustyni.

- Lepiej założyć, że jest umoczony.

Zdawało się, że się skrzywiła, ale nic nie powiedziała.

- Chyba powinniśmy gdzieś się przyczaić - rzekł. - Masz jakiś pomysł?

- To tylko ja mam mieć pomysły?

Zerknął na nią, odwrócił wzrok. Jakiś mężczyzna polewał szlauchem chodnik, kropelki wody iskrzyły się w spływającym z nieba żarze. Światło się zmieniło i skreślił na północ na chybił trafił.

Co dalej? Jakiś lokal? Kolejny motel?

Nic nie wydawało się dobrym rozwiązaniem. Poza tym za każdym razem, gdy starali się z tego wykaraskać, tylko głębiej się zakopywali. W dniu śmierci Michaela Jason był przytłoczony perspektywą zmierzenia się z gangami. Teraz wydawała się błahostką, tylu przybyło im wrogów. Po pierwsze, skorumpowani wpływowi gliniarze. I wszyscy uczciwi na dokładkę. Gal-way i ten najemnik z blizną na twarzy. I najgorszy ze wszystkich, mężczyzna z żelaznymi muskularni i zimnymi oczyma. Anthony DiRisio. Wcielenie zła w tandetnym garniturze.

Anthony DiRisio, który zamordował mu brata.

Zaciśnięte na kierownicy palce pobieleły. Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, że niemal nie miał cza-

su pomyśleć o Michaelu. Opłakać go należycie. Życie weszło mu cholernie skutecznie w paradę. Powinien mieć całe dnie, żeby myśleć, pić, płakać i wybijać pięścią dziury w ścianie. Pocieszać Billy'ego.

Usłyszał w głowie głos Michaela: „To ostatnie spartaczyłeś na medal, bracie. Dzięki wielkie za opiekę nad moim synem”.

Jason zerknął w tylne lustro, zobaczył, że nikt za nimi nie jedzie i zawrócił.

- Gdzie jedziesz? - spytała Cruz. Mówiąc „jedziesz”, nie „jedziemy”.

- Muszę się zobaczyć z bratankiem.

- Dlaczego? Zerknął na nią.

- Bo jest moim bratankiem. - Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, potem dorzucił lżejszym tonem: - Mój przyjaciel się nim zajmuje. Możemy u niego schować samochód, zastanowić się, co dalej.

Wydeła usta i z powrotem przeniosła wzrok za okno. Była taka, odkąd opuścili mieszkanie, skrzywiona i zamknięta w sobie.

- Dobrze się czujesz?

- Jacyś gangsta mają na nas zlecenie, mój szef ma z nimi konszachty, natomiast ja nie mam zielonego pojęcia, co w tej sytuacji zrobić. - Odwróciła się do niego i długo mierzyła go wzrokiem. - Dobrze się czuję?

Pokręcił głową.

- Chodzi o coś więcej.

- To znaczy?

- Wiedzieliśmy o tym wszystkim już wcześniej, a nie zachowywałaś się tak. Dopiero odkąd się dowiedziałaś, że Don-lan jest w to zamieszany. Facet jest taki groźny?

Odwróciła się.

Coś mu przyszło nagle do głowy.

- Chwilka. Czy to był on?

Cruz nie spytała „kto”, w ogóle nic nie powiedziała, co powinno wystarczyć mu za odpowiedź. Ale drażył dalej, jak idiota.

- To Donlan był tym gliną, z którym... tym, którego... no wiesz?

Nachyliła się, gwałtownie włączyła sprzęt. Płyta w zmieniarce uruchomiła się na piosence, która leciała ostatnio: *Riot Act* Pearl Jam, melorecytowanym kawałku, w którym Vedder mówi o tym, że ci, co mają, nie mają pojęcia. Cruz jęknęła, przełączyła na radio, zaczęła zmieniać stacje.

- Słuchaj, nie chciałem... - urwał. - Po prostu nie wiedziałem, to wszystko.

- Tak, no to teraz już wiesz. Gratulacje.

- Ty się na mnie wściekasz?! Na mnie?!

- Och, na litość boską - rzuciła podniesionym głosem, odwróciła twarz do okna, powiedziała: - Zatrzymaj się.

- Dlaczego?

Sporunowała go wzrokiem, pokręcił głową i zjechał na bok. Wsiadła bez słowa, zostawiając drzwi otwarte. Ruszyła sztywno ulicą. Zamierzała go tak zostawić? Patrzył, jak otwiera drzwi do sklepu spożywczego. Nie widział wyraźnie przez promienie odbijające się od szyby, ale wyglądało na to, że coś kupuje. Jason się rozejrzał, zerknął we wsteczne, czując się nieswojo tak na widoku. Kiedy przeniósł z powrotem wzrok na wystawę sklepu, stałą już na zewnątrz, uderzając czymś

O dłoń, potem zdzierając folię. Papierosy.

Włożyła jednego do ust i wprawnym gestem otoczyła dłońmi, w jednej ręce trzymała palącą się zapalniczkę, w drugiej paczkę. Zaciągnęła się głęboko, jakby chciała wypalić całość jednym machem.

Opuściła ramiona i odrzuciła delikatnie do tyłu głowę. Wypuściła długą smużkę szarego dymu. Uśmiechnęła się

i sztachnęła się raz jeszcze, idąc do samochodu. Patrzył, jak

kołysze biodrami. Wyglądała dobrze, na zrelaksowaną, jak po dniu spędzonym w spa.

Przystanąła przy śmietniczce, zaciągnęła się po raz ostatni, zgasiła papierosa i wrzuciła go do środka. Ruszyła do samochodu, ale zrobiła tylko krok i nagle zacisnęła usta, zmarszczyła brwi. Westchnęła, potem odwróciła się i wyrzuciła też paczkę oraz zapalniczkę.

- Lepiej? - spytał, kiedy usiadła na miejscu pasażera.

- Jedźmy - rzuciła.

Sprawiała wrażenie wkurzonej już we właściwy sposób, więc się uśmiechnął.

Zważywszy na ostatnie wydarzenia, dziwnie było znaleźć się nagle w Crenwood. Jason siedział jak na szpilkach. Cholera, półtora kilometra dalej znajdował się dom Gangster Disciples, ten sam, do którego wdarł się podstępem.

Z drugiej strony, sam środek terytorium wroga był ostatnim miejscem, gdzie by ich szukano.

- Trochę głębiej - powiedział Ronald, machając ręką. To on im otworzył, kiedy zapukali do drzwi Washingtona, pozdrowił go skinieniem głowy i słuchał cierpliwie, kiedy wyjaśniali, że chcieliby zaparkować cadillaca w bezpiecznym miejscu. Garaż, oddzielony od domu uliczką, wyglądał jak przysadzista niewielka szopa, w której wielki caddy z trudem się zmieścił. - Dalej. Stop.

Jason wysunął się, obrócił bokiem i wciągnął powietrze, przeciskając się na zewnątrz.

- Samochód Washingtona będzie bezpieczny na ulicy?

- Ten rzęch? - Ronald prychnął, potem zamknął drzwi garażu. Zaprowadził ich do domu. - Doktor Matthews jest w gabinecie. Ma dziś urwanie głowy, ale wiem, że chce z tobą pogadać.

- Coś specjalnego dzisiaj na tapecie? - Jason wszedł do środka.

- Ta impreza dobroczynna. Pan Kent daje nam kupę kasy dziś wieczór.

Wnętrze domu nadal wydawało się znajome, nie z poprzedniej wizyty, ale jeszcze z poprzedniego życia, choć teraz w kuchni nastoletni chłopcy zmywali naczynia i obierali ziemniaki, a miejsce, które Jason zapamiętał jako salon, zostało przemienione w pokój do nauki, z repetytoriami do matury rozłożonymi na stole. Na kanapie starszy latynoski dzieciak recytował młodszemu różne zwroty, które ten śledził palcami w elementarzu.

Dopiero kiedy Washington otworzył drzwi swojego gabinetu, Jason przypomniał sobie ich kłótnię z ostatniej wizyty. Ale mina przyjaciela nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że tylko on zapomniał.

- Jason - Washington miał na sobie smoking, nieza-wiązaną, dyndającą muszkę i szeroki pas ściśle opasujący opadający brzuch. Patrzył surowo, kiedy Jason przedstawiał Cruz.

Ona natomiast się uśmiechnęła.

- Miło pana poznać, doktorze Matthews. Robi pan tu wiele dobrego.

- Nigdy dość.

- Ale przynajmniej nie daje pan za wygraną. Washington skinął głową.

- Robimy co w naszej mocy. - Dał znak Ronaldowi. - Może pokażesz pani funkcjonariusz dom?

Zrozumiała aluzję.

- Będę wdzięczna. - Jason uśmiechnął się zaskoczony, kiedy wychodząc, szybko uścisnęła jego dłoń. Uśmiech zaraz jednak spełził mu z twarzy, bo Washington zaprosił go ręką do środka, jak dyrektor wzywający ucznia na dywanik, i zamknął drzwi.

- Słuchaj, co do tego wieczoru... - Jason usiadł na kanapie. - Nie chciałem powiedzieć...

- Synu, zadam ci pytanie i lepiej, żebyś mnie nie okłamał.

Ton jego głosu zbił z tropu Jasona.

- Okay.

- Okłამiesz mnie i z nami koniec, słyszysz?

- Tak, dobrze.

Washington pochylił się do przodu na krześle, opierając się łokciami o kolana i świdrując go wzrokiem.

- Zabiłeś go?

Niby kogo? Jason zrobił wielkie oczy.

- Że co?

- Zabiłeś?

- Nie! Kogo? - Uniósł i rozłożył dłonie. - Nikogo nie zabiłem.

Washington zmrużył oczy, przechylił głowę.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Jason patrzył mu w oczy nieruchomo. - Przysięgam, pojęcia nie mam.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie Washington skinął głową i opadł na oparcie. Westchnął, jakby wydawał ostatnie tchnienie.

- W porządku.

- O co chodzi?

- Szef Gangster Disciples, niejaki Dion Wallace, został zabity wczoraj wieczorem.

- Co?! - Jason przypomniał sobie wizytę w siedzibie gangu, C-Note'a Wallace'a mówiącego, że trwa wojna. Wczoraj po południu.

- Co się stało?

Washington wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale wiem, że przedwczoraj rozmawiałeś długo na ganku z Ronaldem i wiem, że widziałem żądzę mordy w twoich oczach.

- Poszedłem się z nim zobaczyć, ale go nie zabiłem. - Jason streścił wypadki ostatnich godzin, począwszy od spotkania



z Wallace'em, a kończąc na wszystkim, co wydarzyło się potem. Washington słuchał z dłońmi złożonymi nieruchomo w wieżyczkę i kamiennym wyrazem twarzy. Wściekłość, frustracja, nawet filozoficzny spokój, to wszystko nie zdziwiłoby Jasona. Ale wyraz ewidentnej apatii malujący się na twarzy przyjaciela sprawił, że opowiadał szybciej, bardziej dobitnie, z większą emfazą.

- Rozumiesz, co mówię? - spytał wreszcie.

- Doskonale.

- Ci goście zbroją członków gangów. Napuszczają na siebie nawzajem te same dzieciaki, którym ty próbujesz pomóc.

- Na to wygląda.

- I przyjmujesz to tak spokojnie? - podniósł głos przy końcu zdania. Washington wzruszył ramionami.

- Oglądasz wiadomości. Nasz ostatni gubernator staje przed sądem za korupcję: pranie brudnych pieniędzy, nielegalne finansowanie kampanii, skandal z całym tym projektem wynajmowania kierowców prywatnych ciężarówek, niewykluczone, że z poruczenia mafii. Gubernator! Myślisz, że wstrząśnie mną kilku skorumpowanych gliniarzy? To jest Chicago.

- Więc nie ma sprawy, tak? Mamy siedzieć z założonymi rękoma? Nie zamierzasz z tym walczyć?

- Proszę - Washington westchnął. - Można walczyć bez użycia pistoletu.

- Niby jak?

- Tak jak ja czy pan Kent. Ten człowiek wykorzystuje własne pieniądze, żeby poprawić sytuację. Daje coś, żeby uczynić świat lepszym, nie zabiera. Szukasz przykładu, popatrz na niego. Bo dopóki wymachujesz pistoletem, tylko zabierasz, nie dajesz.

- Taa, nie mam pół miliona na zbyciu.

- Rzecz nie w pieniądzech. Tylko w odpowiedzialności i zaangażowaniu. - Washington sięgnął do stojącej na biurku

popielniczki, wyjął z niej wypalonego do połowy papierosa i zapalił. - Odpowiedzialność to coś, nad czym chyba powinieneś się zastanowić, synu.

Jason poczuł, jak czerwień oblewa mu szyję, gorąco wpełza na policzki.

- Jestem odpowiedzialny.

- Za co?

- Za Billy'ego! Nie uwierzyłybyś, do czego się posunąłem, usiłując odszukać...

- Mhm. A jak myślisz, jak się czuł twój bratanek, kiedy ty biegałeś, bawiąc się w Supermana?

Jason otworzył usta. Już miał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Powiedziałeś, że może tu zostać - rzucił w końcu.

- Dla mnie może. Ale to nie mnie krzywdzisz.

- Co... słuchaj, nie szwendam się po klubach ze striptizem, tylko ryzykuję życie, żeby go chronić.

Washington skinął głową.

- Jak przystało na żołnierza.

- Żebyś wiedział.

- To dla ciebie ważne, prawda?

- A kim jestem, jeśli nie żołnierzem? - Słowa same mu się wyrwały i wprawiły w zdumienie.

- A co powiesz na wujka? - Odpowiedź padła głosem, który mógłby ciąć granit. - Nie pomyślałeś, że Billy potrzebuje go bardziej niż żołnierza?

Jason westchnął.

- Wiem. Wiem. I mu to wynagrodzę. Ale najpierw muszę go chronić.

Washington skinął głową, zaciągnął się papierosem, wypuścił długą smużkę szarego dymu.

- Szkopuł w tym, że on potrzebuje ochrony nie tylko przed bandytami. Spróbuj wejść w jego skórę. Masz osiem lat i właśnie straciłeś ojca. Ojca. Nie rozumiesz? Jego świat się wali.

Jason poczuł pulsowanie żyły na skroni, kwaśny smak w ustach. Odwrócił wzrok. Nieczęsto zdarzało mu się myśleć o dniu, w którym odszedł jego ojciec, głównie dlatego, że na dobrą sprawę zniknął z ich życia na długo przedtem, zanim raczył się wyprowadzić. Jason zawsze zarzekał się w duchu, że jeśli kiedykolwiek będzie mieć dzieci, nie powtórzy jego błędu.

- Rozumiesz, do czego zmierzam? - spytał Washington łagodniej. - Co mam na myśli, mówiąc o odpowiedzialności?

Jason skinął głową.

- To co mam zrobić?

- Porozmawiaj z nim.

- Ale... - Przemógł gwałtowny skurcz żołądka. - Co mam mu powiedzieć?

- A skąd ja mam to wiedzieć, synu?

Znalazł Billy'ego w ciemnym kąciku tonącego w słońcu pokoju. Leżał na podłodze z wyciągniętymi nogami i mazał czerwoną kredką po brązowej papierowej torbie, z językiem wysuniętym odrobinę z ust niczym wilgotny ślimak. Kiedy usłyszał kroki Jasona, zeszywniał, kredka znieruchomiła.

- Cześć, stary.

Nie podniósł głowy. Mocniej chwycił kredkę, aż pobiełał mu koniuszek palca, i zaczął zapalczywie kreślić nią ciężkie linie.

Jason zbliżył się niepewnie.

- Co rysujesz?

Milczenie. Poczuł cierpki dreszcz w żołądku, jakby wy-Irąbił dzbanek kawy. Nie miał pojęcia, co można powiedzieć ośmiolatkowi, który stracił ojca. Pomyślał o Michaelu, który niemal stanął przed nim jak żywy wśród tańczących drobinek kurzu, kręcąc głową. Westchnął w duchu, przeszło mu przez głowę: Nie mógłbym zamiast tego włamać się jeszcze rnz do siedziby Disciples?

Ale Washington miał rację. Nie może być tylko żołnierzem.

Gdyby tylko wiedział jak.

- Jesteś na mnie zły? - spytał cicho. - Zrozumiem, jeśli tak.

Billy pochylił się mocniej nad rysunkiem.

- Wiem, jak to wszystko musi teraz w twoich oczach wyglądać.

Jak... - zająknął się - bardzo musisz być zagubiony. I smutny. Nie ma nic złego w tym, że się tak czujesz. To normalne. - Starał się pójść za radą Washingtona, wejść w skórę chłopca. Co się wie o śmierci w tym wieku? Czy Billy rozumie, że już nigdy więcej nie zobaczy ojca? A może to zbyt trudne?

Michael.

Już nigdy nie będą siedzieli przy kuchennym stole, popijając kawę do świtu. Michael już nigdy go nie powita uśmiechem, skinieniem głowy i kuflem piwa. I Jason nigdy już nie będzie miał okazji przeprosić za to, jak się rozstali, ani podziękować bratu, że zawsze z nim był, nawet wtedy gdy rzucali się sobie do gardeł. Ból i świadomość straty były jak ciężki zimny kamień na piersi.

W takim razie o ile ciężiej musi być Billy'emu?

Jason przykucnął w słońcu przy bratanku. Równa linia terminatora dzieliła jego ramię na światło i mrok, kiedy wyciągnął rękę, żeby dotknąć Billy'ego. Położył ją na jego barku, czując ciepło ciała, rytm oddechu chłopca. Siedział tak chwilę, starając się włożyć w ten kontakt całą otuchę, na jaką było go stać.

- Co teraz będzie? - rzucił Billy z wzrokiem wbitym w podłogę.

Jason westchnął. „Nie wiem”.

- Wszystko się jakoś ułoży.

- Jak? - Chłopiec się odwrócił, wyrwał z jego uścisku. „Jak?”

- No... - Prawda wyglądała tak, że Jason nie wiedział. Prawda wyglądała tak, że jak dotąd udało mu się tylko jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Że mieli na karku ludzi, którzy chcieli zabić ich obu, a Jason nie miał zielonego pojęcia, jak ich powstrzymać.

- Znajdę tych ludzi, którzy skrzywdzili twojego tatę - powiedział jednak - i dopilnuję, żeby nie mogli skrzywdzić ciebie.

- A potem co? - Billy wpatrywał się w niego okrągłymi, pełnymi łez oczyma. - Co będzie potem? Gdzie będę mieszkał? Pójdę do szkoły? Co się stanie?

Jason patrzył na niego zszokowany. No tak, pomyślał. Jasne. Chłopiec ma osiem lat. Nie martwi się bandytami. Jeżeli dorosły mówi mu, że się czymś zajmie, Billy mu wierzy. Jego ból objawia się na inne sposoby: przez gniew, przygnębienie, lęk przed porzuceniem. Z chwilą śmierci ojca życie, które znał, bezpowrotnie się skończyło. Oczywiście, że zachodzi w głowę, gdzie będzie mieszkać.

I było to całkiem dobre pytanie.

Jason poczuł przyływ paniki, szybki i oślepiający jak błyskawica. Ta myśl go nachodziła setki razy w ciągu ostatnich kilku dni i za każdym razem ją odganiał, wmawiał sobie, że musi działać, ustalić, co się dzieje. Ale teraz nie mógł już dłużej jej ignorować.

Był jedyną rodziną, która pozostała Billy'emu i czy mu się to podobało, czy nie, był za chłopca odpowiedzialny.

Coś ścisnęło go w piersiach. Nie był gotowy. Nie na coś I II kiego. Ledwo dawał radę zająć się samym sobą. Obiecać coś Billy'emu oznaczałoby wyrzec się wszystkiego. Musiałby upo-rzudkować swoje życie, podjąć pewne życiowe decyzje, trzymać się ich. Udawać, że jest rozsądnym dorosłym w zapiętej pod szyję koszuli i z poukładanym życiem, a nie zagubionym dzieckiem liżącym rany, które tylko on widział i hodującym Przywrę, której jakoby nienawidził.

Rozejrzał się, szukając nerwowo jakiejś podpowiedzi. Popatrzył na ścianę, na okno, słońce, wreszcie jego rozbiegane oczy spoczęły na rysunku leżącym przed Billym.

- Mogę zobaczyć? - Sięgnął po torbę w nadziei, że znajdzie tam coś, co odwróci jego uwagę, odwróci uwagę ich obu.

Rysunek zaczynał się prosto: drzwi z czterokwaterowymi oknami po obu stronach, a z przodu zwaliste, nieproporcjonalne drzewo. Taki sam dom jak rysowany przez całe pokolenia dzieci, o nierównych i niepewnych liniach, ot, toporna próba malucha wyczarowania czegoś z głowy.

Ale zaraz pojawiła się posepniejsza kreska. Poziome i pionowe linie tworzące kwadratowe pola połączone ze sobą, wytryskujące z siebie. Między nimi ściany i okna, płatanina pokoi, uświadomił sobie Jason, jak w krętym wnętrzu jakiegoś pałacu: pomieszczenie na pomieszczeniu, coraz wyżej i głębiej. Nieprawdopodobny, zapętłony labirynt. Kryjówka czarnoksiężnika. A w najmniejszym pokoiku w odległym zakątku, zagubiona w całym tym gąszczu, stała patykowata postać z dużymi rękoma i ogromnymi oczyma.

Jason patrzył na rysunek, ręce mu drżały. Patrzył na ten czerwony świat, w którym Billy się widział. Był nie tylko zagubiony.

Przede wszystkim samotny.

- Powiem ci prawdę, dzieciaku. - Podał mu rysunek, potem wyciągnął nogi, żeby położyć się na brzuchu obok chłopca. - Nie wiem jeszcze. Będziemy musieli zastanowić się nad całą masą rzeczy. Ale wszystko się ułoży, obiecuję. - I kiedy tylko to powiedział, uświadomił sobie, że naprawdę tak myśli. Że zrobi wszystko co w jego mocy, żeby tak się stało.

Billy wytarł nos wierzchem dłoni, nieprzekonany.

- Bałem się wczoraj wieczorem. Nie wróciłeś.

- Wiem, przepraszam. - Sięgnął po kredkę, którą porzucił chłopiec, zaczął obracać bezmyślnie między palcami.

- Próbowałem... no, próbowałem dopaść tych drani. Gdybym mógł, wolałbym być tu z tobą.

- Naprawdę?

- Bez dwóch zdań. - Trącił Billy'ego ramieniem. - Jesteś moim kumplem.

Przez chwilę leżeli tak w milczeniu. Czubek kredki stał się na szeroki szpadel i Jason naostrzył go koniuszkiem palca. Czerwony wosk, który wszedł mu pod paznokiec, wyglądał jak krew.

- Wujku Jasonie? - Tak?

- Musisz iść do szpitala?

- Hmm? - Uniósł brwi. - Skąd ten pomysł, kolego?

- Tata powiedział, że jesteś chory.

- Chory?

Billy skinął głową.

- Powiedział, że kiedy szedłeś na wojnę, byłeś zdrowy, ale wróciłeś chory. - Jego oczy przypominały białka skwierczące na patelni. - Nie chcę, żebyś był chory. Nie chcę, żebyś też umarł.

Jason patrzył na niego zszokowany. Otworzył usta, zamknął. Czuł, jak Przywra napina się w środku, jakby chciała wyskoczyć z piersi. Kiedy się odezwał, głos miał cichy i opanowany.

- Twój tata był mądrym człowiekiem. Chyba rzeczywiście wróciłem chory. Ale od tego się nie umiera.

- Co ci jest?

- Nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić. - Wypuścił powietrze ustami. - Wiesz, jak to jest, gdy czasami popełniasz błąd, ale okazuje się, że to nic takiego. Nie powinieneś być go zrobić, ale nikomu nie dzieje się przez to krzywda. Na przykład wtedy, gdy źle odrobisz pracę domową.

Billy skinął głową.

- No, a czasami można zrobić mały błąd, który zamienia się w coś poważnego. To może być coś zupełnie prostego... - Na przykład zobaczenie samotnej karetki, doskonale-

go celu pod ogarniętym pożogą niebem. - Wydaje ci się, że wiesz, jak należy postąpić. Tyle, że jeśli sprawy potoczą się nie tak, jak się spodziewałeś, może stać się coś złego. A kiedy tak się dzieje, bardzo łatwo jest się później o to obwiniać.

- Stało się coś złego? - rzucił Billy głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Martinez chwytający się za gardło, krew przelewająca mu się przez zaciśnięte palce. - Tak.

- To była twoja wina?

- To coś złego nie było moją winą.

- Nie rozumiem. - Billy się w niego wpatrywał. - To nie była twoja wina?

- W pewnym sensie. Popeliłem błąd, który umożliwił komuś innemu zrobienie czegoś złego.

Billy zmarszczył czoło.

- Ale powiedziałeś, że postąpiłeś, jak należy.

- Wtedy tak mi się wydawało. - Przed oczyma zobaczył rannego irackiego chłopca w karetce, jego szeroko otwarte, przestraszone oczy. - Próbowałem uratować komuś życie.

- Uratowałeś?

„Zabiłeś Martineza, syknęła Przywra z głębi trzewi. Wbrew wyraźnym rozkazom zabrałeś dwudziestoletniego chłopaka z posterunku do miejsca, które roiło się od rebeliantów i snajperów. Zabiłeś go”.

- Chyba tak - powiedział. - Ale zginął też mój przyjaciel.

- To dlatego się rozchorowałeś? - Billy popatrzył na Ja-sona z niewzruszoną bezpośredniością dziecka.

- No... - zawahał się. Dlatego? Odseparował się od tego na tak długo. Nie kwestionował swojej winy, nawet się nad nią nie zastanawiał. I dopiero teraz zobaczył, że sytuacja nie przedstawia się tak czarno-biało, jak to sobie wmawiał. Tak, Martinez zginął. Ale żołnierze giną. To jest wpisane w ten zawód. A ponieść śmierć, ratując dziecko, to bohaterstwo, prawda?



Jason pokazał na rysunek.

- Daj mi jeszcze raz rzucić okiem.

Billy podał mu papier, zdezorientowany. Jason przyjrzał się badawczo obrazkowi, ostentacyjnie przybliżył do twarzy.

- Mhm, tak mi się zdawało. O czymś zapomniałeś.

- To znaczy?

Jason pochylił się na kompozycję. Narysował pionową kreskę z czterema ukośnymi odnogami zwieńczoną kółkiem z czupryną esów-floresów. Uśmiech i duże dłonie. Zwrócił rysunek Billy'emu.

- Proszę, widzisz?

- Narysowałeś kogoś przy mnie.

- Wygląda ci znajomo? - potrząsnął grzywką.

- To ty? - Billy przypatrywał się spod zmrużonych powiek patykowatym postaciom, wyższa stała za małą, trzymając rękę na jej ramieniu.

- To ja, bąku. - Uśmiechnął się. - To ja.

„Jakoś tego dokonam. Klnę się na Boga, że jakoś to będę ja”.

Billy popatrzył na obrazek, potem z powrotem na Jaso-na. Nagle obrócił się i zarzucił mu chude ramiona na szyję, ściskając kurczowo, jak linę ratunkową.

- Ciii - szepnął Jason, czując w nozdrzach zapach dziecka, słońce i pot. Przetaczała się przez niego dziwna mieszanina emocji: przerażenie, na bank, ale także determinacja. I jeszcze coś. Minęło tyle czasu, odkąd po raz ostatni ją czuł, że niemal nie poznał.

Duma.

- Wszystko dobrze, bąku. - Urwał. - Wszystko będzie dobrze. - Patrzył na sufit, obserwując kurz płonący w promieniach słońca. Głaskał bratanka po włosach i składał mu obietnice, nie mając pojęcia, jak ich dotrzyma, ale wiedząc, że odda za to życie.

I wtedy zobaczył coś, czego zupełnie się nie spodziewał.

## Blady i lepki

Pistolet był z fioletowego plastiku i przez sekundę, jeszcze zanim przypomniał sobie, co to jest i skąd się wzięło, Jason poczuł, że przyciąga go jak siła ciężkości.

- Co u... - urwał, zerknął na Billy'ego. - Skąd to, na Boga, wytrzasnąłeś?

Billy oderwał się od niego, popatrzył mu w twarz, potem na nocny stolik.

- Tata mi go dał. Zgubiłem go pod krzakami, gdy się ukryłem w parku, ale wczoraj poszliśmy z Ronaldem go poszukać. - Zrobił nagle skruszoną minę. - Ale jest twój, prawda?

Jason zorientował się, że ma otwarte usta, więc je zamknął. Sięgnął po zabawkę, robota składającego się w pistolet, którego jego brat dostał na gwiazdkę w 1983 roku. Jason pragnął mieć tego transformera całymi miesiącami, bawił się nim, kiedy Michael nie widział, aż wreszcie założył się z bratem, że przebiegnie przez tory kolejki miejskiej i go wygrał.

Tak doskonale leżał mu w dłoni, że zastanawiał się, czy to nie dlatego tak dobrze czuje się z prawdziwą bronią.

- To jest... tak, kiedyś był mój - zorientował się, że się uśmiecha. - Ciekawy jestem, gdzie się podziewał przez te wszystkie lata?

- W piwnicy - Billy wytarł nos wierzchem dłoni. - Tata mi go dał. Ale możesz go sobie wziąć.

Jason się roześmiał.

- Nie, bąku, należy do ciebie.

Billy wziął pistolet i zaczął się nim bawić, składając i rozkładając jedną część.

- Szkoda, że...

Początek zdania spowodował, że Jason się wzdrygnął, wyobrażając sobie te wszystkie rzeczy, których bratanek może żałować. Wszystkie rzeczy, do których miał prawo, ale których już nigdy nie będzie mieć. Po prawdzie bał się usłyszeć, co chłopiec ma na myśli, ale jeśli ma być tym mężczyzną z obrazka, tym stojącym obok Billy'ego, może zacząć już teraz.

- Czego szkoda, stary?

- Szkoda, że w ogóle tam zeszliśmy z tatą. Do tej piwnicy - rzucił ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Gdybyśmy zamiast tego wyszli do domu, nie byłoby nas tam wtedy. Wszystko byłoby dobrze.

Jason przechylił głowę, zastanawiając się, czy coś mu nie umknęło. Do tej piwnicy - to jakiś kod? Potem dotarło do niego, co powiedział Billy, bum! jakby milion woltów przebiegło mu po plecach. Czy to możliwe? Naprawdę?

- Tata zabrał cię do piwnicy w tym dniu, kiedy przyszli ci mężczyźni?

Billy skinął głową. Jason się wyprostował, położył dłonie na ramionach chłopca i spojrzał mu w oczy.

- Muszę zadać ci pytanie. Bardzo ważne pytanie. Możesz się zastanowić i postarać się odpowiedzieć?

Billy potaknął.

- Czy tata zabrał tam coś ze sobą? - Jason przypomniał sobie ostatnią wizytę u brata, jak Michael bez przerwy bawił mę tą aktówką, przestawiał ją z kąta w kąt. Jakby nie umiał znaleźć miejsca, w którym mógłby ją bezpiecznie zostawić.

Billy popatrzył na Jasona, potem w lewo. Wysunął język z ust w skupieniu. Minęła długa chwila.

- Tak - rozpromienił się w końcu, jakby wygrał w zgaduj-zgadulę. - Zabrał torbę.

- Walizeczkę?

- Mhm.

Chryste. Czy to może być tak proste? Czy Billy znał rozwiązanie przez cały czas?

Oczywiście, że znał. Tyle że Jasona nie było obok, żeby zapytać. Rola żołnierza okazała się ważniejsza od roli wujka. „Alleluja - usłyszał głos Michaela - już czas, żebyś wziął się w kupę i zaczął działać”.

Uśmiechnął się do bratanka.

- Dzięki, bąku. Jesteś genialny.

- Naprawdę?

- Mowa - Jason pokiwał z powagą głową. Zmierzył chłopcu włosy, wstał i ruszył do drzwi. Musi pogadać z Cruz, powiedzieć jej. I Washingtonowi. Powinni zacząć przygotowania. Wyprowadzić samochód...

Zastygł z dłonią na klamce. Wziął głęboki oddech, odwrócił się.

Billy siedział na środku pokoju, tam gdzie poprzednio. Oczy miał okrągłe, jedna warga się trzęsła. Idiota.

Podszedł do bratanka, przykucnął lekko.

- Znowu to zrobiłem, prawda? Billy skinął głową.

- Przepraszam. - Trzymał głowę na poziomie twarzy bratanka, nie chcąc przemawiać z góry. - Nauczę się. - Urwał. - Pomożesz mi?

Billy pociągnął nosem, popatrzył na niego poważnie i powiedział:

- Dobrze.

- Dobrze. - Jason skinął głową. Zawahał się, zastanawiając, ile może powiedzieć. Potem przypomniał sobie, jak się czuł, uspokajając Billy'ego. Przywra wtedy trochę ucichła.

- Ta teczka, którą twój tata zabrał do piwnicy... to jej szukali ci źli ludzie. To po nią przyszli. Rozumiesz? Billy potaknął.

- Jak na filmach.

- Tak, podobnie. Wcześniej myślałem, że ją zabrali. Ale teraz daję głowę, że twój tata zdążył ją ukryć. Łapiesz?

- Mhm.

- A teraz najważniejsze. - Zaczerpnął powietrza, starając się mówić spokojnie, jakby nie było powodów do obaw. - Ci źli ludzie nadal chcą zdobyć tę teczkę. I chcą nas złapać, bo ich widzieliśmy. Są bardzo... wiesz, co znaczy zawzięci?

Billy westchnął.

- Racja. Racja. Przepraszam. No więc są bardzo zawzięci. Nie odpuszczają.

- To może wyjedźmy? Gdzieś, gdzie nas nie znajdą?

Ta propozycja była niegłupia. Szlag, Jason ciągle ją rozważał. Ale niby gdzie mieli pojechać? Przeprowadzka do nowego miasta nie załatwi sprawy. Zawsze żyliby w strachu, niepewni, czy Galway i DiRisio nie uznają, że pozostawienie ich przy życiu to za duże ryzyko. Skończyliby jak przestępcy - uciekając, przemieszczając się z miejsca na miejsce, ukrywając. - Możemy wyjechać. Ale nie jest powiedziane, że wtedy przestaną nas ścigać.

- No to jak ich powstrzymamy?

Jason już miał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

- A jak myślisz?

Billy wciągnął jedną wargę do środka, spuścił oczy i rozglądał się dokoła, jakby spodziewał się, że znajdzie odpowiedź na podłodze. Nagle podniósł głowę.

- Dzięki tej teczce.

Fala ciepła wezbrała Jasonowi w piersi, dziwne uczucie, którego nigdy nie doświadczył. Czy to są właśnie uroki rodzicielstwa? Czy tak czuł się Michael, patrząc, jak Billy wiąże buty albo rozwiązuje krzyżówkę?

- Bardzo dobrze, bąku. Jest tylko jeden problem. Będę musiał cię zostawić, żeby ją odzyskać.

Billy złapał go za rękę, uczepił się jej kurczowo.

- Wszystko dobrze. Nie denerwuj się. Bardzo chcę z tobą zostać. Ale nie chcę, żeby znowu ktoś na nas napadł, i myślę, że ta teczka może to zagwarantować. - Urwał. - Uważam, że powinienem ją odszukać. Bo ona zapewni ci bezpieczeństwo. Ale nie zrobię tego, jeśli ty nie chcesz. - Ścisnął dłoń Bill'ego, popatrzył mu w oczy. - Twoja decyzja, dzieciaku.

Spoglądał na chłopca, tego ośmiolatka o twarzy jego brata. Spoglądał na chude ramiona tonące w szarej wojskowej koszulce, skórę bladą i lepłą od łez. Spoglądał i marzył o czarodziejskiej różdżce, woreczku magicznego proszku, o czymkolwiek, co mogłoby cofnąć czas i zwrócić temu biednemu chłopcu ojca i dawne życie.

I wtedy Billy powiedział:

- Okay - i puścił jego dłoń.

## Brudne ubrania

Anthony DiRisio stał przed oknem z rękoma u boków. Piękny widok. Na południe panorama miasta, od wschodu Lincoln Park, a dalej jezioro, ogrom niebieskoszarej wody usiany kolorowymi żaglami.

Jak na funkcjonariusza policji Elena Cruz mieszkała całkiem, całkiem.

Ci dupowaci gliniarze, którzy przeszukali mieszkanie wcześniej, zamknęli po swoim wyjściu drzwi. Ale zamek też był do dupy. Wyważył go nożem i wszedł do środka.

Mieszkanie było sporawą kawalerką ze sklepionym sufitem z cegły i łóżkiem chowanym w ścianie. Rozstawił je tylko dla frajdy i położył się z butami na pościeli i rękoma pod głowę. Z poduszek unosił się lekki dziewczęcy zapach. Po chwili usiadł, otworzył szufladę nocnego stolika. Powieść Ondaatje, *Angielski pacjent*. DiRisio widział film, nawet mu podpasiał. Tubka balsamu do ust. Zdjęcie jakiejś Latynoski z wąsem. Srebrny wibrator. Włączył go. Baterie były słabe, przyrząd ledwie szumiał. Uśmiechnął się, wyłączył go i odłożył.

Mendy szukały dowodów, paczek banknotów albo worków z bronią. Anthony dałby głowę, że sprawdzili zbiornik w toalecie, opukali podłogę w poszukiwaniu obłuzowanych klepek, obmacali kieszenie ubrań i szwy kanapy. On sam

wypatrywał czegoś bardziej ulotnego, jakiejś podpowiedzi, wskazówki, gdzie może teraz być Cruz.

Pracował spokojnie, ale szybko. Darował sobie łazienkę, dał spokój z kuchnią. Na dnie szafy leżała kupka brudnych ubrań. W komodzie znalazł złożone koszule i dżinsy, kłęb bielizny. Wyciągnął delikatne figi tanga, Victoria's Secret, rozmiar S. Dzięki saszetce potpourri pachniały cynamonem. Ładnie. Jeśli Palmer ją posuwa, czeka go nie lada gratka.

Zero pamiętnika, kalendarza, organizera.

Przeniósł się do dużego pokoju, gdzie stało biurko. Przetrzęsnał spinacze do papieru i długopisy. Srebrna półdolarówka. Mały kawałek bursztynu. Królicza łapka. Od ściany do biurka biegł wiszący luźno kabel. Cholera. Gliny zabrały jej komputer. Bardzo by chciał do niego zajrzeć.

- Gdzie jesteś, skarbie? - Rozejrzał się po pokoju. Otworzył szafkę. Płyty DVD, jakaś gra planszowa. - Chodź do tatusia. - Zajrzał do lodówki. Kilka piw, jakieś dania na wynos, butelka sosu sriracha, limeta, która najlepsze dni miała za sobą, odrobina mleka w czterolitrowym garnku. Raczej więc nie typ domatorki.

Coś się za nim poruszyło.

Odwrócił się błyskawicznie, pochylił, omiatając przestrzeń przed sobą prawą ręką, w której trzymał pistolet.

Nad celownikiem siga patrzył na niego rudo-biały kot o zielonych oczach. Mrugnął. Ziewnął.

Anthony DiRisio się uśmiechnął.

- Cześć, kotku - powiedział. - Chodź do mnie.



## Czarna kawa z whisky

W padającym przez okno świetle Ronald wyglądał jak posąg, hebanowa rzeźba robotnika kolejowego. Słońce ostro uwypuklało twarde wybrzuszenia mięśni, na których opinały się rękawy koszulki. W ręce trzymał trzykilogramowy dwuręczny młot, na zwalistej głowie tkwiły ochrowe plamy po rdzy. Wyglądał przez okno w spokojnym skupieniu.

- Cześć Ronald, widziałeś Cruz?

Wielkolud oderwał wzrok od okna, popatrzył na Jasona.

- Dziewczynę, z którą przyszedłeś? - Tak.

Odwrócił się.

- Jest na gorze. Powiedziała, że chce się odświeżyć.

- Dzięki.

Jason z ciekawości stanął przy Ronaldzie. Na chodniku za szyldem Latarników stał Washington i rozmawiał z białym mężczyzną w średnim wieku, ze szpakowatymi włosami i plamami potu na świeżo wyprasowanej białej koszuli. Za nimi popołudniowe słońce odbijało się oślepiającym blaskiem od zaparkowanych samochodów, a po drugiej stronie ulicy rozciągała się pusta parcela: wysoka trawa falowała lekko dokoła karuzeli, którą pamiętał jeszcze z czasów dzieciństwa.

- Okay - powiedział. - Nawijaj. Co cię tak zaciekawiło?

Ronald pokazał podbródkiem.

- Widzisz tego gościa gadającego z doktorem Matthewsem? To Adam Kent.

Nazwisko już się obilo Jasonowi o uszy. Zmrużył oczy. Facet był średniej budowy, miał zadbane włosy, ładne ubranie. Ale poza tym nic szczególnego. Jason nie sądził, by go wcześniej spotkał, ale nazwisko brzmiało znajomo. Gdzieś już je słyszał... no tak.

- To on ma dać Washingtonowi pół miliona dzisiaj wieczorem na imprezie.

Ronald wolno pokiwał głową, nie odrywając oczu od sceny za szybą.

- Jesteś ciekaw, jak wygląda?

- Nie. Już go widziałem. Ciągle tu przychodzi.

- To w czym rzecz?

- Tylko popatrz na niego, człowieku - rzucił Ronald, nie odwracając się. - Kolo może wypisać czek na pięćset tysięcy dolarów i ot, tak komuś wręczyć. Ma tyle kasy, że nawet tego nie poczuje.

- To miło z jego strony.

- Tak. Tylko... - Ronald się zawahał. -Co?

- No chodzi o to, że gdybym mijał go na ulicy, tobym w ogóle nie zwrócił uwagi. Wygląda jak każdy inny biały. Zawsze mi się zdawało, że jak się ma tyle pieniędzy, człowiek wygląda jakoś inaczej, rozumiesz? Jakby promieniał czy coś. - Ronald potrząsnął głową. - Kurczę, brat z takim hajsem nosiłby na szyi platynowy znak dolara wybijany diamentami.

Jason się roześmiał.

- Słuchaj, mogę cię prosić o przysługę?

Ronald zerknął na niego z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Wyjeżdżamy z Cruz. Chyba wiem, jak dorwać gości, którzy zabili mojego brata.

- Spoko.

- Tylko że nie mogę zabrać ze sobą Billy'ego, ale nie chcę, żeby został tu sam. Miałem nadzieję, że mógłbyś, no, sam nie wiem, mieć go na oku. Zająć się nim trochę. Dać do zrozumienia, że jest bezpieczny.

- Kumam - skinął głową Ronald. - Nie ma sprawy.

- On się boi.

- Niepotrzebnie. Włos mu nie spadnie z głowy, kiedy ja tu jestem.

Jason pokiwał głową, podziękował. Potem ruszył w kierunku schodów. Zanim opuścił pokój, zerknął jeszcze raz przez ramię. Ronald odwrócił się z powrotem do okna i dalej wyglądał, kręcąc głową. Jason się uśmiechnął.

Znalazł Cruz w jednej z sypialni na górze. Trzymała pilot od telewizora w pobielających palcach. Odbiornik pracował.

„...toczący się proces o korupcję byłego gubernatora George'a Ryana...”

Stanął obok, ale nie zareagowała.

„...oskarżenie najpewniej jutro zakończy przedstawianie materiału dowodowego”.

- Ej - powiedział Jason. - Posłuchaj...

- Ciii! - Uniosła dłoń.

„A przed nami jeszcze niepokojąca sprawa policjantki podejrzanej o zabójstwo”.

Chciał dotknąć jej ramienia, ale zamarł, słysząc słowa spikera.

„Wczoraj wieczorem po doniesieniach sąsiadów o strzelaninie w Crenwood znaleziono ciało Diona Wallace'a, członka ulicznego gangu Gangster Disciples. Policja odkryła zwłoki Wallace'a w jego domu w zachodnim Crenwood. Dwukrotnie postrzelono go w głowę”.

Na ekranie pojawił się dom ogrodzony żółtą policyjną taśmą, dookoła stały zaparkowane chaotycznie radiowozy. W rogu ekranu popatrywał gniewnie z policyjnego zdjęcia C-Note Wallace.

„Ze źródeł związanych z chicagowską policją NBC 5 dowiedziało się, że według wstępnych ustaleń broń, z której zginęła ofiara, należy do funkcjonariuszki Wywiadu Kryminalnego ds. Gangów Rejonu Pierwszego, zaangażowanej w toczące się śledztwo przeciwko Wallace'owi”.

Na ekranie pojawił się stojący na podwyższeniu mężczyzna w średnim wieku, koszuli z francuskimi mankietami i krawacie w prążki. Pasek niżej informował: zastępca komendanta policji w Chicago, James Donlan. Donlan uniósł ręce, by uciszyć huragan pytań.

„Na tym etapie policja nie formułuje żadnych ostatecznych wniosków dotyczących sprawy. Udział funkcjonariuszki Cruz w ostatnich wydarzeniach jest przedmiotem toczącego się śledztwa, ale jej samej nie postawiono żadnych zarzutów. Chcę jednak wszystkich zapewnić, że policja traktuje bardzo poważnie wszelkie informacje o brutalności swoich funkcjonariuszy i sprawa ta zostanie gruntownie zbadana”.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Cruz w mundurze, młodszej i z inną fryzurą. Spiker kontynuował:

„Elena Cruz, policjantka z dziesięcioletnim stażem i wieloma sukcesami na koncie, była pierwszą kobietą przyjętą do elitarnej sekcji wywiadowczej do spraw gangów. Ostatnio jednak w związku z licznymi skargami została w dużej mierze odsunięta od pracy operacyjnej. Jeden ze współpracowników Cruz, proszący o anonimowość, pytany o jej zachowanie w ostatnich dniach, stwierdził, że była nieobliczalna i skora do przemocy. Aktualne miejsce przebywania Eleny Cruz jest nieznane. Oddaję ci głos, Don”.

Spiker z równiutko ułożonymi włosami i doskonale symetryczną twarzą powiedział:

„Będziemy państwa informować o dalszym rozwoju wypadków w tej bulwersującej sprawie”. Odwrócił się i zmieniło się ujęcie kamery.

„Ponad dziesięć osób wystąpiło z oskarżeniami o seksualne molestowanie ze strony ojca...”

Jason zrobił krok do przodu i wyłączył odbiornik. Odwrócił się i popatrzył na Cruz. Stała z wytrzeszczonymi oczyma i trzęsącymi się dłońmi.

- Przykro mi, Elena.

Potrząsnęła głową, zacisnęła usta w cienką, twardą linię. Wyglądała, jakby dostała kopniaka w brzuch. Zapanowała przenikliwa cisza i jeszcze raz powiedział:

- Bardzo mi przykro.

Odwróciła się i podeszła do okna. Wbiła wzrok w przestrzeń.

Potał oczy.

- Washington powiedział mi, że zeszłej nocy zabito Dio-na Wallace'a. Ale nie poskładałem tego do kupy. - Jason przypomniał sobie, że nad rzeką Bliznowaty zmusił ją, żeby rzuciła broń. - To dlatego policja nas szuka. DiRisio albo ten drugi musiał zastrzelić Dionę z twojej broni. - Urwał. - Ale jak im się udało to tak szybko ustalić?

- Donlan - szepnęła.

No tak. Jej jednorazowy kochanek, wpływowy gliniarz. Więc dostała nie jeden kopniak w brzuch, tylko dwa.

- Boże - westchnął - A ów anonimowy współpracownik to na pewno Galway. - Trzy.

Nie odpowiedziała. Stał za jej plecami i położył jej dłoń na ramieniu. Wzdrygnęła się. Nie wiedzieć czemu, zabolalo go to.

- Przez całe życie - powiedziała - chciałam tylko jednego: być gliną. I byłam w tym dobra. - Pokręciła głową. - Cholera jasna, byłam dobrą policjantką.

- Nadal jesteś.

- Nie - rzuciła głosem pełnym czystej pogardy. - Nie rób ze mnie idiotki.

- Wcale nie robisz. Nadal jesteś dobrą policjantką.

Parsknęła wzgardliwie.

- Nie, już nie. Teraz jestem zabójczynią. Zabiłam Diona Wallace'a. A wiesz, skąd to wiem? - Cisnęła pilotem o podłogę. - Widziałam w telewizji.

- Elena...

- Przestań, dobrze? Po prostu... - westchnęła. - ...Przestań.

Stał za nią, desperacko szukając słów, które mogłyby jej pomóc. Doskonale wiedział, jak się czuje. Tak samo się czuł, opuszczając komisję do spraw zwolnień. Bycie gliną było dla niej równie ważne jak dla niego bycie żołnierzem i teraz te gnoje ją tego pozbawiły.

Niewiele myśląc, chwycił ją w objęcia. Stała sztywna jak kamień i zaczął się już zastanawiać, czy nie popełnił błędu.

Nagle coś w niej pękło i wtuliła głowę w jego ramiona, poczuł jej włosy na swojej twarzy. Objęła go rękoma i wpiła mu dłonie w plecy, a potem zaczęła walić pięściami, prawą, lewą, znowu prawą. Znosił to bez słowa skargi. Czuł, jak jej pierś faluje, kiedy płakała bezgłośnie. Nie próbował mrużyć słodkich pocieszeń, mówić, że wszystko będzie dobrze. Po prostu ją trzymał i pozwalał, by rozładowała na nim część furii i frustracji, osłabiając impet jak w przypadku fal bijących o skały, aż wreszcie powoli się wyczerpała i zacisnęła dłonie na jego koszulce, trzęsąc się mu w ramionach. Po prostu ją tulił, głaskał i czuł jej ciepło.

A kiedy się uspokoiła, powiedział:

- Wiem, jak ich załatwić.

Odchyliła się i popatrzyła na niego mokrymi od łez oczyma. -Co?

- Pamiętasz swojego tajemniczego rozmówcę?

- Kto się raz sparzył... - Pociągnęła nosem, potem zrobiła krok do tyłu, trzymając jego dłonie, jakby tańczyli.

- Założyliśmy, że dowody, które przekazał Michaelowi, zniknęły. Że Galway i DiRisio położyli na nich łapę. - Urwał.

- A jeśli się myliliśmy? Jeśli Michael ukrył je w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie gdzie nawet pożar by ich nie dosięgnął?

Patrzyła na niego przez chwilę bez słowa.

- Chcesz powiedzieć...? -Tak.

-I wiesz...? -Tak.

Słaby uśmiech wykwitł na jej ustach.

- Gdzie?

- W pubie Michaela. W miejscu, o którym nie mieli pojęcia. Możemy od razu tam pojechać. Skończymy z tym gównem. Zapewnimy bezpieczeństwo Billy'emu. Odzyskamy twoje dobre imię.

Zmrużyła oczy.

- Zetrzemy Galwaya i Donlana na proch. -Tak.

- Dobrze.

Ścisnęła jego rękę. Jej dłonie nie miały tej niemowleco gładkiej skóry, do której był przyzwyczajony. To były ręce, które znały pracę, wiedziały, jak trzymać broń i podciągnąć się na drążku do ćwiczeń. Lubił ich dotyk.

- Co ty na to?

Uśmiechnęła się do niego, potem zrobiła krok do przodu, chwyciła go za szyję i przyciągnęła jego usta do swoich. Stał jak wrośnięty w ziemię, czując jeszcze zapach łez na jej policzkach, ale nagle wsunęła mu między wargi język, mentolowy i korzenny, w łagodnym, coraz bardziej zapamiętałym tańcu. Jego ciało zareagowało, przyciągnął ją bliżej, czuł kość jej miednicy wpijającą mu się w biodra, ciężar jej ciała na piersi, ciepły, na miejscu i bliski. Wsunął ręce w jej włosy, jęknęła cicho i ruszyli, zataczając się, w stronę łóżka, nie przerywając pocałunku w plątaninie skaczących rąk: jej plecy, jego ramiona, jej biodra. Kiedy dotarli do sofy, pchnęła go i padł na

plecy. W tej samej sekundzie już na nim siedziała, szarpiąc za pasek jego spodni. Muśnięcia jej palców przyprawiły go

O dreszcze, czuł jej zapach zmysłowy i silny, czuł, jak kutas napręża mu się w spodniach, i marzył tylko o tym, by zdjąć z niej bluzkę przez głowę i pocałować trójkąt cynamonowej skóry we wgłębieniu szyi, ściągnąć dzinsy i majtki do kolan

i wsunąć się w nią, poczuć jej ciepło i słodycz, zatracić się, zapomnieć, oddzielić od wszystkiego, co się dzieje...

Położył ręce na jej dłoniach i odciągnął je od paska, który rozpięła, ani się obejrzał.

- Przestań.

Zamarła, potem odchyliła się do tyłu, pocierając kroczem swoich dzinsów o jego. Spojrzała na niego znacząco, spytała głosem przywodzącym na myśl czarną kawę z whisky.

- Mam przestać co?

Jęknął mimowolnie, zagryzł wargę. Potem stracił jej dłonie.

- Przestań. Serio. Przechyliła głowę.

- O co ci chodzi?

Sam się nad tym zastanawiał.

- Po prostu... nie podoba mi się to.

- Nie podoba ci się? - Uniosła brwi. - Nie ma co, wiesz, jak oczarować kobietę.

- Nie o to chodzi. Podoba mi się bardzo. Tylko że... - Urwał. - To do ciebie niepodobne.

Spiorunowała go wzrokiem, coś błysnęło w jej oczach.

- A co ty, kurwa, o mnie wiesz?

- Chcę tylko... sam nie wiem... nie chcę, żebyś myślała o mnie tak, jak myślisz o Donlanie. Jak o błędzie, którego żałujesz.

Zsunęła się z niego, kręcąc głową. Podeszła do lustra i zaczęła poprawiać bluzkę. Nie patrząc na niego, rzuciła gniewnie:



- Nie potrzebuję twojej troski.

- Wiem. - Wszystko się pokiełbało. Wcześniej doskonale wiedział, o co mu chodzi, wiedział, że z nią nie chce powtarzać starego numeru, używać seksu jako środka do zapomnienia, ale teraz miał mętlik w głowie. Usiadł, westchnął. Przebiegł dłonią po grzywce. - Nie to chciałem powiedzieć.

- Nieważne. - Obracała głowę na boki, sprawdzając w lustrze profil. Wypuściła powietrze, potem poklepała się po kieszeniach, wyciągnęła paczkę gumy do żucia. Włożyła jedną do ust i zaczęła gwałtownie żuć.

- I tak musimy już iść.

- Posłuchaj...

- Czekam na dole. - Wyszła z pokoju, nawet się nie obejrzała. Słyszał cichnący odgłos jej kroków na schodach.

Westchnął, opadł na łóżko, wbił oczy w cienie na suficie.

- Jasna cholera.

## Cienie i deszcz

Było dopiero popołudnie, ale słońce zniknęło za sinofioletowym niebem, zapowiadając burzę, jedną z tych letnich nawałnic, które nadciągały nad miasto i zamieniały dzień w noc. Jason siedział na miejscu pasażera przy opuszczonej szybie, z łokciem na drzwiach, wystawiwszy wyciągnięte ramię. Przekręcał dłoń w dół i cała ręka opadała, potem obracał dłoń do góry i ramię się unosiło. Włosy na przedramieniu usiłowały mu stanąć dęba, w powietrzu czuło się ozon.

- Doskonale się złożyło - powiedział - że ta impreza Washingtona jest właśnie dzisiaj. Bo mógł nam pożyczyć swój samochód.

Cruz skinęła głową, wrzuciła kierunkowskaz pożyczonej hondy.

- Z drugiej strony szkoda, że nie możemy też się wybrać - ciągnął, żeby zagłuszyć kamienną ciszę. Patrzył na świat przesuwający się szybko za oknem: punkt z telefonami komórkowymi, zamknięty sklep komputerowy, spalony dwupiętrowy dom oblepiony plakatami. - Pół miliona dolarów. Chryste, to kupa pieniędzy. Też chciałbym móc wypisać taki czek.

Zerknął na nią. Prowadziła ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie. Silna, niezależna, ale teraz jeszcze oschła.

A czego się, cholera, spodziewał? Mają się kochać, a on ją odpycha.

- Posłuchaj, Elena, przepraszam...

- Nie ma o czym mówić - powiedziała spokojnie.

- Nie, naprawdę mi przykro. Nie chciałem, żeby tak wyszło. To znaczy, bardzo chciałem, żeby wyszło, ale... - Westchnął. - Tylko że...

- Nieważne. Nic się nie stało.

- No tak - powiedział, czując dziwne mdłości. Jechali w milczeniu przez naelektryzowane powietrze.

Po prawej minęli szkołę, ceglany trzypiętrowy budynek majaczył ciemno na tle nieba. W dolnych partiach widać było białe plamy w miejscach, z których wypaskowano graffiti. Po drugiej stronie znajdował się rząd wypasionych domów dwurodzinnych i pusta działka, ogrodzona i zaniedbana, z trawą po pas.

- Szkoda, że nie mamy chociaż broni.

- Bez przerwy to powtarzasz.

- Bo bez przerwy żałuję.

- Wiesz, jaka jest najgorsza rzecz, jakiej się dowiedziałam - rzuciła obcesowo tonem „zmieńmy temat” - kiedy zaczęłam pracę w wywiadzie?

Chciał powiedzieć: „Że twój partner sprzedaje broń gangom”, ale ugryzł się w język, bojąc się, że znowu zrozumie go opacznie.

- Co takiego?

- Jeden z najlepszych sposobów na ocenę siły gangu to sprawdzić, ile szkół mieści się na jego terytorium.

- Poważnie?

- Weźmy choćby Latin Saints. Ich rewir jest stosunkowo mały w porównaniu z terytorium innych załóg. I te latynoskie nie dilują dragami na taką skalę, więc nie stoją tak dobrze finansowo. Ale wiesz, co mają?

- Szkoły?

- Zgadza się. Dwie średnie i gimnazjum. Werbuja dzieciaki na przerwach. Kaza młodym biegać z towarem, nosić hajs. Albo zabijać. Mają swój tatuaż, patykowatego ludzika, na który trzeba sobie zasłużyć. Kiedyś zatrzymałam takiego dzieciaka, miał może szesnaście lat i dziarę na całą długość przedramienia. Spytałam, co musiał zrobić, żeby na nią zasłużyć, i wiesz, co on mi na to? - Urwała. - Że „parę rzeczy”.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał. W końcu rzucił:

- Dojeżdżamy do Damen.

- Wiem. - Zahamowała przed znakiem stopu. Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. - Jesteś pewien, że to tam będzie?

- Jestem pewien.

- Bo strasznie ryzykujemy.

- Jestem pewien. - „Muszę być”.

Patrzyła się na niego, wyraz jej twarzy tonął w zapadającym zmroku, widział tylko błysk zblakłego światła w oczach. W końcu wzruszyła ramionami. Skręciła na rogu.

Damen Avenue, kropka w kropkę taka sama jak trzy dni temu. Czy to możliwe, że minęły tylko trzy dni? Trzy dni, odkąd wjechał na tę ulicę z bratankiem w samochodzie, zadowolony, pewny siebie i nie mogąc się doczekać, żeby wygarnąć Michaelowi. Trzy dni, odkąd zobaczył tę dopalającą się zgrozę, która kiedyś była pubem, trzy dni, odkąd marzenie jego brata zamieniło się w ich koszmar.

Damen Avenue, kropka w kropkę taka sama, a zupełnie inna.

Zatrzymała samochód naprzeciwko spalonego pubu. Chmury skryły ulicę w zmierzchu. Danie dnia na wystawie jadłodajni stanowiła dzisiaj średnia porcja żeberka z surówką, sześć dolców za sztukę. Podnosił szybę, kiedy o dach zabębniły pierwsze strugi deszczu. Siedzieli przez chwilę, obserwując początek: ciężkie, grube krople rozbijające się

O maskę samochodu, dwie, pięć, dwadzieścia, sto, a potem nagle spadła świszcząca ściana, przysłaniając cały świat. Gdzieś z tyłu błysnęła błyskawica, zaraz potem rozległ się przeciągły grzmot, jakby ktoś przesuwiał ciężkie meble po drewnianej podłodze.

- Może to dobry znak - powiedział Jason. Popatrzyła na niego cierpko.

Otworzył drzwi, wysiadł i zanim jeszcze zdążył je zamknąć, już był przemoczony do suchej nitki. Z asfaltu unosiła się mgła: parował całodzienny skwar. Jason odsunął grzywkę z oczu, potem otworzył bagażnik, wyjął stary łom, który pożyczyci sobie z piwnicy Washingtona. Jego ciężar dodawał trochę otuchy, kiedy przeszli przez opustoszałą ulicę.

Trzepotała żółta taśma policyjna i był to jedyny kolor, który udało mu się dostrzec w nagłym czyścucu, który się rozpętał. Za nią rozciągały się zwęglone zgliszczka, gdzie zginął jego brat. Deszcz już się zbierał w wypalonych zagłębieniach, zmywając sypki popiół w czarne jezioro. Jason patrzył na to

i czuł, jak kręci mu się w głowie, nogi mu się uginają, a wzrok zachodzi mgłą.

Jego brat tu umarł. Dokładnie tu, sam i przerażony. Rozległ się kolejny grzmot, tym razem bliżej, i deszcz zaczął mocniej zacinać.

- Czekasz na specjalne zaproszenie? - Cruz stała z wysuniętym biodrem.

-Nie, ja tylko... - Potrząsnął głową. - Michaelbyłmoim starszym bratem. Tyle razy ratował mi tyłek, gdy byliśmy dziećmi. - W strugach ulewy całe jego ciało pokryła gęsia skórka. - Zastanawiam się, czy w tej ostatniej chwili modlił się, żebym to ja uratował jego.

Wyraz twarzy Cruz złagodniał, puściła taśmę i podeszła do niego z twarzą rozjaśnioną lekko przez światło z okien gar-kuchni po drugiej stronie. Otworzyła usta, zamknęła, w końcu powiedziała:

- Dobrze się czujesz?

Skinał powoli głową. Chwycił mocniej łom.

Uniosła rękę i położyła mu ją na policzku. Jej dłoń była ciepła, a kciuk musnął z drzeniem jego usta. Pokazała głową na zgliszcza.

- Chodź. Skończmy to. Dla niego.

Uznał, że najtrudniejszy jest pierwszy krok, więc go wykonał. Potem się odwrócił i uniósł taśmę dla Cruz. Lustrowała wzrokiem pogorzeliśko. Ubranie miała zupełnie mokre, popiół oblepiał nogawki jej spodni, kiedy lawirowała między zgliszczami, wchodząc w głąb budynku. Kilka poczerniałych stalowych dźwigarów podtrzymywało szkielet sufitu i zatoneła w ciemności pogłębionej przez ich cienie. Włączyła latarkę i na zgliszcza podłogi padł drżący snop światła.

- Gdzie to jest?

Jason uniósł łom, wyminął ją.

- Tutaj. - Wspiął się ostrożnie na stertę poskręcane drewna, sprawdzając, czy utrzyma jego ciężar, potem wgra-molił się do miejsca, gdzie szerniały cegły oznaczały wejście na zaplecze.

Wszędzie leżały kupki gruzu: kawałki cegieł i zaprawy. Chwilę trwało, zanim odzyskał orientację, wreszcie wskazał: -Tam.

Metalowa krawędź błyszczała pod ustępem ściany. Chwycili za końce i dźwignęli, przewracając fragment muru, który rozsypał się z trzaskiem i pluskiem. Zobaczyli właz: osmalony kwadrat metalu, o bokach osiemdziesiąt na osiemdziesiąt centymetrów, z obręczą pośrodku. Temperatura wypaczyła metal i Jason nie zawracał sobie głowy pierścieniem. Od razu wsunął łom w szczelinę i pchnął. Kłapa się zatrzęsła, ale nie ustąpiła. Jason chwycił kawał cegły i betonu i wbił łom głębiej. Potem odetchnął i zacisnął dłonie na zimnym żelaznym pręcie.

Cruz przycupnęła obok, położyła na jego dłoniach swoje, ciepłe w zimnym deszczu. Uśmiechnął się i spytał: „Goto-

wa?". I zaraz z całych sił nacisnął łom, odchylając się do tyłu i zapierając się o wyboiste podłoże, żeby nie upaść.

Przez długą chwilę nic się nie działo. I nagle włąz ustąpił z trzaskiem, niczym kapsel na butelce piwa: poleciał do tyłu na wygiętych zawiasach i grzmotnął o kamień, ukazując kwadratowe wejście. W środku panowała cisza jak w grobie. Pierwszych kilka centymetrów stromych schodów marynarskich rozmyło się szybko w grze cieni i deszczu.

Dalej - nicość.

Jason położył łom na stosie cegieł. Grzywka znowu opadła mu na oczy i odgarnął ją do tyłu, ręce mu się trzęsły, choć nie potrafił rozstrzygnąć, czy z wysiłku, czy napięcia.

W tej dziurze było wszystko, czego potrzebowali.

Albo tylko duchy.

Wyjął latarkę z kieszeni, chwycił krawędź włązu i ruszył na dół.

9 lipca 2004

*Jason siedzi na grani w pełnym rynsztunku - pustynny mundur połowy, kamizelka kuloodporna, karabinek M4, zapas amunicji 5,56 mm, hełm z noktowizorem, broń podręczna, nóż bojowy Gerbera, okulary taktyczne WileyX, zestaw do pierwszej pomocy, galon wody, 27-30 kilogramów wszystkiego - i patrzy na płonący dom.*

*Ogień płynie jak woda, rozlewa się żarłocznymi odcieniami pomarańczowego i żółtego. Gorąco wypacza fragmenty budowli, drewno skręca się i lamie na drzazgi. Z okien wylewa się gęsty, tłusty czarny dym. Jason czuje pulsujące ciepło na twarzy, niczym muśnięcia słońca.*

*W lewym uchu ma słuchawkę od iPod'a, Björk śpiewa na tle rozedrganych tonów, że wszystko przepelnia miłość, że trzeba zaufać uczuciu, jej rozmarzony głos stanowifantastyczny kontrapunkt dla gniewnych pomruków i skwierczenia płomieni. Na dole wzgórza Jones szamie do kamery, trzyma strzelbę w dłoni i kciukiem wskazuje na ogień, Kaye robi zdjęcie cyfrówką.*

*- Rozmawiałem z tym gościem. - Martinez klepie się po ładownicy na kamizelce kuloodpornej, wyciąga paczkę miami, irackiej podróbki czerwonych marlboro. Zapala papierosa zapalniczką zippo, zaciąga się. - Powiedział mi, że mieszkali tu sunnici. Dlatego ich spalili.*



*- Pracują dla Saddama?*

*- Nie, ale są sunnitami, komuś nie przypasilo ich sąsiedztwo.*

*Jason kiwa głową, paca muchę brzęczącą mu w uchu. Odlicza bezgłośnie swoich ludzi: Jones, Campbell, Kaye, Friedel, Crist, Flumingan, Borcherts, Paoletti, Rosemoor i Martinez, dziesiątka.*

*- Niefajnie.*

*- Niefajnie dla nich, niefajnie dla nas. - Martinez odwraca się, milczy przez chwilę, potem się uśmiecha. - Sterczymy tu bez sensu, przydałyby się kielbaski i kilka cholernych długich patyków.*

*Wszystko przepelnia miłość, miłość dokoła.*

## Ciemnica

Wirujący kurz i woń spalenizny.

Metalowa poręcz była chłodna pod poodpryskiwaną farbą. Jason trzymał na niej dłoń, schodząc stromymi schodami. Oświetlał sobie drogę latarką, ale panowała tam ciemnica tak nieprzenikniona i zachłanna, że wątłe światło czyniło ją jedynie bardziej przytłaczającą. Wymachiwał nią jak ślepiec laską, omiatając przestrzeń przed sobą. Z osmalonego betonu zwisały rury i kable elektryczne. W powietrzu unosiła się woń przypalonego tosta. Stosy rupieci i starych mebli majaczyły w ciemności niczym kości wielkoludów.

Zadźwięczał metal, Jason odwrócił się i zobaczył zarys sylwetki Cruz wbladoszarym świetle, schodziła, a deszcz w cudowny sposób spływał dokoła niej, ograniczony przez kwadratowy właz. W jednej ręce trzymała łom, w drugiej latarkę. Miejsca, gdzie jej snop spotykał się ze światłem latarki Jasona, zdawały się jarzyć na tle jeszcze większej ciemności.

- Ogień tu nie dotarł - powiedziała głosem stłumionym i głuchym od akustyki podziemia.

- Chyba poszedł górą. Sufit jest z betonu. Skinęła głową, potem zmarszczyła czoło.

- Cholera. - Poszedł za jej wzrokiem. Regały były przewrócone, gdzieś połykiwały kupki rozbitego szkła.

Wszędzie dokoła leżały pootwierane pudła, ich zawartość porzucana na wszystkie strony. Westchnęła. - Galway i Di-Risio musieli przeszukać piwnicę. Mieli całe godziny. Jeśli było tu coś schowane, znaleźli to.

Jason skinął głową w zamyśleniu, patrząc na dwa pomieszczenia: to, które oświetlała jego latarka, zdewastowane i głuche, i to, w którym lata temu siedzieli kiedyś z Mikeyem. Przez całe popołudnie wynosili wtedy stąd rupiecie, a kiedy skończyli, opadli na krzesła. Słuchali transmisji meczu Soksów i popijali Black Label z ukrytej wcześniej przez Michaela butelki, którą podawali sobie z uśmiechem.

- Za dobre życie, bracie - wyszeptał Jason pod nosem. -Co?

- Jesteś z Chicago? - spytał, kierując się do lewego kąca.

Cruz ruszyła za nim, odgłos jej kroków zdawał się dobiegać ze wszystkich stron.

- Tak. A właściwie z Cicero.

Krzesła zniknęły, radio zniknęło, ale grzejnik stał na swoim miejscu. Stary fawier: niecały metr na metr ciężkiego metalu wystający ze ściany.

- A słyszałaś w dzieciństwie o knajpach, metach, które prowadziły nielegalny wyszynk w czasach prohibicji?

- Jasne.

- Tu właśnie się jedna znajdowała. Takie miejsca funkcjonowały dzięki łapówkom. Posmaruj, będziesz miał spokój. Ale - przykucnął przy grzejniku, przebiegł dłońmi po chłodnym metalu - czasami zdarzały się naloty nawet na tych, co płacili. Wiesz, żeby wyglądało, że niby władze miasta walczą z Capone'em i resztą.

-No i?

- No i - znalazł palcem wskazującym metalowy zacisk - właściciele zrozumieli, że bez dobrych schowków ani rusz. - Jason uniósł zasuwkę. Rozległo się kliknięcie. Chwy-

cił grzejnik oburącz i pociągnął. Favier poleciał na bok jak drzwi. Za nim tkwiły w ścianie drzwiczki żeliwnego sejfu.

- Bez picu - rzuciła z podziwem w głosie.

- Bez picu. Michael uwielbiał te wszystkie tajne schowki. Często wkładał tu butelkę, tylko po to, by mieć powód do otwarcia sejfu. - Jason sięgnął do rączki drżącymi palcami. Nacisnął.

Nie poruszyła się.

- Daj łom. - Wsadził go za uchwyt, opierając końcem

O podłogę. Wziął głęboki oddech i pociągnął z całych sił. Nic. Wyobraził sobie DiRisio uśmiechającego się z góry nad Michaeliem. Ostatnia twarz, którą widział jego brat. Naparł z całej siły na kutą stal, na szyi wyszły mu żyły, ręce się zatrzęsły.

Rączka ani drgnęła.

Jason się wyprostował, okręcił i cisnął łomem.

- Jezu!

Pręt poleciał łukiem, wirując jak startujący helikopter, i wałnął w coś metalowego na końcu pomieszczenia. Rozległ się głośny, przeciągły brzęk. Jason poczuł łyzy frustracji napływające do oczu. Tak blisko. Byli tak cholernie blisko. Ale co im po blisko.

Snop światła, który Cruz trzymała na grzejniku, zakołysał się i powiększył, potem zwęził, kiedy przykucnęła przed sejfem. Przebiegła dłonią po drzwiczkach.

- Rozgryziemy to.

- Szkoda twojego czasu - powiedział, pocierając ręką oczy.

- Posłuchaj, to ukryty sejf. Michael najpewniej nie silił się na wymyślną kombinację. - Wciągnęła powietrze przez zęby. - Kiedy są urodziny Billy'ego?

- Co? Drugiego kwietnia. - Odwrócił się z nagłą nadzieją, która jednak zgasła tak szybko, jak się pojawiła. - Nie, nie zadziała.

- Dlaczego?

- Tarcza idzie tylko do pięćdziesięciu. Billy urodził się w dziewięćdziesiątym siódmym.

Zakołysała się na piętach. Zwinęła kosmyk włosów, wsadziła koniec do ust. Uśmiechnęła się.

- Masz dwadzieścia dolców?

- Dlaczego?

Sięgnęła do tarczy, obróciła ją dwa razy w jedną stronę, i jeszcze dwa, potem kolejne. Zasuwa odsunęła się z cichym szcękaniem. Cruz się uśmiechnęła.

- Drugi kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy rok: dwadzieścia cztery - dziewięć- siedem. Połączył dzień i miesiąc, podzielił rok.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Mógłbym cię ucałować.

- Otwórz sejf. Wisisz mi dwadzieścia dolców.

Typowa prawnicza aktówka: zapinana na suwak, z brązowej skóry. Miękka i pachnąca nowością. Ta sama, która tak zaprzętała jego brata jeszcze kilka dni temu.

Jason nie mógł oderwać od niej oczu. Ukrycie jej było ostatnim uczynkiem Michaela.

Dlaczego to zrobił? Gdyby podejrzewał, że dybią na nią jacyś ludzie, nie czekałby, nie narażał Billy'ego. Więc musiał I o zrobić tak na wszelki wypadek. Jason pamiętał, jak brat się denerwował, jak bardzo był nią zaabsorbowany, jak przesuwał ją z kąta w kąt. Musiał ją tu schować dla własnego spokoju, wiedząc, że to bezpieczne miejsce. I nie tylko bezpieczne.

Również takie, o którym Jason wiedział.

Na tę myśl przeszył go dreszcz, jakby Michael zostawił mu tu wiadomość. Ostatnie życzenie.

„Nie zawiodę cię, bracie. Nie tym razem”.

Sięgnął do środka i chwycił aktówkę za rączkę. Przez chwilę miał wrażenie, że czuje ciepło dłoni brata na skórze.

Cruz trzymała w rękach obie latarki i otaczał ich przyćmiony krąg światła, rozchodzący się na jakieś trzydzieści centymetrów i niknący w otchłani ciemności. Słyszał, jak oddycha, cicha, mokra i przede wszystkim żywa. Na tle tego oddechu zamek aktówki nieprzyjemnie zazgrzytał. Jason trzęsącymi się dłońmi rozpiął go powoli.

W środku znajdowała się prosta szara teczka, gruba na jakieś dwa i pół centymetra, formatu trochę większego niż A4 i wypełniona papierami. To wszystko.

Jason sam nie wiedział, czego dokładnie się spodziewał, ale na pewno czegoś bardziej spektakularnego. Przerzucił zawartość. Jakiś dokument zbitą czcionką pełen prawniczego żargonu. Pod spodem jakby wydruk arkusza kalkulacyjnego. Coś, co wyglądało jak lista. Szybko kartkował dalej. Całe strony dokumentów, danych w rzędach i kolumnach, zwarty druk, notatki, listy. Papier. Tylko papier. A mimo to ktoś zabił za niego Michaela.

Podzielił stertę na dwie kupki, wręczył jedną Cruz bez słowa. Potem oparł się o ścianę piwnicy w pubie swojego brata i zaczął czytać.

Powietrze było chłodne i kiedy już minęło zgrzanie od wysiłku, poczuł ziąb. Opuszki palców miał obdarte od przesuwania gruzu, nerwy prawie na wierzchu i czuł dokładnie teksturę papieru, każde zagięcie i wypukłość. Wolno obracał strony, spokojnie chłonał wzrokiem informacje. Kiedy zaczął się trząść z zimna, wyprostował się, parę razy podskoczył, wykonał kilka przytupów. Potem usiadł i czytał dalej. Uważnie, niczym badacz nad starożytnymi manuskryptami. Kończył jeden dokument i wracał do tych już przejrzanych. Strona po stronie budował sobie obraz. Dłonie mu pobierały, pokryły się siateczką niebieskich żyłek. Patrzył na szczegóły, porównywał, dopasowywał razem jak elementy układanki: ten pasuje do tego, a co z tamtym? Świat zawęził się do przyćmionego blasku latarek, kręgu ciepłego światła, nie

było niczego poza nim, Cruz i tą zagadką. Ostatnią wiadomością od jego brata.

Mnóstwo dokumentów, wszystkie skomplikowane. Nie spieszył się. Zajęło to prawie godzinę. Ale zanim jeszcze skończył, już pojmował. Rozumiał, dlaczego jego brat zginął. Dlaczego bratanek jest w niebezpieczeństwie. Dlaczego ich wszystkich ścigają.

Przede wszystkim jednak rozumiał, że kaliber sprawy przekracza jego najśmielsze wyobrażenia.

Cruz pierwsza uporała się ze swoją częścią i patrzyła się w ciemność, schnące włosy skręciły jej się w loczki, jeden kosmyk trzymała w buzi. Wyciągnęła go w końcu i oświadczyła:

- Niemożliwe, żeby tylko Galway i DiRisio za tym stali. Odłożył kartkę.

-Nie.

- Myślisz, że to znaczy...

- Tak - przerwał. - Myślę, że tak. Cruz pokręciła głową, potarła oczy.

- Boże.

Słuchał cichego miarowego bębnienia deszczu na schodach. Gwałtowność burzy ustąpiła, przemieniając się w spokojny rytm, siapawicę z rodzaju tych, które mogą mżyć przez całą noc. Zwykle nie miał nic przeciwko deszczowi, nawet go lubił, ale tutaj trudno było się nim cieszyć, w ciemnościach pod miejscem, gdzie zginął jego brat.

- Nic dziwnego, że go zabili. To... - Potrząsnęła głową. Wypuściła głośno powietrze. - I co teraz?

- Mamy wszystko, czego nam trzeba. Chodźmy. - Zebrał wszystkie papiery, postukał stosikiem o podłogę, by wyrównać brzeg i włożył z powrotem brązową teczkę do aktówki.

Po grobowych ciemnościach piwnicy świat na górze wydawał się wielki i dziki. Wspinając się po schodach, Jason miał dziwne wrażenie, że coś się zmieniło. Że wychodzi przez ten

właz jako człowiek. Stanął z boku, wyciągnął rękę w kierunku Cruz, a ona ją chwyciła. Szli z powrotem przez gruzowisko, a deszcz moczył na powrót ich ubrania, które nie zdążyły jeszcze wyschnąć od czasu, kiedy tu wchodzili.

- Do kogo z tym pójdziemy? - spytała Cruz.

- Do nikogo.

- Że co?

- Nie pójdziemy z tym do nikogo. - Przeszedł przez zwęgloną belkę.

- Będziemy trzymać się w cieniu. Zrobimy tylko kopie i roześlemy je, gdzie się da.

Uśmiechnęła się.

- Do NBC 5 na przykład.

- Tak. I do „Tribune” i „Sun-Timesa”.

- Do burmistrza. I niezawodnego Eddiego Owensa. Niezawodny Eddie Owens... błysnął mu przed oczyma spłowiwały od słońca plakat wyborczy. Wisiał w oknie pubu Michaela.

- Do tego radnego? Dlaczego?

- To jest jego okręg, to on wypowiedział wojnę gangom. Forsuje nawet poprawkę budżetu dotyczącą lepszego wyposażania policjantów pracujących na ulicy, zakupu kamer cyfrowych i palmtopów. Nie będę cię nudzić szczegółami, ale wierz mi, to strasznie dużo by dało. - Weszła ostrożnie na chodnik i zaczęła grzebać w kieszeni. Wyciągnęła kluczyki i okrążyła samochód, podchodząc do hondy Washingtona od strony kierowcy. - I nie jest związany z policją.

- Mi pasuje. A co tam, wyślijmy to wszędzie. - W głowie mu dzwoniło. Ciągle miał przed oczyma dokumenty, które przeczytał w podziemiach. Niby tylko słowa, ot, papier i atrament. Ale też krew, śmierć, ludzie. Wszystko uknute i kierowane z czystym i bezwzględny wyrachowaniem, od którego robiło mu się niedobrze.

Ale przynajmniej już niedługo. Mieli wszystko, co było niezbędne, żeby położyć temu kres. Jason otworzył drzwi od



strony pasażera, w nozdrza uderzyło go powietrze duszne od woni papierosów Washingtona. Rzucił aktówkę na tylne siedzenie i w miarę możliwości otrzepał brud i popiół z ubrania. Właśnie miał usiąść, kiedy jego okno eksplodowało.

## Złośliwie i z bliska

Jego ciało zareagowało szybciej niż umysł. Okręcił się, zobaczył samochód z piskiem opon zbliżający się w ich kierunku, niski, ciemny kształt prujący przez deszcz. Od strony pasażera rozbłysnęło światło i Jason odruchowo padł na ziemię, analizując jednocześnie sytuację: ktoś pruje do nich z pistoletu maszynowego, ostrzeliwują ich z samochodu, ostrzeliwują ich z cholernego samochodu, i gdy tylko to do niego dotarło, w drzwiach obok wykwitło pięć, sześć, siedem dziur, ułamek sekundy później rozległ się terkot karabinu, kule poruszały się szybciej niż dźwięk.

Usłyszał warkot silnika, zerknął i zobaczył, że Cruz przekreśliła kluczyk. Dał nura na siedzenie pasażera, kiedy wrzuciła wsteczny, samochód zapiszczał jak resorak, śmigając do tyłu. Jason desperacko usiłował się czegoś przytrzymać, położył dłoń na desce rozdzielczej dokładnie w chwili, gdy szyba w tylnym oknie rozprysła się pajęczyną rozbitego szkła. Cruz poruszała ustami, ale nie słyszał, co mówi i nagle honda walnęła w coś twardego, aż w zębach poczuł miażdżące kości szarpnięcie, przeraźliwy piszczący szczęk, uderzenie metalu o metal, które rzuciło go z powrotem na siedzenie, ból w szyi, przeszywający śliski pisk opon na mokrym asfalcie, trzaśnięcie drzwi pasażera zamkniętych od impetu i zaraz Cruz wrzu-

ciła jedynekę, obróciła kierownicę, wcisnęła gaz i honda ruszyła do przodu koślawo, z dochodzącym z tyłu postukiwaniem, jakby ciągnęli zderzak albo tłumik.

Głowa go bolała, uświadomił sobie, że musiał nią o coś uderzyć, może o deskę rozdzielczą. Cruz mamrotała coś pod nosem, patrząc spod zmrużonych powiek przez przednią szybę, cały czas ze stopą na pedale gazu. Świat na zewnątrz ruszał się i rozmazywał, światła ciągnęły się jak roztopiony wosk i przez chwilę Jason się zastanawiał, czy nie walnął się w głowę mocniej, niż przypuszczał. Zaraz jednak dotarło do niego, że to tylko woda spływa po szybie, deszcz, i rzucił zdumiewająco opanowanym głosem:

- Wycieraczki.

Sięgnęła do przełącznika lewą ręką. Słyszał już teraz, co mamrocze: „Święta Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami”, wycieraczki ruszyły, szur -bur, w równym, szybkim, rytmicznym tempie, słowa modlitwy rozbrzmiewały do taktu z nimi.

„Weź się w garść, człowieku. Jesteś żołnierzem. Jak wygląda cholerna sytuacja?”

Meldunek operacyjny o sytuacji przedstawiał się tak, że mknęli Damen na północ, wiatr wył w oknie pasażera, gdzie kilka odłamków szkła trzymało się uparcie ramy. Gdy się odwrócił, widział przez rozbitą tylną szybę reflektory drugiego pojazdu. Ktoś za nimi jechał. Nie wiedział kto, choć widział samochód: niski i szybki z wyglądu, mustang albo charger, coś w tym stylu. Wóz, który był w stanie bez problemu doścignąć hondę z dziewięćdziesiątego czwartego. Zyskali trochę czasu dzięki manewrowi taranującemu. Ale jeśli Cruz nie zniszczyła im koła albo nie skrzywiła osi, nie na wiele się to zda.

- Święta Mario, Matko Boża - rzuciła Cruz już trochę spokojniej, bez wcześniejszego spanikowanego mamrotania. Zerknęła we wsteczne lustro, zmrużyła oczy. - Trzymaj się.

Jason sięgnął po pas i go zapiął, ona tymczasem odbiła kierownicą w prawo, biorąc ostry zakręt na ulicy śliskiej od deszczu i smaru. Zarzuciło tyłem, samochód skakał po całej jezdni przez chwilę, moment później wcisnęła gaz, napęd wyciągnął auto z poślizgu i pognali na wschód. Znajdowali się w dzielnicy mieszkalnej getta, zapadające się domy chyliły się ku popękanej ziemi otoczone przez rdzewiejące ogrodzenia, chwasty lśniły wilgocią w ogrodach pełnych rozbitego szkła. Po obu stronach ulicy stały zdezelowane samochody, wszystkie, szlag by to, przodem do nich, co znaczyło, że jadą jednokierunkową pod prąd. Deszcz wykurzył ludzi z ulicy na ganki i Jason słyszał ich gniewne pokrzykiwania. Ktoś rzucił w ich stronę butelką owiniętą w brązowy papier, szkło rozbiło się za samochodem.

Z tyłu zobaczył reflektory auta pokonującego ten sam zakręt, poślizgnęło się, wyjechało za daleko i uderzyło bokiem w zaparkowany wóz. Jason patrzył, modląc się w duchu, by utknęło, ale nic z tego. Za to z tyłu pojawiła się kolejna para reflektorów.

- Jest drugi wóz - powiedział.

Cruz skinęła głową, zaciskając pobielające knykcie na kierownicy.

Jason dałby wszystko za broń. Czuł się bezradny. Cruz prowadziła, on siedział obok z założonymi rękoma. Rozległy się kolejne strzały z tyłu, ale chyba przeszły obok. Niecałe sto metrów przed nimi zamajaczyła para świateł nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu. Ulica była zbyt wąska, by oba mogły się zmieścić. Znajdą się w pułapce.

- Elena...

- Widzę. - Nie zmieniła kierunku, jechała dalej prosto z pedałem gazu wciśniętym do dechy. Ulicę między nimi a nadjeżdżającym samochodem przecinała przecznica prowadząca na północ miasta. Racine, pomyślał. Ale nie było pewności, że dotrą do niej pierwsi. Rozległ się dźwięk klaksonu

z wozu przed nimi. Jadący z tyłu charger też był już coraz bliżej. Jason chwycił się oparcia. Wściekle wrzaski wlewały się przez rozbite okna. Kilka lat temu biały kierowca ciężarówki dostawczej potracił w tej okolicy czarnego dzieciaka. Tłum wyciągnął go z samochodu i zakatował na śmierć przed przyjazdem policji. Jason patrzył, jak światła pojazdu się powiększają, odległość zmniejsza.

Dojechali do skrzyżowania i Cruz odbiła kierownicą w lewo, biorąc zakręt na pełnej prędkości. Siła dośrodkowa rzuciła go na pas. Opony zapisały na asfalcie. Jasonowi mignęły przerażone oczy kierowcy nadjeżdżającego z naprzeciwka buicka, kiedy mijali się o centymetry.

Spojrzał do tyłu i zobaczył, że charger uderzył w buicka. Wycie klaksonu ustało zastąpione przez przypominający mazanie kredą po tablicy odgłos rozdieranego metalu. Szyba pękła i wyleciała, światła reflektorów zawirowały dziko po ścianach rozpadających się domów. Potem charger przewrócił się na bok i ze smugą iskier zniknął z widoku.

Jason odetchnął.

Jechali na północ, cztery cylindry hondy wyły co siłą, z silnika dochodził szcęk, który się Jasonowi nie podobał. Pięćdziesiąt kwartałów dalej Racine zamieniała się w uroczą osiedlową ulicę ze stuletnimi drzewami i domami z piaskowca wartymi miliony dolarów. Ale na południowym odcinku wiła się między zamkniętymi budynkami pofabrycznymi i zachwaszczonymi parcelami zawalonymi czarnymi workami na śmieci. Deszcz pokrywał wszystko śliską warstwą wody.

- Udało się.

Cruz skinęła głową, wypuściła powietrze przez usta. Nie zwolniła nawet przed czerwonym światłem. Kontenery dostawcze zastawiały ciemne parkingi przed wybitymi oknami magazynu. Wjechali na wybój, na ulicę posypało się szkło z rozbitego tylnego okna, zielone kawałki jarzyły się upiornie w świetle obskurnych latarni. Jason usiłował określić w my-

ślach ich pozycję. Ujechali spory kawał po pustych ulicach i prawdopodobnie znajdowali się teraz gdzieś na południowym krańcu Bridgeport. Z tyłu nie było widać reflektorów żadnego samochodu. Przy odrobinie szczęścia drugi wóz też wpakował się w karambol. W najgorszym razie musiałyby zawrócić i objechać dokoła.

Cruz zdjęła nogę z gazu, pozwalając hondzie zwolnić do osiemdziesięciu. Zabrała z kierownicy jedną rękę, zgięła dłoń, poruszyła palcami, potem zrobiła to samo z drugą.

- Ładna jazda, pani funkcjonariusz - Uśmiechnął się, czując jak ogarnia go dobrze znane rozgorączkowanie po walce, pobitewna głupawka. - Uczą was tego w akademii?

Zaśmiała się nerwowo.

- Jezu.

- Święta Mario - skorygował. - Odmawiałaś zdrowaśki.

- Naprawdę? - Potrząsnęła głową. - Nawet nie zauważyłam. Nie modliłam się, odkąd skończyłam szesnaście lat.

- Chyba ktoś cię wysłuchał.

- Na to wygląda. - Wrzuciła kierunkowskaz i skręciła w lewo, w Trzydziestą Piątą.

- Gdzie jedziesz?

- Na autostradę Stevensona. Trochę się oddalić. Rozparł się wygodnie w fotelu. Stamtąd mogli pojechać

w dowolnym kierunku, potem spokojnie zawrócić i spacerkiem wrócić do Washingtona. Światło na opustoszałym skrzyżowaniu było zielone. Po prawej stronie widział ciemną toń rzeki. Wycieraczki szurzały w tę i w tę w dziwnie uspokajającym rytmie.

Niemal pokonali już zakręt, kiedy z całych sił walnął w nich escalde.

Hondę rzuciło do przodu, obróciło, tylne koła oderwały się od powierzchni. Popękana tylna szyba rozprysła się, odłamki szkła posypały się na nich iskrzącym się gradem w zwolnionym tempie. Zobaczył rozmazaną plamę reflektora-

rów oślepiających jak lampa błyskowa. Cały świat się kręcił jak na karuzeli. Przed przednim oknem mignął nierówny i rozkopany teren jakiejś budowy, potem SUV, który ich staranował, metalowa barierka i ziejąca ciemność. Poczł mdłości, kiedy honda uderzyła w barierkę, po części ją wyginając, po części nad nią przelatując i przez chwilę zawisli w urojonym locie, z kołami obracającymi się w próżni.

Potem wyszła im na spotkanie czarna toń.

Siła uderzenia rzuciła Jasona na pas bezpieczeństwa, głowa poleciała mu do przodu, w oczach stanęły świeceki. Przód samochodu rozedrganym łukiem przeorał powierzchnię wody oświetlonej przez jeden działający reflektor. Jason ledwie miał czas pomyśleć, czy będzie zimna, kiedy zaczęła wlewać się do środka przez rozbite okna.

Była zimna.

Z trudem złapał powietrze, potrząsnął głową, oszołomiony. Miał wrażenie, jakby walnął go linebacker, oddech uwiązł mu w płucach, wzrok się zmącił, oczy skakały. Szarpał się z zapięciem pasa, kiedy połyskująca plamami oleju Chicago River wdarła się do samochodu.

Cruz jęknęła.

Popatrzył na nią. Leżała z głową na kierownicy, z czoła sączyła się krew. Machała palcami, jakby oganiała się od owadów.

- Elena? - Woda wdzierała się z niesamowitą szybkością, przelewając się przez drzwi samochodu. Nieporadnymi palcami ciągnął za pas, ale przycisk zwalniający ani drgnął i minęła chwila, zanim się zorientował, że naciska ze złej strony. - Wszystko dobrze?

Jęknęła ponownie, wolno się prostując. W ferworze ucieczki nie miała czasu zapiąć pasów. Oczy miała okrągłe, wzrok nieprzytomny, mokrą grzywkę. Pochylił się w jej stronę i samochód zareagował na ten ruch przechyłem niczym łódź wiosłowa. Woda sięgała już poziomu foteli. Przednia

szyba zaczynała trzeszczeć, błyskawicznie pojawiały się na niej drobne zmarszczki wody.

- Elena. Chodźmy! - Wywróciła szklanymi oczami, potem wykonała kilka przeciągłych mrugnięć, jakby próbowała się skupić. Skinęła głową.

Uwolniony z pasa Jason na wpół wgramolił się na fotel, i macał na oślep wśród plusku wody po tylnym siedzeniu. Niewiele mógł dostrzec w ciemnościach, bolała go wykręcona głowa, tętniąca od napływającej krwi. Natrafił na coś ręką, ale się ześlizgnęła, sięgnął jeszcze raz. Wymacał skórzany bok aktówki wepchnięty pod fotel. Musiała się ześlizgnąć i zaklinować tam podczas uderzenia. Przechylił się, ciężko oddychając, i pociągnął.

Cruz jęknęła, obejrzał się i zobaczył, że znowu leży głową na kierownicy, jakby drzemiąc. Po policzku spływała jej ciemna strużka krwi.

- Elena! - warknął ostro. - Musimy iść.

Ocknęła się, poruszyła i z powrotem osunęła na kółko.

Przednia szyba trzeszczała pod naporem wody. Gdyby pękła, samochód poszedłby na dno jak kamień.

Przechylony przez oparcie trzymał w ręku brzeg teczki. Pociągnął i aktówka trochę się wysunęła, ale zaraz na powrót uwiezia, zakleszczona na dobre, najpewniej rączka się o coś zaklinowała. Ale wyciągnie ją. Był pewien. W trymiga.

Szyba znowu zaskrzypiała. Cruz przestała się ruszać.

Zaklął, puścił aktówkę i pochylił się nad dziewczyną. Szybko obracając rączką, opuścił szybę, napierająca na nią woda zaczęła wlewać się do środka. Cruz sapnęła, czując nagle zimno, otworzyła szeroko oczy. Honda skrzypnęła złowieszczo i szarpnęła do przodu. Na przedniej szybie pojawiła się rysa niczym pęknięcie na lodzie.

Jason chwycił się ramy okna od strony pasażera, nie zwracając uwagi na wbijające się w dłonie kawałki szkła, wygramolił się na zewnątrz i uderzył brzuchem o wodę. W świe-



tle przedniego reflektora rzeka wyglądała jak brudny basen. Wziął głęboki oddech i zanurkował w ciemną toń z zamkniętymi oczyma. Liczył: raz, dwa, trzy, cztery i płynął z rozcapierzonymi nogami, potem z wyciągniętym do góry ramieniem, żeby nie uderzyć się o podwozie samochodu, zaczął się wolno wynurzać. Kiedy poczuł powietrze, mocno machnął nogami i wypłynął obok drzwi kierowcy.

Cruz gapiała się na niego, mrugając, jakby zaskoczona, że tam się znalazł. Honda się zatrzęsała, cała maska była już zanurzona, trzy czwarte jej okna pod wodą. Prawą ręką złapał się ramy, lewą sięgnął po dziewczynę, chwytając ją mocno pod ramię.

- Chodź - powiedział. - Musisz mi pomóc.

Zamrugła, potrząsnęła głową, potem nią skinęła. Poszukała dłońmi ramy okna, zacisnęła pobielale palce na krawędzi. Zaparł się butami o bok samochodu i pociągnął. Zaczęła przeciskać się przez okno. Już prawie trzymał ją całą, kiedy przednia szyba puściła. Woda zalała środek, ciągnąc samochód w dół. Jason machał nogami jak oszalały, podtrzymując Cruz ramieniem, przerażony, że dziewczyna się zaklinuje i pociągnie ich oboje na dno.

I nagle się wydostała, Jason opadł na plecy i ciągnął ją chwytem ratowniczym przez atramentowoczną wodę.

Honda przechyliła się w dół, z wody wystawał już tylko powyginany bagażnik. Opalizujące pęcherzyki powietrza skakały na powierzchni dokoła.

- Nic ci nie jest? - Płynął do tyłu. Prawy brzeg znajdował się bliżej, więc skierował się do niego. Nurt był spokojny, prawie pozbawiony prądu, ten odcinek rzeki stanowił tak naprawdę kanał żeglowny.

- Kręci mi się w głowie - powiedziała.

- Dasz radę pracować nogami?

Zaczęła ciąć wodę nożycami, z początku niepewnie, ale w miarę jak płynęli, coraz mocniej.

Jason popatrzył na most sześć metrów wyżej. Z tej pozycji niewiele mógł dostrzec, ale escalde to duży wóz, gdyby tam stał, pewnie byłoby go widać. Może napastnicy pojechali dalej, nie chcąc się kręcić w pobliżu miejsca wypadku. Droga była pusta, kiedy się zderzyli, ale z pewnością lada moment nadjadą inne samochody.

Escalde. Aż do tej chwili nie miał czasu pomyśleć, co to znaczy.

Prawy brzeg rzeki porastały krzaki, których gałęzie zdobiły plastikowe foliówki i butwiejące buty. Dokoła unosiła się organiczna woń szlamu. Betonowe ściany kanału wznosiły się prawie na metr do góry. Popatrzył na nie, potem na Cruz.

- Dam radę - powiedziała.

Puścił ją ostrożnie. Trzymając się jedną ręką muru, zaczęła płynąć w miejscu. Wziął głęboki oddech, zanurkował, potem machnął nogami i wyrzucił jedno ramię do góry, żeby chwycić się krawędzi ściany. Dostawił drugą rękę, podciągnął się, szorując brzuchem o beton. Wąski pas drzew okalał plac budowy, który mignął mu przed oczyma, zanim wpadli do wody. Jakies czterdzieści metrów dalej stał ciężki sprzęt, kopce usypanej ziemi zasłaniały ich od strony drogi.

Położył się na brzuchu i podał Cruz rękę. Szurała stopami o mur, gdy ją wyciągał, całą ociekającą wodą.

Kiedy znalazła się już bezpieczna na suchym gruncie, osunął się na plecy. Wszystko go bolało i oddychał z trudem. Ale się uratowali. Wbił wzrok w niebo, pozwalając, by obmywał go chłodny, oczyszczający deszcz. Gwiazdy skryły się za chmurami. Cruz leżała obok, dysząc. Jej ramię dotykało jego ramienia, przyjemnie ciepłe w dotyku. Leżał nieruchomo, nie myśląc i ciesząc się tym.

Nagle się zerwała.

- Aktówka. Pokręcił głową. Popatrzyła na niego.

- Przecież sięgałeś po nią, pamiętam.

- Zaklinowała się - powiedział wolno. Przeciągnął dłonią po włosach, wyciągając gałązki. - Pod fotelem. Nie zdołałem wydobyć jej na czas.

Ściągnęła brwi.

- Mogła uratować ci życie i życie Billy'ego. Potrzebowałeś jej. - Luna miasta odbijała się od chmur, oświetlając jej profil i zobaczył, jak pojawia się na nim błysk zrozumienia. - Aleja się nie ruszałam.

Nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał.

Cruz patrzyła się na niego długą chwilę. Potem pochyliła się, przysuwając bliżej twarz. Włosy miała zmierzwione i mokre, a na szyi jakiś przyklejony listek, ale i tak cała jaśniała.

- Dziękuję - powiedziała.

- Zrobiłabyś to samo. Uśmiechnęła się.

- Nie łudź się.

Potem go pocałowała, poczuł chłód jej warg, słodycz języka i jak coś w nim taje, rozluźnia się. Przywra jakby dawała za wygraną i uświadomił sobie, że cokolwiek jeszcze się wydarzy, w cokolwiek przemieni się to coś, co jest między nimi, nie chce tego schrzanić, tak jak chrzanił większość rzeczy. Modlił się, żeby nawet jeśli im nie wyjdzie, była to przynajmniej kłapa innego rodzaju. Obsuwa spowodowana sięgnięciem po coś więcej. Może nawet odważeniem się na zobowiązanie.

Potem usłyszał znajomy głos.

- Migdalicie się tu po tym, jak cudem wygramoliliście się z rzeki - rzucił Playboy złośliwie i z bliska. - To musi być miłość.

## Zaufanie

Powtórka z rozrywki.

Kiedy się spotkali po raz pierwszy, Playboy miał uśmiech na ustach, broń w ręce i zdybał Jasona z zaskoczenia. Teraz, kilka dni później, historia się powtórzyła. Jakby jakiś mały urwis wycinał im ciągle ten sam kawał: już na początku mało zabawny i z każdym powtórzeniem tracący jeszcze na dowcipie.

- Wstańcie powoli. - Miał na sobie dres z jakiegoś błyszczącego materiału i naszyjnik z logo Cadillaca połyskujący na piersi. W prawej ręce trzymał coś, co Jason zidentyfikował jako ruger P40, chromowany z czarnymi okładzinami chwytu. Za nim stało dwóch mężczyzn: jeden wysoki i chudy, prze-stępujący z nogi na nogę, drugi przysadzisty mięśniak z plastrem na nosie. Ten sam bysio, którego Jason potraktował drzwiami samochodu. Powtórka z rozrywki.

Jason wyjął ręce z włosów Cruz, wyciągnął je przed siebie. Obrócił się nieznacznie, żeby wsadzić jedną nogę pod spód, potem podniósł się prosto i lekko. Lustrował okolicę w poszukiwaniu ratunku. Jediną zasłonę stanowiły usypiska spływającej deszczem ziemi za Playboym, spadziste trzymetrowe pagórki, które zasłaniały ulicę. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie rzucić się do rzeki, ale to w ogóle nie była żadna osłona. Tylko w filmach kule nie sięgały ludzi w wodzie.

- Prawdziwy wrzód na dupie z ciebie, wiesz o tym? - Playboy pokręcił głową. - Każdy normalny człowiek grzecznie poszedłby na dno. Nie mogłem uwierzyć, kiedy Curtis - wskazał na wyższego kumpla - powiedział, że widział, jak płyniecie do brzegu. Ale ty jesteś żołnierzem, nie?

- Tak - powiedział Jason cicho. - Zgadza się.

- Kminię. - Pokazał pistoletem. - Wyskakuj z klamy.

- Co proszę?

Playboy przewrócił oczami.

- Broń. Rzuć gnata.

- Nie mam.

Gangsta uniósł rugera na wysokość twarzy Jasona, czarny wylot lufy tkwił naprzeciwko jego oczu pewny i nieruchomy.

- Nie mam.

- Co zrobiłeś z moją berettą?

- DiRisio i jego brudni gliniarze mi zabrali. Playboy zmrużył oczy.

- DiRisio, ta?

- Tak. Ten sam facet, który wynajął cię, żebyś mnie porwał. Ten sam, który zabił mojego brata.

Wiatr poruszał liśćmi rachitycznych drzewek porastających brzeg rzeki. Playboy patrzył na niego badawczo jeszcze przez chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

- Fajna była giwera.

- Jeśli oddasz mi tę, którą trzymasz, kupię ci nową be-rette - rzucił Jason, siląc się na spokój tak jak poprzednim razem, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Ale serce waliło mu w piersi jak oszalałe.

- Raczej nie sędzę. - Wolną ręką wskazał na Cruz. - Wstawaj, siostró.

Cruz zaczęła się podnosić, ale zachwiała się w połowie, nogi się pod nią ugięły, jęknęła i upadła. Próbowwała się podnieść, ale ręce poplątały jej się z kostkami u nóg. Niewie-

le myśląc, Jason rzucił się, żeby jej pomóc. Jeszcze minutę temu wydawała się silniejsza. Zmiana pozycji musiała ją załatwić.

- Myślę, że może mieć wstrząśnienie mózgu.

- Ta? - rzucone znudzonym głosem.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego. Playboy prychnął.

- Człowieku, podnieśże swoją dziunię.

Jason poczuł mrowienie w palcach, dobrze znany bojowy dreszcz. Wiedział już, wiedział na pewno. Playboy ma ich zlikwidować.

Naoglądał się tego do bólu: masowe groby i porzucone ciała, ręce związane albo skute, dwa strzały w głowę. Najpierw sunnici, potem też całe masy szyitów. Zwyczajni ludzie uwikłani w wojnę, której nie chcieli. Ofiary politycznych rozgrywek, porwań dla okupu albo czystego pecha. Porwani w tryby okoliczności i rozerwani na strzępy jak lalki.

Ale świadomość zamiarów Playboya niczego nie zmieniała. Byli sami na pustkowiu, nieuzbrojeni i niemal zupełnie bezbronni. Zacisnął zęby, wsunął rękę pod ramię Cruz i wolno ją podniósł. Nie była lekka. Jej prawa ręka opadła bezwładnie na jego plecy, mocno uderzając.

Playboy przyglądał się im z odległości półtora metra, trzymając bokiem pistolet.

- Źle trzymasz broń.

- Powaga?

- Tak. Odrzut szarpnie ci ręką. Cholera, przy kalibrze 11,43 nim może wałnąć cię w twarz.

- Chcesz się założyć - odciągnął kurek kciukiem - czy wypali?

Krew się Jasonowi ścięła w żyłach. To nie może skończyć się w ten sposób. Nie po to chodził pod słońcem Bliskiego Wschodu, by umrzeć na brzegu jakiejś zasranej rzeki. Nie po to znalazł Cruz, by z nią umierać.

- Dlaczego to robisz? - rzucił, by zyskać na czasie, strzelając na boki oczyma.

- Jeszcze się pytasz, skurwielu? - głos Playboya ciał jak brzytwa. - Po tym, co zrobiłeś? - Podszedł bliżej. - C-Note był dla mnie jak brat. Trzymaliśmy się razem od małego. Zastrześliś go, gdy był w szlafroku i jeszcze na bezczela pytasz, dlaczego to robię?

- Nie zabiłem C-Note'a.

-Taa, a ja jestem jebanym burmistrzem. - Oczy mu płonęły. Zbliżył się, z lufą na poziomie oczu Jasona. - Kochałem tego gościa. Nie wstydzę się tego przyznać. Zrobię wszystko, żeby dostać tych, którzy go zabili.

- Ale to nie my. - Gniew dodawał siły prawdzie w jego głosie. Już sama myśl, że przegrają teraz, gdy zaszli tak daleko, była wystarczająco dołująca. Ale umrzeć za coś, co zrobił morderca jego brata? Okrucieństwo tej ironii porażało. - To DiRisio zabił C-Note'a.

- Człowiek z lufą na czole powie wszystko, by przeżyć.

Cruz jęknęła i zawisła na Jasonie, jakby straciła przytomność. Jej głowa opadła na jego ramię. Chwycił ją mocniej i poczuł, że znowu klepnęła go dłonią w plecy. Było w tym coś dziwnego. Zerknął na nią, spodziewając się zobaczyć rozszerzone źrenice, bladą skórę, klasyczne objawy szoku i wstrząśnienia mózgu.

Ale tylko mrugnęła do niego zza mokrych przysłaniających jej oczy włosów.

- Wiesz co? - Odwrócił się do Playboya. - Masz rację. Błyskawicznie rzucił się w bok. Mignął olśniewający

ogień, kula przecięła miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa. W nagłym blasku zobaczył, że dwóch pozostałych bandytów po omacku sięga do pasa, wyciąga broń i nagle Cruz zrobiła krok do przodu i wbiła w podbródek Playboya lufę małego automatycznego pistoletu.

- Nie wierz w te brednie na filmach - rzuciła spokojnie, prostując się. - To Glock 27. Strzela pod wodą. Nasza mała kąpiel nie zwolni go nawet odrobinę.

Playboy stał jak wrośnięty w ziemię, uzbrojona ręka była odsunięta od boku i celowała w nicość. Jason unieruchomił mu ramię prawą ręką, lewą wyszarpnął rugera i wycelował w jego żołnierzy, którzy stali z wyciągniętymi gnatami. Wyższy przesunął pistolet w tę i w tę z Jasona na Cruz.

W ciszy, która teraz zapadła, Jason słyszał bębnienie deszczu o lustro wody. Ramiona mu się napreżyły, mięśnie niemal dzwoniły z napięcia. Ten wysoki, podrygujący go denerwował.

- Curtis, wyglądasz jak człowiek podejmujący decyzję. Ale wyluzuj na chwilę. Chcę tylko pogadać.

Nic nie odrzekł, ale przestał wymachiwać pistoletem.

- Dobra. - Jason miał nadzieję, że w jego głosie nie słycać zdenerwowania. - Najprościej byłoby teraz, gdybyśmy wszyscy naraz otworzyli ogień. I pewnie wszyscy byśmy tu zginęli, nad tą zasraną rzeką. Ale nikomu by z tego nic nie przyszło. Wiecie dlaczego? Bo to nie my zabiliśmy C-Note'a.

- Ty tak twierdzisz - Playboy stał z na wpół przymkniętymi oczyma, jakby sytuacja średnio go obchodziła.

- Pomyśl tylko, człowieku. Kto cię na mnie najpierw napuścił? DiRisio. I głowę daję, że też on powiedział, że to my załatwiliśmy C-Note'a, co? - Zobaczył we wzroku Playboya potwierdzenie. - Tak właśnie myślałem. A skąd niby mógłby to wiedzieć? Gliny jeszcze nie opuściły miejsca zdarzenia, a on już ma info o tym, co się stało?

- Ulica wie swoje.

- A czy wie także, że DiRisio sprzedaje broń La Raza i Latin Saints? Chyba nie sądziliście, że tylko wam okazuje swoją miłość, co? Zbroi waszych wrogów.

Playboy wzruszył ramionami.

- Ty tak mówisz.



- Chcesz dowodów? - Jason wskazał na rzekę. - Wystarczy trochę popływać. Są na tylnym siedzeniu samochodu, który zepchnęliście z mostu. Mieliśmy je wykorzystać, żeby załatwić DiRisio.

- Nie tylko jego - powiedziała Cruz cicho. - Również umoczonego gliniarza. Toma Galwaya. Rozpracowuje gangi.

- Powaga?

- Powaga. - Jason zrobił krok do przodu. - Zabili twojego kumpla, a potem wysłali cię, żebyś nas załatwił, zanim my załatwimy ich. Ożeż w dupę, nie widzisz? W ten sposób nawet nie muszą sobie brudzić rąk. Zostałeś wpuszczony w maliny, człowieku. Wszyscy zostaliśmy.

Playboy zmrużył oczy, potem sięgnął do kieszeni. Cruz wbiła mu mocniej pistolet w szyję. Spojrzał na nią z góry z nonszalanckim uśmiechem.

- Spokojnie. - Wyjął powoli rękę, odwrócił dłoń, pokazując paczkę mentolowych pall maili i zieloną zapalniczkę. Wyłuskał papierosa i zapalił go swobodnie, dwoma rękoma, jakby relaksował się w klubie, a nie stał nad brzegiem zanieczyszczonej rzeki z pistoletem przy gardle. - Dobra, załóżmy, że nie ściemniasz. Co teraz?

- Zajmiemy się nim.

Playboy pokręcił głową, wydmuchnął dym.

- Nie mogę pozwolić wam stąd odejść. Cruz się roześmiała.

- Nie potrzebujemy twojego pozwolenia. Po prostu odejdziemy.

Pytanie, czy tobie też to się uda.

Playboy wzruszył ramionami.

- Nie peniam się śmierci.

- Wierzę - powiedział Jason. - Ale wierzę też, że nie jesteś głupi. DiRisio zabił twojego przyjaciela. Dostarcza broń waszym wrogom. Jest takim samym problemem dla was, jak i dla nas. Ale ma kontakty, nie zdołacie rozprawić się z nim bezpośrednio. A my tak. Możemy go załatwić. Jego i tego

brudnego gliniarza. - Jason wzruszył ramionami. - Nic wam nie przyjdzie z naszej śmierci.

- Chyba, że wciskacie nam kit.

Jason poczuł ucisk w piersi. To będzie najbardziej ryzykowna część.

- Masz rację. Wkońcu człowiek powie wszystko, gdy jest na muszce. - Głośno przełknął ślinę, potem powoli opuścił rugera. Prąd przebiegł mu po udach, wszystko dokoła drżało od adrenaliny. Jason zaciągnął bezpieczniki kolbą do przodu podał pistolet Playboyowi.

- Żeby była jasność, nie lubię cię, facet. Ale nie jesteś moim wrogiem, a ja nie jestem twoim.

Cruz popatrzyła na niego zszokowana. -Co?

- Wszystko dobrze, Elena. Pozwól mu. - Patrzył Playboyowi w oczy. - No, śmiało. To nie podstęp.

Gangsta popatrzył na pistolet, przeniósł wzrok na Cruz. Miała zaciśnięte zęby, napiętą linię szczęki. Wydawała się nie-przekonana. Nie winił jej, ale mogła wszystko zepsuć.

- Elena - powiedział miękko. - Musisz mi zaufać. Zesztywniała. Widział, że bije się z myślami. W końcu

powoli zrobiła krok do tyłu. Nie wypuściła broni z ręki, ale ją trochę opuściła.

Playboy popatrywał to na jedno z nich, to na drugie. Powieki nadal miał zmrużone, ale już nie w tej sennej pozie, którą wcześniej udawał. Wolno wyciągnął rękę i wziął pistolet.

- Daję ci go, bo chcę, żebyś wiedział, że nie kłamiemy - spokojnie odezwał się Jason. - Nie zabiliśmy C-Note'a. - Serce waliło mu jak oszalałe. Bezpiecznik opóźni Playboya na tyle, by zdążył go obezwładnić, ale problemem byli dwaj pozostali gangsta. Liczył, że pójdą w ślady szefa. Bo jeśli nie...

Playboy wziął ostatniego macha, potem pstryknięciem odrzucił peta. Trzymał pistolet przy boku, swobodnie. Od-

chylił do tyłu głowę, by deszcz spływał po jego ogolonej czaszce.

- I zajmiecie się DiRisiem?

- I Galwayem. I całą resztą, która w tym siedzi.

- Jeśli zrobicie mnie w bambuko...

- Teraz jesteś głównodowodzącym - powiedział Jason. - Masz pod sobą setkę żołnierzy. Wiemy, co się stanie, jeśli cię zrobimy w bambuko.

Mężczyzna wolno pokiwał głową.

- Ja myślę. - Zatknął rugera z tyłu za pas i Jason zaczął z powrotem oddychać.

I wtedy bysio odbezpieczył swoją broń.

- Pierdolę to. Zakończmy sprawę. - Stojący obok Curtis przytaknął z bronią wycelowaną w pierś Jasona. Cruz podniosła glocka, trzymając go pięknie, w obu dłoniach, szeroko rozstawiwszy nogi w klasycznej pozycji strzeleckiej.

- Nie. Gościu ma rację. Poza tym - Playboy posłał im kwaśny, okrutny uśmieszek - zawsze możemy go znaleźć. I jego małego bratanka.

Jason poczuł, jak usta mu drgnęły, siłą woli powstrzymał się od zaciśnięcia rąk w pięść. Bysio rzucił:

- Mówię, że...

- Pytał cię ktoś o zdanie, waflu? - Playboy spiorunował go wzrokiem. - Kolo, moje mendy są bardziej kumate od ciebie i ty chcesz mi mówić, co robić?

- Nie, ale...

- Ale co, pizdo?

Bysio się wyprostował, nozdrza mu się rozszerzyły. Spojrzał na Playboya spode łba. Twarda wymiana spojrzeń między twardzielami. Jason wiedział, że jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, sytuacja zrobi się nieciekawa. Polecą kule, każdy będzie strzelał do każdego, Bóg jeden wie, kto dostanie.

W końcu bysio odwrócił wzrok.

- Twoja sprawa.

- Żebyś, kurde, wiedział, że moja. - Playboy patrzył na niego jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się do Jasona. - Dla jasności, też cię nie lubię. - Sięgnął do kieszeni, wyjął papierosy, wolno wytrząsnął jednego, podniósł do ust, zapalił bikiem. - Ale wywiąż się, a mamy zgodę.

- Ale jeśli któryś z was spróbuje jeszcze raz zasadzić się na mnie czy moich bliskich, będzie wojna.

- Zrób, co trzeba, a nie będę musiał. - W oddali rozległo się wycie syreny. Playboy obejrzał się przez ramię. - Dobra, a teraz wyświadczyć sobie przysługę i poczekaj tu chwilę. Bo jeśli zobaczę, że za nami lezicie, mogę to źle zinterpretować.

Jason skinął głową.

Playboy odwrócił się i odszedł, jego buty do biegania zostawiały głębokie doły w miękkiej ziemi. Curtis i bysio ruszyli za nim, tyłem z wyciągniętą bronią. Jason stał z gęsią skórką na ciele, dopóki nie zniknęli mu z oczu.

Potem odetchnął głęboko.

- Jezu.

Cruz wbiła w niego wzrok.

- Skąd wiedziałeś, że to zadziała?

- Playboy ma się za żołnierza. Dopóki byliśmy górą, w życiu by nie ustąpił. Co innego gdy rozmawiamy jak równy z równym, żołnierz z żołnierzem o obustronnie korzystnym sojuszu.

Pokręciła głową.

- Chłopcy. Wszyscy jesteście małymi chłopcami z bronią.

- Dopiero teraz się zorientowałaś? - Jason rozluźnił ramiona. Poczul tę dobrze znaną mieszaninę lekkości, ulgi i resztek napięcia. Wycie syreny narastało. Rozprawa z Playboyem była tylko małym przerywnikiem. Prawdziwa rozgrywka dopiero ich czekała. A teraz nie mieli dowodów, żeby się zabezpieczyć.

„Jeden krok naraz. Tak się maszeruje, żołnierzu”.

- A skoro mowa o broni... - Popatrzył na nią znacząco - Przez całe dwa dni utyskiwałem, że żadnej nie mamy i przez całe dwa dni ani się nie zająknęłaś o swojej.

Cruz wzruszyła ramionami. Podciągnęła nogawkę spodni i pochyliła się, żeby wsadzić glocka do kabury na kostce, z której wcześniej go wyciągnęła, gdy udawała, że mdleje. Kiedy się wyprostowała, uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Pracuję nad swoimi problemami z zaufaniem - powiedziała.

## Zabawki

Chłopiec bawił się pistoletem i na ten widok coś go w środku skręciło.

Billy opierał się o ciężkie dębowe biurko, które stało w tym pokoju, odkąd tylko Washington pamiętał. Kulił się w klasycznej pozie przyczajenia, pistolet trzymał oburącz w wyciągniętych dłoniach. Okna tonęły w ścianie deszczu, po szybie wolno przesuwały się żółte światła reflektorów jakiegoś pojazdu. Billy wodził za nimi pistoletem, wolno i pewnie. Nacisnął spust: raz, dwa, potem trzycztery pięć.

- Mam cię - wymruczał i zakrecił pistoletem.

„To tylko zabawka, staruszkule - powtarzał sobie Washington. - Nie możesz wszystkim ich zabrać”. A jednak ten widok go niepokoił. Nie potrafił dokładnie wyjaśnić dlaczego. Może po prostu napatrzył się na zbyt wielu chłopców z prawdziwymi pistoletami w dłoni. Zabębnił palcami w futrynę drzwi.

- Jak się czujesz, synu?

- Wszystko dobrze.

- Co robisz?

- Bawię się. - Billy odszedł od okna i przysiadł na skraju łóżka. - Należał do wujka Jasona. Widzisz? - Uniósł pistolet.

Washington się pochylił, żeby przeczytać napis na uchwycie. Łatwiej byłoby podnieść pistolet do oczu, ale nie

chciał dotykać nawet zabawkowej broni. Może to śmieszne, a może nie. Wychodzący z nałogu alkoholicy nie wmawiają sobie, że piwo niskoalkoholowe im nie zaszkodzi. Przynajmniej jeśli chcą wyjść z nałogu.

- Tu jest napisane „Michael Palmer”.

- Wiem, ale jest przekreślone. Wujek Jason wygrał go od taty w zakładzie. - Billy trzymał pistolet w obu dłoniach. - Może kiedy będę duży, zostanę żołnierzem, tak jak on.

Kolejne ściśnięcie w żołądku, mocniejsze.

- Może.

Billy popatrzył na niego z przechyloną głową.

- Jakoś dziwnie mówisz.

- Nie lubię pistoletów.

- Bo są niebezpieczne? - powiedział chłopiec z rozbijającą niefrasobliwością dziecka.

Washington przykucnął na skraju łóżka, słysząc stary zimny zew świszającego metalu, syrenią pieśń, która wyła w nim czysta, pewna i słodka te wszystkie lata temu. Jak zawsze poruszyła go, wstrząsnęła, przeniosła myślą wstecz. Westchnął, przechylił głowę.

- Pamiętam, jak byłem w twoim wieku i myślałem, jak fajnie to wszystko wygląda w telewizji, ludzie strzelający do siebie nawzajem. Ale tylko w telewizji to wydaje się takie proste. W rzeczywistości nie można ot, tak zabić kogoś złego.

- Dlaczego nie? - Billy patrzył na niego z powagą. - Jeśli się wie, że jest zły?

- Cóż, choćby dlatego, że niełatwo to poznać. - Deszcz padał miarowo i wolno, zatapiając świat. - Czasami ludzie, których bierzemy za jakichś tam, są w rzeczywistości zupełnie inni. Ronald był kiedyś złym człowiekiem. Ja też.

- Ty byłeś złym człowiekiem?

„Huk i gorący odrzut w dłoni. Chłopiec z kalafiorowatym uchem obraca się wolno w ostatnim piruecie, oczy patrzą już martwo.

Dług, którego nigdy nie spłaci".

- Tak - powiedział cicho. - Owszem. Byłem złym człowiekiem.

Billy gryzł wargę.

- A jeśli ktoś jest naprawdę zły? Nie tak jak ty czy Ronald, tylko naprawdę zły?

Washington usłyszał prawdziwe pytanie kryjące się za tymi słowami, rozumiał, że mały pyta o ludzi, którzy zamordowali mu ojca. I bardzo go kusilo, by powiedzieć, że jednak człowiek nie może podejmować takiej decyzji. Że ludzie się zmieniają, że można ich zmienić. Że ze zła może powstać dobro. Ale nie chciał okłamywać tego chłopca.

- Nie wiem, synu. Nie mam dla ciebie odpowiedzi. Wiem tylko, że nie lubię broni.

Billy wolno pokiwał głową.

- Ale - powiedział Washington, wstając - to nie znaczy, że nie możesz się bawić swoją zabawką. Choć teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład przyszykować cię na wieczór. Pomóc ci się przebrać?

- Nie. - Bill położył pistolet na łóżku i podszedł do szafy. - Sam umiem to zrobić.

- Na pewno? - Washington poprawił muszkę przed lustrem. Odkładał wypożyczenie smokingu na ostatnią chwilę, ale musiał przyznać, że teraz czuł się w nim doskonale. - Z przyjemnością ci pomogę, żebyś prezentował się tak elegancko jak ja.

Billy pokręcił głową, wyciągnął plastikowy pokrowiec na ubranie.

- Założyłeś to do góry nogami.

- Hmm? - Washington zerknął w dół. - Co? Chłopiec pokazał na jego brzuch.

- To coś.

- Pas? - Założył go tak, jak mu się wydawało sensownie, zakładkami do dołu, co nadało całości sznytu. - Nie wydaje mi się.



- Właśnie że tak - Billy pokiwał stanowczo głową. - Zakłada się go na odwrót, tak żeby te fałdy szły do góry. Mają łapać okruszki.

Washington parsknął. Ach, te dzieci.

- Okruszki, powiadasz?

- Mhm. Tak mi powiedział ten pan w sklepie. A w kieszeniach są dziury.

- Dziury?

- Żeby obciągać koszulę.

Rozbawiony Washington wsunął ręce do kieszeni. Ani mu się śniło słuchać ubraniowych porad ośmiolatka, a już na pewno nie w kwestii smokingu...

Niech go diabli, jeśli w środku nie było dziur.

## Żołnierze

To zawsze był zły znak, kiedy czuło się własny zapach.

Cruz uśmiechnęła się przepaszająco do kierowcy autobusu, starając się ze wszystkich sił nie wyglądać na wariatkę. Sądząc po tym, jak zmarszczył nos, nie udało jej się. Włosy miała rozczochrane, twarz brudną i posiniaczoną, zakrzepły pasek krwi w miejscu, gdzie uderzyła czołem o kierownicę. Skóra ją swędziała i nawet nie chciała myśleć od czego, a jej dzinsy i letni sweter były nieświeże już od dwóch dni, zanim jeszcze wpadli do rzeki.

- Prawdziwa nawałnica, co? - powiedziała i wsunęła do czytnika swoją transportową kartę płatniczą. Cienka strużka brązowej wody wylała się z portfela i rozprysła na podłodze.

- Tak - powiedział kierowca i odwrócił wzrok.

Ruszyli jasno oświetlonym przejściem między siedzeniami. Minęli parę dziewcząt w szpitalnych uniformach, staruszka śpiącego z otwartymi ustami, dwójkę roześmianych nastolatków, lecącą z nóg matkę czwórki dzieci. Tak daleko na południe jasnoskóra Latynoska i biały mężczyzna normalnie przyciągaliby spojrzenia, ale wszyscy pasażerowie wynajdywali sobie powód, by patrzeć gdzie indziej w obawie przed szaleństwem, które ewidentnie opętało tę dwójkę. Tyl-

ko dzieci gapiły się z oczyma jak spodki. Trzęsąc się w mokrym ubraniu, Cruz usiadła w tylnym rzędzie, gdzie dolatywało ciepło silnika. Jason stał, zaciskając do białości palce na słupku. Niby się nie ruszał, ale sprawiał wrażenie człowieka, który chodzi gniewnie w tę i we w tę. Coś w jego zachowaniu napawało ją strachem: nie przed nim, a o niego.

- O czym myślisz? Potrząsnął głową.

- O wojnie?

Drgnął mu mięsień policzka. Wbił wzrok w ciemne okna.

Wzruszyła ramionami. Bolała ją szyja i głowa i nie miała nastroju na zgaduj-zgadulę. Widziała horyzont na wschodzie, światła Sear's Tower tonące w rozświetlonej chmurze. Maleńkie refleksy miasta połyskiwały w każdej kropelce na szybie.

- Wiesz, zaskoczyłeś mnie. Pozwalając Playboyowi odejść.

- Chciałem go zlikwidować. - Pokręcił głową. - Kiedy przypominam sobie, jak był w domu Michaela, mówił o zabiciu Billy'ego...

- Nie pozwoliłabym ci.

- Nie to mnie powstrzymało.

- Co w takim razie? Odpowiedział dopiero po chwili.

- Jest tylko pionkiem. - Usiadł obok niej z grzywką opadającą mokrymi strakami na czoło. - Zabicie go po prostu...

- Nic by nie zmieniło?

Pokiwał głową, patrząc przed siebie.

- Mamy przechlapane, wiesz o tym? -Taa.

- Może... - Podrapała się po karku. - Może czas rozważyć wyjazd.

- Gdzie?

- Nie wiem. Wynając gdzieś domek. Zniknąć z oczu. Pokręcił głową.

- Byłaś w serwisach informacyjnych, pamiętasz? Jeśli uciekniesz, już się z tego nie wywiniesz.

- Nie mówiłam o sobie.

Spojrzał na nią badawczo. Nie uciekła wzrokiem. Nawet uszlajany jak nieboskie stworzenie, wyglądał dobrze: silna szczeka, ładne rysy, chłopięca energia. Patrzył na nią bez słowa przez chwilę. Potem ujął jej dłoń, splótł palce ze swoimi. Westchnął.

- Nigdy nie złapali snajpera. -Co?

- Tego, który zastrzelił mojego przyjaciela - rzucił słabym, cichym głosem. - Tak dobrze pamiętam ten dzień. Szkarłatny zachód słońca, spękany beton, brązowe oczy tego dziecka w karetce. Ale nie potrafię, nijak nie mogę... nie wiem, gdzie był ten snajper. Mógł siedzieć na dachu nawet kilka ulic dalej. - Wzruszył ramionami. - Czasami go sobie wyobrażam, próbuję zgadnąć, jak wyglądał, co myślał, kiedy naciskał spust. Człowiek, któremu zaraz wyjdzie strzał nie z tej ziemi. Pewnie też miał się za żołnierza. Broniącego ojczyzny. Czasami wydaje mi się, że wszyscy uważają się za żołnierzy.

Wodziła dłonią po stwardniałych opuszkach jego palców.

- Chcesz znać prawdziwy powód, dla którego nie mówiłem nikomu o tym, co się stało? Bo bałem się pytań. - Nozdrza mu się rozszerzyły, ton głosu zmienił. - Nie, nie pytań. Jednego pytania. Oczywiście. - Popatrzył na nią. - Wiesz jakiego?

Milczała.

- Oczywiście, że wiesz. Jak u licha mogli mnie zwolnić za to, co się stało. Tak, zabrałem ludzi z akcji, i to błąd. Ale byłem podoficerem, dowódcą drużyny. Mamy reagować na

zmieniające się okoliczności. Na tym polegała moja praca. No a że straciłem człowieka... cóż, to tragiczne, ale zginął z rąk rebeliantów. Może podjąłem wątpliwą decyzję, ale nie w złym zamiarze, czy nie przez zaniedbanie. Więc jak to mogło doprowadzić do mojego zwolnienia? Jesteś przecież inteligentna - nie dziwiło cię to?

Starła się niczego po sobie nie pokazać.

- Może trochę.

- Sama widzisz.

- Chcesz, żebym spytała?

Ruszał zębami jakby, żuł gumę. Milczał. W końcu powiedział:

- Wmawiałem sobie, że to była wina mojego porucznika. Że mnie nie wsparł. Ale to nieprawda. Prawda wygląda tak, że się załamalem.

- To znaczy?

- Pogubiłem się. Nie mogłem znieść myśli o tym, że ktoś jeszcze może zginąć pod moim dowództwem. Śnił mi się Martinez i kiedy następnego dnia rano musiałem wyjść z drużyną, byłem do niczego. Chodząca panika. Wymigiwałem się od misji pod byle pretekstem, albo i bez. Cholera, udało mi się nawet zacząć popijać, co nie jest łatwe w islamskim kraju. To już nie te stare dobre czasy, szeregowcy wciągający towar przez lufy strzelb. Przestraszyłem się odpowiedzialności i myślałem tylko o sobie. - Westchnął. - I to stanowiło zagrożenie dla innych. Należało mi się zwolnienie. To była słuszna decyzja. Taka jest prawda.

Otworzyła usta, zamknęła. Przez głowę przemykało jej tysiące odpowiedzi i żadna nie wydawała się dobra.

- Rozumiem, co proponujesz, co chcesz zrobić - powiedział. - I doceniam to. Aleja się nie wycofam. Nie mogę.

- Nie mówię...

- Nie chodzi o ciebie. - Pokręcił głową. - Spieprzyłem tyle rzeczy. Nie tylko na wojnie. Przez całe życie uciekałem

przed odpowiedzialnością. Cholera, gdybym się do niej poczuwał, może Michael nadal by żył.

- Nie ma podstaw, by tak uważać.

- Myślę, że są. Ale to już bez znaczenia. Tak czy siak, mam już dość migania się od tego, co konieczne. Stać mnie na więcej. Jestem to winien sam sobie. I Michaelowi. A już na pewno Billy'emu.

Autobus wjechał na wybój i Cruz stanęły w oczach świece. Ostrożnie pomacała czoło palcami. Skóra była opuchnięta i tkliwa niczym ciepłe mięso. Nie pamiętała uderzenia o kierownicę, nie pamiętała nawet samego upadku. Tylko zderzenie, które wyrzuciło ich z mostu, a zaraz potem wodę, taką zimną, pękający ból w głowie i brak Jasona. To była jej pierwsza myśl, kiedy zaczęła wracać do siebie: zupełny brak zaskoczenia, że go nie ma.

I nagle pojawił się przy jej oknie i ją uwolnił za cenę najbardziej potrzebnej mu rzeczy.

- Okay - powiedziała.

- Okay?

- Zróbmy to. - Starła się zawrzeć w swoim spojrzeniu wszystko, o czym myślała. Zdrady, żarty, samotność. Miesiące - lata - przez które nie dopuszczała do siebie nikogo bliżej, organicznie do tego niezdolna. Mnóstwo rzeczy jak na jedno spojrzenie, ale czasem słowa zabijają myśl.

Patrzył jej w oczy, potem uśmiechnął się wolno.

- Okay.

Za oknami autobusu paliły się neony reklamujące taque-rie i kantory wymiany. Deszcz zaczynał słabnąć.

- To jaki mamy plan? Jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Niezupełnie. Teraz wiemy już, co się dzieje.

- Ale to niewiele nam pomoże. Nic nie wskóramy, informując media bez dowodów. Wezmą nas za pojebów.

- A ten radny? - Jason potarł zarost na podbródku. - Mówiłaś, że jest w porządku.

Wzruszyła ramionami.

- To co, wparujemy do jego gabinetu i powiemy mu, ot tak, co widzieliśmy?

Patrzył na nią z dziwnym blaskiem w oczach, jakby zdradziła tajemne hasło.

- Nie - powiedział. - Nie do gabinetu.

## Coś wariackiego

- Czuj się jak u siebie - powiedział Jason, otwierając drzwi. Jego kawalerka wyglądała tak jak wtedy, gdy ją opuszczał: żaluzje były podniesione, pościel w nieładzie. Miseczki na płatki śniadaniowe nadal stały tam, gdzie zostawili je z Biłbym po śniadaniu. Przypomniał sobie uśmiech bratanka na wieść, że może zostawić naczynia na stole, zamiast opłukać je i wstawić do zmywarki, jak to robił w domu.

- Jesteś pewien, że jesteśmy tu bezpieczni?

- Wątpię, żeby wiedzieli, gdzie mieszkam. Płacę gotówką, z miesiąca na miesiąc. Tak jak mówiłem, unikanie odpowiedzialności.

Skinęła głową, rozejrzała się.

- Ładnie tu.

- To nora - powiedział. - Wynająłem ją po powrocie. Nie byłem pewien, czy zostanę w Chicago.

- A niby gdzie byś pojechał?

- No i tu jest pies pogrzebany. - Rzucił klucze na stół, podłączył komórkę, żeby się ładowała. - Łazienka jest tutaj. Poszukam dla ciebie czystego ręcznika. I musimy skombi-nować ci jakieś ubranie, jeśli mamy to zrobić. Coś eleganckiego.

- Będą obserwować moje mieszkanie.



- A nie masz jakiejś koleżanki, znajomej, która mogłaby ci coś pożyczyć?

Cruz przechyliła głowę.

- Ruby, moja przyjaciółka, mieszka w Wicker Park. Zmusiła mnie, żebym jako drużna wystąpiła na jej ślubie w sukni w odcieniu fuksji i butach pod kolor. Chyba jest mi coś winna.

- Myślisz, że pożyczy nam samochód?

- Jeśli tylko nie wspomnimy, co się stało z ostatnim.

Zaatakował go, kiedy otworzył szafę.

Cruz pozwoliła mu pierwszemu wejść pod prysznic, mówiąc, że sama chce wziąć kąpiel, kiedy będą czekać na jej przyjaciółkę. Czuł się trochę niezręcznie, nie wiedział, czy powinien zamknąć drzwi i w ogóle. Wydarzenia znad rzeki i z autobusu nie pozostały bez wpływu na ich relację. Zbliżyły ich. Postanowił, że zamknie drzwi, ale nie na klucz.

Włazience namydlił się i wyszorował, usuwając chyba po-nadcentymetrową warstwę brudu i potu. Wyszedł spod prysznica jak nowo narodzony, przewiązał się ręcznikiem w pasie i otworzył drzwi. Elena uśmiechnęła się, przechodząc obok i przeciągnęła dłońią po jego nagim brzuchu. Przygotowała sobie kąpiel, nucąc jakąś wysoką, słodką melodię i Jason pomyślał, że nie miałby nic przeciwko, by słuchać jej głosu dłużej.

Potem otworzył szafę i zaatakował go pokrowiec na ubrania.

W środku panował porządek: koszulki i dzinsy leżały starannie złożone na półkach, skarpetki i bielizna w pojemnikach niżej, rzeczy do prania w koszu stojącym w rogu. Na pręcie wisiały dwie pary spodni, wiatrówka, garnitur, trzy krawaty i pokrowiec na ubranie. Nie dotykał go, ani nawet na niego nie patrzył, odkąd powiesił go tu trzy miesiące temu. Jakby wypracował sobie miejscową ślepotę, klapki na oczach, które go zasłaniały.

Plastik był chłodny w dotyku. Jason zaniósł pokrowiec na łóżko i położył jak ksiądz rozkładający liturgiczne szaty. Kanty nadal były jak brzytwa. Na lewej piersi wisiały baretki, nad jego odznaką strzelca wyborowego - srebrną, nie złotą, co go martwiło jako podoficera - a niżej bojowa odznaka piechoty. Szewrony sierżanta były naszyte na rękawach. Pod marynarką znajdowały się dwie jasnozielone bawełniane koszule, spodnie i czarny krawat.

Nie miał na sobie munduru wyjściowego od chwili, kiedy wyszedł z Sekcji ds. Zwolnień, ze słowem „nieprzydatność” dzwoniącym w uszach, suchością w spragnionych burbonu ustach. Zakończył swoją skróconą służbę w mundurze polowym, spakował plecak, wsiadł na pokład samolotu lecącego do Kuwejtu, potem do Niemiec, potem do Atlanty i wreszcie do Chicago. Wrócił do domu, jak się okazało tylko po to, by się przekonać, że na starych śmieciach toczy się ten sam rodzaj wojny jak ta, z której go odesłano. Takie same mroczne sojusze i żądza władzy, takie same kłamstwa i niedopowiedzenia, tacy sami szarzy, Bogu ducha winni ludzie pod ostrzałem.

Przebiegł palcami po tkaninie. Wydawało się to słuszne. Poszedł do szafy, żeby założyć garnitur. Ale czym jest dla niego garnitur?

W końcu nie musi służyć w armii, żeby być żołnierzem.

Zapukał do drzwi łazienki i powiedział Cruz, że idzie po jedzenie, potem wyszedł schodami przeciwpożarowymi na ulicę. Na widok munduru mężczyźni wystający na rogu skinęli głowami. Odpowiedział na pozdrowienie, przeszedł obok punktu udzielania pożyczek chwilówek do włoskiej befsztykami.

- Dwa miksy, soczyste i pikantne.

- Frytki?

- Z serem. - Od zapachu tłuszczu zaburczało mu w brzuchu.

Zaniósł torbę z daniami na wynos, dwie puszki coli i trzycentymetrowy stos serwetek do mieszkania. Włożył miseczki po płatkach do zlewu, wytarł stół kuchenny i wyłożył jedzenie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie przyrządzić sobie drinka, ale uznał, że nie chce. Zresztą i tak nie mógł sobie pozwolić na alkohol - padał z nóg ze zmęczenia i whisky mogła tylko pogorszyć sytuację. Usłyszał, że otwierają się drzwi i z łazienki wyłoniła się Cruz. Szczeka mu opadła.

- Ożeż - powiedział tylko.

- Ruby przyszła, kiedy cię nie było. Podoba ci się? Miała na sobie sukienkę z cienkiego materiału, czarną

w szkarłatne róże, która opinała ściśle jej ciało, podkreślając krągłość piersi, wypukłość kości łonowej. Zatuszowała makijażem siniak na czole i wysoko upięła wijące się włosy czymś, co przypominało kształtem chińskie pałeczki, ukazując pełną gracji szyję i obojczyk.

- Wyglądasz zachwycająco.

- Dziękuję. Ty też się nieźle prezentujesz, żołnierzu. Chcesz zobaczyć najlepsze?

- A to nie jest najlepsze?

Uniosła czarną kopertówkę, uśmiechnęła się kokieteryjnie i wyciągnęła glocka 27. Wybuchnął śmiechem.

- Chodź, jedźmy.

Odsunął jej krzesło i skromnie zajęła miejsce. Cała sytuacja była trochę surrealistyczna, taka króciutka chwila odpoczynku od szalonego świata, i postanowił cieszyć się tymi kilkoma minutami. Usiadł obok niej przy swoim nędznym kuchennym stole, z namaszczeniem nalał jej coli, jakby raczył ją winem.

- Dziś wieczorem szef kuchni poleca frytki z serem vel-veeta: starannie wyselekcjonowane części ziemniaków cudownie ugotowane w dwudniowym tłuszczu i oblane czymś żółtym. Godny uwagi jest także miks mięsny, chicagowski

klasyk: pikantna kiełbaska w kajzerce, przykryta pięciocen-tymetrową warstwą krojonej wołowiny w sosie bulionowym, zwieńczona marynowaną papryczką. Wskazane jest jedzenie palcami.

- Mmmm - powiedziała, sięgając po sandwicza. - Uwielbiam mężczyzn, którzy wiedzą jak się traktuje damy. - Ugryzła kawałek i żuła z rozmarzeniem, przymykając oczy. - Chyba nigdy jeszcze nie jadłam czegoś równie pysznego.

- To jak na biwaku. Wszystko smakuje lepiej, gdy trzeba się o to natrudzić. - Nachylił się do przodu, by gorący sos nie pobrudził mu munduru.

- Postaram się o tym pamiętać, kiedy następnym razem będę uciekała z tonającą hondy.

Zabrali się poważnie do rzeczy, pałaszując w wizytowych strojach śmieciowe jedzenie w świetle jarzeniówek. Skończył pierwszy i odchylił się do tyłu, by popatrzeć na nią: jej palce błyszczące od tłuszczu, usta wysmarowane serem. Kiedy zjadła, zgmiotła woskowany papier i przystąpiła do oblizywania palców.

- Wiesz, ten plan... - upiła łyk coli, trzymając szklankę w dłoniach - to tak naprawdę żaden plan.

- Raczej pobożne życzenie - zgodził się. - Masz jakiś lepszy pomysł?

- Nie. Ale nawet jeśli będziemy wymyśli i elegancy, nie daję głowy, że nie weźmie nas za wariatów.

Wzruszył ramionami, wziął serwetkę i wytarł palce.

- Możliwe. Ale możemy powiedzieć mu dokładnie, co i gdzie ma sprawdzić. Mówiłaś, że to porządny koleś, cięty na przestępców i oddany swojemu okręgowi. To go powinno poruszyć.

- Jeśli nam uwierzy.

- Jeśli nam uwierzy. - Wrzucił serwetkę do kosza, odchylił się na krześle. Przez chwilę miał ochotę zaproponować, żeby to wszystko odwołali i spędzili noc w łóżku. Nawet nie

po to żeby się kochać, uświadomił sobie, czując obolałe ciało, a po prostu wyspać.

- A skoro mowa o wariatach, któregoś dnia, gdy już się z tego wykaraskamy, zrobię chyba coś jeszcze bardziej wariackiego.

- Co niby? Uśmiechnął się.

- Zaproszę cię na randkę.

## Trzęsienie ziemi

Ich chwila wytchnienia dobiegła końca.

Jason czuł to w piersiach. Oddychanie znowu stało się czynnością świadomą, czymś, o czym musiał pamiętać. Bez względu na to, jaka kosmiczna moc podarowała im tych kilka chwil spokoju i odpoczynku, już się rozmyśliła.

Swissotel okazał się pięćdziesięcioletnim szklanym trójkątem wciśniętym między Chicago River a jezioro Michigan. Znajdował się poza zasięgiem finansowym Jasona, ale ponoć był ładny: panoramiczne widoki, nowoczesny wystrój, basen na dachu. Żadna z tych pokus go teraz nie obchodziła.

Obchodziły go trzy radiowozy zaparkowane przed hotelem sześć metrów od nich.

- A czego się spodziewałeś? - spytała Cruz. - Nie tylko radny się tu zjawi. To jest bal charytatywny z miejscami po dwieście dolców od talerza. Ci ludzie to elita. Pomagać biedocie to jedno, ale jeść z nią to zupełnie co innego.

- Gdzie będą ci gliniarze?

Cruz wyjrzała przez przednią szybę pożyczonego samochodu, rozklekotanego fordka taurusa z żółtą naklejką „Popieram puste gesty” na zderzaku.

- Umundurowani w holu, prawdopodobnie kilku po cywilnemu na górze.

Jason skinął głową, napięcie przyspieszyło mu tętno, wyostrzyło wzrok.

- Posłuchaj, ostatnia szansa. To jedyny sposób, jaki mi pozostał, żeby uwolnić od tego Billy'ego. Muszę to zrobić. Ale ty nie.

Pochyliła się i pocałowała go: miękko, bardziej krzepiąco niż zmysłowo. Oderwała usta, ale stała przez chwilę z dłonią na jego policzku i opuszczonymi powiekami. Potem popatrzyli sobie w oczy.

- Bomba w górę, żołnierzu.

Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi. Po plecach przebiegały mu dreszcze, ale na twarzy malował się spokój i uśmiech. Boy zabrał kluczyki od samochodu w zamian za bilet, który Cruz wsadziła do torebki. Jason obciągnął delikatnie mundur i podał jej ramię. Weszli razem do holu.

Wystrój był typowy dla ekskluzywnego amerykańskiego hotelu: stonowany dywan w tureckie wzory, polerowany mahoń, żółte światło mosiężnych kinkietów. Umiejętnie porozstawiane szare i beżowe sofy, zajęte przez gości w kosztownych butach. Po jednej stronie marmurowego kontuaru stała atrakcyjna blondynka w roli konsjerżki.

Po drugiej stali gliniarze.

Mieli na sobie niebieskie kamizelki kuloodporne i torsy wydatne od uzbrojenia. U pasa wisały im radia, kajdanki, zasobniki na amunicję i breloki na klucze, ale Jason widział tylko broń, którą nosili. Zatrzymał się w drzwiach, obrócił bokiem, zasłaniając Cruz przed ich spojrzeniami.

- Znasz ich?

Cruz rzuciła ukradkowe spojrzenie nad jego ramieniem.

-Nie.

Skinął głową, przeczesując wzrokiem hol i starając się jednocześnie sprawiać wrażenie człowieka obeznanego z cha-lytatywnymi obiadami: syna prominentnego biznesmena,

który przystanął na chwilę, by porozmawiać ze swoją partnerką. Przy obudowanym kominku opodal wejścia stało dwóch kolejnych policjantów.

Policja z przodu, policja z tyłu. Serce miał w gardle, choć powtarzał sobie, że to niemożliwe, by to oni byli celem. Funkcjonariusze są tu tylko po to, by zapewnić rutynową ochronę, dopilnować, by impreza z udziałem politycznego prominenta przebiegła bez zgrzytów. Żadnych świrów, żadnych byłych podwładnych z pretensjami. Wystarczy, że Jason zachowa spokój.

Jego spojrzenie padło na mosiężny słupek z wywieszką u góry:

Obiad charytatywny na rzecz Latarników Apartamenty Szarotka 43 piętro

- Dobra - rzucił i ruszył. Cruz szła z boku, trzymając go nadal pod ramię. - Pod latarnią zawsze jest najciemniej.

-Tak.

- Nikt nas tu nie będzie szukał. -Tak.

- Po prostu przejdziemy sobie obok nich. -Tak.

Szedł z mięśniami napiętymi do granic możliwości. Uwierał go przyklejony do ust nienaturalny uśmiech, sztywny kościotrupi grymas, który miewał na wszystkich zdjęciach. Policjanci byli spokojni, ale nie rozluźnieni. Lustrowali wzrokiem tłum. Najwyższy, z obwisłymi policzkami i wąsem, popatrzył na Jasona.

„Uciekaj”, zawyło jego ciało. „Natychmiast”.

Ale tylko skinął mu nieznacznie głową i popatrzył na Cruz.

- Mam nadzieję, że nie spóźniliśmy się na obiad - powiedział. - Umieram z głodu.



Nawet nie mrugnęła okiem.

- Jestem pewna, że coś nam podadzą. Oby tylko dostał nam się lepszy stolik niż poprzednim razem.

- Myślisz, że radny jeszcze będzie?

- Mam nadzieję. Bardzo chciałabym się z nim zobaczyć. Zbliżyli się do policjantów na tyle, że czuli zapach wody po goleniu jednego, cytrynowej i taniej. Jason skupiał się na podnoszeniu stóp i ich opuszczaniu, na pustej konwersacji z Cruz.

Minęli mundurowych i wziął głęboki oddech. Powietrze było chłodne i czyste. Spojrzał na Cruz, uniósł brwi, pokręcił nieznacznie głową. Udało się. Poprowadził ją do wind, których drzwi błyszczały, jakby były dwa razy dziennie polerowane. Jedna z nich otworzyła się cicho.

- Halo - rozległ się za ich plecami głośny i szorstki głos. Cruz mocniej chwyciła go pod ramię. Jason szedł dalej, starając się zachować spokojny krok.

- Halo! Ej!

Drzwi windy zamknęły się im przed nosem. Jason odwrócił się z zaciśniętym gardłem. Stał przed nimi ten wysoki gliniarz z dłonią spoczywającą na kolbie pistoletu. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby go zaatakować, wałnąć pięścią w brzuch i rzucić się do ucieczki. Kamizelka kuloodporna nie ochroni przed ciosem. Otworzył usta, ale głos uwiązł mu w gardle. Odkaszlnął.

- Tak? - spytał.

Policjant podszedł bliżej. Miał rzadkie brązowe włosy i czuć go było tą cytrynową wodą. Bębnił palcami po swoim ramieniu. Popatrzył na Cruz, potem z powrotem na Jasona. Zmrużył lekko oczy.

- Chcę tylko podziękować za to, co robicie - powiedział i wyciągnął dłoń. Jason był skołowany, nie rozumiał, skąd gość, którego nigdy nie widzieli na oczy, może wiedzieć, co robią.

Raptem przypomniał sobie, że jest w mundurze, i ulga spłynęła na niego jak ciepły deszcz.

- Dziękuję. To wiele znaczy. - Ujął dłoń gliniarza, uściskał ją mocno.

- Na długo pan wrócił?

- Chyba już na dobre.

- Miło to słyszeć. - Zawahał się. - Bez względu na to, co myślicie o tej wojnie, wszyscy jesteśmy waszymi dłużnikami. Ojczyzna was potrzebowała i nie zawiedliście. Jesteśmy z was dumni.

Jason poczuł przyływ absurdalnej wdzięczności.

- Dziękuję.

- Ale nie będę państwa zatrzymywał. - Rozległo się kolejne dzyń i rozsunęły się drzwi innej windy. Policjant uniósł ramię, by je przytrzymać i zaprosił ich gestem do środka jak odźwierny. - Życzeń udanego wieczoru.

- I wzajemnie. - Jason wcisnął guzik czterdziestego trzeciego piętra. Czuł, że powieka zaraz zacznie mu nerwowo podrygiwać, potarł ją. Kiedy drzwi się zamknęły, Cruz osunęła się na tylną ścianę windy.

- Chryste, myślałam, że już po nas.

Jason skinął głową, poruszając ramionami, by zmniejszyć napięcie. Ciche bipnięcia sygnalizowały kolejne piętra, kiedy wznosili się do góry.

- Powiedziałaś, że będzie ich więcej na górze?

- Najpewniej.

- Mogą cię kojarzyć?

- Wątpię. Znam wielu gości ze służb specjalnych Rejonu Pierwszego, a Loop to Rejon Czwarty. Ale...

- Twoje zdjęcie było w wiadomościach, pamiętam - Pokręcił głową.

- Załatwimy to szybko i bez ściągania niepotrzebnej uwagi. Po prostu wejdziemy, znajdziemy Washingtona i radnego, zmyjemy się. Bułka z masłem.

Cruz wyglądała na równie nieprzekonaną, co on sam. „Jasne. Po prostu przedefilujemy przed tajniakami, przekonamy gościa, który uważa, że cierpię na stres pourazowy,

by zaręczył za nas najważniejszemu politykowi na sali, potem przekonamy radnego, bez cienia dowodu, by wszczął krucjatę, która wywoła trzęsienie ziemi w mieście. Bułka z masłem".

Przegonił te myśli. Zaczął wspominać, jak szaleli nad jeziorem Michigan, robiąc z Mikeyem kołyskę z rąk, na której stawał Billy, potem odliczali trzy, dwa, jeden, wyrzucali go w górę, chłopiec leciał na kilka metrów, przebierając nogami, woda rozpryskiwała się pryzmatycznie wśród okrzyków radości.

Rozsunęły się drzwi windy. Jason policzył w myślach: trzy, dwa, jeden i wysiadł.

Najpierw uderzył go gwar rozmów: setka głosów zatopionych w konwersacjach, śmiejących się. Krótki korytarz otwierał się na salę bankietową z poustawianymi gdzieś okrągłymi stolikami. Białe obrusy, na wpół opróżnione lampki wina, jaskrawe kwiatowe dekoracje na środku. Za oknami światła moło na jeziorze Michigan, obracający się wolno diabelski młyn.

Ronald wyróżniał się z tłumu, górując nad milionerami, którzy popatrywali na niego z lodowatymi uśmiechami bywalców zoo, niepewnych zabezpieczenia klatek. Jason ściągnął jego spojrzenie i wielkolud zaraz do nich podszedł. Spodnie miał jakieś pięć centymetrów za krótkie, smoking opinał się na bicepsach.

- Myślałem, że macie jechać do tego pubu.

- Pojechaliśmy.

- Znaleźliście, co trzeba?

- I tak, i nie. - Skrzywił się. - Ale bardziej nie. A jak Billy?

- Dobrze. Kiedy go ostatni raz widziałem, właśnie odkrył bufet.

Jason szybko podrzucił głowę.

- Jest tutaj?

Ronald wzruszył ramionami.

- Prosiłeś, żebym miał go na oku. Gdzie jest bezpieczniejszy: na sali pełnej dzianych białych czy sam w domu?

Na Jasona rozum, Billy byłby najbezpieczniejszy zamknięty w małym pokoiku strzeżonym przez uzbrojonych goryli, ale rozumiał, w czym rzecz.

- Tak, racja. A Washington? Wiesz, gdzie jest?

- Gdzieś tu bryluje.

- Dzięki. - Jason się uśmiechnął. - Kiedy to wszystko się skończy, mam nadzieję, że dasz sobie postawić piwo.

Wielkolud wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, możesz mi postawić dwa.

Goście byli w stanie ekskluzywnej beztroski, zrodzonej z małej whisky przed obiadem oraz wina w trakcie i kiedy Jason przeciskał się przez tłum, pozdrawiali go skinieniem głowy, uśmiechami. Jakaś kobieta uniosła kieliszek szampana w geście uznania. Zdecydował się włożyć mundur, bo czuł się w nim swobodniej niż w garniturze, ale teraz zaczynał się zastanawiać, czy uwaga, jaką wzbudzał, była tego warta.

- Jesteś w nim gwiazdą salonów.

- Jasne - prychnął. - Wszyscy kochają żołnierzy. Tylko jakoś nie chcą, by ich synowie nimi zostawali. Widzisz go?

-Nie.

Obok wahadłowych drzwi dla personelu znajdowało się pomieszczenie bez zasięgu. Jason wszedł do środka, lustrując salę w poszukiwaniu Billy'ego. Większość gości stanowili biali z niewielką domieszką Latynosów i Afroamerykanów. Wszyscy byli ubrani tak samo i przez chwilę bawił się tym widokiem: armia możnych tego świata we własnych mundurach. Nagle, przez lukę w tłumie, dostrzegł Washingtona z rękoma uniesionymi w pozie kaznodziei pogrążonego w rozmowie z przystojnym czarnym mężczyzną z szerokim uśmiechem na ustach.

- Mam go. - Zamrugął. - I stoi chyba z radnym.

Ruszył przez tłum, czując, jak serce mu wali, z nadzieją w piersi. W ustach mu zaschło, słowa zniknęły. Wszystko, co mu drogie, zależało od tego, czy radny im uwierzy.

Przed oczyma mignął mu obraz: Billy wpadający z pluskiem do jeziora, wynurzający się z bulgotem na spienioną powierzchnię, wołający: „Jeszcze raz, jeszcze raz”. To też odsunął z myśli.

Washington zobaczył, że się zbliża, i po twarzy przebiegł mu cień. Urwał w połowie zdania, z wyciągniętą ręką, jakby chciał złapać kogoś za słowo.

- Jason - rzucił niezbyt uszczęśliwiony jego widokiem, przesuając oczyma po jego mundurze. - Nie spodziewałem się ciebie dziś wieczór.

- Ja też nie. - Odwrócił się do radnego, nagle nie wiedząc, jak zacząć.

- Ekhm, panie Owens, to jest Jason Palmer, mój... - urwał - ...stary znajomy.

Radny posłał mu przyjacielski uśmiech.

- Co szanowany żołnierz robi w towarzystwie takiego niepoprawnego drania jak Washington? - Mocno uściśnął mu dłoń. - To jest Daryl Thomas. - Pokazał na stojącego obok mężczyznę. - Mój zastępca i prawa ręka.

- A to funkcjonariusz Elena Cruz z chicagowskiej policji. - Przedstawienie jej z nazwiska było ryzykowne, ale Jason miał nadzieję, że w ten sposób jego opowieść zyska na wiarygodności.

- Pani funkcjonariusz. - Radny potrząsnął jej dłonią poziomo. - Miło panią poznać. - Ale coś mignęło w jego oczach, jakby usiłował sobie przypomnieć ostatnio słyszane informacje. - Co państwa sprowadza do nas dziś wieczór?

Jasonowi przemknęło przez głowę kilka pomysłów na to, jak go podejść, ale wszystkie szybko odrzucił. Tu nie można się było silić na jakąś strategię. Musiał po prostu powiedzieć prawdę i modlić się, żeby wystarczyła.

-Pan.

-O?

- Mógłbym zająć panu pięć minut?

- Zawsze jestem do dyspozycji swoich wyborców, zwłaszcza zaś przyjaciół Washingtona. Proszę zadzwonić jutro do biura, poprosić Daryla. On dopilnuje, żebyście zostali państwo przyjęci jeszcze w przyszłym tygodniu.

- Proszę mi wybaczyć, nie wyraziłem się jasno. - Jason się wyprostował i złożył ręce na plecach, stając jakby na baczność. - Chciałem powiedzieć, że muszę porozmawiać z panem niezwłocznie. Natychmiast.

Washington położył mu dłoń na ramieniu.

- To chyba nie jest najlepsza...

- Proszę pana, to sprawa życia i śmierci. - Nie odwrócił spojrzenia od radnego, ale myślami był przy Washingtonie. „Poprzyj mnie, staruszk. Zaufaj”.

Na twarzy radnego malował się wyraz życzliwego niezdecydowania, jakby czekał na puentę dowcipu.

- Życia i śmierci? - Tak.

Radny wymienił spojrzenie ze swoim zastępcą.

- Muszę przyznać, że jestem zaintrygowany, panie Palmer. W czym rzecz?

Właśnie. Proste pytanie, na które istniała prosta, paskudna odpowiedź. Ta, którą poznali w piwnicy zdewastowanego pubu Michaela, w ciemnościach pod miastem. Która wszystko wyjaśniała: śmierć jego brata, polowanie na Bill/ego, wojnę między gangami, wszyściuteńko. Odpowiedź spisana krwią i mrokiem.

- W pieniądzech, sir. W pieniądzech. - Urwał. - Chodzi o ludzi, którzy dla pieniędzy nie cofną się przed niczym. I działają na terenie pańskiego okręgu.

- Jason, co ty... - rzucił Washington słabym i zdenerwowanym głosem.

- Przykro mi. - Odwrócił się do swojego mentora. - Przykro mi, że poruszam tę sprawę tutaj, dziś wieczór. Wiem, że mieliśmy ostatnio kilka nieporozumień i rozumiem

twój punkt widzenia. Ale patrzę ci w oczy i mówię: taka jest prawda. Dlatego Michael został zamordowany.

Washington mierzył go badawczo wzrokiem. Trwało to chwilę i Jason złapał się na tym, że podświadomie rejestruje najdrobniejsze szczegóły: krzywo rosnące włoski w wąsach starego, zapach stygnących befsztyków wypełniający salę, kameralną muzykę ledwo słyszalną w gwarze rozmów. Washington się zawahał, potem wolno pokiwał głową.

- Zamordowany? - rzucił cicho Owens. - Sierzancie Palmer, jeśli to jest jakiś żart, będę bardzo rozczarowany.

- Proszę mi wierzyć, nigdy jeszcze nie byłem równie poważny.

Radny skinął głową, rzeczowo i pewnie.

- W takim razie proszę mówić.

Jason wziął oddech. Miał tylko słowa, a to tak niewiele w zetknięciu z krwią. A tu jeszcze dług krwi był większy, niż potrafił to wyrazić.

- Dwa dni temu mój brat został zamordowany w pańskim okręgu. - Uniósł dłoń, by powstrzymać wyrazy współczucia. - Do pubu, którego był właścicielem, przyszło dwóch mężczyzn. Szukali czegoś, a kiedy nie chciał im tego dać, zabili go.

- A czego szukali?

- Czy mieszka pan w Crenwood, sir?

Owens zareagował z rezerwą na zmianę tematu.

- Owszem. Róg Halsted i Sześćdziesiątej Szóstej. Radni powinni mieszkać w swoich okręgach.

- Tam jest przystanek kolejki miejskiej.

- Jakież dwie przecznice dalej na południe. Ale co to ma wspólnego z...

- Wychowałem się w południowej części miasta, ale miałem kilku przyjaciół, którzy mieszkali w północnej. Jeździłem do nich kolejką i przypominało to wyprawę do krainy Oz. - Pamiętał, jak patrzył z otwartymi ustami na te wszyst-

kie jasne, czyste domy, okolice bez śladu graffiti czy gangów. - Ich rodzice woleli mieszkać w mieście, bo mieli blisko do pracy, sklepów, restauracji, z tych wszystkich normalnych powodów. Gdy wracałem, zawsze się zastanawiałem, dlaczego Crenwood wygląda tak inaczej.

- Północna część miasta ma zdecydowanie wyższy odsetek wykształconych mieszkańców, po studiach, i wyższy wskaźnik zatrudnienia przy pracach umysłowych, co przekłada się bezpośrednio na większy średni dochód na rodzinę. To z kolei oznacza lepsze szkoły, więcej przedsiębiorstw i dużo większe lokalne zasoby. - Radny pokręcił głową ze smutkiem. - To ma sens, ale czy moglibyśmy wyobrazić sobie świat, w którym dzielnice o niższym dochodzie dostawałyby więcej dotacji i lepsze szkoły?

Jason się uśmiechnął. Zaczynał lubić tego gościa.

- Na pewno byłby lepszy od tego. Bo zgadzam się, że właśnie w takich dzielnicach ludzie chcą mieszkać. Nie jestem ekspertem, ale moim zdaniem dlatego właśnie, kiedy wróciła moda na osiedlanie się w mieście, ludzie wybierali takie okolice jak Lincoln Park czy Old Town. Kiedy zaś zrobiło się tam tłoczno, a ceny poszybowały w górę, zaczęli przesuwać się na peryferia, do Wicker Park, Lakeview i Andersonville. Do dzielnic, których peryferie nadal były jeszcze niebezpieczne, ale za to ceny nieruchomości przystępne, gdzie można było wychowywać dzieci. Pojawiali się deweloperzy, potem handel i stopniowo okolice stawały się ładne i bezpieczne. Teraz to samo dzieje się w Bridgeport i Rogers Park.

- Gentryfikacja to drażliwa kwestia. - Radny sprawiał wrażenie znudzonego.

- Ale także okazja, prawda? Cała sztuka polega na tym, by nie dać się ubiec. Trzeba kupować, zanim grunty zyskają na wartości. Jeśli chce się zarobić prawdziwe pieniądze, trzeba kupować tam, gdzie nikt jeszcze nie szuka.

- Tak sędzę. - Owens zerknął na zegarek.



- Panie radny. - Daryl Thomas delikatnie trącił pryncypała. - Powinien pan chyba pokazać się na sali, zająć się gośćmi, zanim zaczną wychodzić.

Cruz popatrzyła na Thomasa spod zmrużonych powiek, ale Jason nie miał czasu zastanawiać się, co to znaczy.

- Sierżancie Palmer. - Owens położył mu dłoń na ramieniu. - Zapewniam pana, że poświęcam wiele uwagi temu zagadnieniu. I bardzo bym chciał poznać pański pogląd na sprawę. Ale dlaczego nie przedyskutujemy jej innym razem, kiedy będziemy mogli zakasać rękawy i zabrać się porządnie do rzeczy?

- Ponieważ jeśli mnie pan teraz nie wysłucha, mogę nie dożyć następnego spotkania z panem.

Owens zmierzył Jasona wzrokiem zza szkieł swoich okularów bez oprawek.

- Czy aby trochę pan nie tragizuje?

- Proszę zapytać mojego brata - rzucił Jason spokojnie. Radnemu zrzędł uśmiech.

- Sierżancie, szczerze panu współczuję z powodu tragedii, która dotknęła pańską rodzinę, ale nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza. Chce pan powiedzieć, że pański brat został zamordowany z powodu jakichś machinacji na rynku nieruchomości?

- Tak. I nie tylko on. - Jason wziął oddech i wypalił: - Proszę pana, ktoś wszelkimi sposobami usiłuje obniżyć wartość ziemi w Crenwood, tak by móc ją skupować w nadziei na spodziewaną gentryfikację terenów.

Owens popatrzył mu długo i badawczo w oczy. Potem zaniósł się śmiechem.

- Mówię poważnie.

- Ja też - radny chichotał. - Rozmawiamy o Crenwood. Ma pan pojęcie, jak niskie są ceny tamtejszych gruntów?

- Ja mam - rzuciła Cruz stanowczo. - Pracuję w tej dzielnicy dobrych kilka lat. Nigdy nie opływała w dostatki,

ale kiedyś była to porządna dzielnica pracujących rodzin. Teraz to strefa wojny. I uczciwi ludzie, którym jeszcze dziesięć lat temu myśl o pozbyciu się gruntu nie powstałaby w głowie, sprzedają je o połowę taniej.

- Cóż, sytuacja się pogarsza, tak to już jest. - Jednak radny gładził się po brodzie ze zmrużonymi oczyma. - Kim są ci rzekomi spekulanci?

Jason się skrzywił.

- Znamy kilku, proszę pana, ale nie wszystkich. Przystudiowaliśmy dokumenty, umowy kupna-sprzedaży, dokumentację holdingów. Nie padają tam żadne konkretne nazwiska, ale zawarte tam dane pomogą wyśledzić źródło. To tego szukali mężczyźni, którzy zamordowali Michaela. - Nie wspomniał, że nie mają już tych dowodów. Wszystko w swoim czasie. Najpierw trzeba go przekonać, skaptować, potem opowie mu się całość. -1 na nas też polowali.

- Co się stało?

- Zepchnęli nasz samochód do rzeki. - Patrzył mu spokojnie w oczy.

- Zepchnęli wasz samochód...

- Do rzeki. Z mostu na Trzydziestej Piątej. To wtedy funkcjonariusz Cruz rozcięła sobie głowę. - Pokazał ręką, a Cruz odgarnęła grzywkę, pokazując siniak ciągle widoczny pod makijażem. - Możemy pana tam zabrać, jeśli pan chce. Pokazać, gdzie spadliśmy.

Owens wyglądał, jakby bił się z myślami.

- Powiedział pan, że ci spekulanci robią wszystko, by obniżyć ceny. Co to znaczy? - Jason poczuł iskierkę nadziei. Radny powiedział „ci spekulanci”, nie „ci rzekomi spekulanci”.

- Panie radny, to co za chwilę powiem, może zabrzmieć niewiarygodnie - wtrąciła Cruz spokojnie, ale stanowczo. - Kierujący tym procederem ludzie podsycają wojnę między gangami w Crenwood. Szczują na siebie Gangster Disciples i Latin Saints. Puszczają z dymem określone nieruchomości

i zrzucają winę na gangi. A żeby się upewnić, że wojna nie wygaśnie, zbroją obie strony. Wczoraj wieczorem widzieliśmy, jak dwóch z nich sprzedawało pistolety maszynowe członkom Latin Saints.

- Pistolety maszynowe? - Radny zrobił wielkie oczy. Na czole pojawił się słaby połysk potu. - Kto je sprzedawał?

O kim mówicie?

Cruz się zawahała. Jason spojrział jej w oczy, myśląc: „chwila prawdy”.

- Jednym z nich był handlarz bronią, niejaki Anthony DiRisio - powiedziała wolno Cruz. - A drugim sierżant policji, Tom Galway.

Radny patrzył na nią z otwartymi ustami. Gwar przyjęcia nie ucichł, ale dochodził teraz jakby z bardzo daleka. Jason czuł mrowienie w palcach i ciarki na plecach. Widział każdą twarz na sali: bogatych mężczyzn z obwisłymi brzuchami, kobiety o napiętej skórze obwieszanej biżuterią wartą więcej niż jego roczny żołd, jak rozmawiają, śmieją się i dobijają targu w powolnym tańcu ciał i zamiarów.

- To nie ma sensu. - Owens popatrywał to na jedno z nich, to na drugie.

- Dla niektórych ludzi ma. Wystarczy być bogatym, chcieć być jeszcze bogatszym i nie troszczyć się o społeczność tak jak pan.

- Ale dlaczego akurat Crenwood? Z gangami, przemocą, problemami daleko nam do następnego Lincoln Park.

- Nie następnego Lincoln Park, nie. Ale w Chicago robi się coraz ciaśniej. Ludzie wyprowadzają się z przedmieść

1 nowe osiedla się rozrastają. Jak dotąd głównie na północ, ale przecież ten trend nie może trwać bez końca. Poza tym jest jeszcze jeden powód. - Jason dostrzegł kątem oka jakiś ruch, odwrócił się szybko i zobaczył dwóch mężczyzn, obejmowali się, poklepując po plecach. Jeszcze chwila i zaczną bać się własnego cienia. - To dlatego pytałem, gdzie pan mieszka.

Owens popatrzył na niego spod przymrużonych powiek, pogładził podbródek.

- Szybka kolej miejska.

- Właśnie. Wszystkie wymienione przeze mnie miejsca, te które uległy gentryfikacji, których wartość wzrosła, leżały i leżą na trasie kolei. Ot, choćby rodzice tych moich przyjaciół: chcieli mieszkać w mieście, ale dojazdy do pracy są koszmarem. Potworne korki i drogie parkingi. Więc ludzie wolą mieszkać w pobliżu linii komunikacji miejskiej. I kiedy wszystkie tereny na północnej trasie kolei okażą się zbyt drogie albo zbyt oddalone...

- Cześć południowa zacznie wyglądać na idealną lokalizację. I jeśli ktoś zdołał na tyle obniżyć ceny gruntów, by móc wykupić większość z nich, zwłaszcza te w pobliżu węzłów komunikacyjnych, zbije kokosy.

- Radny odwrócił się, wyjrzał przez okno. Molo rozbłyskało kolorowymi światłami, stykające się z wodą krawędzie migotały. Złożył ręce na plecach i stał prosto, patrząc w noc. - Jeśli mówicie prawdę, to wielu niewinnym ludziom dzieje się krzywda. - Przeniósł wzrok na nich. - A jeśli nie, to prosicie, bym popełnił polityczne samobójstwo. Mam oskarżyć sierżanta policji o dostarczanie broni członkom gangów? Zacząć grzebać w rejestrach nieruchomości całego okręgu, nękać inwestorów, może nawet donatorów? - Pokręcił głową. - Narobiłbym sobie wrogów, w starciu z którymi nie miałbym szans.

Jason czuł, jak krew tętni mu w czole, obserwował bijącego się z myślami radnego. A niby dlaczego miałby im uwierzyć? Kim dla niego byli? Obcymi ludźmi ze stekiem nedorzecznych teorii.

- Proszę pana... - Otworzył usta, modląc się o odpowiednie słowa. Niepewien, co powiedzieć, żeby przekonać radnego. Świadom, że jeśli tego nie powie tu i teraz, natychmiast, po raz ostatni, zawiedzie Michaela.

- Edwardzie. - Washington był tak milczący przez ostatnich kilka minut, że Jason w ogóle zapomniał o jego obecności. Teraz widząc, że staruszek się prostuje, poczuł przypływ

paniki. Washington popatrzył na Jasona, potem na Cruz i wreszcie na radnego. - Marnuje pan czas.

„O Boże”, Jason gorączkowo szukał słów, by go powstrzymać.

- Dlaczego, doktorze Matthews? - Twarz Owena była nieprzenikniona.

- Ponieważ wysłuchał pan tego wszystkiego.

- Chwilka... - usiłował wtrącić się Jason. Washington go zignorował.

- Ponieważ wysłuchał pan tego wszystkiego i jeszcze nic z tym nie robi.

Jasonowi opadła szczeka.

Mężczyzna milczał przez chwilę, potem ciągnął głębokim głosem prelegenta.

- Edwardzie, wiem, że nie zna pan Jasona Palmera i przez to może być panu trudno dać wiarę jego słowom. Ale zna pan mnie. - Washington położył ciepłą dłoń na ramieniu Jasona. - A ja panu mówię, że jego słowo wystarczy.

Dokoła nadal toczyło się przyjęcie, ale dla Jasona świat skurczył się do tej jednej minuty. Piers mu nabrzmiała, kontury pola widzenia rozmyły. Czuł pot na dłoniach, krew burzącą się w żyłach.

Wreszcie radny skinął głową.

- Dobrze, Washington - powiedział wolno. - Dobrze. - Odwrócił się do Jasona. - Muszę poznać wszystkie szczegóły.

Jason chciał odrzucić głowę do tyłu i rozedrzyć się z radości na całe gardło. Udało im się. Może ich passa wreszcie zaczyna się zmieniać. Uśmiechnął się do Cruz rozanielony.

Ale nawet na niego nie spojrzała. Patrzyła w przeciwnym kierunku z otwartymi ustami.

-Co?

Spojrzał za jej wzrokiem na wejście na salę. J zrozumiał natychmiast, że ich passa nic a nic się nie zmieniła.

## Rodzina

Pierwszą reakcją był strach, zwierzęca panika, od której rozdzwoniło się powietrze, spowolnił ruch i czas, kiedy instynkt nakazywał mu uciekać.

Drugą był metaliczny smak mordy w ustach. Pierwotna furia, żądza, by bić, miażdżyć i zabijać.

Z zaciśniętymi do białości pięściami, żołądkiem podchodzącym do gardła, Jason stał jak wrośnięty w ziemię, patrząc na mężczyznę w drzwiach.

Wcielenie zła w tanim garniturze, tyle że teraz grube pajdy mięśni Anthony'ego DiRisio opinał smoking. Miał świeży zarost na twarzy i rzadkie ciemne włosy, nos zbyt duży i lekko zakrzywiony w bok. Stał w wejściu i przeczesywał tłum wzrokiem drapieżcy, powoli i dokładnie przesuwając oczy od prawej do lewej.

- Panie Palmer - spytał Owens z uniesioną brwią. Jason potrząsnął głową, wyrwał się z odrętwienia. Odwrócił się plecami do drzwi.

- DiRisio. - Skrzywił się. - Musiał jednak obserwować moje mieszkanie i przyjechał tu za nami. - Coś mu nie dawało spokoju, jakiś szczegół, który zdawał się ważny, ale wymykał się świadomości. Może chodzi o coś, co widział po drodze?

- Ten handlarz bronią? Tutaj?

- Tak, panie radny. Musimy odszukać mojego bratanka i zabrać go stąd.

- Pańskiego bratanka?

- Syna mojego brata. Jest tutaj. - Jason zacisnął usta, zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię. DiRisio zniknął w tłumie. - Proszę pana, musimy iść. Możemy dokończyć tę rozmowę w jakimś bardziej kameralnym miejscu?

- Zgoda. - Owens popatrzył na swojego zastępcę, który zmarszczył brwi. - Daryl ma rację. Powinienem pożegnać się z kilkoma osobami. Dziwnie będzie wyglądało, jeśli tego nie zrobię. Dwadzieścia minut?

Jason skinął głową.

- Dobrze. Gdzie możemy się spotkać?

- Mój samochód stoi w garażu dla personelu. Czarna limuzyna. Ale jak się wymkniecie temu człowiekowi?

- Coś wymyślimy. Radny się uśmiechnął.

- Cieszę się, że żołnierz jest na warcie. - Odwrócił się do Thomasa. - Załatwmy to szybko, dobrze?

Jason patrzył, jak się oddalają. Dokonał tego. Odwrócił się do przyjaciół z sercem przepełnionym radością. Cruz posłała mu stuwatowy uśmiech. Washington położył mu dłoń na ramieniu.

- Dobra robota, synu. Jestem z ciebie dumny. - Popatrzył Jasonowi prosto w oczy. - Twój brat też by był.

Coś wezbrało mu w piersi, coś rozedrganego i świetlistego i poczuł, jak mięśnie policzków rozciągają się w uśmiechu od ucha do ucha. Wyciągnął dłoń, Washington ją ujął, potem pociągnął go w swoje ramiona. Dobrze znany, ostry zapach Old Spice'a wypełnił nozdrza Jasona, bezpieczna, krzepiąca woń. Chciał zostać dłużej, śmiać się i opić ich sukces.

Ale DiRisio tu był.

Zrobił krok do tyłu, skrzywił się.

- Przepraszam, ale powinniśmy...

- Wiem, synu. Idź.

Jason uściskał mu ramię, dotknął dłoni Cruz, czując miękkość i ciepło jej skóry, potem wmieszał się w sam środek tłumu. Gdzie może być Billy? W powietrzu unosiła się przetworzona woń zbyt ludnego przyjęcia, przecinana od czasu do czasu chaotycznym dzwonieniem kobiecego śmiechu. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych dzieci. Panował zbyt wielki ścisk, by DiRisio mógł czegoś spróbować, przynajmniej Jason miał taką nadzieję. Mimo to wiedział, że nie odetchnie, dopóki nie znajdzie bratanka. Ruszył do bufetu, gdzie Ronald widział Billy'ego po raz ostatni.

Ale nie było tam śladu chłopca. Serce mu mocniej zabiło. Nie mógł ryzykować i wołać małego po imieniu. DiRisio może czaić się gdzieś w pobliżu. Ale gdzie Billy mógł się schować?

Coś mu raptem przyszło do głowy i kucnął. Małe stopki w butach były ledwo widoczne pod stołem. Jason odgarnął obrus. Billy spojrzał na niego, na ustach wykwitł mu uśmiech jak kwiat. Miał na sobie smoking i przypinaną muchę. Transformer, teraz pod postacią robota, siał spustoszenie wśród kromek bagietki i koreczków z goudy.

Fala ciepła wywindowała serce Jasona do góry. Jeśli tak właśnie wygląda odpowiedzialność, może do niej przywyknąć.

- Cześć, bąku.

- Wujek Jason! - Mały przechylił się do przodu i zarzucił mu ramiona na szyję. - Tęskniłem.

- Ja też. - Zmierzył chłopcu włosy. Chciał wpełznąć do niego pod stół, ale nie było na to czasu. Ale już niedługo. Prawie skończyli.

- Musimy iść, stary. Gotowy?

Billy skinął głową, opuścił ramiona i wygramolił się spod stołu z robotem trzymanym za jedną rękę. Jason wstał, starając się przeczesać wzrokiem kłębiącą się ciżbę bez ściągania na siebie uwagi. Przynajmniej DiRisio nie wie, że chłopiec tu jest. Ruszyli pod przeszklonymi ścianami, trzymając się na skraju tłumu.

W rogu sali stał Ronald, obok niego Cruz z twarzą ściągniętą ze zdenerwowania. Rozpromieniła się na jego widok. Jason zauważył Washingtona, który skinął głową reszcie i do nich dołączył.

- Co teraz? - Cruz przesunęła się, stając plecami do sali. - Frontowe drzwi?



Gdzie może czaić się DiRisio? Jason spróbował postawić się na jego miejscu.

- Nie. Nie wie, że go zauważyliśmy, a przez tłum trudno się przeciskać. Najpewniej obserwuje główne wyjście.

- To co robimy?

Minał ich zagoniony kelner z tacą pełną deserów. Jason i Cruz popatrzyli na siebie z uśmiechem.

- Chodźmy.

Strefę dla personelu oddzielały kuchenne wahadłowe drzwi. Za nimi rozpościerał się jasno oświetlony biały korytarz. Luksusowy wystrój sali bankietowej zastąpiły antypoślizgowa gumowa wykładzina i jarzeniowe oświetlenie. Na ustawionych w szeregu blisko dwumetrowych wózkach stały resztki z obiadu, wpółzjedzon befsztyki w kałużach sosu berneńskiego, wzgardzone warzywa. Dwóch latynoskich mężczyzn w pochłapanych fartuchach i siatkach na włosy opierało się o ścianę, chichocząc. Znieruchomieli, kiedy drzwi się otworzyły. Jeden z nich powiedział coś po hiszpańsku, potem rzucił:

- Toaleta nie tutaj.

Cruz wyciągnęła odznakę z torebki.

- *Policía* - Popatrzyli po sobie w napięciu, a ona odczekała chwilę. - *¿Dónde está el elevador?*

Większy wskazał na korytarz. Skinęła krótko głową. Windy towarowe ewidentnie miały działać, nie zdobić: na podłodze leżało zniszczone linoleum, ściany były pory-

sowane. Weszli całą piątką do środka, powstrzymali gestem ładną pokojówkę, która chciała do nich dołączyć, wcisnęli przycisk i zamknęli drzwi.

Jason oparł się o tylną ścianę. Odetchnął. Udało się. Jakoś, wbrew wszelkim przeciwnościom, się udało. Poczłł dziwną lekkość w kończynach, uśmiech zakradający mu się na twarz. Popatrzył na Cruz i zobaczył, że też się uśmiecha. Tym swoim dobrym uśmiechem, tym, który lubił.

- Chodź tutaj - powiedział, nie troszcząc się o to, że inni zobaczą. Jeden kącik ust powędrował jej wyżej.

- To ty chodź.

Spotkali się w połowie drogi.

- Dlaczego nie wracasz teraz do domu? - Billy patrzył na niego szczerym wzrokiem.

- Wrócę niedługo, bąku. Już prawie jest po sprawie.

- Znalazłeś tego... ee, tę...

- Aktówkę? - Jason rozejrzał się na wszystkie strony po pustym korytarzu. Woleli wysiąść na drugim piętrze niż zjechać do kuchni. - Tak, znaleźliśmy ją. Wszystko jest pod kontrolą, stary. Już włos ci z głowy nie spadnie.

- A tobie?

Jason się uśmiechnął. Przykląkł na jedno kolano.

- Mnie także.

- To dobrze. - Chłopiec sprawiał wrażenie zmęczonego. - Czyli niedługo wrócisz?

- Bardzo szybko.

- Dobrze. - Zawahał się. - Przyjdiesz wtedy do mnie?

- Ma się rozumieć. Ale ty będziesz już spał. Chłopiec pokręcił głową, spuścił oczy.

- Nie możesz spać, bąku? Skinał głową.

- Złe sny?

- Mhm - rzucił z całą szczerością dziecka.

Jason zdał sobie sprawę z powagi chwili. Zwykła sytuacja w ojcostwie, coś z czym Michael pewnie radził sobie bez trudu. Ale Michael nie żył. Teraz wszystko było w rękach Jasona.

- Wiesz, co zrobić? - Wyciągnął rękę, wziął od Billy'ego transformera, zaczął go rozkładać. Zdumiony, że jego mięśnie pamiętają dokładnie, jak się obchodzić z tą dawno porzuconą zabawką. Przemienił ją w pistolet i zwrócił Billy'emu.

- Weź go ze sobą do łóżka. Żaden zły sen nie odważy się zbliżyć.

- To głupie. Nie można zabić koszmaru. Jason się roześmiał.

- Może nie. Ale głowę daję, że poczujesz się lepiej. - Podniósł się, popatrzył na Washingtona. - Będiesz na niego uważał?

Staruszek skinął głową.

- Obaj będziemy. - Wziął Billy'ego za rękę. - Ronald na pewno kazał już postawić samochód. Pójdziemy się z nim zobaczyć? - Billy skinął głową i Washington powiódł go korytarzem. Jason stał i patrzył, jak się oddalają. Poczł ucisk w piersi.

- Wszystko w porządku? - Cruz dotknęła jego ramienia. Kiwnął głową.

- Właśnie uświadomiłem sobie, że mam rodzinę.

- Uśmiechnął się i znowu ją pocałował.

Odwzajemniła się ustami delikatnymi i pełnymi obietnic, bez wcześniejszego niecierpliwego rozgorączkowania, za to z posmakiem czegoś trwałego, pocałunkiem, który mógł trwać całe lata. Wreszcie Jason się od niej oderwał, zerknął na zegarek.

- Lepiej już chodźmy.

W holu na dole kłębiły się pary czekające z kwitkami na boyów odprowadzających samochody albo cmokających się

w policzki na pożegnanie. Jeden ze stolików obsiadła grupka młodych turystek, popijających cosmo i bawiących się w *Seks w wielkim mieście*. Umundurowani policjanci zniknęli, Jason podejrzewał, że prawdopodobnie wyrobili nadgodziny.

- A jeśli DiRisio pojechał na dół? - spytała Cruz.

- Nie miał pewności, że wyjdziemy przez hol. Założę się, że ciągle obstawia wyjście sali bankietowej, w nadziei, że nas tam przyskrzyni. - Przez głowę znowu przemknęło mu dziwne wrażenie, że coś jest nie tak, które już wcześniej, na górze nie dawało mu spokoju. Przegnał je i przystanął, by przyjrzeć się tablicy z planem ewakuacyjnym. - Wygląda na to, że do garażu dla personelu musimy iść tędy.

W miarę jak oddalali się od hotelowego holu, z każdym krokiem robiło się coraz ciszej. Minęli restaurację, gdzie powietrze było ciężkie od zapachu francuskiej zupy cebulowej oraz *filet mignon* i weszli w boczny korytarzyk prowadzący do drzwi z napisem „Tylko dla personelu”.

Garaż był posepny, brzęczące sodowe oświetlenie pochłaniało kolory. Kilka furgonetek stało pod ścianą, za nimi rzędy samochodów pracowników, w większości kilkuletnie fordys i hondy. W stęchłym powietrzu unosił się zapach spalin i papierosów.

Wóz radnego stał sześć metrów dalej, przy ciężarówce dostawczej. Silnik limuzyny pracował, z rury wydechowej wydobywała się smużka dymu. Pomimo przyciemnianych szyb Jason dostrzegł jakąś postać na tylnym siedzeniu.

- W samą porę - powiedział. Ruszyli do samochodu, obcasy Cruz stuknęły na betonowej posadzce. - Załatwmy to i wracajmy do domu. Mógłbym przez tydzień nie wychodzić z łóżka.

Uchylił drzwi, zajrzał do środka i już miał otworzyć usta, żeby się przywitać.

W ułamku sekundy, jaki zajęło mu przetworzenie tego, co zobaczył: naznaczonej białym pasmem blizny szczupłej

twarży mężczyzny celującego doń z pistoletu, uświadomił też sobie, co takiego nie dawało mu wcześniej spokoju.

Anthony DiRisio był na bankiecie w smokingu. Gdyby przyjechał tu ich tropem, skąd by go wytrzasnął?

Potem coś twardego i ciężkiego uderzyło go w głowę i świat z dygotem zapadł się w ciemność.

## Kutas

Znowu był na pustyni.

Uliczka była kręta i pełna dzieci. Śmiały się, siłowały, tarzając się w pyle, wszystkie o migdałowych oczach i z promiennymi uśmiechami na ustach. Ale Jason słyszał buczenie, narastający, zbliżający się łoskot. To była śmierć, wiedział, że to śmierć, i wrzeszczał, próbował ostrzec maluchy. Ale one nie słuchały, ani jedno nie słuchało, nawet kiedy wyjechał już z za rogu wielki wóz z pancierzem koloru choroby wśród skrzypienia metalowych gaśnic, plując żółto-czerwonymi strugami ognia. Dzieci się bawiły, w ogóle nie zwracając uwagi na zbliżający się pojazd, tę potworną maszynę jadącą siłą rozpędu i niszczącą wszystko na swojej drodze. Martinez też był na tej ulicy, dzieci piszczały z zachwytu, wdrapując się na niego i złażąc, a on nucił jedną ciągłą nutę i patrzył na Jasona, nucił, kiedy dosięgły go płomienie, nucił, kiedy ogień pożerał świat, nucił monotonię bez końca.

Potem wóz wjechał na wybój i Jason uderzył o szybę, na której opierał głowę, ocknął się, nucenie przeszło w szum opon, wibrowanie szkła w uchu. Otworzył oczy, zapuchnięte, zamglone, zbyt mokre. Obicie samochodowego fotela. Światła samochodu na szybie. Jego dłonie dotykające nadgarstków.

Głosy.

Wszystko wróciło w okamgnieniu, opuścił powieki, serce dziko waliło, przez głowę przewalały się tysiące myśli. Przytomność zwielokrotniła rwący ból, który rozwinął się niczym kwiat, korzeniami rozsadzając mu mózg. Przy zamkniętych oczach jeszcze się nasilał, kolory i kształty migały w ciemności, kiedy mijali inne samochody, i Jason nie mógł myśleć

O niczym innym oprócz narastającego szkarłatnego bólu.

Znowu głosy, z przodu.

- Chciałbym tam dojechać jeszcze dziś wieczór, flegmo.

- Nie bądź idiotą. Nie możemy sobie pozwolić, żeby nas zatrzymała policja.

- Niby dlaczego? Mógłbyś z nimi pogadać, wiesz, wcisnąć jakiś bajer o pracy. Udawać, że nadal jesteś gliniarzem.

- Wal się.

Jason miał wrażenie, że czaszkę wypełnia mu beton. Był w samochodzie. Rozwalony po prawej stronie tylnego siedzenia. Mężczyźni przed nim rozmawiali. Sprzeczali się. Całe ciało było obolałe, od każdego pęknięcia czy nierówności na drodze dzwoniło mu w skroniach, i miał spętane ręce. Sądząc z dotyku, spinką do kabli, krew mu odpłynęła z odrętwiałych dłoni. Coś ciepłego opierało się o niego, coś ciepłego, ciężkiego i miękkiego.

Począł, aż miną ich światła kolejnego samochodu,

1 uchylił odrobinę powieki.

Nie.

To była Cruz. Widział ją kątem oka. Miała zamknięte oczy, ale żadnych widocznych obrażeń. Ktokolwiek go ogłuszył, musiał równie szybko załatwić ją.

Pierwszy był ból. Teraz pojawił się też gniew. Pielęgnował i podsyczał jego czarnoprochowy żar. Rozerwie komuś łeb. Był to winien Cruz. Mógłby rzucić się do przodu, spróbować złapać kierownicę. Albo gdyby udało mu się podnieść ręce i walnąć którąś z tych głów, mógłby...

Przestań.

Głos w głowie brzmiał znajomo, ale nie należał do niego. To był głos Mikeya.

Nie zabezpieczasz pomieszczenia ze strzelbą w dłoni i drużyną za plecami. Masz zawroty głowy i związane ręce. Nie jesteś uzbrojony. Nie szarżuj, braciszku. Myśl. Zastanów się, o co się bijesz. Liczę na ciebie.

Billy na ciebie liczy.

Jason odetchnął na tyle głęboko, na ile się odważył. Zamknął oczy, żeby się skupić, potem je otworzył, tym razem patrząc przed siebie. Przypomniawszy sobie podany przez Billy'ego opis mężczyzny, którzy zamordowali mu ojca: jeden duży, muskularny i łysiejący, drugi szczupły, bez cech szczególnych, ze szpakowatymi włosami.

Po prawej stronie siedział Anthony DiRisio. Rzednące włosy i twardy zarys szczęki, niedbała masa mięśnia roboczego. Aura zimnej groźby. Spokojny, rzucający dowcipami z siedzenia pasażera. Kierowca był bardziej nerwowy, ramiona miał spięte, palce bębniły o kierownicę. Czarne, przyprószone siwizną włosy. Galway, dawny partner Cruz. Gliniarz, który posunął się do zabójstwa i nawet czegoś gorszego, ale jeszcze do tego nie przywykł. Nie czuł się z tym swobodnie.

Zatem dwóch. A kiedy otworzył wcześniej drzwi samochodu, widział trzeciego, uzbrojonego bandytę z blizną na policzku, tego samego, którego wrzucił do wody na Wacker. Musi być w drugim samochodzie.

Przez na wpół zmrużone oczy niewiele mógł dostrzec za oknem, tylko pasy jezdni, kilka barierek. Deszcz ustał, ale krople na szybie przekształcały światła nadjeżdżających samochodów w gwiazdy. Samotne latarnie, za nimi drzewa. Wyjechali z miasta. Co jakiś czas migwały mu podmiejskie domki, ale zakładał, że wywożą ich do jakiegoś spokojnego wiejskiego lasu, gdzie nikt nie usłyszy dwóch strzałów w głowę.

A wszystko przez radnego.



Kutas. Zgrywał się na porządnego człowieka, demokratę spod znaku JFK, inteligentnego, oddanego, uprzejmego. Z takim przekonaniem perorował o wadach systemu, robaczywych jabłkach, a tymczasem opisywał po prostu siebie. Chryste, facet słuchał, jak streszczają mu jego własny plan.

To dlatego DiRisio się tam zjawił, i to w smokingu. Nie chodziło wcale o Jasona i Cruz. Przyszedł, ponieważ pracował dla radnego. Był egzekutorem, zabójczą dłońią ciemności.

- To strata czasu - powiedział DiRisio. - Sprzątnijmy ich po prostu i wrzućmy do rzeki.

- On chce z nimi pogadać. - Galway postukał palcami o kierownicę.

- Skończony żołnierz i policjantka poszukiwana za zabójstwo. Nikt za nimi nie zateśni. - Urwał. - Choć ta twoja partnerka to niezła cipka. Miałaś może kiedyś z nią przyjemność?

Galway odwrócił się i spiorunował DiRisio wzrokiem. Twarz miała ostrą, pobrużdżoną i nieruchomą, nie wyglądał już na zdenerwowanego.

- Kawał ścierwa z ciebie. Wiesz o tym? DiRisio się roześmiał.

- Przyganiał kociół garnkowi, mój przyjacielu.

- Jestem gliną, nie twoim przyjacielem.

- Tylko w połowie masz rację.

Jason się wyłączył, w uszach dźwięczały mu słowa Galwaya. „On chce z nimi pogadać”, powiedział. Z jakichś powodów radny chciał dostać ich żywych. Co znaczyło, że jednak nie jadą na miejsce egzekucji. Dopóki przedstawiają dla niego jakąś wartość, nie zginą. Będą przesłuchiwanie, bici, ale nie zginą.

A dopóki pozostaną przy życiu, jest jeszcze czas. Czas na rozeznanie się w sytuacji, znalezienie jakiejś szansy.

Czas na odpłatę.

To była słaba nitka nadziei, ale Jason się jej uczepił, kiedy jechali w ciemności.

Jakoś, w jakiś sposób doprowadzi do tego, że zapłacą. Nawet gdyby miało to go kosztować własne życie.

Dzielnica bogaczy. Ociekające pieniędzmi rezydencje, lokowane z dala od drogi i wychodzące na szerokie pasy czarnych od deszczu trawników. Każda w innym stylu, od angielskich dworców po neoklasycyzm, ale łączyło je jedno: wszystkie były ogrodzone. Właściciele niektórych starali się ukryć swoje intencje pod dekoracyjnym kamieniem, inni grali w otwarte karty kolcami z metalu, ale za każdym razem przesłanie było jasne.

Trzymaj się z daleka; ten świat należy do nas.

Jechali autostradą Edens na północ od Chicago, tyle udało mu się wyczytać z drogowskazu. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny, i nie widział zjazdu, ale zgadywał, że są w Kenilworth, może Highland Park. Osiedla wielkich pieniędzy, z rodzaju tych, co to gdy człowiek się przyznawał, że tam mieszka, ludzie gwizdali cicho, zastanawiając się w duchu, ile zakosił.

Jason przypomniał sobie, że radny twierdził, że musi mieszkać w swoim okręgu. Trudno o bardziej jaskrawe przeciwieństwo Crenwood niż ulica, którą jechali. Owens prawdopodobnie miał tam jakiś gówniany parterowy dom, gdzie kazał dostarczać pocztę, i tamten adres wpisywał na wyborczych dokumentach.

Szum opon zelżał i skręcili w lewo na podjazd, gładki asfalt prowadzący do wysokiego kamiennego muru. Reflektory samochodu spoczęły na ciężkiej metalowej bramie. Jakiś pojazd zatrzymał się za nimi, jego światła zdawały się oślepiające po wcześniejszych ciemnościach. Galway opuścił szybę, wcisnął przycisk na interkomie. Przez chwilę siedzieli w ciszy, potem brama otworzyła się ociężale, ukazując kręty podjazd biegnący do dużego domu, kanciastego i połyskującego szkłem: niespełna pięćdziesiąt metrów białego zwi-

ru, który chrzęścił i trzaskał pod kołami. Galway zatrzymał samochód przed frontowymi schodami, zgasił silnik. Jason zamknął oczy, leżał nieruchomo. W panującej ciszy słyszał w uszach własny puls.

- Co z nimi? - głos Galwaya.

- Dobrze. Palmer ocknął się jakiś czas temu.

- Chyba żart... - Błysnęły światła wewnętrzne samochodu, pokrywając powieki Jasona pomarańczowym różem. Słyszał skrzypienie fotela z przodu, kiedy Galway się odwracał. - Nie wygląda mi na przytomnego.

- Jest przytomny. Prawda, Jason?

Nie było sensu udawać. Otworzył oczy i zobaczył kowbojską twarz gliniarza gapiącą się na niego z przedniego siedzenia.

- Skąd wiedziałeś? - Galway zerknął na kierowcę.

- Oddech mu się zmienił. - DiRisio odwrócił się z uśmiechem pod krzywym nosem i spojrzeniem nieprzeniknionym jak oczy kobry. - Może pójdziesz i sprawdzisz, czy jest gotowy? Ja ich popilnuję.

Przez chwilę wyglądało na to, że Galway zaprotestuje, ale w końcu otworzył drzwi i wysiadł.

Silnik pracował cicho w letnim skwarze.

- No - powiedział cicho DiRisio. - Wreszcie sami, co? Dwóch żołnierzy. - Popatrzył na mundur Jasona. - Te wyjściowe są ładnie wykończone. Nigdy nie lubiłem mundurów, ale ty wyglądasz w porządku.

- Zabiłeś mojego brata.

- Tak - DiRisio patrzył mu w oczy. - Zabiłem. Jason zacisnął zęby. Starał się opanować, więc choć

z trudem, skierował wzrok za okno. Odkąd tylko się ocknął, powoli zginał i prostował palce, i wróciło mu czucie: igielki i mrowienie. Nie był to szczyt jego marzeń, ale będzie musiał się tym zadowolić. Wyprostował się powoli. Cruz ześlizgnęła się z jego ramienia, głowa poleciała jej na bok. Osunęła

się jak lalka, co tylko podsyciło jego gniew. Napiął ramiona, udając sztywność, potem opuścił je i oparł się łokciem o tylne siedzenie.

- Myślałem, że taki kutas jak ty po prostu nas zabije i wyrzuci gdzieś na ulicę.

- Chwilka, to nie było miłe. Coś ci zrobiłem? - DiRisio uniósł palec do skroni. - A tak, rzeczywiście. Zmiażdżyłem tchawicę twojemu bratu i patrzyłem, jak w drgawkach zdycha na brudnej podłodze pubu.

Jason rzucił się do przodu, odpychając się ramieniem i wyrzucając przed siebie spętane ręce z rozczapierzonymi palcami, by wykłuć skurwielowi oczy. DiRisio zareagował błyskawicznie. Odchylił się i machnął lewą ręką jakby na kształt gardy, co odwróciło uwagę Jasona. Zaczął zmieniać pozycję, dostosowując się, ale nagle w drugiej ręce bandyty błysnął pistolet, jego czarne oko celowało wprost w czoło Jasona. Jakby pojawił się tam za skinieniem czarodziejskiej różdżki. Jason opanował się momentalnie, zahaczył ręce o oparcie fotela.

- Spokojnie, sierżancie. - Palec DiRisio tkwił na zabezpieczeniu spustu, lekko napięty. - Szef chce z tobą pogadać. Co oznacza, że wolałbym cię na razie nie zabijać. Ale jeszcze raz odwalisz taki numer i mogę się rozmyślić.

Jason się skrzywił, potem odsunął się powoli.

- Lepiej to pojmij - DiRisio zabezpieczył i schował siga. - Dałeś nam popalić. Doceniam to. Ale mało spałem przez kilka ostatnich dni, ganiając za tobą, i nie cierpię balów przebierańców. Więc lepiej mnie nie drażnij. Bo gdy przyjdzie pora na twoją rozjebkę, może ona być szybka - pstryknął palcami - albo cholernie powolna. I nie dotyczy to tylko ciebie. - Zerknął na Cruz. - Rozumiemy się?

Jason się odwrócił, wyjrzał przez okno. Zaciśnął szczęki. Ręce mu się trzęsły i starał się powstrzymać ich drżenie siłą woli. Próbował się skupić na opanowaniu lodowatych pajaków pełzających po plecach i wściekłości palącej mu trzewia

na myśl o Mikeyu leżącym na podłodze swego pubu z wybałuszonymi oczyma i rękoma chwytającymi gardło.

- Brawo. I nienawidź mnie po cichu.

Otworzyły się drzwi domu i na zewnątrz wyszedł Galway. Bandyta z blizną palił wcześniej papierosa na ganku, wyrzucił go, kiedy policjant do niego dołączył. Rozmawiali chwilę, potem Galway podszedł do samochodu i otworzył drzwi, trzymając w prawej ręce broń.

- Chodź, Palmer. On chce porozmawiać tylko z tobą.

- Nie. - Jason wsunął stopy pod fotel przed sobą, napiął mięśnie. Mógł zrobić przynajmniej tyle.

- Zabrzmiało ci to na prośbę?

- Nie zostawię jej z tym psycholem - rzucił spokojnie. - Chcecie mnie rozwalić, to śmiało, rozwalajcie. Ale nie zostawię jej z nim samej.

Galway westchnął.

- Jezu Chryste.

- Spoko, twardzielu. - DiRisio się uśmiechnął. - Ja zaprowadzę Palmera, ty popilnujesz jej.

Galway popatrzył na Jasona, który niechętnie skinął głową. Nie przypuszczał, by Galway wykręcił coś z Cruz. Poza tym raczej nie miał wyboru. DiRisio otworzył drzwi i wysiadł. Samochód podjechał do góry na amortyzatorach. Bandzior otworzył tylne drzwi, wyszarpnął siga i skinął nim na Jasona.

Jason wygramolił się z auta. Wyprostował ramiona do góry, porządkując jednocześnie myśli. Siła i dyscyplina. Cokolwiek czeka go tam w środku, zniesie to. Może nawet na to sobie zasłużył, zważywszy na wszystkie błędy, które popełnił: Martinez, Przywra, Michael. Ale Cruz nie zasłużyła i Billy też nie. Jeśli jego ostatnim uczynkiem będzie uratowanie im życia, chętnie potem umrze.

Taki już los żołnierza.

- Dalej.

Jason ruszył ścieżką. Bliznowaty łytał na niego spode łba, potem dołączył do DiRisio. Drzwi frontowe stały otworem, ukazując przyjemny hol w beżach i brązach: lustro w srebrnych ramach, barwne chodniki, kręte wijące się w górę schody. Kiedy wszedł do środka, zaryzykował rzut oka przez ramię. Mężczyźni stali cztery kroki za nim, poza zasięgiem jego rąk, ale wystarczająco blisko, by nie chybić. Zawodowcy. Jason popatrzył na nich gniewnie i ruszył dalej, przechodząc z korytarza do salonu z wysokim sufitem. Krzesła obite miękką skórą, niski stolik, abstrakcyjne obrazy odbijające się w jasnym parkiecie. Na przeciwległej ścianie znajdowały się drzwi w przygaszonej czerwieni ozdobione azjatyckimi znakami. To do nich DiRisio kazał mu zapukać.

- Tak - odpowiedział przytłumiony głos.

Jason sięgnął do klamki, zbierając siły i z zadowoleniem witając dobrze znane mrowienie w palcach. Miejsce może nie doskonałe, ale musi wystarczyć. Wizualizował sobie sekwencję ruchów: otworzyć drzwi, wpaść do środka, zatrzaskać. To powstrzyma DiRisio wprawdzie tylko na ułamek sekundy, ale powinno wystarczyć, by Jason przeprowadził akcję.

Może ostatnią w życiu.

## Głębia

Pływała w mętnej, nieprzeniknionej głębi, nad głową widziała falującą powierzchnię świadomości. Słyszała jakieś dźwięki i czuła czyjś dotyk, ale nie miała ochoty otwierać oczu. Chciała spać, pogрузić się z powrotem w otchłani.

- Ocknij się, Elena. - Męski głos, blisko. Jason? Uświadomiła sobie, że ma rację. Powinna się obudzić. Były ważne powody.

- No, oprzytomnij.

Sprawy do załatwienia. Mieli kłopoty. Musieli powiedzieć...

Wciągnęła głośno powietrze i otworzyła oczy. Była w samochodzie, na tylnym siedzeniu, drzwi były otwarte, powietrze wilgotne, gęste jak zupa, jakaś postać zaglądała do środka, mężczyzna z jedną ręką wspartą o siedzenie, drugą wyciągniętą w jej kierunku. Torebka. Miała w torebce broń. Chciała sprawdzić siedzenie obok, ale zobaczyła, że ma spętane ręce. Mężczyzna dotknął jej ramienia i bez zastanowienia złapała go za nadgarstek, wykręciła i odgięła do tyłu, obracając się, żeby zwiększyć siłę nacisku.

Mężczyzna krzyknął i upadł na kolana. Zaczął grzebać przy pasie. Wyciągnął pistolet.

- Cholera jasna, Cruz!

Poznała teraz ten głos. „Galway”. Popatrzyła w wylot lufy, puściła jego dłoń. Rozejrzała się. Siedziała na tylnym siedzeniu limuzyny. Ostatnie co pamiętała, to odgłos zbliżających się kroków, to, że się odwróciła i zobaczyła jakiś kształt zderzający się z jej głową. Dali się złapać jak myszy.

- Ty skurwysynu. Galway prychnął.

- Jasne. - Trzymał pewnie broń, z palcem na zewnątrz osłony spustu. Dobry zwyczaj, zapobiegał wypadkom, ale raczej go nie zwolni.

- Gdzie jest Jason?

- W środku. Chodźmy.

- W środku? - Zaczynała myśleć na tyle jasno, by wiedzieć, co to oznacza. Radny. - Chce z nami rozmawiać? Dlaczego?

- Musisz jego o to zapytać. No, chodź już. - Mówił stanowczo, ale nie ostro. - Wsiądź z samochodu. Powoli.

Nie chciała, ale raczej nie miała wyboru. Zaczęła się przesuwać delikatnie, korzystając z okazji, by zerknąć na podłogę w poszukiwaniu torebki. Miała nadzieję, że po prostu ją za nią wrzucili, nie zwracając sobie głowy rewidowaniem. Ale nigdzie nie było po niej śladu.

Przerzuciła nogi na zewnątrz. Czowała się absurdalnie wystrojona w oficjalnym stroju. Obcasy zachręściły, wbiły się w żwir. Galway cofnął się krok czy dwa, obserwując ją uważnie z wyciągniętą bronią. Wstała i raptem zakreśliło jej się w głowie, przed oczyma zawirowały ciemne plamy. Próbowwała przytrzymać się dachu samochodu, ale był mokry, spętane ręce się ześlizgnęły, uda się pod nią ugięły, ciemne plamy zwielokrotniły, zobaczyła ciemność i cholera, poleciała.

Złapały ją silne ramiona. Rozum podpowiadał natychmiastowy atak, bo Galway nie mógł jej podtrzymywać i jednocześnie mierzyć do niej z pistoletu, ale ciało się trzęsło,



krew przelewała się ciężko przez żyły. Dwa silne uderzenia w głowę jednego dnia. Nie miała żadnych szans. Zamknęła oczy, koncentrując się na oddechu. Z tak bliska czuła zapach Galwaya, znajomą nutę wody kolońskiej o zapachu drzewnego dymu. Ile razy ją wdychała, kiedy jeździła z nim po Crenwood, filozofując i plotąc bzdury, wysłuchując jego zwierzeń i opowieści o rozwodzie?

Galway naprowadził jej ręce na drzwi samochodu, pomógł się oprzeć, potem zrobił krok do tyłu, kiedy odzyskiwała wzrok.

- Chryste, Elena. - Pokręcił głową. - Czemu musiałaś się w to mieszać?

- To było moje śledztwo.

- I powiedziałem ci, jak masz je zamknąć. Czy to byłoby takie złe: zrzucić wszystko na takiego śmiecia jak Playboy? Raz przymknąć oko? Nawet jeśli nie on zabił Palmera, wiesz doskonale, że ma na sumieniu niejednego człowieka. - Pokręcił głową. - Nie chciałem, żebyś się w to wplątała.

- To było moje śledztwo - powtórzyła.

- Jasne - prychnął.

Wzrok jej się ustabilizował i rozejrzała się dokoła. Dom czy raczej cholerna rezydencja. Kanciasta imitacja Bauhausu usadowiona pod starymi dębami. Powietrze było przesycone organiczną wonią nawozu.

- Lepiej się czujesz?

Popatrzyła na partnera, na jego surową twarz, teraz złagodniałą, nieogoloną, z workami pod oczyma i lekko skrzywionymi wargami. Trzymał pistolet przy boku, jakby wyciągnął go zupełnie przypadkiem.

- Dlaczego to robisz, Tom? - Nie odpowiedział. Zrobiła jeden ostrożny krok, potem drugi. Powoli wracały jej siły, choć razem z nimi pojawił się ból, mocny, głęboki, rozlewający się między skrońmi. - Dla pieniędzy? - Szpilki to był fatalny wybór, niemal niemożliwością było poruszać się

w nich po mokrym żwirze. Weszła na trawnik, odwróciła się twarzą do Galwaya, uniosła zgiętą w kolanie nogę i rozpięła pasek buta. - Wiem, że masz rachunki, syna. Ale nigdy bym nie pomyślała, że możesz się ześwinić. Pokręcił głową.

- Gra na czas nic nie da.

Rzuciła but na ziemię, stanęła bosą stopą na trawie i uniosła kolano, by zdjąć drugi.

- Zawsze chodziły jakieś plotki. A to, że ten bierze kasę od alfonsów, a tamten ma układ z dilerem, jeszcze inny kradnie kasę z miejsc zdarzenia. Ale to zawsze dotyczyło kiepskich gliniarzy wyczekujących na emeryturę. A ty, ty byłeś świetnym gliniarzem. Co się stało?

- Elena, posłuchaj. - Zobaczyła wzruszenie ramion w świetle padającym z werandy - Przykro mi, że jesteś w to wmieszana. Naprawdę mi przykro. Ale daruj sobie tę zabawę w wyznawanie win, dobra?

Zrzuciła drugą szpilkę.

- Naprawdę mógłbyś mnie zastrzelić? Swojego partnera? - Zbliżyła się o krok, trzymając związane ręce nisko, żeby nie czuł się zagrożony.

- Wiem, że masz swoje grzechy na sumieniu, ale naprawdę posunąłbyś się tak daleko?

- Do nikogo nie strzelałem - rzucił szybko.

- A tam nad rzeką? - Może wyrzuty sumienia go ruszą. - Wtedy do mnie strzelałeś.

- Nie - zaprzeczył stanowczo. - To był DiRisio. Ja uratowałem ci życie. Trafiłby, gdybym mu nie przeszkodził.

Poczuła w sercu isierkę nadziei. Może jeszcze jakoś się dogadają.

- Widzisz? Wiedziałaś, że nie przestałeś być policjantem. - Zbliżyła się jeszcze o krok. - Zastanówmy się nad tym jak gliniarz z gliniarzem. Musi być jakieś wyjście.

- Żałuję — powiedział i uniósł broń na wysokość ramienia, kierując lufę na jej tułów. - Ale już raz uratowałem ci życie.

Zesztywniała, chłód zmroził jej ręce, powlekł ramiona gęsią skórką. Nad głową pasmo szarych chmur rozstąpiło się, ukazując matowosrebrny księżyc.

- Chcesz wiedzieć dlaczego? Naprawdę chcesz? - Oczy mu zapłonęły, zgiął palce ręki, w której trzymał broń, bębniąc nimi po uchwycie. - Miałem dość. Dość przymykania czternastolatków za zabójstwa. Dość szukania ich starych i dowiadywania się, że mamusia leży w dupę pijana o jedenastej rano, a tatuś zabrał się dziesięć lat temu. Dość oglądania trupów różnych nastolatków na tych samych ulicach. Na przykład róg Damen i Pięćdziesiątej Piątej, wiesz, ile ciał tam znaleźliśmy w zeszłym roku? Pięć. Na tylko jednym zasranym rogu. Dzieciaki ginące na trzech metrach betonu przed stacją benzynową. - Urwał. - Kiedyś wierzyłem, że możemy zmienić sytuację w mieście. Myślałem, że ta praca naprawdę się liczy. Ale nie, nic z tego. Nie jesteśmy gliniarzami. Tylko dozorcami w zoo. I mam tego dość, zmęczyłem się.

- Więc uznałeś, że możesz równie dobrze zarobić trochę szmalu. - Nawet nie starała się ukryć jadu w głosie.

Pokręcił głową.

- To nie dlatego.

- Ale trochę ci jednak skapnęło.

- Oczywiście, że tak. Ale to nie był powód. Zrobiłem to, ponieważ...

- Odetchnął głęboko, rozejrzał się, jakby potrzebne słowa leżały gdzieś na ulicy. - Pewnej nocy stanąłem przed lustrem i zadałem sobie pytanie, czy świat nie stałby się choć ciut lepszy, gdyby ktoś spalił Crenwood do gołej ziemi i odbudował na nowo ze Starbucksem na każdym rogu i ładną prywatną szkołą. Gdybyśmy zapomnieli na chwilę o poprawności politycznej i „równości szans” i po prostu pozbyli się gnoju. A nawet jeśli w tym celu trzeba skrzywdzić parę osób, to cóż, one krzywdzą się nawzajem na potęgę, więc co za różnica...

W ciszy, która zapadała, słyszała lekkie stukanie deszczu kapiącego między konarami dębów. Podejrzewała, że chyba

powinna zdjąć ją groza na te słowa, ale za długo pracowała w policji. Nie powiedział nic, co chociaż raz nie przysłoby do głowy każdemu gliniarzowi. Nie da się tego uniknąć, patrolując tę strefę wojny dzień za dniem. Nie mogła się sprzeciwić, nie kłamiąc, nie mogła się też zgodzić i pozostać wierna sobie. Więc w końcu powiedziała tylko:

- Nie rób tego.

Galway patrzył się na nią smutnymi irlandzkimi oczyma. Przypominał dzianego, ekskluzywnego pijaka z gatunku tych, co to spędzają popołudnia w hotelowych barach.

- Już za późno, za daleko zabrnąłem - pokręcił głową. - Poza tym próbowałem trzymać cię od tego z daleka. Powiedziałem, jak masz to załatwić. Na dobrą sprawę błagałem cię, żebyś nie drażyła sprawy. Zlekceważyłaś moje rady. Teraz nie mogę już nic zrobić.

- Tom...

- Chodźmy - rzucił i coś w wyrazie jego twarzy powiedziało jej, że podjął już decyzję. Zacisnęła zęby, odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Mokry żwir ocierał jej gołe stopy.

- Wiesz, ktoś skompletował te dowody i je przekazał. Ktokolwiek to był, spróbuje raz jeszcze. Następnym razem może ci się nie udać go powstrzymać. A jeśli tak się stanie, myślisz, że radny sam pójdzie na dno?

- Radny? - W jego głosie słychać było rozbawienie. - Rozejrzyj się. Ten dom wart jest cztery, pięć milionów. Naprawdę sądzisz, że on może tyle wybulić? Plus ziemia w Crenwood, nawet tania, razem te nieruchomości tworzą sporą sumkę. Owens nie ma takiej forsy. I przede wszystkim nie ma dość pomysłu, by wykombinować taki plan. Cholera, nie daję głowy, czy potrafiłby zawiązać sobie lakierki bez tego swojego asystenta.

Stała, odwróciła się, zbita z pantałyku.

- Elena, nie pracujemy dla radnego - powiedział Galway wolno, jakby wyjaśniał coś dziecku. - To radny pracuje dla nas.

## Furia

Jason rzucił się do przodu, ale raptem zamarł zaskoczony. Mężczyznę, który siedział za biurkiem, widział wprawdzie tylko raz, ale miało to miejsce nie dalej niż pięć godzin temu. Z okna domu Washingtona, gdy razem z Ronaldem gapili się przez szybę na człowieka, który bez mrugnięcia okiem mógł oddać lekką ręką pół miliona dolarów.

- Pan się nazywa Adam Kent.

Mężczyzna zmrużył oczy, popatrzył obok Jasona na Di-Risia.

- Powiedziałeś mu...

- Oczywiście, że nie - rzucił zabójca spokojnie. - To bystrzacha. Ostrzegalem.

Kent skinął głową, westchnął.

- No cóż. - Rozpiął smoking, miękki i drogi z wyglądu, nie żaden wyświecony łach z wypożyczalni.

„Chryste. On też był na tym przyjęciu”, przeszło Jaso-nowi przez głowę. I zaraz potem: „Oczywiście, że był. To on je wydał”.

Jason miał mętlik w głowie. Facet dawał Washingtonowi pieniądze, żeby ratować ekszłonków gangów. I jednocześnie ich zbroił, nastawiał przeciwko sobie nawzajem? Palił domy i wykupywał grunty?

Kent pokazał na krzesło.

- Panie Palmer, proszę usiąść.

Jason zawahał się, potem ruszył do przodu, lustrując pomieszczenie wzrokiem, analizując pole starcia. Duży gabinet. Wyścielane fotele przed otwartym kominkiem wielkości garażu. Sierpień, całe miasto poci się i ledwie zipie, a Kent pali sobie w kominku w chłodzie klimatyzacji. Pośrodku pokoju stało eleganckie biurko z jasnego drewna, a przed nim trzy kanciaste krzesła o nowoczesnej linii, na oko niewygodne. Z tyłu drzwi balkonowe prowadzące na dziedziniec, oświetlony gdzieś lampami ogrodowymi.

Usiadł na brzegu krzesła, patrząc, jak DiRisio i Bliznowaty stają obok na straży. Po chwili Kent obszedł biurko i oparł się o jego brzeg wprzycielskiej, swobodnej pozie. Wyglądał jak dyrektor banku. Niezbyt wydatna szczeka, proste rysy, szpakowate włosy. Ronald trafił wcześniej w sedno: człowiek, którego mija się na ulicy, nie zwracając uwagi.

Nagle Kent skrzyżował ręce na piersi, odetchnął głośno i powiedział coś, czego Jason zupełnie się nie spodziewał.

- Panie Palmer, jestem winien panu przeprosiny. Gdyby zaczął wrzeszczeć i pieklić się, Jason by się nie

zdzivił. Gdyby groził mu torturami, obiecywał ból nie do zniesienia, Jason byłby gotowy. Ale teraz zaniemówił.

- Po pierwsze, przepraszam za sposób, w jaki pan tu trafił. Wprawdzie okoliczności tego wymagały, ale tak czy owak było to brutalne. Co prowadzi nas do kolejnej sprawy, nad którą szczerze ubolewam. - Splótł palce w geście skruchy. - Niewymownie mi przykro z powodu tego, co spotkało pana brata.

Jasonowi opadła szczeka.

- Anthony jest nadgorliwy - ciągnął Kent. - Prosiłem go tylko, by porozmawiał z pańskim bratem. Ostatnie czego chcę, to krzywdzić ludzi takich jak Michael. To szkodzi interesom.

Jason skakał spojrzeniem po twarzach obecnych, mając wrażenie, że nie nadaża. Bliznowaty patrzył na niego beznamiętnie. DiRisio grzebał w uchu. Jeśli przejmował się słowami szefa, skrzętnie to ukrywał.

- Interesom? - Jason czuł, jak policzki mu płoną. - Ma pan na myśli wzniesienie wojny gangów dla zysku? Palenie dzielnicy?

- Tak - potwierdził rzeczowo Kent. - Proszę posłuchać, kiedy dom naruszają korniki, nie wznosi się kolejnej ścianki gipsowej, tylko burzy się go i buduje od nowa.

Ten człowiek dał Washingtonowi pół miliona dolarów na pomoc członkom gangów? I wtedy ostatni kawałek układanki trafił na miejsce. W pewien chory sposób nawet miało to sens.

- Już rozumiem.

- Co takiego?

- Dlaczego pomógł pan Washingtonowi. Zagrywka rodem z CIA. Ponieważ jest pan białym gościem z przedmieść i całe Crenwood wygląda dla pana tak samo, potrzebował pan informacji z pierwszej ręki. Zgadza się?

Kent skinął głową.

- Washington to dobry człowiek i z przyjemnością pomagam mu pomagać tym chłopcom. Tym bardziej że przy okazji mogę się dowiedzieć wszystkiego, czego potrzebuję.

- Pomaga mu pan? - Jason wykrzyknął. - Wykorzystał go pan, żeby mordować.

Milioner pokręcił głową, wciągnął powietrze przez zęby.

- Nie. „Mordować” to bardzo emocjonalne słowo. Trywialne i małostkowe. Może pan nie pochwałać moich metod, aleja coś tworzę. Kiedy skończę, Crenwood będzie bezpiecznym osiedlem, wymarzone miejsce do wychowywania dzieci. I owszem, uprzedzając pański zarzut, potwierdzam: zarobię przy okazji mnóstwo pieniędzy. Jednak świat też na

tym zyska. Jestem człowiekiem interesu i pragmatykiem, ale nie jestem potworem. Nawet nie mam wąsów. Jason zmrużył oczy.

- Okay.

- Okay?

Przypomniały mu się słowa Cruz znad rzeki.

- Przyjaciel nauczył mnie, że dopóki ktoś trzyma nas na muszce, właściwą odpowiedzią na wszystko jest „okay”.

Kent się roześmiał.

- Rozumiem. Ale chciałbym mieć pewność, że poświęca mi pan całą swoją uwagę.

- Wierz mi, człowieku, poświęcam.

- W porządku. - Kent zerknął na DiRisio, skinął krótko głową. Zabójca schował broń, odkleił się od ściany i stanął tuż za Jasonem. - A zatem - ciągnął Kent - ma pan coś, czego potrzebuję.

- Naprawdę sądzi pan, że wydam wam swojego bratanka?

- Bratanka? - Lekko skonsternowany uśmiech pojawił się na ustach milionera. - A na cóż mi on?

Ramiona Jasona pokryły się gęsią skórką.

- No przecież ci gangsta i DiRisio...

- Szukali, czego im kazałem - Kent nachylił się do przodu. - Dokumentów, panie Palmer. Chcę tylko mieć te dokumenty, w których posiadanie wszedł pański brat, te, o których opowiadał pan radnemu. Odda mi je pan, i po sprawie.

Jason patrzył na niego, usiłując zachować kamienną twarz, kiedy do niego powoli docierało. Przypomniał sobie przyjęcie, to, jak kluczył w rozmowie z radnym, nie mówiąc wprost, że dowody zostały zniszczone, żeby nie stracić jego zaufania. Owens musiał powtórzyć wszystko Kentowi, który teraz jest przekonany, że to Jason położył na nich rękę.

I teraz chce tylko dostać coś, czego Jason nie ma.



- Zamierza mi pan wmówić, że nie tylko wypuści mnie stąd całego, ale zostawi też Billy'ego w spokoju? - rzucił szyderczo.

- Absolutnie. Przez cały ten czas zależało nam tylko na tych papierach - zapewnił Kent. - Panie Palmer, wiem, że nie przepada pan za mną i rozumiem dlaczego. Ale prawda wygląda tak, że ja nie żywię do pana żadnej urazy. Pan traktuje tę sprawę osobiście. Tymczasem dla mnie to tylko interes. W tej chwili przeprowadzam bardzo skomplikowane przedsięwzięcie finansowe. Pański brat niepotrzebnie się w to wmieszał. Nie trafiały do niego żadne rozsądne argumenty. Nie zabiłem go dla przyjemności, podobnie jak nie sprowadziłem tu pana, żeby chwalić się swoim diabolicznym planem.

- Okay.

- Dobrze. Cierpi pan i nie mogę tego zmienić. Ale proszę uważnie posłuchać. - Przeciągnął ręką po włosach. - Zabicie pana nie przyniesie mi żadnej korzyści. Bez dowodów nie może pan mi w żaden sposób zaszkodzić. W żaden. Mam masę pieniędzy i masę ludzi, którzy aż się palą, żeby wyświadczyć mi przysługę. A co ma pan? Drobną kradzież na koncie i wydalenie z wojska z powodu nieprzydatności. - Wzruszył ramionami. - Przykro mi, ale to trochę za mało, żeby mnie pokonać. Więc nie komplikujmy sprawy. Niech mi pan da, czego chcę, a ja zwrócę panu życie.

Jasonowi zrobiło się niedobrze. Choć brzmiało to przerażająco, facet miał rację. Ale chciał także uzyskać od Jasona coś, czego ten nie mógł mu dać.

- Niech pan posłucha - ciągnął Kent - to jedyna okazja, żeby uratować pańskiego bratanka i kochankę. Móc patrzeć, jak Billy dorasta. To dobra propozycja. Proszę ją przyjąć.

Jason opadł na oparcie, spojrzął Kentowi w oczy. Miał wrażenie, że milioner mówi szczerze, ale równie dobrze mógłby próbować przejrzeć zamiary krokodyla. A jednak. Choć Jason bardzo chciał, by było inaczej, to co gość mówił, trzymało

się kupy. Wyczerpali z Cruz wszystkie możliwości. Rozmowa z radnym była ich ostatnią deską ratunku. Jeśli Kent puściłby ich wolno, istotnie nic zupełnie nie mogliby mu zrobić.

Co tylko sprawiło, że w Jasonie jeszcze mocniej się zagotowało. Zupełnie jak na wojnie, prawdziwi gracze byli nie do ruszenia. Mówiło się o niezmiennym celu i niepowstrzymanej sile. Ale ofiarą padali zawsze ludzie, którzy znaleźli się między celem a siłą. Tacy jak jego brat.

- Skomplikowane przedsięwzięcie finansowe? - Jason pokręcił głową. - Ma pan świadomość, że mówi o ludziach? Zabija ich pan, pali ich domy, niszczy okolicę. Żeby nabijać sobie kabzę. Kolejny biały, któremu zawsze mało.

Kent prychnął. Wstał, obszedł biurko, opadł na krzesło.

- To nie miłość rządzi światem, panie Palmer, a jedynym kolorem, który się liczy, jest zielony. Czarni, biali, brązowi, jeden pies. Tu chodzi o biednych i bogatych. Ja jestem bardzo bogaty, więc wygrywam. Może pan sobie do woli pleść komunały. Ale najpierw niech pan łaskawie postanowi, czy woli umrzeć dziś wieczór, czy oglądać, jak dorasta bratanek.

„Myśl, do cholery. Myśl”. Jason odwrócił wzrok. Zacisnął zęby, szarpał więzy na nadgarstkach. Ale plastik ani drgnął, a jego palce były grube i ciężkie. Każdy mięsień w ciele kazał mu walczyć: wstać, ruszyć, rzucić się na Kenta i DiRisias. Przegra, ale przynajmniej zginie w boju. Śmiercią żołnierza. Nie musząc dokonywać tego potwornego wyboru.

Układać się z człowiekiem, który zamordował mu brata.

Gdyby się zgodził, a Kent dotrzymał słowa, byłiby wolni. Mógłby przekonać się, co jest między nim a Cruz, świętować z Billym jego dziewiąte urodziny, napić się z Washingtonem drinka na oświetlonym ganku. A nawet jeśli Kent postanowiłby go mimo wszystko zlikwidować, przynajmniej Billy byłby bezpieczny. Jeśli dowody by zniknęły, a świadkowie byli martwi, nie byłoby sensu zawracać sobie głowy chłopcem.

- Wiem, że mnie pan nienawidzi, panie Palmer - powiedział cicho Kent. - Ale jest pan inteligentnym człowiekiem. Niechże więc pan zrobi to, co konieczne. Proszę mi powiedzieć, gdzie są te papiery. - Długimi palcami przeczesał włosy, potem splótł ręce za głowę.

Czasami ma się związane ręce. Jason spuścił głowę, patrzył na kolana. „Wybacz mi Michael, próbowałem”. Otworzył już usta.

Ale ponownie mignął mu gest Kenta. Zobaczył, jak milioner przeciąga palcami po włosach.

„Ten duży był łysy”, powiedział Billy dwa dni temu, siedząc w zalanym słońcem mieszkaniu Jasona i opowiadając historię, od której pękało mu serce. Historię o dwóch mężczyznach, którzy przyszli do pubu i zabili Michaela. Jeden duży i łysiejący. Drugi szczupły i zwyczajny ze szpakowatymi włosami.

I Jason zrozumiał, że bez względu na to co mówi, Kent nigdy nie zostawi jego bratanka w spokoju.

Jednym z mężczyzn w pubie był DiRisio. Chwalił się tym nawet. Zakładali, że drugim był Galway.

Ale Kent także miał czarne, przyprószone siwizną włosy.

## Granica wytrzymałości

- To byłeś ty - warknięcie, zwierzęcy ryk. Umysł nakazywał przestać, powstrzymać się, ale gniew był górą. „Skurwysyn”. Jason już zrywał się z krzesła, gotów choćby spróbować, wiedząc, że to daremny gest. Że żaden układ nie wchodzi w grę, że nie ma nadziei.

Poczuł walnięcie w szyję, od prawej. Cały świat się rozmył. Nogi odjechały daleko, bezwładne i ciężkie jak ołów. Ciało nie chciało się ruszać, ale ruszał się wbrew niemu. Dla Michaela i dla Billy'ego. Ruszał się, choć nie mógł.

Dopóki DiRisio nie uderzył go otwartą dłonią w szyję z drugiej strony i kolana się pod nim ugięły.

Fala bólu wstrząsnęła ciałem, w oczach pojawiły się błyskawice i fajerwerki, czwarty lipca pod powiekami. Jakaś ręka chwyciła go za włosy, pociągnęła i poleciał z powrotem na krzesło, lądując ciężko z bezwładnie zwisającymi rękoma.

- Nie zabijaj go - rzucił Kent ostro, bez śladu niedawnego perswazyjnego tonu.

- Nic mu nie jest - głos DiRisio odbijał się echem, zniekształcony. - Uderzyłem go we wrażliwy punkt za tętnicą szyjną. Nie ma trwałych obrażeń.

Jason przymknął oczy, starał się odzyskać oddech i równowagę. Miał wrażenie, że jego środek ciężkości fika koziołki.

Krztusił się i kaszłał. Szamotał. „Weź się w garść, żołnierzu. Natychmiast”.

Seria głębokich oddechów. Obraz roztopiającego się lodu, błądy błękit, który spowił wszystko, uśmierzając ogień w głowie.

Otworzył oczy. Nienawiść niczym bezwodny alkohol płynęła mu w żyłach.

- To nie Galway był w pubie. Tylko ty. Kent spojrzał na niego rozbawiony.

- Twój brat miał dowody, które mogły zniszczyć wszystko, nad czym pracowałem. A nawet doprowadzić do postawienia mi zarzutów. Mnie. - Wzruszył ramionami. - Tak ważnych spraw doglądam osobiście.

Jason starał się wstać, mimo że ciało nadal mu się rozjeżdżało.

- Och, na litość boską - spokój Kenta zaczął pękać, wreszcie. - Siadajże. Możemy ci wpakować kulkę, nie spełniając twojego życzenia.

Jason spojrzał na niego spode łba, bez rezultatu szarpiąc dłońmi węzły na przegubie.

- Mojego życzenia?

- Żeby umrzeć. - Milioner uśmiechnął się do niego. - Bo tego chcesz, prawda? Znam okoliczności twojego zwolnienia z wojska. Wiem, co od tego czasu robiłeś. I wiem, że gdyby nie twój bratanek, już dawno dałbyś się zabić. Ale wiesz co? Dzisiaj masz szczęście. - Zapiał guziki smokingu i odwrócił się do DiRisio: - Pora zakończyć ten dramat kostiumowy.

DiRisio dał znać głową Bliznowatemu. Mężczyzna oderwał się od ściany i wyszedł cicho z pokoju.

O co chodzi? Tego Jason się nie spodziewał. W końcu do niego dotarło. Posłużą się Elena, żeby go załatwić.

Zagryzł wargi, aż poczuł smak krwi. Dobrze. Pora umierać. Kiedy wejdzie, pokażą, na co ich stać, odejdą w blasku

chwały i skończą to, zanim komuś jeszcze stanie się krzywda. Szczerze mówiąc, nawet się z tego cieszył.

Ale kiedy się obejrzał, to nie Cruz stała w drzwiach.

Billy strzelał dziko oczyma na wszystkie strony, twarz miał rozpaloną i tak mocno ścisnął dłoń Washingtona, że obu im pobiełały knykcie. Staruszek chwiał się na nogach, ze skroni spływała mu strużka krwi.

- Nie - wymknęło się z ust Jasona. Miał wrażenie, że pierś ścisną mu imadło, trzewia palił płynny ogień. - Nie.

- Przepraszam, synu - rzucił Washington zmęczonym głosem. - Zjawili się jak spod ziemi. Ronald próbował walczyć, ale... - gardło mu się ścisnęło.

- Wujku Jasonie, co się dzieje? - rzucił Billy głosem cienkim jak wstążka.

Ufność w jego głosie rozdzierała jak hak. Jason patrzył wstrząśnięty. Jego ukochana, ojciec, brat i bratanek, nikogo z nich nie zdołał obronić.

Kłamca. Było dużo gorzej. Nie tylko nie zdołał ich obronić.

Wydał na nich wyrok.

Do niczego takiego by nie doszło, gdyby odpuścił, zabrał po prostu chłopca w bezpieczne miejsce, zamiast zgrywać się na żołnierza i ścigać potwora w nadziei, że go unicestwi. Może Billy nie byłby szczęśliwy poza domem, w obcych miejscach, na walizkach, ale przynajmniej by żył. A teraz...

Uświadomił sobie, że chłopiec się w niego wpatruje. Siłą woli uspokoił trzęsące się ręce.

- Wszystko dobrze, bąku. Wszystko będzie dobrze. DiRisio zachichotał.

- Wprowadź ich - rozkazał Kent. - Kobietę też.

Bliznowaty położył mięsistą dłoń na plecach Washingtona i pchnął, tak że staruszek wpadł, zataczając się, do pokoju. Billy wisiał u jego ręki, wpatrując się dziko w Jasona. Bliznowaty wszedł, trzymając pistolet przy boku Cruz, i zaprowa-

dził ich wszystkich do skórzanej sofy pod ścianą. Washington usiadł sztywno, Billy przycupnął tuż obok niego. Cruz została rzucona na drugi koniec, ręce miała spętane z przodu tak jak Jason. Ostatni w drzwiach pojawił się Galway z twarzą wymizerowaną i bladą.

- Nie rób tego - powiedział cicho Jason. - Proszę. Kent ziewnął i odchylił się w krzesło.

- Wiesz, czego chcę. Moment prawdy.

- Nie mam już tych dowodów - powiedział szybko, pewnym głosem, patrząc Kentowi w oczy. - Znaleźliśmy je w piwnicy pubu Michaela. Ale Playboy jechał za nami i zepchnął nasz samochód do wody. Nie zdążyliśmy wyciągnąć aktówki.

- Radnemu powiedziałaś co innego.

- Ale nie mówiłem mu, że je mam, tylko dałem do zrozumienia. - Jego spojrzenie było kwintesencją opanowania. - Chciałem go przekonać i bałem się, że jeśli powiem mu prawdę, nie będzie chciał słuchać.

Kent wolno przesunął językiem po wnętrzu ust.

- Jesteś pewien?

- Przysięgam - spływał potem, a skórę miał tak napiętą, jakby miała zaraz pęknąć.

W migotliwym blasku kominka oczy Kenta zamieniały się w ciemne jamy. Dłonie miał złożone na kolanach, postukiwał rytmicznie palcem, ważąc słowa Jasona. Wreszcie pokręcił głową.

- Muszę mieć pewność. - Westchnął, potem skinął głową na DiRisias.

Ten schował sigę, sięgnął do kieszeni spodni smokingu i coś wyciągnął. Jednym ruchem nadgarstka otworzył dziesięciocentymetrowe ząbkowane ostrze i mrugnął do Jasona.

Jason zamknął oczy i wziął głęboki oddech. „Michael, potrzebuję cię. Daj mi siłę. Błagam”. Kent będzie chciał, żeby

krzyczał głośno i długo, i w kółko powtarzał tę samą śpiewkę. Jason nie potrafił udawać, że jest gdzieś indziej, myśleć o swoim ciele jak o kawałku mięsa. Będzie musiał przyjąć ból, otworzyć się na niego, przekroczyć razem z nim granicę swojej wytrzymałości. Tylko w ten sposób ich przekona.

Ale kiedy uniósł powieki, to nie nad nim pochylał się DiRisio.

Stał przy sofie.

Z ręką zaciśniętą na chudym ramieniu Billy'ego.



## Wielkie koła

Pomimo słabości nóg i bólu rozlewającego się w głowie, zmusił się do powstania. Bliznowaty wyszedł zza biurka, unosząc pistolet. Jason miał to gdzieś, nie pozwoli, by taka błahostka jak śmierć go teraz powstrzymała.

Wtedy zobaczył, że DiRisio przyłożył nóż do miękkiego nadgarstka Billy'ego. Wystarczy lekki ruch, by rozplatał chłopcu rękę do kości. Jason stał na miękkich nogach trzy metry obok, całą przepaść dalej, która równie dobrze mogła być oceanem, i patrzył, jak DiRisio się do niego uśmiecha.

Jego mózg pracował jak oszalały. Przelatywało mu przez głowę tysiące planów i pomysłów, wszystkie do kitu albo od czapy. Rejestrował najdrobniejsze szczegóły, Cruz w niewygodnej pozycji na kanapie, półleżąc z rękami spętanymi tak jak jego, wykrzywiona w grymasie twarz Washingtona, wytrzeszczone białka oczu Billy'ego, napięta skóra wykręconego przez DiRisio ramienia.

Małeńki poblask srebra tańczący na graniastej głowni, kiedy ostrze mocniej nacisnęło skórę.

- Przestań! - rozległ się z tyłu głos przecinający powietrze jak świśnięcie bata, głos jak broń, głos gliniarza. Galway.

DiRisio zamarł z ostrzem przy zadraśniętym przegubie chłopca.

- Przestań - powtórzył Galway. - Natychmiast. Jason obejrzał się, wyciągając szyję, żeby popatrzeć na

gliniarza, jego zmęczoną twarz z obwisłymi polikami i ostrym podbródkiem. Garnitur miał wymięty, włosy rozczochrane, wyglądał na jakieś sto lat. Nie mógł się równać z takim potworem jak DiRisio, wyszkolonym i zapalonym zabójcą.

Chwila się przedłużała, gęsta i pełna napięcia. Wreszcie Kent rzucił:

- Tom, może byś tak poszedł zapalić? Galway pokręcił głową.

- Kiedy umierali tylko bandyci, mogłem jakoś z tym żyć. I tak by się nawzajem pozabijali. Ale nigdy nie powinienem był pozwolić ci zamordować Michaela Palmera. I nie pozwolę, żebyś teraz zamordował. Nie dziecko.

DiRisio zmrużył oczy.

- Powstrzymasz mnie?

Wszystko dokoła wydawało się jak skamieniałe w bursztynie. Po twarzy Galwaya przemknęła mieszanka emocji: strach, poczucie winy, odpowiedzialność, odraza. W końcu powoli, tak że słychać było, jak metal trze o skórę kabury, wyciągnął pistolet i powiedział:

- Chyba tak.

Jason zerknął na Cruz, zobaczył, że patrzy na partnera z cieniem uśmiechu błakającym się na ustach.

- Rozumiem, jak się czujesz - rzucił słodko Kent. - Nie pisałeś się na coś takiego. I wiesz co? Nie ma sprawy. Chcesz odejść, świetnie. Dam ci premię, o której mówiliśmy, na tyle dużą, by wystarczyła na studia dla twojego syna. Ale póki co, zachowuj się rozsądnie. Odwróć się, wyjdź, zamknij za sobą drzwi.

Galway nie odpowiedział. Tylko odwiódł kurek i usztywnił rękę. Bliznowaty trzymał swoją broń wycelowaną w pierś gliniarza. Jason zaryzykował krok do przodu.

Oczy DiRisio promieniowały nienawiścią niczym wulkan. Wodził spojrzeniem między Bliznowatym, Kentem

a Galwayem. W końcu pokręcił głową i cofnął ostrze. Jason wypuścił z płuc powietrze, choć nawet nie wiedział dotąd, że je wstrzymywał.

- Dobra, Tom. - DiRisio się wyprostował. Złożył nóż i wsunął go do prawej kieszeni, mocując metalowym zaciskiem. Spojrzenie miał beznamienne i nieprzeniknione, kiedy uniósł dłonie do piersi. - Wygrałeś. - Odwrócił się do Bliznowatego. - Opuść broń.

Galway przeniósł wzrok na drugiego najemnika. Tylko na ułamek sekundy, maleńkie drgnięcie oczu. Ale właśnie w tej chwili Jason zobaczył, że DiRisio wyraźnie ruszył lewą ręką.

- Uważaj! - Jason rzucił się w kierunku Bliznowatego, wiedząc, na co się zanosi.

Pierwszy strzał DiRisio dosięgnął Galwaya w ramię, obracając go z siłą miota. Drugi pocisk przeszył mu pierś. Za nim poleciały trzeci i czwarty.

Jason nie czekał, aż upadnie. Rzucił się na Bliznowatego całą siłą rozpędu. Najemnik zaczął się obracać, ale Jason kopnął go kolanem, aż tamten zgiął się w pół, i zaraz z całej siły walnął od góry związanymi rękoma. Poczuł, jak coś trzasnęło w karku napastnika, zobaczył, że mięśnie dokoła oczu mu wiotczeją.

I nagle wszystko wybuchła. Świat rozpada się na kawałki, dźwięk i obraz tracą synchroniczność. Przed oczyma przelatują mu strzępy obrazów.

Cruz rzuca się z sofy w jego kierunku. Galway z metalicznie bladą twarzą, zaciśniętymi zębami, piersią broczącą czerwienią oddaje ostatni strzał przed śmiercią.

Kula wbija się w ścianę niczym palec niewidzialnego olbrzyma.

DiRisio odwraca się z uśmiechem jak z gabinetu luster, z uniesioną bronią i oczyma snajpera.

Bliznowaty upada, osuwając się jak lalka, i zalega na podłodze niczym ołowiany płaszcz.

Kent się podnosi zza biurka. W nienagannie białej koszuli. Ciemna dziura wylotu sigy, otchłań, w której Jason mógłby się pograć.

Billy trzęsący się na kanapie.

Jason maca w poszukiwaniu pistoletu Bliznowatego, chwyt jest śliski, jego ręce wolne, tak wolne, broń się wyslizguje, wie, że nie zdoła jej złapać.

Palec DiRisio napina się na spuście.

I zaraz niewyraźna plama bladej skóry i brązowych włosów przy ramieniu zabójcy. O Boże. Billy usiłuje przyjść na ratunek.

Strzał idzie na bok.

DiRisio wydaje wściekły pomruk, szerokimi wykrzywionymi dziko ustami. Lewą ręką sięga do szyi chłopca.

Pistolet Bliznowatego upada, odbijając się od polerowanego parkietu, Jason rzuca się po niego.

DiRisio podnosi jednym szarpnięciem Billy'ego z kanapy i rzuca go jak poduszkę. Chłopiec kręci rękoma wielkie koła, desperacko próbując utrzymać w powietrzu swoje dwadzieścia trzy kilo. Uderza głową o drewniane oparcie krzesła.

Pada bezwładnie.

Nie.

Nie.

Nie!

Jason odpycha Bliznowatego i sięga po broń spętanymi rękoma.

Uchwyt się lepi. Unosi go szybko, ale wie, że jest już za późno, że DiRisio go ma na muszce. Patrzy na człowieka, który zabił mu brata, i chce, by jako ostatnia na jego twarzy pojawiła się nienawiść. Nie poddaje się, ale czeka na śmierć, zastanawia się, czy usłyszy kulę.

Wystrzał.

DiRisio obraca się w bok. Lewa ręka podnosi się do ramienia. Sig-sauer wypada mu z prawej dłoni. On sam zatacza

się, a kolejny huk wyrywa dziurę w ścianie, tam gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego pierś. Z warkotem chwyta skraj drzwi i wypada z pokoju.

Jason nie rozumie, ogląda się za siebie.

Elena Cruz stoi sztywno z rękoma wyciągniętymi prosto przed sobą. Strużka dymu unosi się z przypalonego rogu jej kopertówki.

## Tornado

Najpierw pomyślał, że nigdy jeszcze nie kochał nikogo tak bardzo jak ją w tej chwili. Potem pomyślał o Billym.

- Pilnuj go! - wskazał na Adama Kenta, który stał za kwadratowym biurkiem, mrugając w osłupieniu. Podniósł ręce, kiedy Cruz się obróciła.

Jason ruszył szybko na czworakach, przechodząc nad zmaltretowanymi zwłokami Galwaya, puste spojrzenie policjanta utkwione było w sufit. Znalazł Washingtona, który tulił Billy'ego, głaszcząc go po włosach. Twarz staruszka ścinał ból i Jason z przerażeniem spojrzał na chłopca, przez mózg przelatywały mu już najstraszliwsze obrazy: pęknięta czaszka, siniczny błękit na twarzy. Ale choć mały miał zamknięte oczy, zdawało się, że oddycha równo.

- Nic mu nie jest - wychrypiał Washington, nie unosząc głowy. - Małe skaleczenie, może wstrząs mózgu. Nie wiem. - Ręce spoczywające na białych barkach chłopca się trzęsły.

Jason podniósł się z pistoletem w spętanych dłoniach. Krew się w nim gotowała. DiRisio. Tym razem zapłaci.

Kiedy pomaszerował do biurka, Kent miał oczy okrągłe z przerażenia.

- Panie Palmer, zapewniam pana, że nigdy bym nie skrzywdził...

Jason uciszył go, podnosząc broń.

- Nożyczki.

Przez chwilę milioner tylko patrzył na niego osłupiały, ale w końcu załapał.

- Oczywiście - powiedział i sięgnął do szuflady.

- Powoli.

Kent delikatnie wysunął szufladę i wyjął nożyczki z czarnym uchwytem. Jason wyciągnął ręce, trzymając pistolet na wysokości brzucha milionera.

- Przetnij opaskę.

Kent zerknął na niego, potem na Cruz pewnie przyciskając mu pistolet do głowy. Z przesadną ostrożnością wsunął jedno ostrze pod opaskę i docisnął drugim, aż plastik pękł.

- Teraz jej. - Trzymał Kenta na muszce, kiedy ten uwalniał Cruz.

- Galway? - spytała łamiącym się głosem.

Jason pokręcił głową, a ona zmrużyła oczy. Patrzył na nią przez chwilę, może sekundę, ale miał wrażenie, że trwało to znacznie dłużej. Był wyczerpany i roztrzęsiony, każdy nerw ciała mu pracował i pokazał to jasno w swoim spojrzeniu. Przełał w nie cały ból i wściekłość, wspomnienie widoku lecącego w powietrzu Billy'ego. Popatrzył na nią, informując, co zamierza zrobić.

Dając jej szansę, żeby go powstrzymała.

Nie zrobiła tego, więc skinął głową i odwrócił się w kierunku drzwi. Usłyszał, jak z tyłu kazała Kentowi usiąść. Palce mu mrowiły od adrenaliny i powracającego krążenia. Przystanął na chwilę i jeszcze raz omiół wzrokiem całą scenę: wolno rozszerzająca się plama szkarłatu przy ciele Galwaya, Bliznowaty znieruchomiały przy biurku, Cruz z Kentem uziemionym na cacy, a na podłodze Washington tulący Billy'ego i zalewający się łzami.

Jason wiedział, że gdzieś tam w środku czeka DiRisio. Człowiek jego pokroju nie odpuści, nie teraz, nie z powodu rannego ramienia. A pamiętając, jak szybko się poruszał, jaką przyjemność sprawiało mu zabijanie, Jason nie był pewien, czy może się z nim równać, nawet teraz.

Była w tym jakaś ironia. Kent nie mylił się co do niego. Jason całymi miesiącami grał na nosie śmierci. Igrał z nią. Prowokował. Prosił się. A teraz kiedy wreszcie miał powody, żeby żyć, kiedy jego życie nabrało sensu, musiał rzucić je na szalę. Był to winien im wszystkim: miłującemu pokój Washingtonowi, wciągniętemu w spiralę przemocy, Ronaldowi, zabitemu czy ranionemu, gdy próbował chronić obcego chłopca, Galwayowi, który mimo wszystko nie przestał być gliniarzem, Michaelowi, który ośmielił się marzyć o lepszym świecie. I Billy'emu, jedynemu naprawdę niewinnemu stworzeniu w tej całej chryi.

Z wyciągniętą przed siebie bronią przeszedł przez drzwi: żołnierz polujący na wcielenie zła w tanim garniturze.

Cruz wiedziała, co Jason chce zrobić. W tej długiej chwili, kiedy patrzył jej w oczy, zakomunikował jej to tak jasno, jakby powiedział słowami. Prosił tym spojrzeniem o jej zgodę na zabicie Anthony'ego DiRisio i ona jej udzieliła.

Sądziła, że jako policjantka powinna się z tym źle czuć, ale się nie czuła.

- Połóż ręce na biurku. - Jej głos przeciął powietrze ostro jak trzaśnięcie bata i Kent posłuchał bez wahania. Niedobrze jej się robiło, gdy na niego patrzyła: wcześniejszą arogancję bogacza zastąpiła blada z przerażenia, przyprawiająca o mdłości mina. Zerkał to na jedne, to na drugie zwłoki, widząc rzeczywisty koszt swojego finansowego przedsięwzięcia, już nie w postaci pozycji na arkuszu kalkulacyjnym, ale na własne oczy.

- Nie wiedziałem, że to się tak skończy - wydukał cienkim głosem.



- Zamknij się - rzuciła. - Ani drgnij. Nawet nie próbuj podrapać się po nosie. Jeśli choć na ułamek sekundy oderwiesz ręce od biurka, jesteś trupem. - Słowa wydawały jej się głupawe, jakby żywcem wyjęte z jakiegoś filmu akcji, ale odniosły zamierzony efekt. Kent zastygł jak posąg, z płasko położonymi dłońmi i rozczapierzonymi palcami.

Nie zdejmując z niego wzroku i nie opuszczając broni, zrobiła cztery ostrożne kroki do tyłu. Badała uważnie podłogę stopami, żeby się nie potknąć. Kiedy dotarła do ciała Galwaya, przekroczyła je, żeby móc na nie popatrzeć kątem oka, jednocześnie obserwując Kenta.

Galway dostał co najmniej trzy razy, z tego dwa w klatkę piersiową, i leżał teraz na plecach w rozszerzającej się kałuży krwi. Usta i oczy miał otwarte, służbowa broń leżała jakieś trzydzieści centymetrów od jego dłoni.

Zalała ją fala bólu. „Cholera jasna, Tom. Jak zwykle mądry po szkodzie”. Pomyślała o jego synu, Aidanie, siedemnastoletnim i ponurym, ale o jasnych oczach i przenikliwym umyśle ojca. Pójdzie na studia, podejmie pracę, ożeni się, wychowa własne dzieci, ale nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że znał swojego ojca. Człowieka, który popełniał błędy i chodził na skróty. Który bywał czasami łajdakiem, a innym razem bohaterem i wymyślał się, jak zresztą wszystko i wszyscy, jednoznacznym ocenom.

Zerknęła szybko na Kenta. Stał tak, jak go zostawiła. Przykucnęła i wolną ręką zamknęła oczy Galwayowi. Niech anieli rozsądzają, kto jest dobry, a kto zły. Tu na ziemi ona może zapewnić mu przynajmniej to minimum godności.

- Pani funkcjonariusz! - Napięcie w głosie Washingtona sprawiło, że poderwała się na nogi, wiedząc, że musiało się coś stać. Najpierw założyła, że Kent się ruszył i szybko uniosła glocka, celując po lufie. Ale milioner siedział dokładnie tak, jak go zostawiła, z pobladłą twarzą i płasko leżącymi rękoma. Przeniosła wzrok na Washingtona.

I zobaczyła, że Billy trzęsie się w jego ramionach w paroksyzmach drgawek.

Jason szedł ostrożnie, omiatając teren wyciągniętą do przodu bronią. Dobrze znał ten ruch. Ile to już razy szedł w ten sposób? Ile pomieszczeń tak sprawdził, ile opustoszałych ulic spatrołował? Choć pistolet, który podniósł, różnił się od karabinu M4, zasada pozostała ta sama.

Salon tonął w świetle i meblach z katalogu. Otwierał się na ciemniejszy pokój i Jason szybko przeszedł wzdłuż ściany, starając się nie wejść na linię strzału. Czuł bicie serca, pot spływający po bokach. Dobrze znany strach. Znowu w akcji.

Wziął głęboki oddech i wychynął zza rogu. Zobaczył długi stół z jednym wysokim metalowym świecznikiem, bogato zdobione krzesła po obu stronach, gigantyczny kredens w najbliższym rogu. Jadalnia. Za nią kolejne drzwi, prawdopodobnie do kuchni. Próbował przypomnieć sobie rozkład domu, umiejscowić w nim to pomieszczenie. Wydawało mu się, że na parterze jest może jeszcze pięć albo sześć pokoi. Postanowił je sprawdzić, zanim zabierze się do góry. Na schodach będzie łatwym celem.

Ruszył do przodu, czując, jak krew pulsuje mu w skroniach. Wyciągnął rękę i pchnął powoli drzwi do kuchni, skupiony na pomieszczeniu z przodu.

Za jego plecami uchylły się lekko drzwi kredensu i ze środka wychynął ciemny kształt.

Cruz podbiegła do Washingtona. Wyglądało na to, że chłopiec ma napad padaczkowy, ręce i nogi mu drgały, głowa dygotała.

- Co się stało?

Washington popatrzył na nią z przerażeniem w oczach.

- Nie wiem... po prostu... ni stąd, ni zowąd zaczął. Może to od tego uderzenia w głowę. Wie pani, co robić?

Skrzywiła się i rzuciła na kolana przy chłopcu.

- Niech pan to weźmie - podała Washingtonowi glocka. Washington wzdrygnął się jak oparzony.

- Nie. Ja...

- Niech pan po prostu wymierzy w Kenta, a jeśli się ruszy, naciśnie spust.

- Pani nie rozumie...

Billy wydał długi, zduszony jęk. Twarz zaczynała mu sinieć.

- Nie ma czasu. - Potrząsnęła mu przed nosem pistoletem. - Szybko.

Bardzo niechętnie i z ociąganiem Washington sięgnął po broń. Wydał wargi, jakby poczuł smak zgnilizny w ustach, ale uniósł pistolet i skierował go na Kenta i tylko tyle ją teraz obchodziło.

Usiłowała gorączkowo przypomnieć sobie zajęcia z pierwszej pomocy. Co trzeba zrobić? Po pierwsze nie ruszać go, jeśli nie znajduje się w niebezpiecznym miejscu. Winnych okolicznościach parsknęłaby śmiechem na te słowa. „Skup się, cholera”. Dobra, po drugie nie pozwolić leżeć na wznak. Złapała chłopca pod ramię i przewróciła go na bok, czując podrygiwanie maleńkich mięśni. Teraz już sobie przypominała. Oczyścić drogi oddechowe. Stanął jej przed oczyma instruktor i jego ostrzeżenia, by nigdy nie robić tego, chwytając za język. Trzeba natomiast rozchylić usta, naciskając dwoma kciukami za kątem żuchwy, żeby wypchnąć język do przodu. Niezręcznie próbowała wsunąć jedną rękę pod głowę chłopca, drugą położyć mu na wierzchu.

Dławiące rżenia zamieniły się w płytki, mokry, świszczący charkot. Drgawki kończyn się zmniejszyły, wreszcie ustały. Trzymała jego głowę, kiedy jego oddech się uspokajał. Z tyłu rozległ się śmiech Washingtona, odwróciła się i zobaczyła, że patrzy na nią i Billy'ego z czystą radością w oczach. Odwzajemniła to spojrzenie, czując niesamowitą ulgę.

Dopóki nie usłyszała, jak Adam Kent mówi:

- Washington, muszę pana prosić o odłożenie tego pistoletu.

Usłyszał odgłos, zanim poczuł uderzenie, i to uratowało mu życie. Rzucił się w bok, unosząc jedną rękę, by osłonić twarz, drugą obracając pistolet. Metalowy świecznik, który powinien był rozłupać mu głowę, walnął go w przedramię, nagły ból przeszył mu ramię, palce zdrętwiały i zwiotczały. Nie tyle poczuł, co zobaczył, że pistolet wypada mu z ręki, i zdawało się, że przez ułamek sekundy wbrew prawom grawitacji wisi w powietrzu, a czas się zatrzymał, pozwalając podziwiać misterną doskonałość świata, słaby blask światła obrysowujący kontur lufy, szrafowanie chwytu.

Potem Anthony DiRisio machnął świecznikiem w błyskawicznym bekhendzie i tym razem Jason się nie uchylił, metal trafił go w usta, zdzwoniły mu wszystkie zęby, żołądek podszedł do gardła, w oczach stanęły świeczki i poleciał do tyłu. Odruchowo asekurował się rękoma o ścianę, ale dłonie się ześlizgnęły i grzmotnął tyłkiem o podłogę. Miał wrażenie, że rdzeń kręgowy otarł się o drut kolczasty i odłamki szkła, wszystko się zamgliło i odrealniło.

- Prawdziwy wrzód na dupie z ciebie - powiedział DiRisio. - Ale kiepski żołnierz. - Jason miał wrażenie, że coś się nad nim rusza, opada, potem poczuł ciężar na piersi. DiRisio siedział na nim okrakiem, pochylał się. - To nawet zabawne. - Położył świecznik na gardle Jasona. - Zginiesz w ten sam sposób, co twój brat. - Prawy bark miał zakrwawiony, ramię zwisało bezwładne, ale nogą przygwoździł do ziemi jeden koniec świecznika, drugi przycisnął lewą ręką.

Od ucisku metalu na krtań Jason zaczął się dusić. Usiłował złapać powietrze, ale nic nie dochodziło, nic zupełnie, jakby miał w ustach kulę bilardową. Zobaczył mroczki przed oczyma, tysiące słońc wybuchło mu pod powiekami, ręce

opadły bezwładnie. Próbował się wyrwać, ale DiRisio miał mięśnie jak ze stali i mocne przełożenie dźwigni. Świecznik wpił się głębiej. Zabójca pochylił się do przodu, jego twarz znajdowała się tylko kilka centymetrów od twarzy Jasona, widział poszczególne szczecinki świeżego zarostu na jego policzkach, czuł woń alkoholu, kawy i potu. Chciał podnieść prawą rękę, żeby odepchnąć metalowy drąg, ale była odrętwiała i bez czucia.

„Przepraszam, Michael”.

I nagle myśl. Prawe ramię. To coś znaczy. Co?

Kolorowe błyski przed oczyma.

Prawa ręka. Prawa dłoń.

Ciemność zasnuwająca powoli wzrok.

Prawa kieszeń.

Lewą ręką sięgnął do biodra DiRisio. Jest.

Wyciągnął mu z kieszeni składany nóż i go otworzył. Zabójca wyczuł, że coś się dzieje i się odwrócił, nacisk na krtań zelżał, dzięki czemu Jason wciągnął strumień powietrza i szybko z całej siły zamachnął się prawą ręką, zatapiając ostrze w szyi potwora.

Oczy DiRisio wyszły na wierzch. Szarpnął się do tyłu, lewą ręką macając się po szyi, prawa wisiała bezwładnie u pasa. Zsunął się z Jasona, trysnęła krew, kiedy zatoczył się do tyłu. Zdławiony świst zamienił się w rżenie, ręce zaczęły mu dygotać i runął na ziemię z rękonością sterczącą z szyi.

Jason odsunął się, kaszląc. Gardło paliło go żywym ogniem, powietrze było jak benzyna, każdy oddech przeszywał bólem. Oparł się o ścianę, patrzył, jak pokój wiruje i czekał, aż przestanie mu się ćmić w głowie.

I wtedy przypomniał sobie, co powiedział Billyemu. I uśmiechnął się mimo bólu. Będzie musiał poinformować bratanka, że się mylił.

Okazuje się, że jednak można zabić zmoreę.

Ciężar pistoletu w dłoni był cudowny i Washington nienawidził się za to. To cofnęło go w czasie o trzydzieści lat, zamieniło na powrót w zwierzę, psa, który gryzie ze strachu. Zabójcę słuchającego dawnego zimnego zewu świszczącego metalu. Mimo to pieśń brzmiała na tyle znajomo, że kiedy usłyszał, jak Kent rozkazuje mu odłożyć pistolet, nie potrafił powiedzieć, czy poczuł ulgę czy gniew.

Milioner stał obok wysuniętej szuflady, mierząc do nich z krótkolufowego rewolweru. Pobladła twarz i trzęsące się dłonie, które zwiody Washingtona, uspiły jego czujność na tyle, że odwrócił się, by zobaczyć, co z chłopcem - zniknęły. Na ich miejscu pojawiła się wcześniejsza niewzruszona pewność siebie i okrutny uśmieszek.

„Wojna to podstęp”.

Cruz naprężyła się jak cięciwa. Nadal trzymała dłonie na głowie chłopca, i ten widok przywiódł Washingtonowi na myśl święte obrazy, najświętszą panienkę uzdrawiająca rannego chłopca. Ale wiedział, że lepiej nie oczekiwać pomocy z nieba.

W końcu złożył w życiu tylko jeden ślub i go złamał. I teraz znaleźli się pod dyktatem broni. Nie zdziwiło go to. To była lekcja, którą wcześniej i skutecznie zafundowało mu życie. Jeśli choć raz weźmiesz do ręki broń, już zawsze będziesz żył w jej cieniu.

Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

- Powiedziałem - twardo wycedził Kent - rzuć go.

Ale z drugiej strony, czy miał inne wyjście? Potrafił objaśnić konstrukcję rzymskich akweduktów, a nie potrafił uratować chłopca. Czytał niewłaściwe książki. Jednak nie mógł siedzieć z założonymi rękoma i patrzeć, jak umiera dziecko. Nie z powodu jakiejś tam zasady. Z pewnością żadna zasada nie jest na tyle ważna, by usprawiedliwiać śmierć niewinnego dziecka. Koniec końców czyż właśnie nie to wyznacza granicę?

Wstał, pewnie trzymając broń w dłoni.

- Co pan wyprawia? - spytał Kent.

Z pewnością nie było takiej żelaznej zasady, która miałaby zastosowanie we wszystkich sytuacjach. A jeśli nawet, to mówiła, że nie wolno przyglądać się beczynnemu, jak umiera niewinny chłopiec. Albo pozwolić odejść bezkarnie człowiekowi, który atakuje dzieci.

I jeszcze ten ból zdrady. Wierzył w tego człowieka. Musiał w niego wierzyć, ufać, że są inne sposoby walki.

Zrobił krok do przodu.

- Stój, cholera! - Kent odbezpieczył pistolet, wycelował trzęsącymi się dłońmi. - Jesteś wrogiem przemocy, pamiętasz? Przysięgałeś, że nigdy nie weźmiesz już pistoletu do ręki.

Washington skinął głową.

- Chyba kłamałem, Adamie. - Potem nacisnął spust tak, jak to zrobił trzydzieści lat temu. I tak jak wtedy usłyszał huk i poczuł odrzut.

Kent strzelił ułamek sekundy później, rewolwer drgnął, kiedy milioner zatoczył się do tyłu z twarzą dziką i zdezorientowaną. Otworzył usta. Na wykrochmalonej białej koszuli rozkwitł czerwony kwiat. Patrzył się na Washingtona, mrugając. Potem nogi się pod nim ugięły i runął jak pijany, broń wypadła mu z dłoni. Koniec końców okazał się tak samo śmiertelny jak wszyscy.

Washington czekał, aż się upewnił, że Kent już nie wstanie i dopiero wtedy sam upadł. Ogień w piersiach, lód w brzuchu. Już dawno mu się należało. Stary dług, teraz spłacony.

Słyszał Cruz, ale jej nie widział. Poczuł, że rozdziera mu koszulę, naciska mocno. Krzyczała, prosiła, żeby się nie poddawał, nie dawał za wygraną.

Uśmiechnął się z jej błędnej interpretacji.

Zza ciemnego zarysu jej sylwetki dochodziła dziwna poświata. Jakby ktoś stał za plecami Cruz z latarką. Zamrugał. To było niesamowite. Nie widział Cruz, ale wyraźnie dostrzegał postaci stojące po jej bokach.

Dwóch małych chłopców. Jednym był Billy, na nogach i oddychający bez trudu. Drugi, czarny, mniej więcej w tym samym wieku, uśmiechnięty. Kto to?

Obaj wzięli go za ręce, Billy za lewą, ten uśmiechnięty za prawą. Wtedy na Washingtona spłynął spokój jak ciepły deszcz.

I tuż przed śmiercią zobaczył, że uśmiechnięty chłopiec ma kalafiorowate ucho.



25 sierpnia 2005

*Czekają na niego w środku. Żywi i martwi, czekają.*

*Słyszał strzały. Wie, czego się spodziewać, wiedział już, kiedy zerwał się na nogi, kiedy slaniając się, pokonał salon, podpierając się dłonią o ścianę.*

*Żywi: Cruz, z rękoma całymi we krwi, mozołca się nad Washingtonem. Billy leżący przy jego boku, z zamkniętymi oczyma, ale równym oddechem.*

*Martwi: Bliznowaty, Kent, Galway.*

*I Washington. Jason wie, choć Cruz naciska klatkę piersiową, choć próbuje ratować. Poznaje po dziwnym bladym uśmiechu na ustach przyjaciela.*

*I pragnie, tak mocno jak jeszcze nigdy niczego nie pragnął, wyciągnąć się na chłodnej drewnianej podłodze i zamknąć oczy. Chce się położyć, chce, żeby to wszystko zniknęło.*

*Ale tylko się rozgląda. Pokój przypomina mu Bagdad, wewnątrz kawiarni po zamachu samobójczym: kawałki tynku i drewna, w ścianach dziury wielkości pięści. Szklane drzwi wychodzące na ogród są pęknięte i otwarte. Jedno z krzeseł przewróciło się, upadając do kominka, jego obicie pali się pożądliwym zielonym płomieniem, który rzuca migotliwe cienie.*

*Pięknie.*

*Podchodzi do kominka, schyla się, by chwycić wystającą nogę krzesła, fala gorąca zalewa mu twarz czerwienią. Niesie je na tylną ścianę i przystawia do kotar. Języki ognia skaczą jak dziecko.*

*Podchodzi do kanap. Do półek z książkami. Do bogato zdobionych mebli i drewnianego barku. Przystawia do wszystkich krzesło, a wszędzie, gdzie je przykładą, rodzi się ogień.*

*Zostawia mebel oparty o ścianę zawieszoną fotografiami i oprawionymi w ramki wycinkami z gazet. Adam Kent przecinający wstęgę na uroczystym otwarciu nowej siedziby swojej firmy. Adam Kent ściskający dłoń burmistrza. Adam Kent z poważną miną obok artykułu poświęconego jego giełdowemu debiutowi.*

*Kluczyki od samochodu są w kieszeni Galwaya. Jason klęka przy Cruz, ciągle pochylonej nad Washingtonem, i dotyka jej ramienia.*

*- Chodźmy - mówi.*

*Cruz patrzy na niego przez Izy. Przetyka ślinę i kiwa głową z twarzą oświetloną przez ogień. Podnosi Billy'ego i tuli go w ramionach.*

*On niesie Washingtona. Nie jest to łatwe, ale Jason wcale nie chce, żeby było.*

## Latarnicy

Jason upewnił się, że drzwi są zamknięte. Sprawdził dwa razy.

Potem poszedł do sypialni Michaela, przesuwając dłońmi po rzeczach, których dotykał jego brat. Miękką zniszczona faktura kołdry. Para butów do biegania, ze zdartymi do goła podeszwami. Biurko z polerowanego mahoni. Wszedł do łazienki. Krem do golenia i brzytwa, grzebień z resztkami włosów, na wpół opróżnione butelki szamponów. Zajrzał do szafy, wysunął szuflady komody. Równo złożone koszule, upchnięta ciasno bielizna. Puszka na drobne. Kilka fotografii:

Michael i Lisa wracający ze szpitala do domu z maleńkim Billym opatulonym w kocyk zwinięty jak burrito.

Rozpromieniony Billy w koronie McDonalda otwierający urodzinowy prezent.

Matka Jasona, z grymasem na twarzy, jak zawsze przed obiektywem aparatu, ale z uśmiechem w zmęczonych oczach.

Nastoletni bracia Palmerowie nad jeziorem, około 1992 roku. Spalone słońcem policzki, zmierzwiłone włosy. Ręka Michaela na ramieniu Jasona.

Jason wziął zdjęcie, usiadł na brzegu łóżka. Było zimne w dotyku, na brzegu znajdował się odcisk palca, jakby wcześniej Michael też go dotykał. Jason przyłożył kciuk w to miejsce, po-

czuł, jak coś mu wzbiera w piersi. Chciał to odruchowo powstrzymać, ale przypomniał sobie, że po to właśnie tu przyszedł. Zerknął jeszcze raz na drzwi, żeby się upewnić, że są zamknięte.

I wreszcie pozwolił pęknąć tamie.

Spazmatyczny długi szloch wstrząsnął jego trzewiami. Zagryzł pięści, żeby stłumić odgłos, ale pozwolił płynąć łzom, kołysząc się w przód i w tył, z nogami na podłodze, po której chodził jego brat, myślami i sercem daleko. Z rozmysłem przypomniał sobie popołudnie, kiedy zrobiono to zdjęcie. Skwar lipcowego słońca na twarzy i barkach. Lekkie zażenowanie, że jest na plaży z matką, pozuje do zdjęcia. Dziewczyny gdzieś w tle, łagodny brązowy nastrój minionego lata. Fale na zawsze znieruchomiałe na zdjęciu, jedna właśnie się rozbijająca, biała piana i piasek, a za nią kolejna i jeszcze jedna na tle bezkresnego błękitnego nieba.

Płakał z powodu bólu, jaki zadał bratu, i krzywd, których już nigdy nie zdoła naprawić.

Ale oplakiwał też te wszystkie chwile, które były doskonałe.

I płakał, bo wreszcie mógł.

W końcu się podniósł. Schował zdjęcia z powrotem do szuflady. Poszedł do łazienki i zdjął koszulę. Odkręcił zimną wodę, opłukał twarz dwiema pełnymi garściami, potem pożyczył sobie brzytwę Michaela i ogolił się, powoli i dokładnie. Wytarł twarz ręcznikiem i popatrzył w lustro. Włożył z powrotem koszulę, nieśpiesznie zapiał guziki i zawiązał ponownie krawat.

Będzie jeszcze rozpaczać. Będzie wylewać łzy. Pewnie do końca życia. Ale teraz ktoś go potrzebował bardziej niż on sam siebie. Uśmiechając się na próbę, otworzył drzwi łazienki i poszedł na dół.

Cruz rozmawiała przez telefon. Postukał w nadgarstek i skinęła głową. Z tyłu rozległy się kroki na schodach. Billy wyglądał krucho i mizernie w spodniach i koszuli od Izoda. Fioletowo-żółte pasma znaczyły mu czoło. Wstrząśnienie mózgu, jak to często bywa, odbiło się na pamięci świeżej i ostatnie,

co chłopiec pamiętał, to że siedział pod stołem na przyjęciu, roznosząc w puch miasta z przystawek zabawką, która kiedyś należała do jego ojca, potem wujka, a teraz do niego.

To dziwne, ale w pewien sposób DiRisio wyświadczył Billy'emu przysługę.

Chłopiec popatrzył na Jasona okrągłymi ślepiami. Brązowymi oczyma Michaela.

- Cześć, bąku. Jak się trzymasz?

- Okay - powiedział chłopiec, przestępując w zakłopotaniu z nogi na nogę.

- Możesz być smutny, to nic złego. - Jason przykucnął przed dzieckiem. - Ja jestem.

Billy zagryzł wargę.

- Ja też. - Popatrzył na niego, jakby to była migrena, a on miał proszek, po którym mogłaby przejść. Jason poczuł ten dobrze znany odruch paniki, przez który uciekał przez większość swojego życia. Ten, który nakazywał mu patrzeć na odpowiedzialność jak na zbliżający się z naprzeciwka pociąg. Miał ochotę zmierzwić chłopcu włosy i pójść po samochód.

Ale zamiast tego ujął jego dłoń.

- A wiesz, co mówił mi twój tata, kiedy byłem smutny? -Co?

Jason nachylił się do przodu, przywołał chłopca bliżej, i jeszcze bliżej. Kiedy twarz Billy'ego znalazła się tylko kilka centymetrów od jego twarzy, rzucił się do przodu, przytknął usta do szyi dziecka i przytknął ustami. Billy piszczał i wił się, usiłując się wyrwać i z uśmiechem wycierając rękoma skórę.

- Blee!

Jason odwzajemnił uśmiech.

- Też tak zawsze uważałem.

- Dostałem twoją paczkę - W głosie komendanta rejonu Jamesa Donlana słyhać było gniew. - Wiem, że jesteś na mnie wkurzona, ale to podła zagrywka.

- Moją paczkę? - Cruz przełożyła telefon do drugiego ucha.

- Umowy kupna nieruchomości, listy płac, dane dotyczące kont bankowych Toma Galwaya, radnego Owensa, jakiegoś Anthony'ego DiRisio. Prokuratura będzie potrzebowała całych tygodni, żeby to prześledzić. A z uwagi na udział Adama Kenta to, co już i tak było głównym tematem w mediach, teraz urosło do rangi afery stulecia. To świństwo, Elena.

- O czym ty mówisz?

- Chryste i wszyscy jego święci. Mówię o przesłaniu tego do każdej agencji prasowej w tym mieście.

- Nie wysyłałam żadnych paczek. - Miała wrażenie, że nie nadała. - Wiem, o jakich materiałach mówisz, ale mój egzemplarz wylądował w rzece. Jest stempel pocztowy?

Usłyszała szelest papierów.

- Hmm. Nie. Nie ma znaczka. Musiała zostać doręczona osobiście wczoraj wieczorem.

Cruz zamknęła oczy, potarła skronie. Zapisała kolejny punkt na koncie ich tajemniczego informatora. W mediach aż huczało od doniesień o strzelaninie w domu Adama Kenta. Dziennikarze mieli używanie, snując najróżniejsze teorie, dlaczego sierżant policji, dwóch najemników z piękną kartoteką i jeden z najbogatszych mieszkańców Chicago zginęli w - jak to nazywali - masakrze w domu milionera.

Ktoś najwyraźniej uznał, że prawda powinna ujrzeć światło dzienne. Rozumiała wściekłość Donlana. To był prawdziwy wizerunkowy dramat. Nieuczciwi politycy, skorumpowani policjanci i wymuszone uznanie wagi problemu ulicznych gangów roznoszących w puch całą południową dzielnicę. Wszystko spotęgowane jeszcze przez posmak zorganizowanej intrygi. Minie wiele czasu, zanim cała historia zniknie z ust ludzi w knajpach i przy obiadowych stolach.

Starala się wykrzesać z siebie jakieś wyrzuty sumienia, ale nie potrafiła.

- Wygląda na to, że będziesz miał ręce pełne roboty.

- Nawet nie masz pojęcia. Dziś po południu rzucają mnie na pożarcie mediom. Ale najpierw muszę wyjaśnić szefowi, jak mogło dojść do takiej niebotycznej wtopy tuż pod moim nosem.

- Och, zaraz się popłaczę - rzuciła. Do kuchni wszedł Jason, poprawiając krawat. Uśmiechnął się do niej, postukał w nadgarstek w miejsce, gdzie znajdowałby się zegarek, gdyby nosił coś takiego. Skinęła głową. - Muszę kończyć.

- Poczekaj. - Usłyszała skrzypnięcie, jakby Donlan odchylił się na krześle i stanął jej przed oczyma niemal jak żywy, w swoim gabinecie, garniturowej zbroi, woni dunhillów i z wyblakłym uśmiechem na ustach. - Byłaś tam, prawda? Na miejscu masakry?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mogę kazać cię aresztować i przesłuchać.

- A ja mogę wnieść oskarżenie przeciwko policji za przedstawianie mnie w mediach jako zabójczym.

Milczał, potem głośno westchnął.

- Posłuchaj, przepraszam. Za wszystko. Za to, co wydarzyło się między nami i za potem. I za podanie twojego nazwiska w telewizji. Nie miałem wyboru.

- Myślę, że miałeś.

- W porządku. Zasłużyłem sobie na to. Wiem, że sprawy się pokićkały. Ale nadal uważam cię za przyjaciela. I kawał dobrego gliny.

Owinęła kabel telefoniczny dokoła palców.

- To znaczyłoby więcej, gdybym nie podejrzewała, że chcesz czegoś ode mnie.

- Proszę, nie bądź taka.

Cruz milczała, czekając, aż da sobie spokój.

- Dobra, zgoda, wygrałaś. Kutas ze mnie, w porządku? Owszem, chcę czegoś. - Oddychał ciężko. - Cała ta sprawa wygląda fatalnie i nie ma dobrych stron. Ale jeśli byłaś za-

mieszana, moglibyśmy przedstawić cię jak bohaterkę. Tajną agentkę, która rozbiła siatkę handlarzy bronią i pomogła położyć kres wojnie gangów. To by wszystko zmieniło, cała afera nabrałaby zupełnie innego wydźwięku. Roześmiała się.

- Prosisz, żebym uratowała ci tyłek?

- Policji, nie mnie. Nie ma powodów, żeby traktować to osobiście czy politycznie.

Wreszcie szlag trafił resztkę uczucia czy szacunku, którą do niego żywiła. Uśmiechnęła się, widząc, jak znika.

- Pamiętasz to nasze wspólne śniadanie?

- Naturalnie.

- Tak jak wtedy powiedziałeś, to jest Chicago. Wszystko tu jest polityką.

- Poczekaj...

- Skup się przez chwilę, James. Chcę, żebyś coś usłyszał.

Rozłączyła się.

Uroczystość była bolesna, ale także miła. Pastor znał zarówno Michaela, jak i Washingtona, o obu mówił z humorem i serdecznością, opowiadając o ich wspólnych inicjatywach, niesłabnącym oddaniu lokalnej społeczności. Jason dał mu stowę, żeby puścił *Hallelujah*, cover piosenki Cohena w wykonaniu Jeffa Buckleya, jeden z ulubionych kawałków Michaela. Kiedy z głośników popłynęły pierwsze dźwięki, zamknął oczy i zobaczył Michaela uśmiechniętego za barem, Washingtona ćmiącego cygaro z książką na kolanach.

Później pojechali do dawnego domu Washingtona. Zamierzali z Ronaldem dzięki środkom uzyskanym od Kenta przekształcić go w całodobowe centrum resocjalizacyjne dla młodzieży z gangów. Jason nie podejrzewał, że zostanie tu, by prowadzić później ośrodek, ale chciał dokończyć, to co zaczęli jego brat i ojciec. Był im to winien.



Ronald wolno szedł przez pokój, z ramieniem spletanym przez gigantyczny gips. „To już czwarty raz ktoś mnie usiłuje wysłać na tamten świat”, powiedział Jasonowi wcześniej. „Chciałbym, żeby ci goście wbili sobie wreszcie do tych zakutych pał, że nigdzie się nie wybieram”. Zdrową ręką poklepywał po plecach przyjaciół i dawnych członków gangów. Nie było nawet śladu po atmosferze napięcia, która zazwyczaj panowała w tym domu. Wszystkich zjednoczyła żałoba.

Chłopcy i mężczyźni jedli potrawkę z kurczaka z papierowych talerzy, pili kool-aid i piwo. Kiwali smutnie głowami i przerzucali się posepnymi wspomnieniami. Mały Oscar wziął Jasona na bok i opowiedział mu, jak Michael pomógł mu uzyskać prawo jazdy, jak w swoim własnym samochodzie uczył go jeździć, po to by ten dostał pracę w Melrose Park. Billy kręcił się wśród właścicieli sklepików i ekszabójców, nauczycieli i gliniarzy. Ktoś włączył muzykę, Ronald wyciągnął pudełko cygar Washingtona. Powietrze zrobiło się niebieskie od dymu.

Jason wymieniał uściski dłoni, słuchał opowieści, kiwał głową i uśmiechał się. Po raz kolejny uświadamiając sobie, jak niewiele wiedział o swoim bracie, że znalazł go tylko od pewnej strony. Ale takiej, to też do niego docierało, której inni nie znali.

W ich oczach Michael był niemal świętym, człowiekiem, który ofiarnie walczył w obronie swojej dzielnicy, postacią niemal legendarną. Tylko Jason wiedział, że jego brat bywał także porywczym aroganckim kutasem. I ta świadomość była miła. Pozwalała kochać mu brata w dwójnasób, za to że był także człowiekiem.

- Dobrze się czujesz? - Cruz wręczyła mu piwo i sama otworzyła sobie jedno.

- Wiesz co? - Uśmiechnął się do niej. - Chyba tak. Odpowiedziała uśmiechem i wzięła go za rękę. Stali tak

przez chwilę, potem zerknęła na zegarek.

- Już czas.

Weszli po schodach do sypialni, tej samej, w której jakiś czas temu omal się nie kochali. To wspomnienie naszło ich oboje jednocześnie, zabawne, krepujące i słodkie. Cruz włączyła telewizor, nastawiła lokalne wiadomości.

Ktokolwiek rozesłał te dokumenty mediom, rozlał krew w wodzie. Zaraz zleciały się rekiny: uśmiechnięci reporterzy niezostawiający suchej nitki na nikim, kto z nimi rozmawiał. James Donlan wił się jak piskorz, przyklejony do ust uśmiech polityka zaczynał się łamać, kiedy powtarzał w kółko, że nie może omawiać szczegółów sprawy, że śledztwo jest w toku. Rzecznik prasowy burmistrza odczytał krótkie oświadczenie obiecujące bezwzględne konsekwencje. Na ekranie pojawiła się rezydencja Kenta, kanciaste kształty pękające pod naporem ognia, dym buchający z okien, dym rozwalający ściany. Potem pojawiło się zdjęcie milionera w smokingu i choć spikerka nie rzuciła wprost oskarżenia, napomknęła, że ostatnie dowody wskazują, iż mógł być zamieszany w sprawę.

Cruz powiedziała:

- Nie pamiętam, kiedy widziałam coś równie pięknego - i roześmiała się.

Prezenterka kontynuowała. Ujawnione dokumenty świadczą, że w aferę zamieszany był radny Eddie Owens, czym burmistrz jest jakoby osobiście rozczarowany. Pojawiła się migawka pokazująca radnego, jak z zasłoniętą rękoma twarzą czmycha do czarnego lincolna. Jason zastanawiał się, czy do tego samego.

Zaraz potem na ekranie pojawił się mężczyzna, którego poznali na przyjęciu Washingtona: Daryl Thomas, prawa ręka radnego. Stał za pulpitem podium i przemawiał, odcinając się wraz z całym zarządem miasta od poczynań pryncypała.

Cruz potrząsnęła głową.

- O co chodzi?

- Sama nie wiem. Jakbym go już wcześniej gdzieś słyszała.

Prezenterka poinformowała, że do czasu formalnych wyborów obowiązki radnego przejmie Daryl Thomas, którego kompetencje szybko wyrecytowała: licencjat uniwersytetu chicagowskiego, MBA na Northwestern, dziesięcioletni staż samorządowy. Człowiek znany w kręgach przemysłowych i wielkiego biznesu, szanowany przez współobywateli.

Jeszcze raz pojawił się na ekranie. Perorował z rozłożonymi rękoma:

- To czas, kiedy ważą się losy tego miasta. Możemy albo załamać się pod ciężarem tego skandalu, albo wziąć się w garść, zmobilizować siły i przezwyciężyć ten kryzys. Ale jednej rzeczy na pewno nie możemy: nie wolno nam zapomnieć. Kto raz się sparzył, na zimne dmucha i my także musimy już zawsze mieć się na baczności przed widmem korupcji i kumoterstwa...

Mówił coś jeszcze, ale Jason już nie słuchał. Stali razem z Cruz, patrząc na siebie z otwartymi ustami.

Wieczór był gorący, przytłaczająca woń spalin spowijała ganek. Jason położył dłonie na balustradzie i oparł się o nią. Patrzył przed siebie na drugą stronę ulicy, na pustą parcelę, wysokie trawy, brązowe w blasku zachodzącego słońca. Pośród nich na karuzeli siedział Billy. Pchał ją jakiś gangsta w trakcie resocjalizacji, metal skrzypiał i zgrzytał, a nad tym wszystkim unosił się śmiech.

- Jak się trzymasz? - Ronald ostrożnie zamknął za sobą drzwi siatkowe.

- Ciągłe mnie o to ktoś pyta. - Jason się wzdrygnął. - Chyba dobrze.

Ronald skinął głową. Stali i razem patrzyli na wieczór. Przejechał jakiś samochód, nisko zawieszony stuningowany mustang, którego szyby trzęsły się od puszczonego na fullu basu. W środku siedziało dwóch mężczyzn i wolno kiwało głowami

do rytmu. Mieli niebieskie bandany, ponure miny, i omietli Jasona najbardziej pustym ze szklanych spojrzeń. Spojrzał im w oczy, czując w środku zmęczenie. Wyczerpanie.

- Wiesz, co puściło w ruch tę całą karuzelę? Ronald potaknął.

- Ta policjantka, Cruz mi powiedziała.

- Walka o stołki. Tylko tyle. Gość na mniejszym stołku chciał dostać większy, więc zgromadził kartotekę grzeszków swojego szefa i wysłał ją komuś innemu, żeby samemu umyć ręce.

- Może po prostu widział, co się dzieje, i chciał to powstrzymać.

- E tam. Gdyby chodziło tylko o to, dlaczego sam nie narobił rabanu? - Jason pokręcił głową. - Najzabawniejsze, że ja znam to wszystko na pamięć. Widziałem takie same sytuacje w Afganistanie, widziałem też w Iraku. Ludzi skaczących sobie do gardeł, byleby tylko wyrwać dla siebie jak największy ochłap. Ich politycy, nasi politycy. Kontrahenci, przedsiębiorcy budowlani i dyrektorzy naczelni, mułłowie, watażkowie i generałowie. Czasem załatwiali rzecz jakimś dokumentem, czasem kulą. Ale na wozie czy pod wozem, nigdy nie ginęli, śmierć zabierała tylko przypadkowych ludzi zaplątanych w ich boje.

Ronald wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jak jest w Iraku, ale z tego co mówisz, to wypisz wymaluj Chicago.

- Tak, tylko... - Jason się wyprostował, rozłożył ręce. - Nie wiem. Zachodzę w głowę, po co to wszystko? To co zrobiliśmy. Niby załatwiliśmy Kenta i radnego. Ale nie minęły trzy dni, a już jest nowy radny, przebieglejszy i bardziej bezwzględny. A gdzieś tam czai się pewnie też nowy Kent. No więc jaki to wszystko miało sens?

Ronald się odwrócił, oparł o barierkę. Poklepał się po kieszeniach, znalazł dwa cygara. Wręczył jedno Jasonowi, odgryzł koniuszek drugiego.

- Pamiętasz tamten wieczór? Tę historię, którą opowiedział doktor Matthews?

- O latarnikach - Jason potaknął.

- Opowiadał ją już wcześniej, wiele razy. Po prawdzie to byłem kiedyś taki jak ty. Nie widziałem, czy jest w tym sens, w umieraniu za światło, za latarnię. - Zapalił papierosa, wypluł kawałek tytoniu. - Ale teraz wydaje mi się, że może doktor Matthews chciał powiedzieć, że nie można się pozbyć ciemności. Znaczący się, wiesz, to przecież noc. Wiadomo, że zapadnie. Ale mimo to z nią walczysz. - Odwrócił się, pokazał cygarem. - Poza tym nawet jeśli dzień się kiedyś kończy, to czy nie warto go zobaczyć?

Jason zapalił zapałkę, przybliżył ją do czubka cygara, zaciągnął się i wydmuchnął dym w wieczorne powietrze. Niebo płonęło szkarłatem i żółcieniem. Zza pleców dochodziły odgłosy konsolacji, gwar rozmów. Smutna część się zakończyła, teraz rozlegał się śmiech i pobrzękiwanie kieliszków. Ktoś zmienił muzykę, popłynął soul z dobrym bitem. Jason zerknął do środka przez siatkę i zobaczył Cruz na przygotowanym naprędce parkiecie tanecznym. Ich oczy się spotkały, a na jej ustach wykwitł leniwy uśmiech pełen obietnic. Patrzyli na siebie długą chwilę, wreszcie ona puściła do niego oko i wróciła do płasów z małym Oscarem.

Jason wspiął się na palce i napawał nocnym powietrzem, a z każdym kolejnym oddechem miał wrażenie, że coś w nim puszcza. Jakby Przywra, która wcześniej zżerała go żywcem, zamieniła się w proch, który teraz wydalął z siebie tchnienie za tchnieniem. Miał wrażenie, że gdy zniknie już całkowicie to potworne poczucie winy, wstydu i strachu, które spętało mu serce na tak długo, gdy wreszcie opuści jego piersi na dobre, zrobi miejsce na coś innego.

Nie wiedział dokładnie na co.

Ale bardzo chciał się przekonać.

## OD AUTORA

Crenwood w rzeczywistości nie istnieje.

Kwestia dzielnicy, w której rozgrywałaby się akcja, nastroczała wiele wątpliwości. Nie musiałem jej wymyślać: bieda, uliczne gangi i przemoc są realnymi problemami i choć samo Crenwood jest fikcją literacką, wzorowane jest na pewnej rzeczywistej dzielnicy południowej części Chicago. Jednak po roku rozważań i namysłów postanowiłem zmienić jej nazwę.

Ta decyzja dawała mi większą swobodę twórczą, ale wynikała raczej z chęci uszanowania mieszkających tam ludzi. Dla mnie, i prawdopodobnie większości czytelników, ta powieść jest tylko rozrywką. Dla nich to jest ich życie. Uważałem też, że nie mam prawa pisać o tych ulicach, jakby były moje.

Ponieważ jest to powieść, a nie studium socjologiczne, w sposób znaczący zmniejszyłem liczbę i wielkość gangów. Narracja musi obracać się wokół małej grupy postaci, prawdziwych gangów to ograniczenie nie dotyczy. Chcecie, żeby wam włosy stanęły dęba? Wrzucicie w wyszukiwarkę hasło „MS-13”. Jeśli nie zmienimy czegoś jako społeczeństwo, i to szybko, zbierzemy niezłe cięgi.

Prawa gatunku wymagają czasami powołania do życia złych gliniarzy, a prawa ludzkiej natury sprawiają, że czasami

pojawiają się też oni w prawdziwym życiu. Ale większość policjantów to dobrzy ludzie wykonujący ciężką pracę, za którą dostają śmiesznie nieadekwatne wynagrodzenie.

Wreszcie, jak mówi jedna z postaci, bez względu na nasze opinie na temat tej wojny, rządu czy wojska, jesteśmy winni naszym żołnierzom dozgonną wdzięczność. Powinniśmy się cieszyć, że twardzi mężczyźni i kobiety czuwają w gotowości, byśmy mogli spać spokojnie w swoich łóżkach.